

CZARNA SERIA
KRYMINAL

JAN-ERIK FJELL

KAPUŚ



JAN-ERIK FJELL

KAPUŚ

Przełożyła Elżbieta Frątczak-Nowotny

Wydawnictwo Czarna Owca
Warszawa 2018

Tytuł oryginału:

TYSTEREN

Redakcja: Grażyna Mastalerz

Projekt okładki: Pola & Daniel Rusiłowicz JCR Solutions

Zdjęcie na okładce: © IM-photo / Shutterstock

Korekta: Piotr Królak

Redaktor prowadzący: Anna Brzezińska

Copyright © Jan-Erik Fjell, 2010

Published by agreement with Stockholm Noir Agency

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Czarna Owca,
2018

Copyright © for the Polish translation by Elżbieta Frątczak-Nowotny,
2018

This publication of this translation has been made possible through
the financial support of NORLA, Norwegian Literature Abroad

Wydanie I

ISBN 978-83-8015-643-2

Wydawnictwo Czarna Owca Sp. z o.o.

ul. Alzacka 15a, 03-972 Warszawa

www.czarnaowca.pl

Redakcja: tel. 22 616 29 20; e-mail: redakcja@czarnaowca.pl

sklep@czarnaowca.pl

Czekał dwa dni.

Mężczyzna najwyraźniej go nie rozpoznał, chociaż wpadli na siebie dwa razy przed budynkiem i raz na kładce dla pieszych. W pizzerii postąpił mu co prawda krótki niepewny uśmiech, zerkając na ulicznego grajka, który śpiewał o tym, jak smutno być samym, i o tym, że ma nadzieję, że znajdzie się ktoś, kto pozwoli mu przetrwać noc. Kiedy mężczyzna uśmiechnął się do niego, opuścił niewielką niebieską broszurkę, którą znalazł w hotelowym holu, i odwzajemnił uśmiech.

Teraz był dziesięć kroków za nim, mężczyzna wchodził na klatkę schodową apartamentowca. Najwyraźniej zadzwoniła jego komórka, bo przyłożył ją do ucha i zaczął rozmawiać.

Osiem kroków.

Mężczyzna zniknął za szklanymi drzwiami i nie przerywając rozmowy, wcisnął guzik przy windzie. Rzucił jeszcze kilka słów do komórki i schował ją do kieszeni. Nawet nie zauważył, że drzwi za nim znów się otworzyły.

Cztery kroki.

Prolog

*Wtorek, 18 lutego 1969
New York City*

ZACZĘLI OSTROŻNIE wchodzić po stromych schodach.

Wydostanie się z piwnicy nawet latem bywało problematyczne. Vincent Giordano szedł tyłem, próbując utrzymać się na śliskich schodach. Cztery stopnie za nim szedł Calogero Locatelli. Nieśli kobietę. Wciąż jeszcze nie odzyskała przytomności po środku znieczulającym, który jej wcześniej podali. Stawiając ostrożnie stopy, pokonali pokryty lodem dziedziniec i ruszyli do czekającego na nich samochodu. Calogero Locatelli rozluźnił palce i tułów kobiety wylądował na śniegu. Otworzył bagażnik, wyjął z niego koc i rozłożył na tylnym siedzeniu. Znow chwycił kobietę za stopy.

Na białym śniegu zostały różowe ślady.

Wyjechał na główną drogę i ruszył w stronę Manhattanu. Vincent Giordano odwrócił się i spojrzał na nieszczęsną kobietę leżącą na tylnym siedzeniu. Jej długie brązowe włosy kleiły się od potu. Oczy miała przekrwione. Twarz tak bladą, że przypominała maskę. Szminka rozmazała się jej na twarzy.

– Co wyście ze mną zrobili? – spytała jeszcze nie do końca przytomna. Miała zamknięte oczy. Głowa kiwała jej się na wszystkie strony. – Dlaczego, Vincent? – spytała, z trudem łapiąc powietrze. – Jak mogłeś mi to zrobić?

– Zamknij tę swoją durną gębę – warknął Calogero Locatelli. – Cholerna dziwka.

Vincent Giordano spojrzał na niego.

– Wystarczy. Daj jej już spokój – powiedział.

Calogero Locatelli parsknął i posłał mu obojętne spojrzenie.

– Może po prostu wrzucimy ją do rzeki? – spytał na tyle głośno, żeby mogła go usłyszeć.

Krzyknęła. Próbowwała kopać, ale jej ciało było wyczerpane. Ledwie udało jej się usiąść. Vincent Giordano spojrzał na nią surowo. Na jego twarzy nie było śladu sympatii czy współczucia.

– Uspokój się – powiedział. – Nie zabijemy cię, ale musisz wrócić tam, skąd przybyłaś. I obiecać, że twoja noga nigdy już nie postanie w tym mieście. Rozumiemy się?

Żadnej odpowiedzi.

– Rozumiemy się? – powtórzył.

Kobieta z wielkim wysiłkiem zamknęła oczy i skinęła głową.

*Poniedziałek, 8 czerwca
Fredrikstad*

WILHELM MARTINIUSSEN, właściciel firmy Mardan, siedział przy końcu stołu w sali konferencyjnej. Wpatrywało się w niego dwanaście par zaciekawionych oczu. Za chwilę zniweczy ich marzenia. Podrze je na kawałki.

Serce biło mu tak, jakby przed chwilą przebiegł maraton. Dłonie miał spocone, wilgotne. Wiedział, że sprawi im zawód, a jednak był przekonany, że postępuje słusznie. Za niecałą minutę przestanie być szanowanym szefem, zamieni się w kretyna. Wiadomość, którą zamierzał im przekazać, na pewno wywoła poruszenie. Spojrzał na zastępcę przewodniczącego zarządu, Frodego Moena, który od tygodni czekał na ten dzień. Na stole przed nim leżała broszurka z jachtem na okładce. Najwyraźniej był to model, który sobie wybrał. Opowiadając o nim, dodawał, że zdecydował się na granatowy lakier: *navy blue*, jak napisano w ulotce.

Po lewej stronie Wilhelma Martiniussena siedział jego dobry przyjaciel i partner w interesach Bjørn Danielsen. Ale nawet on nie wiedział, dlaczego Martiniussen zwołał pilne zebranie, które – jak napisał w mailu – miało potrwać zaledwie kilka minut. Krótkie oświadczenie – zapowiedział.

– *Alright* – rozpoczął Wilhelm. Odchrząknął i po chwili zaczął mówić dalej: – Nie przychodzi mi to łatwo... – znów przerwał. – Ale dokładnie wszystko przemyślałem i postanowiłem, że Mardan wycofa się z projektu.

– Z którego? – spytał Frode Moen, niezbyt zainteresowany.

– Kanadyjskiego – odpowiedział Wilhelm krótko.

Przez długą sekundę słychać było śpiew ptaków za oknem. Przerażająca cisza. Nikt z członków zarządu nie mógł uwierzyć w to,

co usłyszał. W końcu jeden z mężczyzn się uśmiechnął.

– Nie żartuj sobie, Wilhelmie. Powiedz, o co chodzi.

Wilhelm Martiniussen był poważny. Najchętniej wróciłby do gabinetu i za jakiś czas spróbował znowu, ale starał się nie dać niczego po sobie poznać.

– Nie żartuję – powiedział.

– Nie, nie... Nie wierzę, żebyś mówił to serio – powiedział Frode Moen.

– Przykro mi, Frode.

Jeden z członków zarządu, ten, który wcześniej się uśmiechał, wyglądał na zszokowanego. Kiedy się odezwał, mówił tak cicho, że Wilhelm musiał się bardzo skupić, żeby go w ogóle słyszeć. Najwyraźniej nadal nie rozumiał.

– Wilhelmie... możesz nam powiedzieć... co... co się dzieje?
– wyszeptał.

– Wycofujemy się z projektu kanadyjskiego – powtórzył Wilhelm.

Bo co innego mógł powiedzieć? Wiedział, że wszyscy pozostali domyślają się dlaczego.

– Ale przecież mamy zarząd. Nie powinieneś tego z nami skonsultować? – ciągnął mężczyzna.

– Oczywiście mógłbym to zrobić, tylko po co? Poza tym podjąłem już decyzję.

Frode Moen wstał.

– Wiesz, ile pieniędzy Mardan już zainwestował w ten projekt? Wartość firmy znacznie spadnie.

– Oczywiście, że wiem, ile czasu i pieniędzy poświęciliśmy temu projektowi, ale teraz musimy się skupić na innych tematach. Na szczęście mamy w czym wybierać. Na pocieszenie dostaniecie na Boże Narodzenie całkiem przyjemną sumkę. Po cztery miliony każdy, z mojej kieszeni, żeby wszystko było jasne – dodał. Spróbował się uśmiechnąć.

Frode Moen spojrzał na niego pogardliwie.

– Cztery miliony? To kolejny żart? Nie zgadzam się. Nie pozwolę, żebyś wszystko popsuł przez jakieś bzdury, które wbiłeś sobie do

głowy! – Frode był cały czerwony, w kącikach ust miał pianę.

– Nie zapominaj, Frode, że to moja firma. Mam prawo tak postąpić. Podjąć decyzję w imieniu całej firmy.

– Cztery główniane miliony – parsknął znów Frode. – Mam się tym zadowolić? To chcesz mi powiedzieć? Skoro mogłem mieć dziesięć razy tyle, ja, człowiek, którego udziały w firmie są najmniejsze.

– Jeśli będziesz niezadowolony, zawsze możesz sprzedać swoje udziały i znaleźć sobie jakiś inny narożny gabinet.

– Dlaczego nikt, do cholery, nic nie mówi? – Frode rozejrzał się wokół. – Co za banda, niech was szlag...

Zapadła cisza. Członkowie zarządu spoglądali na Bjørna Danielsena w nadziei, że może on zaprotestuje. Bo jeśli w ogóle ktoś, to tylko on mógł wpłynąć na Wilhelma. Ale Bjørn Danielsen siedział ze wzrokiem wbitym w stół.

– Zatrzymaj te swoje cztery miliony i wsadź je sobie wiesz gdzie. To jakieś szaleństwo! – wrzasnął Frode Moen i wybiegł z pokoju.

Wilhelm Martiniussen zwrócił się do pozostałych członków zarządu:

– Jest mi naprawdę bardzo przykro, ale uwierzcie, proszę, że to nie egoizm. Robię to ze względu na nas wszystkich. Przyszłość należy do nas. Skupmy się na tym. Co wy na to?

Spojrzał na nich, w oczach miał optymizm. Nikt się nie odezwał. Ludzie siedzący wokół stołu wyglądali, jakby byli na pogrzebie. Wilhelm wyszedł i wrócił do gabinetu. Opadł na krzesło. Po chwili usłyszał pukanie. Drzwi się uchyliły i do pokoju zajrzał Bjørn Danielsen.

– Przychodzę nie w porę?

– Ależ nie, wejdź, proszę. – Wilhelm się uśmiechnął.

– Wsadziłeś kij w mrowisko.

– Wiedziałem, że ta decyzja nie przysporzy mi sympatii, ale Frodego chyba trochę poniosło.

– Tak...

Wilhelm wstał, podszedł do okna.

– Nie odezwałeś się...

– To prawda.

– Chciałbyś coś dodać? Mam wrażenie, że coś ci leży na sercu.

– Dobrze wiesz, że publicznie nigdy nie wystąpię przeciwko tobie...

Zapadła cisza.

– Nie bój się mówić, co myślisz, Bjørn – powiedział Wilhelm i nagle odwrócił się w jego stronę. – Rozmawiamy o interesach. Niezależnie od tego, co sobie tu powiemy, nie będzie to miało wpływu na naszą przyjaźń. Chyba o tym wiesz? Bardzo sobie cenię twoją lojalność. Mów, co ci leży na sercu. Chcę usłyszeć twoje zdanie.

Bjørn Danielsen się wahał. Nie lubił krytykować Wilhelma, ale przecież musiał coś powiedzieć. Był to winien sobie i pozostałym członkom zarządu.

– Nie spodobała im się twoja decyzja, więc protestowali. Ja cię znam i wiem, że nie zmienisz zdania. Zastanawiam się tylko, jaki był powód. Ten projekt kosztował nas wiele pracy i pieniędzy, a ty odwracasz się na pięcie i zmieniasz zdanie. Najpierw odstawiasz samochody, w dosłownym tego słowa znaczeniu, a teraz to. Podejrzewam, że to ma coś wspólnego z Norą. Z całym szacunkiem, Wilhelmie, ale jak długo ją znasz? Siedem tygodni? Osiem?

– Cztery miesiące.

Bjørn Danielsen pokiwał głową.

– Cztery miesiące... A jak długo pracowaliśmy na taką szansę? – spytał, wskazując głową na papiery leżące na biurku. – Trzydzieści lat, Wilhelmie, trzydzieści lat.

– Wiem, że jesteś zawiedziony, ale w tym projekcie chodzi tylko o jedno: o pieniądze. I rzeczywiście możemy sporo zarobić, ale w jaki sposób? Masz chyba wystarczająco dużo, żeby sobie poradzić?

– Owszem, ale pieniądze zawsze się przydają. Poza tym chodzi o przyszłość firmy.

Wilhelm spojrzał na niego łagodnie.

– Mardan będzie się dalej rozwijał, nawet kiedy nas obu już zabraknie. Zwiększanie wydobywania to nie jest przyszłość. Należy stawiać na odnawialne źródła energii.

– To akurat nie nasza dziedzina – wtrącił Bjørn.

– Właśnie.

Wilhelm podjął już decyzję, żadna dyskusja nie miała sensu. Bjørn już od jakiegoś czasu obawiał się takiego obrotu sprawy. Wszyscy wiedzieli, że wydobywanie piasku bitumicznego zanieczyszcza środowisko, wpływa na klimat i niszczy przyrodę. Kiedy rozpoczęli pracę nad projektem, był bardzo podniecony. Mardan, niewielka norweska firma, miała dzięki swojej przełomowej technologii szansę stać się spółką międzynarodową. Pieniądze zaczęłyby spływać zewsząd, a właściciele mogliby się poczuć niemal jak królowie, chociaż bez koron. I wtedy pojawiła się ona. I została dziewczyną Wilhelma. Ruda, dwadzieścia dziewięć lat od niego młodsza Nora Røed Karlsen. Działaczka ruchu na rzecz ochrony środowiska, która zadbała o to, żeby jego życie nie składało się już tylko z zebrań i negocjacji handlowych. Niektórzy twierdzili, że zainteresowała się sześćdziesięcioletnim biznesmenem ze względu na pieniądze. Ale Wilhelm wiedział swoje.

Poza Fredrikstad niewiele osób orientowało się, kim jest Wilhelm Martiniussen. Twarzą firmy był Bjørn Danielsen. Wilhelm tak zdecydował. Wypadasz w mediach lepiej niż ja – stwierdził szczerze. A Bjørn Danielsen rzeczywiście był do tego stworzony. Dlatego Nora Røed Karlsen nie miała pojęcia, kim jest Wilhelm Martiniussen, kiedy wpadała na niego w barze w Stavanger. On przyjechał tam w odwiedziny do kuzyna, ona żeby wziąć udział w akcji protestacyjnej organizowanej przez Bellonę. Dopiero kiedy cztery tygodnie później przedstawił jej Bjørna Danielsena, zaczęła się czegoś domyślać. Wówczas jednak Nora – czy Bellonora, jak Bjørn ją przezwiał – była już zakochana po uszy i nic innego nie miało dla niej znaczenia.

Firma, którą zawsze stawiał na pierwszym miejscu – czym zawsze też usprawiedliwiał to, że nigdy nie założył rodziny – spadła teraz na drugie miejsce. Danielsen nie rozpoznawał tkwiącego w ciele starzejącego się mężczyzny młodzieńca. Ale cieszył się jego szczęściem. A poza tym to właśnie jemu zawdzięczał majątek. Co prawda daleko mu było do jego bogactwa, ale miał tyle, że

wystarczało mu na utrzymanie siebie i żony, która też miała swoje wymagania.

– Kiedy to ogłosisz? – spytał Bjørn.

– Że się wycofujemy?

– Tak.

– Pod koniec przyszłego tygodnia. Po weekendzie roześlę pismo do pracowników.

Bjørn Danielsen zacisnął wargi, potarł o nie palcami i skinął głową. Rozumiał, dlaczego Wilhelm podjął taką decyzję, ale się z nim nie zgadzał.

*Poniedziałek, 8 czerwca – wtorek, 9 czerwca
Fredrikstad*

KIEDY ANTON BREKKE odkrył wartość pieniędzy, odkrył też, że lubi grać. W szkole były to kości. Pozostali uczniowie przyglądali mu się z ciekawości, ale to on decydował, z kim chce grać. Miał jedenaście lat i uważał się za jednego z najlepszych graczy na świecie. Jego kolegom nie przeszkadzało, że zmieniał reguły w trakcie partii, wszyscy chcieli z nim grać. Ten, kto w szkole w Rød siadał do kości, był w porządku. Ten, komu udało się wyrzucić siódmkę czy jedenastkę, stawał się bogaty. Przynajmniej w oczach dzieci.

Jako nastolatek zaczął grać w pokera, a kiedy wstąpił do szkoły wojskowej, szybko okazało się, że może sobie pozwolić na znacznie więcej niż jego koledzy. Pieniądze nie stanowiły problemu. Przy każdej okazji organizował partię pokera. W koszarach, nawet na ćwiczeniach w lesie. Grano oczywiście na pieniądze. Jeśli ktoś ich nie miał, Anton przyjmował papierosy. Ponieważ sam nie palił, sprzedawał je innym, zwykle za nieco wyższą cenę niż w kiosku, który znajdował się dobry kilometr od bazy.

Postanowił, że w ten sposób będzie zarabiał na życie. Osiądzie w Las Vegas, a w Caesars Palace będzie miał biuro.

Codziennie będzie wygrywał tysiące dolarów, a po jakimś czasie wróci do domu z piękną żoną z długimi kasztanowymi włosami i brązowymi oczami. Żona oczywiście nie będzie pracować, tylko zajmować się domem i dziećmi. Będzie żyła jak królowa – a on jak król. Największy ze wszystkich. Geniusz matematyczny i mistrzowski umysł. Kolejny Stu Ungar, tyle że on nie zamierzał umrzeć z przedawkowania.

Kiedy jako student przeprowadził się do Oslo, szybko stał się stałym gościem na torze wyścigów konnych Bjerke. Kiedy patrzył, jak

koń, na którego postawił, przybiega pierwszy na metę, czuł się wspaniale. Nikomu się do tego nie przyznał, ale czuł się wówczas lepiej, niż kiedy przed ołtarzem powiedział tak kobiecie swojego życia. A na pewno o wiele lepiej niż tego dnia jedenaście lat później, kiedy wrócił do domu i zobaczył jej spakowane walizki.

Nienawidziła jego pracy i tego, że ponad dwieście dni w roku był w podróży. Dlatego chciała, żeby wolny czas spędzał w domu. A on wtedy zasiadał przed telewizorem i oglądał sport. Na stole leżały porzucane kupony na loterię. W ogóle nie był zainteresowany tym, co miała mu do powiedzenia. Od czasu do czasu rzucał tak albo nie, albo ach tak. Nie chciała dalej tak żyć. Wiele razy próbowała z nim o tym rozmawiać, potem przez kilka dni był spokój.

Kiedy tamtego popołudnia wrócił do domu i zobaczył spakowane walizki, zrozumiał, że podjęła decyzję. Próbował ją przekonać, że znajdzie sobie inne zajęcie, żeby móc więcej czasu spędzać w domu z nią i synkiem. Ale wszystko na nic. Jeśli znajdziesz inną pracę, to przestaniesz grać? – spytała. A on tylko wzruszył ramionami. Wsiadła więc do samochodu, opuściła szybę i wycedziła przez zęby:

– Najbliższych parę dni twój syn i ja spędzimy u mojej mamy. Masz tydzień na znalezienie sobie innego mieszkania!

Trzy dni później zamieszkał w trzydziestodwumetrowej kawalerce niedaleko parku St. Hanshaugen w Oslo.

Dobre dwadzieścia lat po tym, jak ogrywał kumpli w wojsku, czternaście lat po tym, jak się ożenił, a trzy po rozwodzie klub w Lervik niedaleko Fredrikstad zastąpił mu Las Vegas.

Klub działał oczywiście nielegalnie. Anton był tam już przedtem dwa razy. Za każdym razem przegrywał: za pierwszym razem sześć tysięcy, za drugim dziesięć tysięcy koron. Duże sumy jak na urzędnika państwowego. Był jednak przekonany, że tym razem w końcu mu się powiedzie. Kiedy mijał lotnisko w Moss, uznał, że wie, co go zgubiło poprzednim razem. Niewłaściwe nastawienie. Gdyby podszedł to tego inaczej, na pewno by wygrał. Tym razem jednak wszystko było inaczej, więc po prostu nie mógł przegrać. Czuł to. Miał wrażenie, że nawet kierowcy samochodów jadących przed

nim i za nim czują, że w czarnym volvo siedzi zwycięzca. Dawno już tak się nie czuł, ale też dawno nie wygrywał. Ostatnimi czasy mu nie szło, ani na wyścigach, ani w lotto, ani w pokera. Nie pamiętał, kiedy ostatnio miał dodatnie saldo na karcie.

Dzisiaj to się zmieni – pomyślał.

Budynek należał do klubu piłki nożnej z Lervik. Facet, który pracował jako dozorca w klubie, był nałogowym graczem, więc przez dwa pierwsze dni w tygodniu urządzano tam sesje pokera.

– Anton! – rozległ się głos przy jednym ze stolików, kiedy stanął w progu. Głos należał do jego kumpla z dzieciństwa. Dorastali razem w Gressvik, niedaleko Fredrikstad. Jeszcze w szkole Anton wygrał od niego sok i opakowanie gumy do żucia.

– Chodź, siadaj tutaj. Jakiś amator ograł mnie właśnie na cztery tysiące koron – roześmiał się, wskazując na młodego chłopaka po drugiej stronie stolika.

– Cześć – przywitał się Anton i usiadł obok kumpla z dzieciństwa. – Cztery tysiące mówisz. A poza tym coś wygrałeś?

– Nie za wiele. Trzy tygodnie temu wpadło mi prawie trzydzieści tysięcy na loterii, ale potem wszystko straciłem tutaj.

– Wszystko? Tutaj? – Anton spojrzał na niego zdziwiony.

– Tak – odpowiedział mężczyzna cicho. – Właśnie tutaj. Siedząc na krześle, na którym ty teraz siedzisz. A co z tobą?

Anton nie miał ochoty opowiadać mu o swojej kiepskiej sytuacji.

– Nie przegrywam, ale też nie wygrywam. Wychodzę na zero – skłamał. – Ale mam przecucie, że w końcu mi się poszczęści.

Kumpel z dzieciństwa skinął dyskretnie głową młodemu chłopakowi, którego przed chwilą mu przedstawił.

– Co z nim? – wyszeptał Anton.

– To płotka. Niestety dość nieprzyjemna.

Anton powiódł wzrokiem po pozostałych graczach. Mężczyźni w średnim wieku, wszyscy z pozoru bez problemów finansowych. Właśnie – z pozoru. Bo przecież doskonale wiedział, że jeśli nie wszyscy, to na pewno większość ledwie wiąże koniec z końcem. Kumpel opowiadał mu przerażające historie o facetach, którzy

stracili tam wszystko: żonę, dzieci, dom, samochód, i jeszcze mieli długi u ludzi, od których raczej każdy powinien trzymać się z daleka. Pokiwał głową poważnie. Był świadom, że to tak naprawdę także jego historia, nawet jeśli jemu udaje się utrzymać na powierzchni. Przynajmniej na tyle, że pieniądze był winien tylko bankowi.

Tylko płotka wyróżniała się z tego towarzystwa. Anton widział chude chłopięce ręce wystające z rękawów koszuli z różowej piki. Spoczone włosy zaczesane do tyłu. Zapewne użył do tego sporej ilości żelu albo wosku, a może i jednego, i drugiego. Krawędź jego lewej małżowiny błyszczała, na nosie miał duże okulary przeciwsłoneczne w beżowych oprawkach. Dialekt, którym mówił, wskazywał na to, że nie pochodził stamtąd, widać też było, że pozostali gracze raczej nie kwapili się do rozmowy z nim.

Podszedł dozorca i spytał, ile chce kupić sztonów. Anton sięgnął do kieszeni po kopertę, po czym wyjął z niej piętnaście tysięcy, które pierwotnie przeznaczył na wakacje.

Krzesła nie były szczególnie wygodne. Po godzinie, a tym bardziej dwóch czuło się to wyraźnie. A on spędził już na nich prawie pół doby. Spięty kark i ramiona domagały się zmiany pozycji.

Jego przeczucia okazały się słuszne. Grał, jakby nigdy w życiu nic innego nie robił, wygrał już prawie dwadzieścia pięć tysięcy. Na stole przed nim piętrzyły się elegancko ułożone sztony w różnych kolorach.

Od czasu do czasu uderzał w nie. Dźwięk irytował innych, ale on się tym nie przejmował. To był jego wieczór. Był królem i napawał się tym. Obiecał synowi wyprawę do wesołego miasteczka, do Lisebergu, ale wyglądało na to, że teraz będzie go stać na jakies większe szaleństwo. Może pojedą do Disneylandu, do Francji.

Zerknął na zegarek.

– Dochodzi dziesiąta – powiedział. – Jeszcze jedno, dwa rozdania i kończę.

– Ja też – zawtórował jego kumpel, który przegrał już połowę

sztonów. – Może pojedziemy do miasta i zjemy jakieś śniadanie?

– Dobrze. Ja zapraszam – skwitował Anton z uśmiechem.

Każdy z graczy dostał po dwie karty. Anton przyglądał im się. Dostał asa trefl i asa pik. Wiele razy miewał takie karty, ale tego dnia zdarzyło mu się to po raz pierwszy. Czuł, jak przyspiesza mu tętno. Czyżby miał zakończyć wieczór wspaniałą wygraną?

Podtrzymywał rozmowę z kumplem. Nie chciał, żeby ktoś się zorientował, że ma coś szczególnego. Stara sztuczka, ale powinna się okazać skuteczna.

Kiedy w końcu nadeszła jego kolej, powiódł spokojnie wzrokiem po pozostałych graczach. Chciał, żeby w rozstrzygającym momencie w grze był tylko jeden przeciwnik. Doświadczenie mówiło mu, że jeśli teraz okaże się pazerny, to za chwilę może za to drogo zapłacić. Jeden przeciwnik wystarczy. Jeśli nie wejdzie mocno, ryzykuje, że pociągnie za sobą więcej graczy, takich, którzy wcale nie mają dobrych kart, co zwiększy szansę, że straci pulę.

– Podwyższam – powiedział, rzucając na stół nowe sztony. – Do trzystu.

– Do trzystu? – Dobrze zbudowany mężczyzna po czterdziestce uśmiechnął się, marszcząc czoło. – Zamierzasz ukraść pulę? – Wpatrywał się w niego, ale Anton nie spuścił wzroku.

– Tak. Grajmy – powiedział, odsuwając od siebie karty.

Drugi i trzeci gracz spasowali, nie mieli silnych kart. Czwarty, młody chłopak, Płotka, przyglądał mu się chwilę przez ciemne okulary, po czym przesunął na środek stołu trzy kupki sztonów.

– Podwyższam – oznajmił. – O sześćset.

Anton zachował spokój. Ani drgnął. Właśnie na coś takiego liczył. Że jakiś pajac z dobrą kartą, może z asem i królem, może nawet z parą króli, skusi się, żeby jeszcze raz podwyższyć. Gracz numer pięć pokręcił głową i odsunął od siebie karty. Jego kolega zrobił to samo.

Miał go. Zastanawiał się, czy nie podnieść stawki jeszcze raz, ale wtedy zdradziłby się i chłopak mógłby się wycofać, o ile oczywiście sam nie miał silnej karty. Ale w to wątpił. Zresztą cokolwiek chłopak miał, pula i tak należała do niego, do Antona. Spojrzał na chłopaka,

który ukrywał oczy za ciemnymi okularami. Po prawie dwunastu godzinach jego długie jasne włosy wyglądały tak samo – nadal były wilgotne. Oparł łokieć o blat stołu, podparł dłonią spiczastą brodę. I wtedy Anton po raz pierwszy zauważył zegarek na jego ręku. Tag Heuer Link. Rozpoznał charakterystyczną bransoletkę, w końcu był synem zegarmistrza. Teraz nie miał już wątpliwości, że szczeniak ma forszę.

Zauważył, że jego nozdrza się zwężyły. Wystawił nawet koniuszek języka i zwiliżył wargi. Denerwował się. Anton widział to wyraźnie. Wielokrotnie widywał po drugiej stronie stolika ludzi w podobnym stanie, tyle że w legalnych kasynach. Chłopak przełknął ślinę. Anton miał wrażenie, że zamierzał zasłonić dłonią szyję, żeby nie było widać, że się denerwuje. Wydatne jabłko Adama odznaczało się wyraźnie na jego chudej szyi. Właśnie na to czekał. Chłopak nie czuł się pewnie. Prawdopodobnie nie miał żadnego asa ani króla, nie mówiąc już o parze królów, ani nawet waleta. Ale był odważny, więc w puli było już ponad tysiąc koron. Gdyby jeszcze podwyższył, suma wzrosłaby do tysiąca czterystu. Nie były to naprawdę duże pieniądze, ale zamierzał grać wysoko. Podejrzewał, że wtedy chłopak by spasował. Postanowił wyciągnąć od niego jeszcze kilka setek.

– Podwyższam jeszcze o trzysta – rzucił z przekonaniem.

– Ja też – odpowiedział chłopak i znów przełknął ślinę.

Rozdający, który sam nie uczestniczył w grze, otworzył kolejne karty – as kier, dziesiątka trefl i siódemka trefl.

Karty marzeń. Miał w ręku trzy asy. Był pewny swego, czuł, jak przyspieszyło mu tętno.

Długo patrzył na karty leżące na stole. Udawał niezadowolonego – i robił to dobrze. Nie był pewien, czy ma przebić. Wtedy zdradziłby, że czuje się mocny. Może raczej powinien udawać, że ma kiepskie karty. Zagrywka stara jak świat.

Zastanawiał się chwilę, po czym przesunął na środek stołu sztony za tysiąc koron.

– Twój tysiąc i moje dwa, razem trzy tysiące – odpowiedział

chłopak szybko i pewnie.

Anton zdębiał. Czuł, jak buzuje w nim adrenalina. Jakie karty ma szczeniak? Może strita albo kolor. Nie, musiałby mieć dwójkę trefl albo ósemkę i dziewiątkę, ale wtedy nie wchodziłby tak mocno. Może ma trzy siódemki albo dziesiątki.

Tak czy inaczej, on na pewno ma lepszą rękę. Nie chciał ryzykować, że szczeniak skompletuje kolor. Wiele razy bywał świadkiem takich sytuacji: kiepskie karty dawały niekiedy wielką wygraną. Tym razem na to nie pozwoli.

– Ile ci jeszcze zostało? – spytał, zerkając na leżące przed chłopakiem sztony.

– Zdecydowanie więcej niż tobie – rzucił chłopak arogancko.

Może i tak, ale jemu chodziło przede wszystkim o jego reakcję: nadal wydawał się pewny siebie. Ale Antona nie przekonał.

Znów spojrzął na swoje sztony.

– Twoje dwa tysiące i moich pięć.

Przebił, ale zrobił to po to, żeby zakończyć rozdanie i zadowolić się sześcioma tysiącami, które były w puli. Żaden gracz świadomy tego, co robi, nie wszedłby tak w nadziei na strita czy kolor. Pomyślał, że gdyby postanowił sprawdzić, pewnie by się okazało, że chłopak ma trzy siódemki, może dziesiątki. Co i tak by mu nie pomogło wobec asów Antona.

– Wiem, co masz.

Rozdający otworzył kartę: dziesiątka kier, która dawała Antonowi fula. O ile szczeniak nie miał dwóch dziesiątek, co było bardzo mało prawdopodobne, to Anton miał lepszą rękę.

– *All in* – powiedział chłopak, przesuwając wszystkie swoje sztony na środek stołu.

– Sprawdzam. – Anton nie musiał się nawet zastanawiać. Wiedział, że jest w lepszej sytuacji. – Ful – rzucił i pokazał swoje asy.

Gracze siedzący przy sąsiednich stolikach przerwali grę, obserwowali rozwój sytuacji.

Chłopak pokręcił głową.

– Miałem nadzieję, że ta dziesiątka cię wystraszy. Teraz mogę liczyć

tylko na łut szczęścia.

Odwrócił swoje karty: dziesiątka trefl i dziewiątka trefl.

Szczeniak nie miał nic.

Jedynie dwie karty mogły pozbawić Antona puli, w której w tej chwili było prawie osiemdziesiąt tysięcy koron – szóstka trefl i walet trefl. Jedna z tych kart dałaby aroganckiemu szczeniakowi pokera. Pozostali gracze obserwowali ich w napięciu. Jeden z nich stwierdził, że chłopak ma cztery i pół procent szans, żeby trafić na jedną z potrzebnych kart. Rozdający uderzył dwa razy w stół i otworzył ostatnią kartę.

Anton zamknął oczy. W pokoju rozległ się jęk. Spojrzał na kumpla z dzieciństwa: pokręcił głową i spuścił wzrok. Jakby mu było wstyd. Anton spojrzał na stół.

Cztery i pół procent wystarczyło.

Na stole leżał walet trefl – i drwił sobie z niego. Anton poczuł, że robi mu się zimno, a potem natychmiast gorąco. Pokój zaczął wirować. Poczł mdłości.

– Przykra sprawa! – krzyknął chłopak i chciwym gestem, śmiejąc się głośno, sięgnął po żetony. – Byłem faworytem po pierwszych trzech kartach. Chyba przyznasz mi rację?

Anton nie odpowiedział. W głowie miał pustkę. Brakowało mu słów. Stał i patrzył na pulę, która zniknęła w rękach chłopaka.

– Chyba nie masz do mnie pretensji? Tak to bywa. Czasem się wygrywa, a czasem, jak teraz – przegrywa. Nie należy upadać na duchu! – Roześmiał się.

*Wtorek, 9 czerwca
New York City*

VINCENT GIORDANO stał z brody resztkę pianki do golenia i zaczesał włosy do tyłu. Czarna czupryna była równie bujna jak pięćdziesiąt lat wcześniej. Gdyby oceniać życie człowieka po jego włosach, można by pomyśleć, że przez sześćdziesiąt lat nie doświadczał większych zmartwień.

Co zdecydowanie nie było prawdą.

Spojrzał na swoje odbicie w lustrze. Przeciągnął dłonią po świeżo ogolonych policzkach. Dotknął palcem wskazującym blizny ciągnącej się wzdłuż szczęki. Nieważne jak starannie by się ogolił, widać było, że nie jest już młody. Kobiety nie posyłały mu już zalotnych spojrzeń. Tym akurat się nie przejmował. W ogóle. Jego pociąg do kobiet wygasł w dniu, kiedy rak zabrał jego ukochaną Sofię.

Chociaż Sofia nigdy nic mu nie mówiła, wiedziała doskonale, że w ciągu ich trwającego trzydzieści lat małżeństwa miewał inne kobiety. Ani razu nie podjęła jednak tego tematu. Nigdy nie dała mu poznać, że się czegoś domyśla. Wyszła za niego, był jej mężem i nigdy nie przeszło jej przez myśl, że mogłaby od niego odejść. Małżeństwo było czymś na całe życie. Pocieszała się, że nie jest jedyną kobietą w takiej sytuacji. Wszystkie jej przyjaciółki miały podobne doświadczenia – żyły wśród kłamstw. Mimo to jej miłość do niego znaczyła więcej niż jego wiarołomność. Nawet na łożu śmierci nie oczekiwała od niego wytłumaczenia ani przeprosin. A on – kiedy było już za późno – żałował, że nigdy się na to nie zdobył. Bo przecież wystarczyłoby, żeby wyszeptał: przepraszam, a wybaczyłaby mu. Był tego pewien. Dopiero kiedy zamknęła oczy na dobre, dotarło do niego, że nie sprawdził się w roli męża. Że tak naprawdę wcale nie pragnął tych wszystkich kobiet – po prostu tak

żył.

Pewnego ciepłego czerwcowego dnia w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym dziewiątym roku po prostu odeszła. Jego inteligentna, ciepła, piękna Sofia. To było dziesięć lat temu. Czas mijał szybko. Za szybko. Nie było dnia, żeby o niej nie myślał, żeby się nie zastanawiał, czy to nie była kara dla niego. Odebrano mu ją tak brutalnie, żeby go ukarać za jego grzechy. Za grzechy, które przez całe jego życie uchodziły mu na sucho. Ale czy Bóg naprawdę mógł być aż tak złośliwy? Na pewno. Bóg był świadkiem straszniejszych rzeczy i sam też robił gorsze.

Niecałe dwa tygodnie po jej pogrzebie sprzedał wielką willę na Staten Island, w której mieszkali od końca lat sześćdziesiątych. Sprzedał ją razem z meblami swojemu przyjacielowi i jego żonie – chciał się pozbyć wszystkiego. Ale nie chciał, żeby dom przeszedł w obce ręce. Przez kilka miesięcy nadal tam przychodził, żeby wspominać. I zadawać sobie ból. Zasłużył na to.

Półtora roku po odejściu Sofii ich jedyne dziecko, córka Connie, urodziła synka. Angelo stał się jego oczkiem w głowie. Kiedy na niego patrzył, w jego oczach znów pojawiał się blask.

Jego niewielkie trzypokojowe mieszkanie na rogu Union Street i Ósmej Alei w środku Brooklynu było urządzone skromnie. W salonie stała skórzana kanapa, fotel i stolik. Telewizor kupił, dopiero kiedy Angelo dorósł i czasem w tygodniu zostawał u niego na noc. Nigdy nie interesowała go sieczka, którą widział na ekranie. Kiedy żyła Sofia, zdarzało się, że słuchali razem wiadomości, ale on zdecydowanie wolał gazety. Teraz też włączał telewizor tylko wtedy, kiedy przychodził Angelo. Nie miało znaczenia, co oglądał. Patrzenie, jak chłopiec chłonie stary western albo japońską kreskówkę sprawiało mu prawdziwą przyjemność.

Było już po dziesiątej. Włożył szarą marynarkę w czarne prążki, do tego odpowiednie spodnie i białą koszulę. Zostawił ją rozpiętą pod szyją. Ruszył w górę Ósmej Alei, do Bobby'ego, u którego przez ostatnich dziesięć lat niemal codziennie jadał śniadania, obiady i kolacje.

Wchodząc, skinął uprzejmie głową nieznanemu mężczyźnie, mniej więcej w jego wieku, i ruszył w głąb lokalu. Chociaż właściciel, Bobby Parvati, ledwie zdążył otworzyć drzwi, lokal już był w połowie wypełniony gośćmi. Ze wszystkich stron napływali ludzie chcący zapewnić sobie porcję słynnego omletu z pesto. Artyści, studenci, bezrobotni, policjanci, nawet ich szef, jadali tam kilka razy w tygodniu. Usiadł przy stoliku w rogu. Przy jedynym, który był zarezerwowany na cały rok. Wszyscy o tym wiedzieli, ale Bobby i tak zawsze stawiał na nim zafoliowaną kartkę z napisem: Zarezerwowano dla signora Giordano. Może w geście przyjaźni, może dlatego, że był wyjątkowo dobrym klientem, a może po prostu z szacunku. Vincent miał nadzieję, że z przyjaźni. Często późnym wieczorem, kiedy tłum już się przerzedził, Bobby i on siadali razem i rozmawiali jeszcze długo po zamknięciu lokalu. Bobby był jedynym przyjacielem Vincenta spoza r o d z i n y.

– Vincent! – powitał go, idąc w stronę jego stolika. – Brakowało nam cię wczoraj wieczorem – powiedziała, siadając naprzeciwko niego.

– Bobby. – Vincent się uśmiechnął. – Cały dzień spędziłem z Angelem. Zrobiło się późno.

– Chłopak rośnie. I coraz bardziej przypomina dziadka.

– Oby nie za bardzo – odpowiedział Vincent poważnie.

– Jak ci się żyje? Jakieżś nowinki? – spytał Bobby, kładąc ręce na stole.

– Żadnych. Ale jak mówią: brak wiadomości to dobre wiadomości.

– To na pewno. Co ci przyrzadzić?

– Kiełbaski z papryką i mały omlet.

– Już się robi.

Bobby wstał od stolika i ruszył w stronę kuchni. Nagle usłyszał głos Vincenta:

– Bobby.

– Tak? – Odwrócił się i uśmiechnął niepewnie.

– Możemy zamienić kilka słów, jak skończę jeść?

Bobby poczuł, jak oblewa go zimny pot. Często rozmawiali, kiedy

Vincent skończył jeść. Zdarzało się, że gawędzili w trakcie posiłku, ale żeby Vincent prosił, by zamienili kilka słów? To było naprawdę niezwykle.

– Oczywiście – odpowiedział. Nie był w stanie ukryć zdenerwowania. – Jest coś...

– Nie musisz się niczym przejmować. Przyniesi sobie filiżankę, po obiedzie wypijemy razem kawę – powiedział i uśmiechnął się ciepło.

– Dobrze, w porządku – odpowiedział Bobby z ulgą. – Podwójne espresso?

– Tak, poproszę.

Vincent spojrzał na elegancko ubranego mężczyznę trzymającego w ręku aktówkę z dokumentami, kanapkę i filiżankę kawy. Pewnie adwokat przygotowujący się do rozprawy. Nie wyglądał na szczęśliwego, raczej na zapracowanego. Istnieją szczęśliwi adwokaci? Miał wątpliwości. Bez przerwy walczyli o coś w interesie innych ludzi. Nie wyobrażał sobie takiego życia. Nie zazdrościł mu jego aktówki ani jego nudnego, przewidywalnego życia.

Kawałek dalej pod ścianą siedziała para młodych ludzi. Czytali razem gazetę, ich dłonie się stykały. Przyglądał im się z uśmiechem. Dziewczyna podniosła głowę – jakby poczuła na sobie jego wzrok – i ich spojrzenia się spotkały. Uśmiechnęła się nieśmiało i spojrzała na swojego chłopaka. Był tak zajęty lekturą, że nawet nie zauważył, że się zaczerwieniła. Po chwili znów oboje czytali gazetę.

Przy sąsiednim stoliku siedziało dwóch umundurowanych policjantów. Młody aspirant i stary policyjny wyga. Rozmawiali o mającym się odbyć wieczorem meczu baseballa: New York Yankees mieli grać z Red Sox z Bostonu. Dla fanów Jankesów mecze z bostończykami zawsze były pokazem nienawiści. Jak zwykle spodziewali się wygranej. Vincent miał odebrać Angelo, a potem planowali razem jechać na Bronx obejrzeć mecz. Zabierał wnuka na wszystkie mecze Jankesów, które odbywały się w mieście. Od chwili kiedy Angelo skończył cztery lata. Zarówno on, jak i jego rodzice byli zachwyceni. Sam Vincent nigdy nie interesował się baseballlem. Właściwie nie interesował się żadnym sportem, ale uwielbiał

rozpieszczać małego. Opowiadał mu stare historie, z czasów, kiedy sam był w jego wieku. W ostatnich latach to właśnie chwile z wnukiem trzymały go przy życiu.

Aspirant z sąsiedniego stolika potrącił filiżankę i jej zawartość wylała się na podłogę.

– Szlag! – warknął.

– Spokojnie. Po prostu wytrzymaj blat – powiedział cicho jego kolega, dopijając kawę.

– Nie ma serwetek – odpowiedział młody policjant nonszalancko. Najwyraźniej nie zamierzał niczego wycierać.

Vincent wziął stojące na stoliku serwetki i podał mu je.

– Proszę. Bobby ma na głowie inne rzeczy, nie ma czasu po tobie sprzątać. A poza tym nie zamierzam siedzieć w takim chlewie.

Aspirant podniósł głowę, wyraźnie zdziwiony. Zmarszczył czoło, najwyraźniej próbował zrobić surową minę.

– Wytrzymaj, chłopcze – powiedział starszy policjant, zanim jego młody kolega zdążył zareagować. Skinął głową Vincentowi, a on odwzajemnił pozdrowienie.

– Smakowało? – spytał Bobby, dosiadając się do niego.

– Bardzo. Przeszedłeś samego siebie. Chętnie zamówiłbym drugą porcję, ale nie mam już miejsca w żołądku.

– Ja tylko usmażyłem kiełbasę z papryką. Omlet to dzieło mojej żony, ale niech to zostanie między nami – dodał Bobby, mrugając do niego porozumiewawczo. – O czym to chciałeś ze mną porozmawiać? Mówiłeś, że nie mam się czym martwić, ale to nie takie proste. Odniosłem wrażenie, że... – urwał, rozejrzawszy się po lokalu, jakby szukał właściwego słowa – że chodzi o coś szczególnego – dokończył po chwili.

– Właściwie to nie. Chciałem cię prosić o przysługę. Podobnie jak sześć lat temu. – Sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki, wyjął z niej mały czerwony kluczyk i położył go na stole. – Pamiętasz?

– Tak... pamiętam – wycedził Bobby przez zaciśnięte zęby. Z jednej

strony ogarnął go smutek, z drugiej poczuł ulgę, że chodzi właśnie o to. Nie miał co prawda pojęcia, o co innego mogłoby chodzić, ale był przekonany, że mogło być znacznie gorzej.

– Świetnie. A teraz muszę już iść. Mam kilka spraw do załatwienia, a po południu odbieram Angelo. Zobaczymy się za tydzień.

Kiedy Vincent wyszedł, Bobby został jeszcze chwilę przy stoliku z kluczykiem w ręku. Strach, który czuł już wcześniej, wrócił. Dobrze pamiętał, jak Vincent poprzednim razem poprosił go o pomoc. Wtedy nie było go dwa tygodnie, i były to dwa najgorsze tygodnie w życiu Bobby'ego. Niewiele spał, a jeszcze mniej jadł. Jedynym, czego miał pod dostatkiem, był strach.

Po meczu, który Jankesi wygrali z dobrym zapasem, ruszyli na Manhattan – na lody. Vincent zamówił dwie kulki czekoladowych w waflu dla Angelo i kawę dla siebie. Usiedli przy jednym z wolnych stolików przy oknie. Dłuższą chwilę milczeli. Vincent napawał się chwilą. To właśnie jest życie, pomyślał i uśmiechnął się, widząc, z jakim zapałem Angelo zabiera się za lody. Miał lepsze relacje z wnukiem, niż kiedykolwiek miał z córką. Nie żeby jej brakowało rodzicielskiej miłości, ale nigdy nie był z nią naprawdę blisko. Angelo stał się dla niego synem, którego nigdy nie miał. Tym bardziej że odziedziczył naprawdę wiele jego cech. Bobby miał rację, kiedy mówił, że są do siebie podobni. Nie tylko z wyglądu. Mieli również podobny sposób bycia. Angelo był spokojnym chłopcem, nigdy nie zwracał na siebie uwagi, tak samo jak on w dzieciństwie.

– Powiesz mi w końcu, dziadku? – spytał chłopiec, wycierając buzię rękawem koszuli.

– Co niby miałbym ci powiedzieć?

– Przecież wiesz! – Angelo zeskoczył z krzesła, nachylił się nad stołem i wskazał palcem na jego twarz. Dotknął lekko blizny i natychmiast usiadł. – Skąd masz tę ranę?

– Bliznę. Ranę miałem wiele lat temu.

– Możesz mi powiedzieć? Obiecałeś mi!

– Tak, kiedy będziesz duży – powiedział Vincent cicho i uśmiechnął się do swojego ciekawskiego wnuka.

Blizna, która z upływem lat zrobiła się mniej widoczna, ciągnęła się od lewego ucha przez dolną szczękę gdzieś do połowy brody. Historii o tym, co się wtedy stało, z czasem się namnożyło. Było ich więcej niż lat, które minęły od tamtego czasu. Prawdę znała jedynie garstka ludzi i tylko dwoje z nich nadal żyło.

– Jestem już duży – zaprotestował Angelo.

– Ale nadal nie dość. Chcesz jeszcze lodów?

– A mogę? – Angelo spojrzał na niego dużymi, uszczęśliwionymi oczami.

Po dwóch kolejnych kulkach lodów czekoladowych wsiedli do samochodu i ruszyli w kierunku Fort Hamilton, gdzie Connie i jej mąż czekali na synka. W drodze do domu Vincent powiedział mu, że jedzie na wakacje do Norwegii, ale chce, żeby to pozostało ich małą tajemnicą. Nie może o tym nikomu powiedzieć. A już na pewno nie matce, bo bardzo by się zmartwiła. Angelo zrobił na szyi znak krzyża i obiecał, że nikt się o niczym nie dowie.

Vincent opowiedział mu o niewielkim kraju na północy Europy. Chłopiec był ciekaw, co jego dziadek chce robić tak daleko.

– Odwiedzę starego znajomego – powiedział, co jeszcze bardziej zaciekało chłopca.

– Kogo?

– Świętego Mikołaja – powiedział Vincent i uśmiechnął się przekornie.

– Przecież Świętego Mikołaja nie ma – roześmiał się Angelo.

– Jesteś pewien? Bo ja słyszałem, że istnieje i że mieszka właśnie w Norwegii.

– Akurat! – roześmiał się Angelo, ale już nie był tak pewny siebie.

Connie siedziała na tarasie z filiżanką herbaty w ręku. Zobaczyła, jak jej ojciec wjeżdża na podjazd. W samochodzie siedział jej synek. Pomachała do nich i zaczęła zbiegać po schodkach. Angelo wyskoczył z auta i ruszył jej na spotkanie.

– Cześć! – powiedziała z uśmiechem.

Angelo uściskał dziadka i wbiegł po schodach do domu. Connie delikatnie pogładziła ojca po policzkach.

– Wyglądasz na zmęczonego.

– Nie martw się o mnie. To był po prostu długi dzień.

Zastanawiał się, czy ma jej powiedzieć o wyjeździe. Dawniej często się zdarzało, że gdzieś wyjeżdżał. Znikał na długie tygodnie i nikt się tym nie przejmował. Po śmierci Sofii ograniczył wyjazdy. Stracił zapał. Jeśli chodzi o finanse, spokojnie mógł przejść na emeryturę już dwadzieścia lat wcześniej. Ale w jego branży nie przechodziło się na emeryturę. Obietnica, którą kiedyś złożył, wiązała go do końca życia.

Kiedy Connie straciła matkę, w pewnym sensie zyskała ojca na nowo. Ojca, który teraz się o nią troszczył. Czuł, że ma prawo wiedzieć, że wyjeżdża, inaczej będzie się niepokoić, a w nocy nie będzie mogła spać.

– Posłuchaj – zaczął. – Wyjeżdżam na jakiś tydzień. Jest pewna rzecz, którą muszę załatwić.

– Dokąd się wybierasz, tato? – spytała, patrząc na niego ze smutkiem. – I po co? – dodała nieco wyższym głosem niż zwykle.

– W interesach?

– Kochanie, proszę, nie wypytuj mnie. Przecież wiesz, jak to jest. Mówię ci tylko po to, żebyś nie poszła na policję i nie zgłosiła, że zaginałem, kiedy nie zastaniesz mnie w domu – powiedział. Drażnił się z nią.

Czwartek, 11 czerwca

Oslo

BYŁO GORĄCO. Komisarz Anton Brekke czuł, że koszula klei mu się pod marynarką do ciała. Powinien był zdjąć ją przed wykładem dla pierwszej grupy. Teraz było już za późno, właśnie kończył wykład dla drugiej grupy studentów.

Czwarty rok z rzędu odwiedzał siedzibę norweskiej policji kryminalnej, Kripos, z wykładem na temat przestępczości zorganizowanej przeznaczonym dla studentów pierwszego roku Wyższej Szkoły Policyjnej. W ciągu sześciu godzin zapoznał słuchaczy z podstawowymi zagadnieniami. Opowiedział, jak jeszcze do niedawna w bezpiecznej Norwegii zjawisko to było niemal nieznanne. Teraz to jedno z największych wyzwań, przed jakimi staje norweska policja. Szczególnie jeśli chodzi o przemyt narkotyków i handel ludźmi.

Wypił do końca wodę i podszedł do słuchających go studentów. Wilgotną dłońią przeciągnął po czole, powiódł wzrokiem po twarzach siedzących przed nim młodych ludzi. Zaciekawieni i skupieni śledzili każdy slajd, który im pokazywał, i słuchali, co mówił. Żeby przykuć ich uwagę, zawsze zaczynał od przestępczości zorganizowanej poza granicami Norwegii. Mówił o potężnej włoskiej mafii ze Stanów Zjednoczonych, o tym, że amerykańskie władze długo nie chciały przyznać, że taka w ogóle istnieje. I że przez wiele lat mafia mogła robić w zasadzie wszystko, co chciała. Że w dwudziestym wieku wielu prezydentów tak naprawdę wcale nie zostało wybranych w wyborach. Narzuciła ich włoska mafia – Cosa Nostra. Dobrych dwadzieścia minut poświęcił mitycznemu już prezydentowi Johnowi F. Kennedy'emu. Wybory, które dały mu prezydenturę, uchodzą do dziś za najbardziej skorumpowane

w historii Stanów Zjednoczonych. Ale dopiero kiedy zaczynał przytaczać przykłady z hollywoodzkich filmów, udawało mu się wciągnąć studentów do dyskusji.

W pierwszym rzędzie siedział młody rudy chłopak z odstającymi uszami. Bez przerwy zadawał kretyńskie pytania, mając najwyraźniej nadzieję, że obnaży niewiedzę komisarza i rozśmieszy kolegów.

Nie udało mu się ani jedno, ani drugie. Chłopak miał w sobie coś znajomego, za każdym razem kiedy podnosił rękę i coś mówił, Anton przeżywał *déjà vu*.

Zwykle kończył wykład opowieścią o tym, co obecnie stanowi największe wyzwanie dla norweskiej policji – mianowicie przestępcze grupy z Europy Wschodniej, głównie z Bałkanów. Podkreślał, że w tym przypadku nie chodzi o mafię. Chociaż media chętnie używały tego określenia. Mafia to słowo włoskie, a właściwie sycylijskie, dlatego – według niego – powinno być używane jedynie w odniesieniu do włoskich grup przestępczych.

Poprosił o włączenie światła. Usiadł na stole.

– Jakież pytania?

Dziewczyna z czwartego rzędu podniosła rękę. Skinął głową w jej stronę.

– Dlaczego media nie powinny nazywać działających u nas grup przestępczych mafią? Dla większości ludzi to bardzo czytelne określenie. Od razu wiadomo, o kogo chodzi.

– A o kogo mianowicie?

Zawahała się.

– O złoczyńców. O zorganizowanych złoczyńców.

– Chodziło mi o to, że nie jest to właściwe określenie. Zorganizowane grupy przestępcze, z którymi mamy do czynienia w Norwegii, nie przypominają prawdziwej mafii. Mafia – Cosa Nostra – ma inną strukturę, działa według innych zasad. Ma własny kodeks postępowania, powiem wręcz, że ma swój honor, chociaż dość specyficzny. Pamiętajmy, że korzenie włoskiej mafii w Stanach Zjednoczonych sięgają Sycylii. To tam kilka wieków temu wszystko się zaczęło. Mówi się o mafii wschodnioeuropejskiej, afrykańskiej

i tak dalej, ale żadna z nich nie jest tak naprawdę mafią. To przestępcze gangi. Nie mają siły porównywalnej z tą, którą ma mafia włoska we Włoszech czy w Stanach Zjednoczonych, i nigdy nie będą jej mieć. – Nalał wody do szklanki i ciągnął dalej: – Osiągnięcia mafii są imponujące. Mimo że jestem policjantem, muszę przyznać, że mafia mnie fascynuje. Zawsze mnie fascynowała, nawet kiedy byłem małym chłopcem. Co nie znaczy, że nie są bydlakami. Nie bronię tego, co robią, ale właśnie to jest takie fascynujące. Bo są w tym świetni. To przestępczość na najwyższym poziomie! – Czuł, że coraz bardziej się podnieca, wiedział, że musi trochę spuścić z tonu. – Jak pewnie zauważyliście, ten temat bardzo mnie interesuje – uśmiechnął się. – Ale chwytlive nagłówki dobrze się sprzedają, więc prasa nadal będzie mówić o mafii w odniesieniu do wszelkiej przestępczości zorganizowanej, chociaż nie jest to właściwe określenie. Czy odpowiedziałem na twoje pytanie?

Dziewczyna się uśmiechnęła i skinęła głową.

Anton widział, że rudzielec już od jakiegoś czasu siedzi z podniesioną ręką, ale uznał, że najpierw da szansę innym. Skinął głową rostemu mężczyźnie w jedenastym rzędzie.

– Czy to znaczy, że Norwegia raczej nie będzie miała takich problemów z gangami, jakie Włochy i Stany mają z mafią?

– Nie. To nie będzie mieć miejsca. Nigdy. Poza tym jest już na to trochę za późno. Chociaż można się spodziewać, że mafia pewnie też będzie próbować zaznaczyć tu swoją obecność. Na przykład na rynku narkotyków czy prostytucji. Chodzą plotki, że już tu są, ale podkreślam, że to tylko plotki. Jest mało prawdopodobne, że rozwinie się to w coś równie potężnego jak Cosa Nostra w Stanach czy we Włoszech. W Stanach Zjednoczonych mafia rozwinęła się w ciężkich latach trzydziestych, obecnie żadne władze żadnego zachodniego państwa na to nie pozwolą. To znaczy na to, żeby przestępcy zyskali tak dużą władzę.

– A zbrojne ramię syndykatu: Murder Inc.? Czy w Norwegii istnieje jego odpowiednik? – spytał rudzielec, nie czekając, aż Anton dopuści go do głosu.

Anton westchnął. W każdej grupie zawsze znajdzie się ktoś taki. Ktoś, kto za wszelką cenę chce zwrócić na siebie uwagę. Chociażby zadając kretyńskie pytania. Klasowy pajac – to mało powiedziane. To był z pewnością pajac całego roku. Wszystko się zgadzało, nawet rude włosy, brakowało mu tylko czerwonego nosa kłowna.

Murder Inc. Tak amerykańskie media nazwały gang, w którego skład wchodził gangsterzy włoskiego i żydowskiego pochodzenia. Od 1920 do 1940 roku z zimną krwią wykonywali wyroki mafii na terenie całych Stanów Zjednoczonych. Wystarczyło wejść w Google i natychmiast wyskakiwały setki tysięcy stron z informacjami o ich poczynaniach. Ale nie miało to wiele wspólnego z tym, o czym chwilę wcześniej opowiadał.

Jeden z trzech obecnych na sali wykładowców był wyraźnie zawstydzony. Posłał Antonowi przeprasające spojrzenie i pokręcił bezradnie głową.

– Nie, nie sądzę – powiedział Anton. – Spędziłeś noc na googlowaniu? Jeśli masz jeszcze jakieś pytania niezwiązane z tematem, to proszę, zadaj je teraz.

Sala wybuchła śmiechem. Rudzielec uniósł brwi i spuścił wzrok. Nie podniósł go już do końca wykładu.

Próba zaimponowania kolegom się nie powiodła.

Kiedy Anton spakował swoje rzeczy, podszedł do niego wykładowca, który wcześniej posłał mu przepraszący uśmiech.

– To szczególny młody człowiek, ten rudy, w pierwszym rzędzie – powiedział.

– To prawda. Kogoś mi przypomina, ale nie potrafię powiedzieć kogo.

– Miałem to samo wrażenie, kiedy go zobaczyłem po raz pierwszy. Ale kiedy się przedstawił, wszystkie części układanki trafiły na swoje miejsce.

– Nie rozumiem? – Anton był wyraźnie zaintrygowany.

– Erik Lange – powiedział wykładowca i uśmiechnął się. – Coś ci to przypomina? O ile dobrze pamiętam, byliście na jednym roku.

– Coś podobnego. To on ma już dorosłego syna?

– Nie, to jego młodszy brat.

Erik Lange. Student, który uczył instruktora na strzelnicy, jak się trzyma broń, ładuje i celuje. To on wkładał w weekendy mundur i spacerował w nim po ulicach Oslo. Wbrew przewidywaniom udało mu się zdać egzamin i podobno nawet dostać pracę.

Najgorsze było jednak to – chociaż nikt tego nigdy nie udowodnił – że Erik Lange miał podobno słabość do młodych dziewcząt. Bardzo młodych.

– No proszę – roześmiał się Anton. Zaczął sprzątać bałagan, który powstał na biurku. – Jest równie nieznośny jak Erik?

Wykładowca się roześmiał.

– Zagłądaj do nas częściej. Zawsze jesteś mile widziany. Na razie.

Anton uśmiechnął się i skinął mu głową. Spakował plecak, szybko wyszedł z budynku i ruszył na parking. Nareszcie mógł zdjąć marynarkę. Nastawił klimatyzację na szesnaście stopni i pochylił się nad kierownicą, żeby poczuć powiew chłodnego powietrza. Poczul mokrą koszulę na plecach. Powinien ją zmienić. Spojrzał na zegarek. Zrobi to później, za dwadzieścia minut zaczyna się bieg na torze wyścigowym w Bjerke.

Piątek, 12 czerwca
Fredrikstad

Z MIESZKANIA NA NAJWYŻSZYM PIĘTRZE przy Vesterelven na Kråkerøy Wilhelm Martiniussen widział promenadę i dachy domów w centrum Fredrikstad. To właśnie ten widok sprawił, że kilka miesięcy wcześniej zapłacił za to mieszkanie miliony koron. Jego stara willa została wystawiona na sprzedaż prawie pół roku wcześniej, co wykorzystał sprytny pośrednik: zaproponował obniżkę ceny. Ale Wilhelm nie zamierzał sprzedawać swojego starego domu, w którego projektowaniu sam uczestniczył, nawet o koronę poniżej jego wartości. Już prędzej go zachowa.

Zgasił światło i mieszkanie pograżyło się w ciemności. Wziął do ręki lornetkę, stanął przy oknie i zaczął się przyglądać ludziom siedzącym w knajpach na promenadzie. Spojrzał na zegarek. Pięć po dziesiątej. Czuł, że z każdą godziną coraz bardziej potrzebuje świeżego powietrza. Nie mógł na zawsze zamknąć się w szklanej twierdzy – od dwóch dni nie opuszczał mieszkania. Po prostu nie miał siły. Jakiś dziennikarz z lokalnej gazety zorientował się, że wystawił na sprzedaż wszystkie swoje samochody, i doszedł do wniosku, że przerzucił się na publiczną komunikację. Na pierwszej stronie gazety ukazało się zdjęcie uśmiechniętego Wilhelma i nagłówek: WILHELM MARTINIUSSEN WYBRAŁ AUTOBUS, a pod nim dwie strony wywodów na temat ochrony środowiska. Dla Wilhelma sprawa była prosta: jedyne, co miał do powiedzenia, to to, że zamienił własny samochód na autobus ze względu na środowisko. I to w zasadzie tyle. No, może jeszcze mógł dodać, że poleca to każdemu, kto ma taką możliwość. A dziennikarze wypisywali bzdury. W końcu się rozzłościł. Któraś z gazet napisała: „Mógłbym latać do pracy śmigłowcem, a jeździć autobusem!”. A przecież nic takiego nie

powiedział. Nie przysłoby mu to do głowy. Ale o tym wiedzieli tylko on i dziennikarz. W ten właśnie sposób narodził się jego nowy wizerunek, mimo że zwykle unikał występowania w mediach.

Usiadł na krawędzi kanapy i położył dłoń na czole Nory. Nadal było gorące. W nocy dostała gorączki. Zaniepokoił się i chciał, żeby poszła do lekarza, ale ona go wyśmiała. Powiedziała, że to tylko grypa. Ale miło z jego strony, że się o nią martwi.

Pogładził ją delikatnie po głowie, okrył pledem i zjechał na dół prywatną windą.

Na kładce prowadzącej do promenady spotkał młodego mężczyznę z zespołem Downa. Widywał go już wcześniej. Zawsze z aparatem fotograficznym na szyi. Stał i robił zdjęcia ptakom i potokowi.

– Masz niezły aparat – powiedział Wilhelm i uśmiechnął się do niego.

– Taak! – odparł chłopak i jego twarz rozpromienił uśmiech.
– Cyfrowy!

– Co fotografujesz?

– Wszystko, ale głównie samochody.

– Lubisz samochody?

– Taak! Ale tata twierdzi, że nie mogę prowadzić, dlatego tylko je fotografuję.

– Ja też lubię samochody. – Wilhelm się uśmiechnął. – A jaki jest twój ulubiony?

Chłopak pomyślał chwilę i wypalił:

– Lamborghini Gallardo!

– Piękny wóz. Mnie też się podoba.

– Też fotografujesz samochody?

– Niestety nie. – Wilhelm spojrzał na chłopaka. Jego lamborghini gallardo stało zaparkowane w podziemnym garażu. Jak na razie nie zgłosił się jeszcze żaden chętny. – Siedziałeś kiedyś w takim lamborghini?

– Nie, mam go tylko na zdjęciu. Zresztą bardzo kiepskim. Jechał tak szybko, że jest niewyraźne.

Wilhelm odwrócił się i wskazał na okna na najwyższym piętrze.

– Mieszkam tam. Wpadnij do mnie któregoś wieczoru, to wybierzemy się na przejażdżkę. Pojedziemy do Hvaler. I będziesz mógł zrobić tyle zdjęć, ile tylko będziesz chciał. Zrobię ci też kilka, kiedy będziesz siedział za kierownicą. Co ty na to?

– Naprawdę? Masz lamborghini?

– Tak jest. A poza tym mam na imię Wilhelm. Jest na tabliczce przy domofonie. Tylko to będzie taka nasza tajemnica, dobrze?

– Jasne, obiecuję!

Wilhelm poszedł dalej. Zobaczył idącego z przeciwka młodego mężczyznę w szerokich białych spodniach, białej koszulce i z tatuażami na umięśnionych ramionach. Kiedy go zobaczył, zatrzymał się.

– Cześć! Co się stało? Jechałeś za szybko? – spytał i roześmiał się, jakby byli starymi znajomymi.

Wilhelm nigdy wcześniej go nie widział. Najwyraźniej przeczytał jedynie nagłówek i wysnuł własne wnioski.

– To nie do końca tak – odpowiedział Wilhelm i też się uśmiechnął.

– Jechałeś po pijaku? Mnie też się zdarza, tylko nigdy mnie nie złapali. Jeśli potrzebujesz prywatnego kierowcy, jestem do dyspozycji.

– No cóż, na razie nie potrzebuję. – Wilhelm się roześmiał. – Poza tym mam wrażenie, że bardziej niż na kierowcę nadałbyś się na ochroniarza – powiedział i zrobił kilka kroków do przodu, żeby wyminąć pijanego mięśniaka.

– A potrzebujesz kogoś? Jestem do dyspozycji! – zawołał facet. Wykonał kilka ruchów, jakby się boksował, uniósł rękę i zaprezentował mięśnie.

Wilhelm odwrócił się i pożegnał, życząc mu miłego wieczoru. Co za typek, pomyślał z uśmiechem.

Było już po dziesiątej, kiedy usiadł przy jednym z niewielu wolnych stolików w ogródku pizzerii. Ściągnął wzrokiem kelnera, podniósł do góry palec i powiedział: jedno piwo. Kelner raczej go nie usłyszał, ale skinął głową. Wilhelm spojrzał na rodzinę z dwójkiem dzieci, która siedziała przy jednym z pobliskich stolików. Dzieci były zajęte swoimi

banana split, rodzice zastanawiali się, czy stać ich będzie w tym roku na wakacje. Dzieci były na tyle duże, że pewnie rozumiały, o czym rozmawiają, ale nie przejmowały się tym. Były skupione na deserze.

Rodzina, pomyślał Wilhelm. Nigdy nie był w dłuższym związku. Owszem, zdarzało się, że czuł się samotny, ale taka była cena za jego styl życia. Nie wierzył, że mógłby żyć w szczęśliwym małżeństwie i poświęcać firmie tyle czasu, ile poświęcał. Mardan zawsze był najważniejszy. To było jego dziecko. Pogodził się z tym, że umrze jako stary, samotny bogaty człowiek. I wtedy pojawiła się ona. Tak, kochał ją, ale jeśli w ostatnim czasie za kimś tęsknił, to nie tyle za życiową partnerką, ile za dziećmi. Za dorosłymi dziećmi. Synem, córką, którzy wpadaliby z wizytą razem ze swoimi dziećmi, jego wnukami. Wnukami, które mógłby rozpieszczać.

Na szczęście jeszcze nie było za późno.

Coraz częściej bawił się myślą o tym, jak zareagowałaby Nora, gdyby się jej oświadczył. Zgodziłaby się? A może za krótko się jeszcze znali? Postanowił ją wy badać.

Pomyślał o Bjørnie Danielsenie i jego żonie, Evie. Byli małżeństwem od przeszło trzydziestu lat. Nie potrafił powiedzieć, czy byli naprawdę szczęśliwi. Bjørn cztery razy stawał na progu jego domu z walizką w ręku i mówił: Nigdy się nie żeni! Za każdym razem chodziło o dzieci, a raczej o ich brak. Eva nie mogła zająć w ciążę. To dlatego miała wahania nastroju. Bjørn proponował adopcję, ale to nie wchodziło w grę. Eva nie chciała wychowywać cudzego dziecka.

On i Bjørn znali się całe życie. Dzieliły ich trzy tygodnie. Dorastali na tej samej ulicy, w przedszkolu byli w tej samej grupie, potem chodzili razem do szkoły, wybrali ten sam kierunek studiów, obaj zostali inżynierami i pracowali w branży naftowej. Krótko mówiąc, całe życie byli razem, z wyjątkiem tych dwóch lat, które Wilhelm spędził w Stanach. Miał wtedy ledwie skończone dwadzieścia lat. Pod koniec lat siedemdziesiątych założyli firmę Mardan A/S, działającą w przemyśle naftowym.

Dopił piwo i zamówił kolejne. Jak dotąd nikt poza mięśniakiem chwilę wcześniej nie skomentował artykułu. Poczuł ulgę. Spodziewał

się, że mieszkańcy Fredrikstad wezmą go na języki. Byłoby to zrozumiałe – gdyby autor artykułu napisał prawdę.

Obok stolika przeszedł uliczny muzyk, który zdecydowanie za dużo wypił. Miał ze sobą gitarę i próbował śpiewać jakieś zwrotki z *Help Me Make It Through the Night*. Zatrzymał się obok starszego człowieka, który siedział przy stoliku niedaleko i czytał jakąś broszurę w granatowej okładce. Stanął obok niego i przyglądał mu się chwilę, a potem, uderzając o struny gitary, wrzasnął: *It's sad to be alone! Help me make it through the night!* Starszy pan udał, że nic nie widzi ani nie słyszy, chociaż musiał i widzieć, i słyszeć. W każdym razie skutek był taki, że grajek poszedł dalej, do następnego lokalu, nucąc słowa piosenki. Wilhelm uśmiechnął się do mężczyzny z broszurką, a on odwzajemnił uśmiech.

A potem zamknął się w swoim świecie. Studiował kartę, kiedy nagle usłyszał nad sobą kobiecy głos:

– Pan Środowisko, no proszę.

Podniósł głowę i zobaczył dwie młode dziewczyny – jedna była szczupła, druga pulchna – obie w kurtkach z mnóstwem plaketek i palestyńskich chustach na szyjach.

– Możemy się dosiąść? – spytała ta pulchna.

– Jesteście dziennikarkami?

– Ha, ha! Ale mamy skończone osiemnaście lat – odpowiedziały chórem.

– No to w porządku, siadajcie.

Dziewczyny usiadły, zawołały kelnera, niepytane pokazały dowody osobiste i zamówiły po piwie.

– Dobry artykuł – powiedziała ta szczupła.

– Tak uważasz? – powiedział Wilhelm z sarkazmem.

– To fajnie, że ktoś taki jak ty przejrzał na oczy. W końcu nie jesteś byle kim.

Nie odpowiedział.

– Ale twoja firma nie jest szczególnie przyjazna środowisku – powiedziała ostrożnie ta pulchna.

Rozsądna młoda kobieta, pomyślał. Miała rację. Naprawdę miała

rację.

– Tak, rzeczywiście. Chciałbym wam to wytłumaczyć, naświetlić pewne rzeczy, ale niestety nie mogę. W każdym razie nie teraz. Pod koniec tygodnia będziecie mogli przeczytać o tym w gazetach. A teraz muszę się już zbierać do domu.

– Już? – Szczuplejsza spojrzała na zegarek. – Nie ma jeszcze jedenastej.

– Jak widzicie, jestem starszym panem, potrzebuję snu, żeby móc funkcjonować. – Sięgnął do kieszeni i położył na stole pięćset koron.

– Kupcie sobie jeszcze po jednym piwie.

Dziewczyny podziękowały i uściskały go.

Nie minęła godzina, od kiedy ostatnio widział Norę, ale cieszył się, że wraca do domu. Chciał ją po prostu zobaczyć. Poczuć jej zapach.

Mężczyzna, który czekał na niego już trzy dni, wstał i podążył za nim.

FRODE MOEN przeszedł bezszelestnie przez parkiet.

Nauczył się chodzić po wielkim domu, nie robiąc hałasu. Gdyby obudził śpiącą w sypialni wiedźmę, rozpętałoby się piekło. Pomyślał, i to na serio, że kobieta, z którą wiele lat temu się ożenił, byłaby w stanie ziać ogniem.

Włożył skórzaną kurtkę, kask i wysokie buty. Przebiegł przez duży dziedziniec i wyprowadził z garażu motor. Dopiero kiedy znalazł się niedaleko głównej drogi, odważył się włączyć silnik.

Opuścił szybę w kasku i ruszył przed siebie wąską drogą. Spojrzał na zegarek obok szybkościomierza. Musiał się pospieszyć. Był umówiony za dwie minuty.

Zimne wieczorne powietrze chłodziło mu szyję. Ze wszystkich pożytecznych i niepożytecznych rzeczy, które przez lata nabywał, motor był niewątpliwie jego najlepszym zakupem. Nigdy nie czuł się lepiej, niż kiedy w ciągu niecałych trzech sekund przyspieszał od zera do stu kilometrów na godzinę. Skręcił na drugi pas, zostawiając w tyle wóz Peppes Pizza. Na środku mostu szybkościomierz pokazywał sto piętnaście na godzinę. Zwolnił do sześćdziesięciu i przejechał przez rondo, kierując się w stronę skrzyżowania St. Croix. Skręcił na nim w lewo, w stronę Kråkerøy.

Widział już duży apartamentowiec.

Zwolnił, zjechał na pas dla autobusów, zatrzymał się na przystanku. Spojrzał w okna Wilhelma. Było ciemno. Kusilo go, żeby pójść do niego i spróbować przekonać go, żeby zmienił zdanie, ale wiedział, że skończyłoby się to wybuchem. Było już za późno na wszystko.

Decyzja została podjęta.

– Smaż się w piekle – powiedział i ruszył z przystanku.

WILHELM MARTINIUSSEN nie zauważył mężczyzny, który był już tylko cztery kroki za nim.

Trzy kroki.

Drzwi windy się rozsunęły i Wilhelm wszedł do środka. Nacisnął pierwszy guzik od góry i otworzył notes, żeby wyjąć z niego kartę z chipem, którą mógłby otworzyć drzwi na najwyższym piętrze. Nie zorientował się, że nie jest sam. Nagle zobaczył ręce, które ktoś zarzucił mu na głowę i twarz. Ostra linka zacisnęła się na jego szyi. Był naprawdę zaskoczony. Poczuł, że linka coraz mocniej wrzyna mu się w szyję. I wtedy wpadł w panikę. Odwrócił się i w błyszczącym lustrze spojrzał napastnikowi w oczy. Po chwili zobaczył swoje spojrzenie. Duże oczy, błyszczące i białe, wyglądały, jakby za chwilę miały wyskoczyć z oczodołów.

– Poznajesz mnie, bydlaku? – wyszeptał mężczyzna.

Nigdy już nie oświadczy się Norze, nigdy nie zostanie ojcem. Czeką go śmierć. Zaraz będzie po wszystkim. Zabójca był silny. Pochylił się nad umierającym Wilhelmem. Linka wrzynała się coraz głębiej w jego szczupłą szyję.

Kiedy winda zatrzymała się na ostatnim piętrze, wypełniał ją ostry zapach uryny i kału. Zabójca puścił martwe ciało, podniósł z podłogi kartę i przeciągnął ją przez szparę w ścianie windy. Drzwi się rozsunęły. Zobaczył pokój. Nie chciał, żeby winda zjechała na dół, więc przesunął ciało, żeby zablokowało drzwi.

Pierwszym, co zauważył, były białe plecy kanapy. Zrobił dwa kroki w głąb pokoju. Zatrzymał się i zaczął się rozglądać. Nie widział jej ani nie słyszał. A przecież powinna tam być. Musiała tam być.

Pokój był urządony elegancko, ale skromnie. Ściany były nagie, z wyjątkiem dużego barwnego obrazu, który w jego oczach przedstawiał chaos. Okropne, pomyślał. Nigdy nie cenił sztuki

abstrakcyjnej.

Szybko, nie robiąc hałasu, sprawdził całe mieszkanie. Wszedł po wąskich spiralnych schodach na piętro, zajrzał do wszystkich pokoi. Nie było jej. Jedynym, na co zwrócił uwagę, była szczotka do włosów w jednej z łazienek. Przeklinał samego siebie. Będzie musiał wyczyścić windę i ukryć ciało, żeby to nie było pierwsze, co zobaczy, kiedy się zjawi. Będzie musiał na nią poczekać. Nie mogła być daleko.

Zakleił taśmą klejącą czujniki, żeby drzwi się nie zamknęły, kiedy przesunie ciało. Rozejrzał się w poszukiwaniu miejsca, gdzie mógłby je położyć. Znowu spojrzął na wysokie plecy kanapy. Chwyć bezwładne nogi i zaczął ciągnąć ciało po podłodze. Minął komodę, umieścił ciało na dywanie. Lekkie stuknięcie buta o dywan wystarczyło, żeby leżąca na kanapie kobieta się poruszyła.

Przeoczył ją.

Pochylony, z ugiętymi kolanami, zaczął się powoli zbliżać do śpiącej kobiety. Pled, którym Wilhelm ją okrył przed wyjściem, leżał na podłodze. Była w bieliźnie. Kiedy zbliżył ręce do jej nagiej skóry, poczuł, że ma gorączkę.

W ciemności jej lekko rude włosy wydawały się ciemne. Mogła mieć góra trzydzieści lat. Dzieciak, pomyślał. Delikatnie przyłożył dłoń do jej czoła. Miała gorączkę. Jęknęła. Nie obudziła się, ale poczuła, że ktoś jej dotyka. Stał i przyglądał się jej. Świadom, że musi zakończyć to, co zaczął. Odwrócił się i zerknął na martwe ciało Wilhelma Martiniussena leżące na grubym białym dywanie obok kanapy i niskiego stolika.

Znowu spojrzął na kobietę. Splótł palce i zaczął delikatnie zaciskać dłonie na jej szyi.

Niedziela, 11 listopada 1962
New York City

ZA OKNEM padał śnieg.

Poprzedniego wieczoru meteorolodzy podali, że opady ustaną dopiero po południu. Coś takiego zwykle psuło mu humor. Ale wtedy było inaczej.

Dwudziestodwuletni Vincent Giordano leżał w łóżku i spoglądał to na budzik, to na okno. Leżał tak już dobre dwadzieścia minut. Od wielu lat marzył o tym dniu, a teraz, kiedy w końcu nadszedł, czuł podniecenie, ale i strach. W nocy wstawał trzy razy, żeby pójść do toalety. Zwykle mu się to nie zdarzało. A jednocześnie nie mógł przestać się uśmiechać, bo przecież to, co go czekało, nie było tylko świętem: miało oznaczać zmianę w jego życiu i ta zmiana miała się okazać przełomem.

Przede wszystkim nie mógł się doczekać, kiedy zamieni swoje maleńkie mieszkanko na coś, co będzie bardziej odpowiadać jego nowemu stylowi życia. Nie miał szczególnych oczekiwań, ale na pewno musiało być ciche. No i mieć niewielki balkon. Miał dosyć picia kawy przy małym kwadratowym stoliku w kuchni, w której latem panowała duchota, a zimą lodowaty chłód. Trzecim punktem na jego liście życzeń był samochód. Cadillac. Czarny.

Wzdrygnął się, kiedy rozległ się ostry dźwięk budzika. Wyłączył go i wstał z łóżka. Wziął długi gorący prysznic i zaczął się ubierać. Ubranie przygotował już poprzedniego wieczoru: czarny garnitur, czarne zimowe palto i eleganckie czarne buty. Wszystko kupił poprzedniego dnia, po telefonie od przyjaciela, z którym znali się już osiem lat, starszego od niego o cztery lata Calogera Locatellego. Przyjaciel przekazał mu krótką wiadomość: Wszystko odbędzie się jutro. Przyjadę po ciebie o dziesiątej. Nie zdążył nawet

odpowiedzieć, bo natychmiast się rozłączył. Ale Vincent wiedział, o co mu chodzi. A w każdym razie był prawie pewien.

Chciał być dobrze ubrany – niezależnie od tego, jak sprawa miała się zakończyć.

Stał i czekał na człowieka, który go przedstawił światu, temu, którego częścią miał się za chwilę stać. Calogero Locatelli był synem osławionego Don Domenica Locatello, człowieka, który był w stanie nastraszyć samego diabła. Znali go wszyscy, wielu uważało, że ma większą władzę niż sam prezydent – a na pewno obawiano się go bardziej niż prezydenta.

Koło zielonego chevroleta Calogera dotknęło lekko krawężnika. Vincent słyszał, jak przyjaciel zaklął.

– *This fucking weather!* – wycedził przez zęby z wyraźnym nowojorskim akcentem, kiedy Vincent zajął miejsce obok niego w fotelu dla pasażera. – Jesteś strasznie elegancki. Nowe palto?

– Dzisiaj cały jestem nowy – powiedział Vincent i uśmiechnął się.

– To prawda. Nigdy nie chodzisz na skróty. Ale mogłeś trochę zaoszczędzić na wodzie po goleniu – wymamrotał. – Dobrze, że nie jedziemy najpierw do ojca. Zyskałbyś przydomek Zapach, zabrałbyś go ze sobą do grobu.

Vincent dwa razy zaczerpnął nosem powietrza.

– Za dużo przyjemnego zapachu?

– Nie, żartowałem.

Calogero znów przeklął pogodę, wcisnął pedał gazu i zielony chevrolet ruszył.

– Co to znaczy, że nie pojedziemy od razu do twojego ojca?

– Nie martw się. Muszę wpaść do New Jersey. Mam tam sprawę do załatwienia.

Vincent spojrział na przyjaciela, który w skupieniu wpatrywał się w drogę. Zrobiło mu się nieprzyjemnie. Nagły atak paranoi. Dlaczego miałby z nim jechać do New Jersey? Dlaczego akurat dzisiaj? I dlaczego Calogero nie powiedział mu o tym wcześniej? Może to wszystko to jakaś gra? Może wcale nie mieli odwiedzić Don Domenica i jego ludzi, może ten dzień miał być jego ostatnim?

– I ja mam tam z tobą jechać?

– Tak – zbył go Calogero.

– Dlaczego?

– Co się z tobą dzieje? – Calogero spojrzął na Vincenta poirytowany. – Bo nie mam ochoty jechać tam sam. Chciałem, żebyś mi towarzyszył, czyżbym oczekiwał zbyt wiele?

Vincenta nie zdziwiła jego reakcja. Calogero słynął ze zmiennych nastrojów. Odpowiedziałby tak samo niezależnie od tego, co ich czekało w New Jersey.

– Po prostu jestem ciekaw.

– Odpręż się. Nie musisz się martwić, że pobrudzisz sobie garnitur.

– Spojrzął na niego, uśmiechnął się i znów skupił na drodze.

– Śniadanie?

Vincent poczuł, że ciężar spada mu z serca. Uznał, że Calogero rzeczywiście ma coś do załatwienia w New Jersey i że nie powinno go to obchodzić.

Zjedli po kanapce i ruszyli dalej. Humory im dopisywały, ponure myśli już nie wróciły. Vincent był ciekawy, co czeka ich w New Jersey. To mogło być wszystko: może mieli przekazać albo odebrać jakieś pieniądze, albo jakąś wiadomość, może trzeba było osadzić kogoś na miejscu, a w najgorszym razie: kogoś zlikwidować. Miał nadzieję, że nie, nie w takim dniu. Poza tym rzeczywiście nie chciał pobrudzić sobie ubrania. Nawet kanapkę jadł pochylony do przodu, bał się, że poplami sobie palto.

Zaparkowali przed wolnostojącym domem w Guttenbergu, w New Jersey. Vincent miał czekać w samochodzie. Kilka minut później Calogero wyszedł z domu z pudełkiem w ręku i szerokim uśmiechem na ustach.

– Trzymaj i dobrze na nie uważaj – powiedział, oddając pudełko Vincentowi.

– Co to jest?

– Otwórz i zobacz...

Vincent nie był przekonany, ale otworzył pudełko. Zobaczył dwoje dużych okrągłych oczu. Patrzyły na niego z ciekawością.

– Dla kogo to?

– To prezent od ojca dla mamy. Jutro ma urodziny.

Przez całą drogę szczeniak leżał na kolanach Vincenta. Kiedy dotarli do domu siostry Calogera, gdzie szczeniak miał zostać do następnego dnia, Vincentowi trudno było się z nim rozstać.

– Uczuciowy Vincent? No proszę – roześmiał się Calogero.

– Takiego cię jeszcze nie widziałem.

– Trzeba nie mieć serca, żeby nie ulec takiemu malcowi – powiedział Vincent i ostrożnie pogładził szczeniaczka po łebku.

Po kolejnych czterech godzinach i lekkim lunchu Calogero wjechał chevroletem na chodnik przy końcu Emerson Avenue na Staten Island. Dziedziniec przed domem Don Domenica był pełen chevroletów i cadillaców, gdzieś widać było też jakiegoś forda. Nie ulegało wątpliwości, że w to niedzielne popołudnie coś miało się wydarzyć.

Vincent zaczerpnął głęboko powietrza, odwrócił głowę i spojrzał na przyjaciela. Calogero wskazał na drzwi.

– Gość honorowy ma pierwszeństwo.

Wejście do trzykondygnacyjnego budynku w stylu rzymskim zdobiły wysokie białe kolumny. Grube okna miały potężne białe ramy, kwiaty na rabatach pięły się po murach. Vincent szedł powoli wyasfaltowanym podjazdem, który prowadził łukiem przez cały dziedziniec. Napawał się każdym krokiem. Niedługo wyjdzie z tego budynku i będzie chroniony. Będzie człowiekiem honoru. Świadomość tego rosła w nim, kiedy pokonywał ostatnie metry prowadzące do dużych podwójnych drzwi z ciemnego drewna.

W holu podszedł do nich potężnie zbudowany Włoch z gładko zaczesanymi błyszczącymi włosami, w jasnobrązowym garniturze. Uścisnął im obu ręce, po czym wziął od Vincenta palto i powiesił w przedpokoju.

– Proszę zejść na dół. Don Domenico zaraz przyjdzie – oznajmił.

Vincent poszedł za Calogere. Przeszli przez dwa pokoje i długi wąski korytarz. Na ścianach wisiały oprawione zdjęcia i obrazy. Dwie fotografie przedstawiały młodego Don Domenica z żoną. Na innej

stał z byłym prezydentem Harrym S. Trumanem. Obaj uśmiechali się szeroko.

Na końcu korytarza były drzwi prowadzące do długich stromych schodów. Piwnica, w przeciwieństwie do reszty domu, była urządzona bezpretensjonalnie. W chłodnym pomieszczeniu stał duży masywny drewniany stół i dziesięć krzesel, w rogu niewielki barek.

Vincent i Calogero usiedli. Na stole leżały pistolet i nóż. Miały symbolizować śmiertelną moc organizacji.

Na schodach stanął Don Domenico. Towarzyszyło mu pięciu mężczyzn w garniturach.

Domenico powitał Vincenta, a on – wyraźnie wzruszony i zaszczycony – podał rękę wszystkim po kolei, po czym zajął miejsce obok Don Domenica.

– Szkoda, że nie ma tu dzisiaj twojego ojca. Byłby z ciebie dumny, chłopcze – powiedział cicho starszy pan. Odkaslnął. Ci, którzy zdążyli już usiąść, wstali. – Przyjaciele – powiedział Don Domenico. – Zebraliśmy się tu dzisiaj, żeby wprowadzić Vincenza Giordano do organizacji, której jesteśmy członkami i z której jesteśmy tak dumni.

Vincent przełknął ślinę. Patrzył na Don Domenica. Czekał, aż wygłosi do końca tekst ślubowania, który zaraz miał po nim powtórzyć.

– Teraz twoja kolej.

– Ja, Vincenzo Giordano, chcę zostać członkiem organizacji, żeby chronić swoją rodzinę i swoich przyjaciół. Przysięgam na swoje życie, że nigdy nie złamię przysięgi milczenia – *omertà* – ani nie zdradzę żadnego z członków Cosa Nostry. Jeśli zjawi się u mnie ścigany członek r o d z i n y i poprosi o pomoc, ukryję go – nawet jeśli w domu będą moja żona i dzieci. Przysięgam wypełniać rozkazy, niezależnie od ich brzmienia i niezależnie od miejsca, w którym będę się znajdować. Jestem gotów stawić się na wezwanie, nawet jeśli moja żona będzie w ciąży albo będzie rodzić. Nigdy nie odbiję narzeczonej ani żony innemu człowiekowi honoru, ślubuję, że będę stawiać organizację ponad religię, państwo i rodzinę.

Don Domenico skinął głową.

– Którym palcem pociągasz za spust?

Vincent pokazał prawy palec wskazujący. Don Domenico wziął ze stołu nóż i naciął nim opuszek palca, po czym stał krew obrazkiem ze świętym Piotrem. Vincent złożył dłonie i czekał na ciąg dalszy.

– Powtarzaj za mną – powiedział Don Domenico. Podpalił kartkę i płonąca włożył mu w dłoń. – Jeśli zdradzę Cosa Nostrę, niech moje ciało spłonie jak ciało tego świętego.

Vincent powtórzył jego słowa, patrząc, jak na jego dłoni płonie święty Piotr. W końcu został z niego tylko czarny płatek popiołu.

– Teraz jesteś członkiem rodziny Locatelli. Człowiekiem honoru – powiedział Don Domenico.

Trzymając jego dłonie w swoich, pocałował go w oba policzki. Rozległy się brawa. Obecni przy ceremonii mężczyźni zaczęli mu gratulować. Nastrój był podniosły, Calogero się uśmiechnął. Widać było, że jest dumny i szczęśliwy nawet bardziej niż Vincent, główny bohater uroczystości.

Po jakimś czasie Vincent i Calogero pożegnali się i wyszli. Inni zostali, mieli jeszcze kilka spraw do przedyskutowania, między innymi związanych z toczącym się sporem między rodziną Locatelli a rywalizującą z nimi rodziną Balducci z New Jersey.

Sobota, 13 czerwca
Oslo, Fredrikstad

ANTON BREKKE zaparkował swoje czarne volvo pod siedzibą Kripos na Brynsalléen 6.

Rzucił szybko okiem na kupon z toru wyścigowego Bjerke i uśmiechnął się. Dziewięć tysięcy koron, które wygrał tam w czwartek, uratowało go przed depresją.

Ruszył w kierunku głównego wejścia. Wszedł i wjechał windą na czwarte piętro. Uśmiechnął się do ludzi, których zwykle nawet nie zauważał, przywitał się z tymi, do których zwykle tylko się uśmiechał, i zamienił kilka słów z kolegami z wydziału dochodzeniowego. Spokojnym krokiem podszedł do dzbanka z kawą. Wlał resztkę kawy do dwóch kubeczków i wolnym krokiem ruszył do swojego pokoju.

Po drodze spotkał kolegę, który najwyraźniej kierował się w stronę dzbanka z kawą.

– Kawy nie ma – oznajmił z triumfem i uśmiechnął się. – Wiesz, jak to jest: kto pierwszy, ten lepszy – dodał, pokazując mu dwa kubki z kawą.

– Rozumiem, że nastawiłeś nowy dzbanek?

– Jak długo tu pracuję?

– Cholera wie. Sześć lat?

– Siedem i pół roku. I jak często zdarza się, że nastawiam dzbanek?

– Nigdy, dupku.

Anton wyszczerzył zęby w uśmiechu i ruszył dalej. Wszedł do pokoju, opadł na krzesło i wypił łyk kawy. Zaczął się wpatrywać w biurko. Panował na nim porządek: aparat telefoniczny, klawiatura, myszka z zepsutym kółkiem, monitor i niewielka doniczka, w której trzymał długopisy. To lubił: porządek na biurku oznaczał spokój.

Wyciągnął górną szufladę i dotknął ramki ze zdjęciem: przedstawiało jego byłą żonę, syna i jego. Zrobiono je w parku Frogner jakieś pięć lat wcześniej. Uznał, że całkiem dobrze wtedy wyglądał. Lepiej niż teraz. Ale pewnie tylko mu się tak zdawało – gdyby nie to, że zdjęcie przedstawiało szczęśliwą rodzinę, równie dobrze mogłoby zostać zrobione wczoraj. Zamknął górną szufladę i otworzył następną. Wyjął z niej niedokończone sprawozdanie, z którym borykał się już od jakiegoś czasu.

Zobaczył, że mruga światelko na telefonie, podniósł słuchawkę i przystawił do ucha.

– Brekke... mhm... tak.

Trzydzieści sekund później siedział w gabinecie szefa wydziału.

– Zaraz weekend – powiedział szef.

– Dla niektórych tak.

– Miło, prawda? I jeszcze ta pogoda. – Szef odwrócił się do okna. Słońce stało wysoko, ogrzewając samochody, które sunęły biegnącą w dół E6. – Jakie masz plany? Wybierasz się gdzieś z małym?

– Uśmiechnął się.

– Bardzo zabawne – odpowiedział Anton szyderczo. – Do czego zmierzasz?

– To aż tak widać? – powiedział szef i roześmiał się.

– Czytam z ciebie jak z otwartej książki. Dlatego ty siedzisz tutaj, a ja działam na zewnątrz.

– *Touché*. – Na chwilę zapadła cisza. – Wilhelm Martiniussen. Znasz go?

– Tego miliardera? A o co chodzi? Coś się stało?

– Tak. Został uduszony. Dzisiaj w nocy. Narzeczona go znalazła. Policja z Østfold poprosiła o pomoc taktyczną.

– A co z pomocą techniczną?

– Na razie mowa była tylko o taktycznej. Wiesz, jacy oni są, tam we Fredrikstad. Pomyślałem, że może ty i Ekheim moglibyście...

– Jeśli to ma być tylko on i ja, to wolę jechać sam. Kiepsko znoszę jego zmienne nastroje.

Szef odchylił się lekko, zmrużył oczy i zaczął mu się przyglądać.

– Dobrze. Na początek jedź sam. Ale daj znać, jeśli coś zwróci twoją uwagę. Dochodzenie prowadzi niejaki Haugen.

– Na pewno Simon.

Szef zaczął przeglądać papiery. Przeciągnął palcem po kartce.

– Tak. Simon Haugen – potwierdził.

Dwie godziny później student Wyższej Szkoły Policyjnej Magnus Torp wyłączył sygnał świetlny i zatrzymał się przed apartamentowcem w Vesterelven we Fredrikstad. Anton Brekke i Simon Haugen wysiedli z radiowozu.

– Zamierzasz tu siedzieć i się gapić? – spytał Anton, posyłając chłopakowi surowe spojrzenie.

– Polecono mi, żebym...

– Tak, wiem. Wsiadaj z wozu i chodź. Nie co dzień trafia się taka sprawa. Jak się nazywasz?

– Magnus Torp. W zeszłym roku pan komisarz miał u nas w szkole wykład. Był super. Kilka dni później widziałem pana komisarza w Oslo City, ale chyba mnie pan komisarz nie...

– Świetnie – przerwał mu Anton. – Ale spytałem tylko, jak się nazywasz. Nie prosiłem o historię twojego życia.

Anton Brekke i Simon Haugen ruszyli do drzwi. Torp musiał przyspieszyć, żeby ich dogonić. Przed budynkiem stały już dwie grupy policjantów. Anton minął ich, nawet na nich nie spojrzawszy, podczas gdy Haugen skinął im głową i się uśmiechnął.

Simon Haugen był bardzo lubiany, świetnie dogadywał się zarówno z kolegami, jak i z szefostwem. Prowadząc dochodzenie, nigdy nie szedł na skróty, nie przekraczał też granic, jeśli chodzi o traktowanie przestępców. Nawet dilerów złapanych na handlu narkotykami traktował z szacunkiem, dzięki czemu zasłużył na swoistą sympatię, także w tym środowisku.

Patrząc na stojących przed domem funkcjonariuszy, nikt by się nie domyślił, że policji brakuje ludzi. Można było odnieść wrażenie, że w holu przed windą zgromadzili się wszyscy policjanci z regionu Østfold. Haugen przeszedł nad taśmą wygradzającą. Miał dwa metry i cztery centymetry wzrostu, więc łatwiej było mu ją przekroczyć niż

przejsć pod nią.

– Torp, tak? – spytał, patrząc na studenta, który stał przed taśmą z rękami na pasie.

– Zgadza się.

– Technicy zbadali windę?

– Tak, Simonsen się tym zajął. Tak mi się wydaje.

Anton uniósł brwi.

– Simonsen? Technik?

– Tak – odpowiedział Haugen. – Jest tu już od jakiegoś czasu. Jest w porządku.

– Owszem, Simonsen jest sympatycznym człowiekiem, ale nie dostrzegłby nawet własnych śladów hamowania.

– Anton, proszę... – Haugen spojrział bezradnie na zasłużonego śledczego z Kripos.

Torp spuścił wzrok, wpatrywał się w podłogę. Rozmowa przyciągnęła uwagę również innych funkcjonariuszy. Wszyscy patrzyli na Antona.

– Anton Brekke z Kripos – przedstawił go Haugen. – Najlepszy śledczy, jakiego znam. Niestety dobre maniere nie są jego mocną stroną – dodał. Skinął głową kolegom i wszedł do otwartej windy. – Ktoś tu walczył o życie – powiedział, wskazując na pęknięte lustro i kałużę moczu na podłodze.

Torp przeszedł pod taśmą, żeby przyjrzeć się wszystkiemu z bliska.

– Lustro mogło być pęknięte już wcześniej – zauważył.

– Nie, nie w takim budynku – powiedział Anton. – Szóste piętro, tak?

Haugen skinął głową.

– Szóste i siódme. Mieszkanie ma dwa poziomy.

Obaj, śledczy i Torp, ruszyli po schodach na szóste piętro. Na górze zobaczyli dwóch techników: Sverrego Klavestada i Sturlę Simonsena. W białych kombinezonach, na kolanach, z niebieskimi ochraniaczami na butach szukali śladów.

– Jak wam idzie? – spytał Haugen.

– W ogóle nam nie idzie – odpowiedział Simonsen, nie odrywając

wzroku od podłogi. – Jedyne, co udało nam się znaleźć, to struna od pianina, którą zabójca najwyraźniej zostawił tu specjalnie. No i kałuża moczu w windzie, i jeszcze kilka włosów i trochę krwi. Włosy i krew są pewnie Martiniussena. No i jeszcze pęknięte lustro, ale mogło pęknąć wcześniej.

– Nie – zaprotestował jeszcze raz Anton.

Torp odkaszlnął:

– Nie w takim budynku...

Simonsen po raz pierwszy podniósł wzrok. Ukląkł i wyprostował plecy.

– No proszę. Słynny Anton Brekke we własnej osobie. Mister Kripos.

– Zamknij się. Który z was sprawdzał windę? – Anton poklepał się po brzuchu i spojrzał na Simonsena. Od ich ostatniego spotkania przybrał kilka kilogramów. – Obaj byście się tam nie zmieścili – zauważył dowcipnie.

– Cięty język, jak zwykle. – Simonsen się roześmiał. – Ja sprawdzałem windę.

Klavestad wstał i podszedł do Antona, dwaj pozostali technicy zdjęli maski.

– Prawdopodobnie został uduszony w windzie – powiedział Klavestad, podnosząc do góry niewielką przezroczystą foliową torebkę ze struną od pianina. – To by tłumaczyło obecność moczu. Potem przeniesiono go do mieszkania. Winda otwiera się na pokój. Nic nie zginęło. Jest portfel i zegarek. Martiniussen ma ogromny zbiór zegarków. Wart miliony. Wszystko jest nietknięte. Poza tym zabójca darował życie Norze Røed Karlsen. – Klavestad zwinął strunę i położył ją na szklanym stoliku obok kanapy.

– Jest pod opieką lekarzy – wtrącił Haugen.

Anton skinął głową.

– Czas zgonu? – spytał.

– Między jedenastą wieczorem a północą – powiedział Klavestad. – Jak myślisz, dlaczego jej nie zabił?

– Może uznał, że mu nie zagraża. Najwyraźniej chciał dopaść

Martiniussena. To, że zostawił ją przy życiu, świadczy o tym, że mamy do czynienia z zawodowcem. Kiedy centrala dostała wiadomość?

Simon Haugen przekazał mu wszystko w samochodzie, kiedy jechali na miejsce zbrodni, ale chciał to usłyszeć jeszcze raz.

– Zgłoszenie nadeszło tuż po północy – powiedział Haugen.

– Tak – potwierdził Simonsen. – Røed Karlsen zadzwoniła do centrali pięć minut po północy. Powiedziała, że jej narzeczony leży martwy na podłodze. Ratownicy medyczni potwierdzili zgon i zajęli się nią. Była w szoku. Następnie zawiadomili nas. Pięć po pierwszej w nocy.

– Dzięki – mruknął Anton. – Torp! – zawołał.

– Tak? – odezwał się cicho chłopak gdzieś za ich plecami.

– Zejdź na dół, do radiowozu, i nastaw klimatyzację na szesnaście stopni. W tym upale nie jestem w stanie myśleć.

Zanim Anton dokończył zdanie, Torp wyszedł z mieszkania i zaczął zbiegać po schodach.

W sali, w której dzień wcześniej Wilhelm Martiniussen pozbawił ich złudzeń, zebrali się teraz wszyscy. Wiceprzewodniczący zarządu, Frode Moen, i pozostali współwłaściciele firmy. Nastrój był ponury. Nikt nic nie mówił, ale wszyscy myśleli o tym samym: zastanawiali się, czy za zabójstwem nie stoi Frode Moen.

Niedługo przed pęknięciem bańki IT Moen był podejrzany o handel poufnymi informacjami, co wzbudziło zainteresowanie prasy, zarówno krajowej, jak i zagranicznej. Moen niestety miał na koncie kilka niefortunnych wypowiedzi. Mimo że zbudował potężny koncern IT, nie rozumiał, że w pewnych sytuacjach lepiej milczeć. Chociaż okoliczności nie sprzyjały, oskarżenia zostały cofnięte, a sprawa zawieszona, co wywołało jeszcze większe zainteresowanie mediów i podejrzania o korupcję. I dalsze niefortunne wypowiedzi Moena. Wszystko to doprowadziło do tego, że koncern upadł, więc Moen skupił się na Mardanie. Pod koniec lat osiemdziesiątych sporo

zainwestował w firmę Wilhelma.

Do pokoju wszedł przewodniczący zarządu Bjørn Danielsen. Stał przy końcu stołu. Oczy miał przekrwione. Zaczął mówić łamiącym się głosem:

– Na razie nie wiemy nic poza tym, co piszą gazety. Wilhelm zginął wczoraj późnym wieczorem. Policja nie wskazała jeszcze żadnych podejrzanych. – Podniósł głowę, zamrugął oczami. – Oczywiście wszyscy zostaniemy przesłuchani.

– Co to znaczy, Bjørn? – spytał jeden z członków zarządu.

– Nie bądźmy naiwni. Byliśmy z nim blisko związani. Tak naprawdę byliśmy jego jedyną rodziną. Mam nadzieję, że poniedziałek tego nie zmienił.

– Wilhelm był naszym przyjacielem – powiedział Frode Moen. – Wszyscy ubolewamy nad tym, co się stało.

– Czyżby, Frode? W poniedziałek nie odniosłem takiego wrażenia.

– Chodziło o interesy.

– Interesy czy nie interesy. Mam nadzieję, że nikt z was nie ma nic do ukrycia. Osobiście zrobię wszystko, żeby pomóc policji.

– Wszyscy zrobimy – dodał Frode Moen podniesionym głosem.

– Dobrze. Wracam do domu.

Bjørn Danielsen był już niemal przy drzwiach, kiedy Moen go zatrzymał.

– Bjørn, zarząd ma jeszcze jedno pytanie.

– Tak?

– Chodzi o projekt Canada. Co z nim będzie?

– Na litość boską, jak możesz teraz o to pytać? – warknął Danielsen. – Ty chcesz to wiedzieć czy zarząd?

– Pytam o coś, nad czym wszyscy się zastanawiają – odpowiedział Moen spokojnie.

– Ja nic nie wiem. Nic nie wiem! – wrzasnął Bjørn Danielsen z rozpaczą. Wszedł i trzasnął drzwiami.

– Nie jestem pewien, czy zdążył nas oficjalnie wycofać z projektu – powiedział Moen, patrząc na siedzących przy stole mężczyzn.

– Wiemy, że zamierzał, ale nie mamy pewności, czy to zrobił.

ANTON BREKKE i inspektor Simon Haugen szli ramię w ramię szpitalnym korytarzem. Kilka kroków za nimi podążał młody stażysta, Torp. Mijali lekarzy i pielęgniarki. Przeszli obok rentgena, skręcili w kolejny korytarz i zatrzymali się obok recepcji pogotowia.

Haugen pochylił się nad blatem.

– Simon Haugen – przedstawił się, wskazując na legitymację policyjną, którą miał na szyi. – Jesteśmy z policji. Chcielibyśmy się zobaczyć z Norą Røed Karlsen.

Recepcjonista wcisnął jakiś klawisz, zaczął coś czytać na ekranie, jego wargi poruszały się bezdźwięcznie.

– Leży w pokoju numer dwanaście, właśnie jest u niej lekarz. Za pięć minut poproszę, żeby do panów przyszedł.

Haugen podziękował uprzejmie i wszyscy trzej usiedli na stojących w korytarzu krzesłach. Głównymi drzwiami cały czas wchodzili kolejni pacjenci, często w towarzystwie bliskich. Niektórzy wyłaniali się z mniejszych, bocznych drzwi. Dla postronnych mogło to wyglądać chaotycznie, ale Anton był pewien, że personel kontroluje sytuację.

Niski, dość potężnie zbudowany mężczyzna w białym fartuchu i w okularach w okrągłych oprawkach ruszył w ich stronę. Szedł powoli, więc zdecydowanie się wyróżniał. Najwyraźniej nie pracował na co dzień na oddziale ratunkowym. Anton zmrużył oczy. Już go kiedyś widział. Światło lampy padało na jego siwe kręcone włosy. Miał ich dużo, ale były cienkie, i na pewno nie był żonaty, bo żona z pewnością zrobiłaby porządek z jego niesforną czupryną.

W końcu zatrzymał się przed nimi. Spojrzał na Antona. Haugen wyciągnął do niego swoją potężną dłoń.

– Simon Haugen, z policji – przedstawił się. – A to jest Anton Brekke – dodał.

Lekarz wyglądał na zdziwionego. Spojrzał na Haugena, a potem przeniósł wzrok na Antona. Powiedział, że jest ordynatorem. Anton przyglądał się jego okrągłej twarzy. Tak, na pewno już się spotkali. Tylko wtedy nie miał na nosie okularów. Nagle przypomniał sobie, gdzie to było. W Lervik. Siedział przy stoliku, kiedy Anton wychodził jako największy przegrany w krótkiej, bo zaledwie rocznej historii klubu.

– Jak się miewa pani Røed Karlsen? – spytał Haugen.

– Pani Røed Karlsen – powtórzył lekarz. W końcu oderwał wzrok od Antona. – Jeśli wziąć pod uwagę okoliczności, miewa się nie najgorzej. Jest trochę otumaniona lekami uspokajającymi, które jej podaliśmy, ale na pewno jest w stanie odpowiedzieć na kilka pytań.

Haugen pokiwał głową i ruszył przed siebie. Torp deptał mu po piętach.

– Zaczekajcie na mnie na zewnątrz, zaraz do was dołączę – rzucił Anton, zanim Haugen i Torp zniknęli za rogiem.

Odwrócił się do lekarza.

– Lervik. Prawda?

– Zgadza się. Zdziwiłem się, kiedy pana tu zobaczyłem. Policjant?!

– Tak – przytaknął Anton. – Ale nie stąd. Pracuję w Kriplos. W ciągu dnia też można gdzieś zagrać?

– Tylko w Lervik. Ale skontaktuję się z panem, jeśli się o czymś dowiem.

– Świetnie – powiedział Anton. Wręczył mu wizytówkę i podążył za Haugenem i Torpem. Czekali na niego przed salą numer dwanaście.

– Mam dla ciebie ważne zadanie, Torp – powiedział Anton poważnie.

– Co takiego?

– Będziesz stał na straży.

– Gdzie? Tutaj?

– Tak.

Torp wyprostował się, wypiął pierś i stanął przy drzwiach. Ręce skrzyżował na wątej piersi.

– Torp, żartowałem.

Haugen się uśmiechnął.

– Prawdę mówiąc, uważam, że lepiej będzie, jeśli Torp rzeczywiście zostanie na zewnątrz. Wystarczy, że wejdziemy my, ja i ty.

Anton skinął głową. Miał wrażenie, że Torp nie jest zachwycony, ale nic nie powiedział. Otworzył drzwi i zajrzał do ciemnego pokoju.

– Nora Røed Karlsen? – spytał ostrożnie.

Łóżko stało pod ścianą. A na nim, w pozycji płodowej, leżała kobieta. Na stojącym obok krześle siedziała druga kobieta, pielęgniarka psychiatryczna. Tak się przedstawiła. Nora spojrzała na Antona. Górne światło było zgaszone, ale w bladym świetle nocnej lampki Anton zobaczył jej zapłakane, spuchnięte oczy.

– Tak, to ja – powiedziała, kaszląc.

– Jest pani w stanie odpowiedzieć na kilka pytań? – spytał ostrożnie.

Nie odpowiedziała.

Anton wszedł do pokoju, Haugen został na progu.

– Wiem, że jest pani ciężko – powiedział prawie szeptem. – Ale to bardzo ważne, żebyśmy mogli z panią porozmawiać. Obiecuję, że nie będziemy tego przedłużać. Pielęgniarka może zostać.

Nora skinęła głową i usiadła na łóżku, ze skrzyżowanymi nogami. Pielęgniarka wstała, dając Antonowi do zrozumienia, że może usiąść na wolnym krześle.

– Nazywam się Anton Brekke. A to mój kolega, Simon Haugen.

Nora spojrzała na Haugena. Posłał jej współczujące spojrzenie.

– Ma pani ochotę się czegoś napić? Kawy? Wody?

– Nie, dziękuję.

– Jak długo byliście ze sobą? Pani i Wilhelm? – spytał Anton, siadając na krześle.

Nora zmieniła pozycję. Siedziała teraz naprzeciwko niego, trzymała w objęciach poduszkę.

– Trochę ponad dwa miesiące.

Anton spojrzał na Haugena. Chciał się upewnić, że notuje. Sam, rozmawiając z bliskimi ofiar, nigdy nie robił notatek. Bez notatnika i pióra łatwiej mu było nawiązać kontakt. Wiedział też, że jeśli ktoś

czuje się bezpiecznie, lepiej sobie pewne rzeczy przypomina.

– Długo się znałście?

– Nie, właściwie w ogóle. Wszystko stało się tak szybko. Poznaliśmy się w barze, w Stavanger, jakieś cztery miesiące temu. – Wbiła wzrok w podłogę, tuż obok nóg Antona. Opowiedziała, jak się poznali, i spojrzała na niego, jakby oczekiwała kolejnego pytania, ale Anton milczał. – Zaczęliśmy rozmawiać, wtedy, w barze, i okazało się, że świetnie się rozumiemy. To niesamowite, bo przecież on jest... był dwa razy starszy ode mnie. Był bardzo miły. – Po policzkach poleciały jej łzy.

Anton złapał ją za rękę i ścisnął.

– Rozumiem, że jest pani ciężko, ale dzielnie sobie pani radzi. Nie będziemy pani długo dręczyć.

– Tamtego wieczoru nie poszłam z nim do hotelu. Zresztą nie nocował w hotelu, tylko u kuzyna. Tak czy inaczej, nie poszłam z nim. Nie wydawał się zainteresowany takimi rzeczami. Pamiętam, że kiedy mu powiedziałam, dlaczego przyjechałam do Stavanger, zareagował trochę dziwnie. Jakby się zdenerwował. Nie wiedziałam, o co mu chodzi, dopiero potem to do mnie dotarło.

– Dlaczego się zdenerwował? – spytał Anton. Nadal trzymał ją za rękę.

– Chodziło o jego firmę. W Stavanger powiedział mi, że zajmuje się nieruchomościami. To była prawda, ale nie wspominał nic o Mardanie. Podejrzewam, że bał się, że mnie wystraszy, i pewnie rzeczywiście tak by się stało.

– Dlaczego miałyby się pani przestraszyć?

– Chodzi o ich ostatni projekt w Kanadzie. O pozyskiwanie piasku bitumicznego.

Anton pokiwał głową. Czytał nagłówki w sieci, ale nigdy nie zainteresował się tym na tyle, żeby przeczytać któryś z artykułów.

– Dwa dni po naszym spotkaniu zadzwonił do mnie. Umówiliśmy się. Wsiadłam w pociąg w Oslo, gdzie mieszkałam, to znaczy nadal tam mieszkam, i spotkaliśmy się na stacji we Fredrikstad. Pojechaliśmy do niego. Przygotował coś do jedzenia. – Dotknęła

swojej twarzy. – Był taki dobry. – Zamilkła, ale po chwili zaczęła mówić dalej: – Potem spotykaliśmy się wiele razy, aż w końcu postanowiliśmy, że się do niego wprowadzę.

– Jak pani zareagowała, kiedy poinformował panią o firmie?

– Powiedział mi o niej chyba dopiero podczas dziewiątego czy dziesiątego spotkania, a wtedy byłam już tak nim oczarowana, że równie dobrze mógłby powiedzieć, że jest seryjnym mordercą. I tak bym od niego nie odeszła. – Uśmiechnęła się po raz pierwszy od chwili, kiedy weszli. – Ale wiedział, co o tym sądzę. Dużo rozmawialiśmy o ochronie środowiska. Przestał jeździć samochodami. Miał je sprzedać. Byłam z niego bardzo dumna, bo wiem, jak bardzo je kochał. Ale najważniejszą rzecz zrobił kilka dni temu.

– Co to było? – spytał Anton. Odwrócił się do Haugena. – Możesz podać pani chusteczkę?

Nora wytarła oczy i zaczęła mówić dalej:

– Mieli się wycofać z kanadyjskiego projektu. Dużo potężnych firm jest w niego zaangażowanych. Gdyby doszedł do skutku, Mardan zarobiłby ogromne pieniądze.

– I co się stało?

– Zwołał zebranie zarządu, na którym podał do wiadomości, że Mardan wycofuje się z projektu. Po zebraniu zadzwonił do mnie. Byłam, delikatnie mówiąc, zdziwiona, bo wiedziałam, ile ten projekt dla niego znaczył. Nie naciskałam, żeby się wycofał. Powiedział mi, że niektórzy członkowie zarządu byli poruszeni. Szczególnie niejaki Frode.

Anton puścił jej dłoń i spojrzał na Haugena. Ten nadal pilnie notował.

– Czy to znaczy, że akcjonariusze stracą dużo pieniędzy? – zapytał.

– Jeśli projekt okaże się udany, to tak.

– Może pani powiedzieć coś więcej o wczorajszym wieczorze?

Nora wypita łyk wody ze szklanki stojącej na niewielkim stoliku obok łóżka. Nie spuszczała ich z oka.

– Cały dzień i wieczór przeleżałam na kanapie z wysoką gorączką.

Obudziłam się trochę po północy. I zobaczyłam, że leży na podłodze. – Łzy znów popłynęły jej po policzkach, zmoczyły poduszkę, którą trzymała w ręku. – Po prostu tam leżał. Potrząsnęłam nim, ale nie ruszył się. Byłam pewna, że to serce. Dziesięć lat temu przeszedł zawał. Pobiegłam do torebki po komórkę i zadzwoniłam po karetkę. A potem włączyłam światło i zobaczyłam ranę na jego szyi. A potem już nic nie pamiętam.

Pielęgniarka usiadła na łóżku obok niej. Próbowwała ją pocieszyć, na próżno. Anton złożył jej kondolencje, wyjął wizytówkę i zostawił na stoliku obok łóżka. A potem obaj z Haugenem wyszli.

– Jak poszło? – spytał Torp. Nadal stał pod drzwiami z rękami skrzyżowanymi na piersi.

– Dobrze. Wiemy już trochę więcej – powiedział Anton, ruszając do wyjścia. – Zejdz na dół, do holu – zwrócił się nagle do Torpa.

Torp się zatrzymał.

– Po co?

– Chciałbym, żebyś mi kupił w kiosku kupon na loterię. I pamiętaj, że ma być dzisiejszy, nie ze środy. No, rusz się. Tik-tak-tik-tak – powiedział, stukając palcem w szkło zegarka.

Anton zajął miejsce na tylnym siedzeniu radiowozu. Siedział i wyglądał przez okno. Myślał o Mardanie, o ropie i o pieniądzach, których zawiedzeni akcjonariusze pewnie nie zobaczą. Ludzie mijający radiowóz mogli go wziąć za przestępcę, którego policja właśnie zatrzymała. I który siedzi w radiowozie, patrząc przed siebie nieobecnym wzrokiem.

Z zamyślenia wyrwało go trzaśnięcie drzwiami. Torp wrócił. Podał mu kupon na loterię Norsk Tipping.

– Wziąłem też kupon lotto – rzucił z lekkim sarkazmem.

– Miło, że o tym pomyślałeś, ale w zeszły weekend oddałem pięciotygodniowy. – Zmiał kupon, który podał mu Torp, i rzucił mu na kolana.

– Skąd znasz ordynatora? – zapytał Haugen.

– To mój kolega z klasy.

– Nie żartuj. Facet jest dobrze po pięćdziesiątce.

– Pozory mylą, Simon.

Anton uśmiechnął się i wypełnił kupon.

– Wrócisz i oddasz go za mnie? – spytał, dotykając kuponem ucha Torpa.

– Chyba nie mam wyjścia.

– Dobrze. A za resztę coś sobie kup.

Zbliżająca się syrena wyła coraz głośniejsze. Kilka sekund później przed bramą pogotowia zatrzymała się karetka. Kierowca wyłączył sygnał. Ratownicy, kobieta i mężczyzna w charakterystycznych czerwono-żółtych strojach, chwycili nosze i weszli z nimi do środka. Anton stał jakieś dziesięć metrów od nich, ale widział, że leżący na nich dorosły mężczyzna z bujną czarną czupryną jest zakrwawiony i nie daje znaku życia.

Po dziesięciu długich minutach Torp w końcu wrócił. Usiadł za kierownicą, przekręcił kluczyk w stacyjce i zjechał z podjazdu w stronę głównej drogi.

– Nic sobie nie kupiłeś? – spytał Anton, wyraźnie się z nim drażniąc.

– Nie, za osiem koron niewiele można kupić...

Haugen roześmiał się głośno.

– Szkoda, ale dzięki – wymruczał Anton pod nosem.

Nie musiał patrzeć na zegarek, żeby się domyślić, że jest już po czwartej. Wszystkie samochody stały. Kiedy zbliżali się do ronda, komórka Haugena zaczęła wibrować. Odebrał, przytaknął trzy razy, odwrócił głowę i spojrzał na Antona:

– Technicy skończyli już w mieszkaniu.

– Świetnie – powiedział Anton i odwrócił się do Torpa. Poklepał go po ramieniu. – Zrozumiałeś? Wracamy do mieszkania Martiniussena. Natychmiast. Dopóki ślady są świeże.

– Tak jest!

– Oszczędź sobie sarkazmu. Jeśli nie chcesz, odwiozę cię do mamusi. A tak przy okazji, to co ty tu dzisiaj robisz? Jest sobota.

– Mam wolne. Wziąłem nadgodziny.

– Akurat. Lubisz to?

– Jasne – odpowiedział Torp i uśmiechnął się do lusterka.

– To dobrze. Włącz światła, ale daruj sobie syrenę.

Torp uśmiechnął się jeszcze szerzej, włączył światła i wyminął stojące przed nim samochody. Pospiesznie zjechały na bok.

Anton i Haugen minęli zebranych przed domem dziennikarzy. Reporterów z wydań krajowych i z kanałów informacyjnych, którzy chcieli wiedzieć, w jaki sposób zginął Wilhelm Martiniussen i czy policja kogoś podejrzewa.

– Anton Brekke. – Jedna z dziennikarek przystawiła mu mikrofon do twarzy. – Pan prowadzi dochodzenie? Co już wiecie?

– Jutro o dwunastej odbędzie się konferencja prasowa – rzucił Anton i razem z Haugenem zniknął za szklanymi drzwiami.

Przez duże okna wpadały promienie słońca. Ciało Wilhelma Martiniussena nadal leżało na grubym białym dywanie, ręce miał wyciągnięte wzdłuż tułowia. Anton stanął obok niego. Wyglądał spokojnie, przerażająco spokojnie. Gdyby nie wąska czerwona kreska na szyi, można by pomyśleć, że śpi. Anton włożył niebieskie gumowe rękawiczki i kucnął obok niego. Uniósł bezwładną rękę i zaczął się wpatrywać w zegarek. Breitling, złoty, z dużymi rzymskimi cyframi na czarnym cyferblacie.

– Piękny zegarek – zauważył Haugen.

– Okaz kolekcjonerski. Jest ich tylko pięćset. Kosztuje z trzysta tysięcy.

– Aż tyle? Niewiarygodne, że sprawca go nie wziął. Dziesięćolatek by się domyślił, że kosztuje majątek.

– Rozejrzyj się – powiedział Anton, wskazując na salon. – Czy coś wskazuje na to, że ktoś tu był? Widziałeś, jak dokonano morderstwa? Zabójca mógł użyć broni z tłumikiem albo po prostu młotka – a on go udusił. I to struną od pianina. Wygląda mi to na osobiste porachunki. To wyjątkowa sprawa.

– Powiesz coś więcej?

– Chodzi mi o to, że motyw był osobisty. Czegoś tu brakuje. Musimy szukać czegoś, czego tu nie ma, Simon.

Simon Haugen rozejrzał się po mieszkaniu.

– Na pewno nie ma chaosu i nieporządku.

– Zgadza się. Nie ma bałaganu. Nawet jeśli zabójstwa dokonano w windzie, mieszkanie wygląda zbyt porządnie. Zwykle jeśli motyw jest osobisty, przestępca zostawia setki śladów, i najczęściej bardzo szybko zostaje złapany. A my jak dotąd nie mamy nic. Jestem pewien, że włosy i krew, które znaleźli Klavestad i ten grubas Simonsen, należą do Martiniussena. Zabójca nie popełnił żadnego błędu.

Haugen pokiwał głową. Zgadzał się z nim, poza tym lubił słuchać jego wywodów. Prowadził niejedno śledztwo w sprawach o zabójstwo, ale to Anton był specjalistą. Był pod wrażeniem, jak szybko dochodził do konkluzji. Zawsze go za to podziwiał. Obaj dorastali we Fredrikstad, ale nigdy ze sobą nie rozmawiali, aż trafili do tej samej grupy w Wyższej Szkole Policyjnej.

Haugen pod wieloma względami był tym, czym Anton zawsze pragnął być: ojcem rodziny, dobrym mężem. Ale tego nigdy mu nie powiedział. Nie chciał sprawiać wrażenia, że mu zazdrości, bo to nie była prawda. Żałował jedynie, że jego małżeństwu nie udało się przetrwać, tak jak się udało małżeństwu Haugena. Przed rozwodem często się zdarzało, że on i jego żona jechali do Fredrikstad odwiedzić Haugena i jego żonę. Kobiety szybko się zaprzyjaźniły, a po rozwodzie pani Haugen niejako automatycznie stanęła po stronie przyjaciółki, chociaż, prawdę mówiąc, racje były rozłożone po równo. Tyle że żona Antona zrobiła z ich rozstania wielki dramat.

Odwrócił się do okna i spojrzał na miasto. Widok był godny podziwu. Rzeką płynęła niewielka drewniana łódź. Kobieta w bikini próbowała przybić do brzegu, a męska załoga opalała się na pokładzie.

Mimo że technicy sprawdzili już mieszkanie, był bardzo ostrożny. Podeszedł do szklanej witryny stojącej pod obrazem. Była wypełniona szkłem różnej wielkości. Zauważył karafkę i większe i mniejsze szklane pojemniki. Rozejrzał się, ale nic nie przyciągnęło jego uwagi. Salon i kuchnia były wysprzątane, można by pomyśleć, że to wystawa mebli.

Wszedł spiralnymi schodkami na górę i ruszył do gabinetu Martiniussena. Tam wpływ architekta wewnątrz został najwyraźniej ograniczony. Duże mahoniowe biurko kontrastowało z nowoczesnymi szafami i półkami. Na biurku stał cienki monitor, na blacie leżały niewielka klawiatura i mysz. Pod biurkiem widać było kable, najwyraźniej od komputera stacjonarnego.

– Simon! – zawołał. – Mam nadzieję, że to nasi technicy wzięli jego laptopa?

– Tak – potwierdził Haugen z dołu.

Szuflady zostały opróżnione. Nie została w nich nawet jedna teczka na akta. Simonsen, mając na karku wężącego Antona, nie chciał ryzykować. Anton wyciągnął wąskie szufladki. Pierwsze cztery były pełne zegarków. Klavestad wspomniał coś o kolekcji wartej miliony. Anton zdjął z przegubu swoją omegę. Dostał ją od ojca przed dwoma laty, kiedy skończył czterdziestkę. Zaczął przymierzać zegarki. Większość wydała mu się zbyt ozdobna, nie czuł się dobrze z bransoletką wysadzaną brylantami. W trzeciej szufladzie znalazł zegarek, który wcześniej widział jedynie na zdjęciach. U-BOAT. Włożył go na rękę i przeczytał inskrypcję: Italo Fontana – Made in Italy. Koperta miała co najmniej dwa centymetry grubości. Zegarek nie sprawiał wrażenia błyskotki. Żadnego złota, żadnych drogich kamieni. Anton pomyślał, że gdyby wygrał wtedy w Lervik, mógłby sobie kupić nawet dwa takie.

Chwilowo jednak nie było go stać nawet na pasek do zegarka.

– Przymierzasz zegarki? – spytał Haugen od drzwi.

– Miał facet gust. Wspaniała kolekcja. Mój ojciec, zegarmistrz, byłby pod wrażeniem – powiedział Anton. Włożył zegarek z powrotem do niewielkiej szufladki i sięgnął po swoją omegę. – Stado już przepyałał sąsiadów?

– Stado... – Haugen uśmiechnął się i pokręcił bezradnie głową. Wiedział, że Anton Brekke nie ceni zbyt wiele kolegów w czarnych skórzanych kurtkach. – Prawie wszystkich – powiedział. – Resztę stado przepyałał wieczorem i jutro rano.

Zeszli schodami do holu i zatrzymali się. Nosze z czarnym workiem

z ciałem przejechały obok nich do czekającego na zewnątrz volkswagena transportera. Przez szklane drzwi widać było błyski lamp kilkunastu stojących przed budynkiem fotoreporterów. Nad wodą stał jeszcze jeden. Odszedł nieco na bok, uniósł kamerę i zaczął pstrykać zdjęcia niewielkiej plastikowej łódki, która minęła go z dużą prędkością.

Anton i Haugen wyszli na zewnątrz. Karawan z ciałem właśnie ruszał w stronę Instytutu Medycyny Sądowej. Anton spojrzął na stojącego nad wodą fotografa. Miał na sobie starą kurtkę z kapturem, marki Helly Hansen, pewnie jeszcze z lat dziewięćdziesiątych.

– Nie wygląda na takiego, co to nadąża za modą – stwierdził Anton, wskazując na młodego mężczyznę.

– To ktoś z prasy? – spytał Haugen z uśmiechem.

Anton odwrócił się do reporterów, którzy właśnie rozmawiali z sąsiadami Martiniussena. Nikt z nich go nie znał. Jakaś starsza pani, która mimo że na dworze było ponad dwadzieścia stopni, wyszła w ciepłym palcie, poprawiła okulary i powiedziała:

– To miejscowy dziwak. Przychodzi tu i fotografuje łodzie. – Potem wróciła przed kamerę napawać się swoimi dziesięcioma sekundami sławy.

– No proszę. Przychodzi tu i fotografuje łodzie – powtórzył Anton.
– Będę musiał z nim porozmawiać.

Haugen skręcił za róg i ruszył za fotografem, który zdążył się już nieco oddalić. Anton natomiast robił wszystko, żeby uwolnić się od prasy. Tłumaczył, że nie ma nic do powiedzenia, że rano odbędzie się konferencja prasowa. Nagle rozległ się głośny plusk. Anton ruszył biegiem w stronę nabrzeża, wszyscy przedstawiciele prasy pobiegli za nim. Tajemniczy fotograf i Simon Haugen zniknęli.

– Simon! – zawołał Anton.

Po chwili zobaczył go zwisającego z pomostu, po szyję zanurzonego w wodzie.

– Pomóż mi, do cholery – wycedził przez zęby.

Anton kucnął. Z pomocą umundurowanego funkcjonariusza udało

mu się wyciągnąć Haugena z wody. Reporterzy cały czas robili zdjęcia.

– Zamknąć wszystkie pobliskie ulice – zarządził Anton.
– I przeszukać teren.

– Nie, nie ścigajcie go – powiedział Haugen do policjantów. – To nie jest człowiek, którego szukamy.

– Co się stało? – spytał Anton, próbując powstrzymać się od śmiechu. Haugen był przemoczony do suchej nitki.

– Ma zespół Downa.

– Co?

– Facet ma zespół Downa. Przestraszył się, kiedy powiedziałem, że jestem z policji.

– I wrzucił cię do rzeki?

– Nie wrzucił mnie. Pchnął.

– Jesteś pewien? Tacy ludzie bywają bardzo silni – powiedział Anton, wywołując kolejną salwę śmiechu.

Mokry, zły i lekko zawstydzony Haugen wsiadł do wozu, który miał go odwieźć do domu, żeby mógł się przebrać. Bał się myśleć o jutrzejszych nagłówkach.

Środa, 20 lutego 1963
New York City

CHOCIAŻ VINCENT GIORDANO został przyjęty do rodziny Locatellich już trzy miesiące temu, jego życie w zasadzie się nie zmieniło. Nadal mieszkał w swojej niewielkiej kawalerce na Brooklynie. I nadal nie miał samochodu. Wykonywał drobne usługi dla Calogera Locatellego, na zlecenie jego ojca. W mieszkaniu też niewiele się zmieniło. Sprawił sobie większy stół do kuchni, jakąś lampę i piecyk elektryczny. Przez ostatnich kilka tygodni pracował nad stworzeniem nielegalnego kasyna w mieszkaniu przy Crook Avenue, na południe od Ogrodu Botanicznego. Wymagało to jasnego umysłu i niekiedy upor. Don Domenico uznał, że to zadanie w sam raz dla niego. Nie codziennie się zdarzało, żeby dwudziestojednoletniemu chłopakowi zlecano tak odpowiedzialną misję. Don Domenico był bliskim przyjacielem jego nieżyjącego już ojca. Wiele osób twierdziło, że właśnie dlatego powierzono mu tak dochodowe zadanie zaledwie trzy miesiące po przyjęciu do rodziny.

Stał z papierosem w ręku i wyglądał przez okno. Jezdnia i chodnik były pokryte brudnym śniegiem. Dzieci rzuciły w siebie śnieżkami. Dwóch małych łobuziaków usiadło na dachu naprzeciwko jego mieszkania. Stał, palił papierosa i przyglądał się im. Rzucali śnieżkami w szyby jadących w dole samochodów. Wyglądało na to, że rywalizują o to, który trafi więcej razy. Zrezygnowali dopiero, kiedy jeden z nich trafił w szybę radiowozu patrolującego ulicę. Wyskoczył z niego stary wściekły Irlandczyk i krzyknął coś do nich, wymachując policyjną pałką.

Zbliżała się druga. Za dwadzieścia minut miał się spotkać z Calogerem, tam, gdzie zawsze, w barze U Joeya. Włożył pudełko papierosów i plik banknotów do kieszeni spodni i zapiął mocniej

pasek. Zgasił papierosa w popielniczce stojącej na parapecie i wyszedł na korytarz. Włożył brązową skórzaną kurtkę i zaciągnął zamek pod samą szyję.

Był wśród nich ktoś, kto donosił. Kapuś. Nie donosił nowojorskiej policji, tylko policji federalnej, FBI. Nowojorska policja nie była zagrożeniem ani dla Locatellich, ani dla innych rodzin, które rządziły miastem. Don Domenico ich kontrolował, to znaczy pilnował, żeby komisarza było stać na wysokie chesne za szkoły dzieci. To właściwie wystarczało. Komisarz dobrze wiedział, że tak naprawdę nie ma wyboru. Dlatego mniejszych przewinień po prostu nie zauważał. Ale tym razem Don Domenico miał świadomość, że jeśli będą kłopoty, nie będzie mógł pociągnąć za żaden sznurek ani nikogo przekupić. Kapuś musiał zostać zlikwidowany, zanim zdąży powiedzieć coś, co zaszkodzi rodzinie.

Za przegrodą najdalej od drzwi siedział Calogero. Popijał kawę. Widać było, jak noga podryguje mu nerwowo pod stolikiem.

– Wcześniej przyszedłeś – zauważył, kiedy Vincent usiadł obok niego. – To dobrze – dodał.

– Jesteś w dobrym humorze. Wiemy, kto to jest?

– Tak, to ten tłuścioch, Phil Piletti.

– Co?

Vincent dobrze znał Tłustego Phila. Ten uroczy przydomek nadano mu, kiedy jeszcze był młody. Był niski, góra metr pięćdziesiąt w skarpetach, za to dwa razy tyle w pasie. Od kiedy Vincent sięgał pamięcią, Tłuścioch Phil zawsze pracował dla Don Domenica. Zaczynał jako poborca, a w ostatnich latach został przesunięty do jednej z należących do rodziny firm budowlanych. Głównie dlatego, że z czasem coraz wolniej się ruszał. Samo wpakowanie się do samochodu zajmowało mu pół minuty. Al wykonywał swoje zadania, co roku przynosił rodzinie dobrych kilka milionów dolarów. W pewnym momencie podejrzewano go o pozbawienie życia Eda Goldsteina, właściciela konkurencyjnej firmy. Nie uległ mu, kiedy go poprosił, żeby podniósł cenę. To był jeden ze sposobów kontrolowania branży budowlanej. Miasto ogłosiło przetarg na

budowę dziewiętnastopiętrowego biurowca na południowym Manhattanie. Wygrała firma, która zaproponowała najrozsądniejszą cenę: firma Eda Goldsteina. Zaproponowała o trzysta tysięcy dolarów mniej niż on, Tłusty Phil. Phil odwiedził Eda w jego biurze i dał mu do zrozumienia, że ma podnieść cenę o czterysta tysięcy dolarów. Ed się nie zgodził. Oświadczył, że nie da się zastraszyć tłustemu Włochowi. Opuszczając biuro, Phil rzucił, że gorzko tego pożałuje. Dwanaście godzin później Ed został zastrzelony przed swoim domem w Queens, na oczach pięciorga dzieci.

– Tłuscioch jest teraz głównym podejrzanym – powiedział Calogero. – Są świadkowie, którzy widzieli go w pobliżu domu Goldsteina tuż przed zabójstwem. To plus groźby, które rzucał, wychodząc z biura Eda, wystarczy, żeby policja go aresztowała na kilka tygodni. Niezależnie od tego, jak dobre kontakty ojciec ma z policją, nie mogą wypuścić na wolność faceta podejrzanego o zabójstwo kogoś takiego jak Ed Goldstein. Nasz człowiek doniósł nam, że odwiedzili go w areszcie ludzie w ciemnych garniturach – i nie byli to jego adwokaci. A teraz zgadnij, co się stało wczoraj wieczorem.

– Został zwolniony.

– Tak jest. Wyszedł na wolność, ale nie skontaktował się ani z ojcem, ani z nikim z nas. – Calogero wypił do końca kawę. – Weź ze sobą Salvatore i Chrisa i dowiedźcie się, co im powiedział. A potem...

– Przeciągnął palcem po szyi. – Okej?

Vincent powoli pokiwał głową. Oparł się o ścianę.

– Nie masz żadnych wątpliwości?

– Żadnych. Sprawa jest jasna. Ojciec prosił, żebym przydzielił to zadanie tobie. Cieszysz się jego względami.

– Na pewno go nie zawiodę – powiedział Vincent i uśmiechnął się.

– Wiem – skwitował Calogero.

Krople deszczu uderzały o zaparowaną przednią szybę.

Vincent siedział na przednim siedzeniu starego cadillaca, na miejscu pasażera. Towarzyszyli mu ludzie Domenica: Salvatore i Chris. Czekał, aż Tłuscioch załatwi swoje sprawy w dość ponurym

burdelu w Queens. Jak tylko wszedł i zniknął w swoim stałym pokoju ze swoją stałą dziwką, burdelmama zawiadomiła Calogera. Od tamtej pory minęły już dwie godziny. Chris spytał kolegów, czy sądzą, że Phil zabawi tam jeszcze długo. Vincent i Salvatore się roześmiali. Chris też się roześmiał, zadowolony, że udał mu się dowcip.

Vincent opuścił szybę i zapalił papierosa. Miał nadzieję, że psychika Phila nie okaże się równie potężna jak jego ciało. Inaczej czekałaby ich ciężka praca. Wcisnął guzik i nastawił radio. Po chwili samochód wypełnił głos Andy'ego Williamsa śpiewającego *Moon River*.

– Ładny kawałek, prawda? – rzucił Chris z tylnego siedzenia.

– Bardzo. Ale bardziej mi się podobał w wykonaniu Audrey Hepburn – powiedział Vincent, wypuszczając przez otwarte okno kłęby dymu.

– To z tego filmu... – Chris podrapał się w głowę. – Jak on się nazywał?

– *Śniadanie u Tiffany'ego* – przyszedł mu z pomocą Salvatore.

Vincent jęknął i spojrzął na niego.

– Audrey Hepburn. To dopiero babka.

W milczeniu wysłuchali piosenki do końca. Vincent wyrzucił niedopałek przez okno. Wylądował w śnieżnym błocie. Nie wspomniał o tym Calogeroowi, ale nie był zachwycony zadaniem, które mu zlecił. Miał pozbawić życia kogoś, kto służył rodzinie, był jej częścią dłużej, niż on żył na świecie. Kogoś, kto zawsze był dla niego miły i uprzejmy. Nienawidził takich sytuacji. Wiedział, że to będzie prawdziwy chrzest bojowy.

Drzwi się otworzyły. Przez siąpiącą mżawkę zobaczyli tęgiego mężczyznę. Schodził po schodach. Salvatore uruchomił silnik i cadillac włączył się do ruchu. Po chwili skręcili w boczną uliczkę. Reflektory oświetliły sylwetkę, na budynku na końcu uliczki pokazał się gigantyczny cień. Vincent wysiadł i ruszył w jego stronę.

– Phil.

Mężczyzna odwrócił się. Uniósł rękę, żeby się zasłonić przed silnym światłem reflektorów.

– A, to ty, Vincent. Moje otłuszczone serce kiepsko znosi takie niespodzianki.

– Pojedziesz z nami.

– Wszystko ci wytłumaczę.

– Jestem tego pewien. Gdzie zostawiłeś samochód?

– Za rogiem – powiedział Phil, wskazując na wąską uliczkę nieopodal. – Pojadę za wami.

– Oddaj kluczyki Salvatore i chodź ze mną.

– Daj spokój – roześmiał się Phil. – Po co ten dramat?

– Wsiadaj. Teraz.

Phil rozłożył ręce i zaczął się przyglądać stojącym przed nim mężczyznom. Nic nie rozumiał.

Vincent wyjął zza paska rewolwer i wycelował w niego.

– Teraz!

Phil rzucił kluczyki Salvatore i wsiadł do samochodu. Vincent uznał, że zachowuje się nadspodziewanie spokojnie. Nieprzyjemnie spokojnie. Powinien się denerwować, bardziej od niego, a tak nie było.

Czarny cadillac przejechał z dużą prędkością przez skrzyżowanie i już po chwili wyjechali na autostradę.

– Zadam ci jedno pytanie, Phil. Jedno. Mam nadzieję, że odpowiesz mi szczerze, żeby nikomu z nas nie utrudniać sprawy.

– Pytaj – odpowiedział Phil, patrząc na niego.

– Co im powiedziałaś?

– Komu?

– F... B... I. – Vincent czuł, jak narasta w nim złość.

– O czym ty mówisz? Macie mnie za kapusia? – Na twarzy Phila po raz pierwszy pojawił się niepokój. – Gdzie Don Domenico? Chcę z nim rozmawiać.

– Zadałem ci pytanie, Phil. I nie zamierzam go powtarzać, więc stul pysk.

Chris wcisnął pedał gazu. Minęli międzynarodowy port lotniczy. Phil nadal zachowywał spokój. Można było odnieść wrażenie, że uważa to za drobne nieporozumienie, ale tak naprawdę wszystko się

w nim gotowało. Serce biło mu szybciej niż zwykle. Dokąd zmierzali? Na lotnisko? Wybór miejsca wydał mu się dobrze przemyślany. Zaczekają, aż jakiś samolot zejdzie do lądowania, i wtedy go zastrzelą. Nikt nic nie usłyszy. Wiedział, że takie sytuacje się zdarzały.

Vincent przyglądał mu się. Widział, że jest świadomy, co go czeka. Nie będzie błagał, żeby mu darowali życie. Odejdzie z tego świata tak, jak żył. Jak człowiek honoru.

Minęli lotnisko i Chris rzeczywiście po chwili skręcił.

– Vincent... – odezwał się Phil. – Dlaczego to robisz? Ja nikomu nie doniosłem.

– Pytałem cię już o to, Phil – odpowiedział Vincent cicho.

– To jakieś szaleństwo!

Chris skręcił w prawo. Spojrzał w lusterko, żeby się upewnić, że Salvatore jedzie za nimi. Lotnisko zniknęło w oddali. Phil odetchnął z ulgą. Może członkowie rodziny zebrali się gdzieś, żeby go powitać po wyjściu z aresztu? Pewnie tak właśnie było. Byłby to co prawda dość specyficzny żart, ale Calogero miewał różne pomysły.

– Odłóż pistolet, Vincent. Pewnie nawet nie jest naładowany – powiedział. – Prawie mnie nabrałeś. – Uśmiechnął się.

– O czym ty mówisz?

Twarz Vincenta Giordano nie zdradzała żadnych uczuć. Phil słyszał już o młodym człowieku, który w krótkim czasie został faworytem Don Domenica. Przyszły przywódca. Znał jego historię. I nagle miał już pewność: nie czeka go żadne przyjęcie powitalne.

Wjechali na tereny przemysłowe. Samochód zatrzymał się przed dużą zardzewiałą bramą. Phil podniósł głowę i spojrzał na wiszącą na niej tablicę: Rzeźnia Raya. Zamknął oczy.

Salvatore zatrzymał się obok nich. Wysiadł z samochodu, otworzył bramę i dał im znać ręką. Wjechali do wielkiej hali, brama zatrzasnęła się za nimi z hukiem. Vincent i Chris wyciągnęli go z tylnego siedzenia. Duża hala była pusta, tylko z sufitu zwisały potężne haki. Stara rzeźnia była nieużywana już od co najmniej trzech lat. To Chris ją znalazł. Widząc, jak sprawnie spuszcza jeden

z haków, Vincent pomyślał, że najwyraźniej nie robi tego po raz pierwszy.

– Phil, nie znamy się długo, ale pamiętam, że zawsze cię podziwiałem, kiedy jeszcze byłem młodym chłopakiem. Więc proszę, przyznaj się, co im powiedziałaś, a wszystkim nam ułatwisz sprawę.

Po policzkach tęgiego mężczyzny popłynęły łzy.

– Na nikogo nie doniosłem, nic nikomu nie zrobiłem. Zwolnili mnie, bo nic na mnie nie mają.

– Nie opowiadaj bajek – przerwał mu Vincent. – Rozbierzcie go i powieście na haku – powiedział do Chrisa i Salvatorego.

Phil postanowił walczyć. Przewrócił obu mężczyzn, szurnął nimi po podłodze, jakby byli szmacianymi lalkami, i rzucił się na Vincenta. Już dawno nie ruszał się tak szybko. Vincent widział panikę w jego oczach. Biegł na niego z rozłożonymi rękami. W jego wzroku była desperacja.

Huk odbił się echem od ścian. Phil padł z krzykiem na betonową podłogę. Vincent położył pistolet na masce samochodu i podszedł do niego. Mężczyzna skręcał się z bólu. Tłustymi dłońmi trzymał się za zakrwawione kolano.

– Właśnie tego chciałem uniknąć, Phil. Pytam cię po raz ostatni – powiedział, stając na jego roztrzaskanym kolanie.

– Na nikogo nie doniosłem!

Vincent nachylił się nad nim i wyszeptał:

– Niech cię szlag, Phil. Niech cię szlag!

Chris i Salvatore zaczęli ściągać z Phila ubranie. Zaciągnęli go pod hak, który teraz zwisał tuż nad podłogą, i wbili mu go w plecy. Phil zaczął krzyczeć, ale to było nic w porównaniu z tym, co nastąpiło w chwili, kiedy zaczęli go unosić do góry. Vincent nigdy w życiu nie słyszał takich dźwięków. Jako nastolatek słyszał krzyki rodzącej kobiety. Krzyczała z bólu i z radości. Człowiek, który przed nim wisiał, krzyczał z bólu i ze strachu.

– Wrzeszczysz jak zarzynane prosię! – powiedział Chris ze śmiechem i spojrzał na Vincenta.

Vincent się nie uśmiechnął, Chris zamilkł. Phil wisiał metr nad

podłogą, wyglądał na nieprzytomnego. Nawet nie próbował się poruszyć. Histeryczne krzyki zastąpiło ciche pojękiwanie. Na podłodze zebrała się niewielka kałuża krwi. Skapywała z rany na plecach. Nagle usłyszeli, że Phil coś mamrocze.

– Co mówisz, Phil?

– Domenico... – wydukał z trudem. Każdy oddech sprawiał mu ból.

– Chcę rozmawiać z Domenikiem.

– To niemożliwe. Powiedz mi, co chciałeś mu powiedzieć, i miejmy to z głowy. Jak nie, to zaraz wyjdę na kilka minut, a Chris i Salvatore zrobią, co trzeba.

– Idź do diabła. Nie ma znaczenia, co wam powiem, wydaliście już na mnie wyrok śmierci.

– Jak chcesz, przyjacielu.

Vincent wyszedł i zapalił papierosa. Ze środka dochodziły odgłosy razów i żałosne pojękiwania Phila. Tracił resztki sił. Deszcz przestał padać, niebo było pełne gwiazd, w powietrzu czuć było lekki mróz. Jezdnia zrobi się śliska, w drodze powrotnej będą musieli uważać. Nie mógł się doczekać lata. Wtedy jego klub stanie już na nogi, pieniądze zaczną płynąć, wszystkie przykre sprawy zostaną zapomniane. Nikt nie będzie się przejmował martwym kapusiem.

Zgasił papierosa, włożył niedopałek do pudełka. Tłuścioch zapewne już nie żył. Odgłosy razów ucichły, ustały też pojękiwania. Jedyne, co słyszał, to głosy Chrisa i Salvatore, i warkot silników przelatującego nad nim nowego statku flagowego Boeinga. Ogromnego odrzutowca, który do tej pory widział jedynie na zdjęciach w czasopismach. Kółka zniknęły w podwoziu. Pomyślał, że właśnie tam, w środku, powinien w tej chwili być. W drodze w jakieś ciepłe miejsce, gdzieś, gdzie poczułby biały piasek między palcami, gdzie podawano by zimne drinki, gdzieś, gdzie byłyby wspaniałe dziwki.

– Coś w końcu wydusił – powiedział Chris, wychodząc do niego.

– Nie przyznał się, że donosił, ale kiedy wsadziłem mu to w tyłek...

– machnął cienkim prętem pod napięciem, który najwyraźniej został tam jeszcze z czasów, kiedy Ray miał rzeźnię – to...

– Oszczędź mi szczegółów – przerwał mu Vincent. – Co powiedział?

– spytał, nie podchodząc do bezkształtnego ciała.

– Powiedział, że spijał śmietankę. Że nie zawsze uczciwie się rozliczał, chociaż w grę nie wchodziły jakieś wielkie sumy, w sumie może kilkaset tysięcy. Nie dał się złamać, cholernik.

– Nie żyje?

Obaj mężczyźni przytaknęli. Vincent podszedł do Phila. Najwyraźniej jednak jeszcze żył, oddychał, a za każdym oddechem w jednej z dziurek jego nosa pokazywał się bąbelek powietrza z krwią.

– Żyje. Ale na pewno już nic nam nie powie – stwierdził Vincent.

– Mamy go dobić? – spytał Salvatore.

Vincent zrobił dwa kroki do tyłu i spojrzał na nagie, poranione ciało. Ręce i nogi połamane, tors fioletowy. Niewiarygodne, że przeżył. W tłustym ciele nie było jednej kości, która byłaby cała. Gruba warstwa tłuszczu nic mu nie pomogła. Skóra spełniła rolę worka, w środku wszystko było w tysiącu kawałków.

– Nie, niech tak wisi.

*Niedziela, 14 czerwca
Fredrikstad*

ANI GODZINNA PODRÓŻ, ani filiżanka kawy po drodze nie postawiły go na nogi. Siedział w sali konferencyjnej na trzecim piętrze w komisariacie we Fredrikstad i walczył ze snem. Cekał na pozostałych członków zespołu dochodzeniowego. Było dwie po ósmej i już zaczął się zastanawiać, czy umówili się na ósmą, czy na dziewiątą. Sprawdził w komórce. Z wiadomości, którą otrzymał od Haugena, wynikało, że na ósmą. Wiadomość była napisana drukowanymi literami, a zamiast spacji były myślniki. Haugen nigdy nie był entuzjastą nowych technologii. Anton wstał z krzesła, podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz. Był cichy niedzielny poranek. Nagle usłyszał, że za jego plecami otwierają się drzwi. Odwrócił się i zobaczył Simonsena, technika. Odwrócił się z powrotem do okna, jakby nadal był w pokoju sam. Zobaczył, że na dziedzińcu na tyłach komisariatu wjeżdża biały opel Haugena.

– I jak, panie Kripos, kogoś pan podejrzewa? – rzucił Simonsen nieco arogancko, kładąc na stole najnowsze wydanie dziennika „VG”.

– Mam mniej podejrzanych niż ty śladów, co mówi co nieco o całej sprawie.

– To prawda, sprawa rzeczywiście jest wyjątkowa. Ciekaw jestem, co Haugen powie na ten artykuł...

– Tak – wymruczał Anton pod nosem. W napięciu przyglądał się pędzącemu ulicą skuterowi, był ciekaw, czy wyrobi się na zakręcie.

Do sali wszedł Sverre Klavestad. Pod pachą trzymał duży skoroszyt, a w dłoni kubek z kawą.

– Widzę, że nie ja jeden jestem spóźniony – powiedział nieco schrypniętym głosem.

– Dobra kawa? – spytał Anton, przyglądając mu się.

– Świeżo zaparzona. Zdążysz przynieść sobie kubek, zanim zjawią się pozostali.

Anton wyszedł z sali, ale usłyszał jeszcze, jak Klavestad woła za nim, żeby nie używał ekspresu w korytarzu, tylko nalał sobie z dzbanka w pokoju śniadaniowym. Minął drzwi kolejnego gabinetu i wszedł do pokoju na końcu korytarza.

Długie, proste, jasne włosy na tle niebieskiej koszuli munduru. Kobieta, która miała ją na sobie, stała plecami do niego i właśnie przelewała kawę z ekspresu do dzbanka. Nigdy nie przepadał za kobietami w mundurach, ale też chyba nigdy nie widział w mundurze kogoś takiego. Przyglądał się jej chwilę za długo. Odwróciła się i spojrzała na niego.

– Nie jestem podglądaczem – powiedział, wydymając policzki.

– Na pewno nie – odpowiedziała z uśmiechem. Odstawiła dzbanek z kawą i wyciągnęła do niego prawą rękę. – Martine Rieck. Anton Brekke, jak się domyślam?

Podał jej dłoń.

– Wszystko się zgadza. Co do joty, jak to się mówi. Mam nadzieję, Martine Rieck, że nie przelała pani całej kawy. Bo jeśli tak, to się pogniewam.

– Pogniewam?

– Czasem przechodzę do rękoczynów.

– Mam czarny pas, więc radzę uważać – zażartowała. – A kawę wystarczy dla nas obojga.

– Będzie pani na zebraniu? – spytał, zerkając na pagony na jej ramieniu: liść dębu i dwie gwiazdki, i żółty pasek po obu stronach.

– Wydział prawny...

– Zgadza się. Co do joty, jak to się mówi – uśmiechnęła się, a na jej policzkach pokazały się dwa dołeczki. – Pewnie powinniśmy zacząć.

Martine Rieck postawiła dzbanek i filiżanki na tacy i zniknęła w drzwiach. Anton ruszył za nią. Ten widok odpowiadał mu bardziej niż ten z okna. Szła korytarzem, elegancko jak kotka. Nie zauważył

obrączki na jej palcu. Będzie musiał się o niej dowiedzieć czegoś więcej od Haugena.

Simon Haugen stał przy stole w sali konferencyjnej, czerwony na twarzy, i wpatrywał się w stronę tytułową „VG”: „Śledczy w wodzie po próbie schwytania człowieka, który prawdopodobnie jest zabójcą”, głosił napis pod zdjęciem, na którym widniał ociekający wodą Haugen. Zdjęcie zajmowało połowę pierwszej strony, podczas gdy Wilhelma Martiniussena uhonorowano jedynie niewielkim zdjęciem paszportowym w prawym dolnym rogu.

– No, wspaniale. Widziałeś to, Anton?

– Tak. – Anton uśmiechnął się i nalał sobie kawy. – Widziałem je rano na stacji benzynowej. Do twarzy ci w tych mokrych włosach.

– Wypił porządny tyk kawy i uśmiechnął się do Martine Rieck.

– No cóż... – Haugen westchnął i usiadł na krześle. – Pora zaczynać.

– Spotykamy się właściwie tylko po to, żeby krótko podsumować to, co wiemy, i wprowadzić w sprawę naszą prawniczkę. W końcu to ona będzie nas reprezentować na konferencji prasowej... – powiedział Anton. – Za trzy godziny i pięćdziesiąt minut – dodał, zerkając na zegar wiszący na ścianie za plecami Haugena.

– Tak? – powiedziała Martine Rieck. Spojrzała na niego zaskoczona i uśmiechnęła się krzywo.

Anton też się uśmiechnął.

– Ja na pewno nie zamierzam w niej uczestniczyć. Stąd moja propozycja. Na małym ekranie z pewnością wypadnie pani lepiej ode mnie.

– Nie jestem tego pewna, ale w porządku.

– Właściwie nie wiemy dużo więcej, niż wiedzieliśmy wczoraj. Nora Røed Karlsen, narzeczona Wilhelma Martiniussena, nadal jest w szpitalu. Lekarz, z którym rozmawiałem rano, spodziewa się, że dzisiaj będą mogli ją wypisać.

Rozparty wygodnie na krześle Anton zreferował pokrótce notatki Haugena z wizyty w szpitalu. Wieczorem zdążył jeszcze sprawdzić informacje o pozostałych członkach zarządu Mardanu. Okazało się, że jedyną osobą, która miała już do czynienia z policją, był Frode

Moen. Jego nazwisko pojawiło się w Internecie na przełomie wieków, ale wówczas Anton nie interesował się szczególnie tym, co się działo na giełdzie. Był ostrożny w sądach. Moen nigdy nie został za nic skazany. Miał na koncie jedynie kilka mandatów za przekroczenie prędkości. Choć Anton musiał przyznać, że wyglądał jak przestępca. Długi, wąski nos, duże uszy, blisko osadzone oczy i niezwykle gęste krzaczaste brwi. Wyglądały jak dwie markizy.

Haugen oparł się łokciami o blat. Widać było napięte żyły pod skórą. Anton spojrzał na swoje chude blade ręce. Pomyślał, że powinien się trochę opalić. Opuścił rękawy koszuli. Nie chciał, żeby Martine Rieck przypadkiem zauważyła różnicę między jego rękami a rękami Haugena.

– Simon, miałeś okazję porozmawiać z adwokatem Martiniussena? – spytał. – Zakładam, że wie, kto dziedziczy po zmarłym.

– Tak, wie, ale jest w Hiszpanii. Był bardzo zainteresowany rozmową, ale nie przez telefon.

– Nie? Dlaczego?

– A kto to wie. Wiesz, jacy są adwokaci...

Martine Rieck odchrząknęła.

Haugen sięgnął po leżące przed nim papiery.

– Będzie tu w poniedziałek.

– Jutro? – spytała Martine.

– Tak, przyleci samolotem. O ósmej rano.

Anton przeniósł wzrok na Sverrego Klavestada.

– A co z tobą? Wiesz coś więcej?

– Niestety nie. W mieszkaniu znaleźliśmy włosy i krew, wszystko wystaliśmy do laboratorium.

– W porządku. Tak więc to wszystko, co na razie mamy. Jak tylko pojawi się coś nowego, zwołamy kolejne zebranie.

Kiedy Anton i Haugen wchodzili do gabinetu tego drugiego, z końca korytarza doszedł ich perlisty śmiech. Kiedy otworzyli drzwi, zrozumieli, co się stało. Nad krzesłem Haugena jakiś żartowniś powiesił kamizelkę ratunkową.

– I to mają być dorośli ludzie – zachnął się Haugen. Wyrzucił kamizelkę na korytarz i zatrzasnął drzwi.

– Stado owiec, powtarzam to nie od dziś – dodał Anton.

Żaden z nich się nie uśmiechnął. Haugen nie pamiętał, kiedy ostatnio było mu tak wstyd. To, że jego zdjęcie trafiło na pierwszą stronę największego dziennika w kraju, nie ułatwiało sprawy. Anton uznał, że to zabawne, ale to było wczoraj. Teraz zależało mu przede wszystkim na tym, żeby jak najszybciej ruszyć ze sprawą. Muszą się dowiedzieć czegoś więcej o interesujących ich ludziach.

Haugen usiadł za biurkiem, Anton na niewielkiej szafce pod ścianą. Haugen włączył komputer i zaczął coś czytać. Z korytarza nadal dochodził śmiech.

– Słyszysz tych pajaców? To naprawdę aż takie śmieszne?

– Haugen był wyraźnie poirytowany, mocno uderzał palcami w klawisze.

– Nie, chociaż najwyraźniej zdania są podzielone. A Martine Rieck?

– A co z nią? – Haugen, wyraźnie zdziwiony, podniósł wzrok znad ekranu.

Anton zastanawiał się, czy Vibeke Haugen udało się wykastrować męża. Na biurku stało duże zdjęcie Haugena, jego żony Vibeke i trojga ich dzieci. Vibeke była ładną kobietą, ale żeby nie zwrócić uwagi na Martine?

– No właśnie: co z nią? Nic o niej nie wiem.

– Od niedawna rozwódka, bezdzietna – powiedział Haugen. Skrzyżował ręce na piersi, odchylił się do tyłu. – Mieszka gdzieś w śródmieściu, ma psa, małego teriera, jeździ czerwonym polo. – Wydął wargi. – No i ma świra na punkcie zdrowego trybu życia. Jedyne, co je, to sałata.

– No proszę, widzę, że jesteś uważnym obserwatorem. Można by wręcz pomyśleć, że policjantem.

– Interesuję się ludźmi. Pojedziemy odwiedzić Moena? Mieszka w starym dworku w Torsnes.

– Dobrze. Gdzie szczeniak? Brakuje mi go. Jeśli się go dobrze wytresuje, będzie z niego niezły pies gończy. – Anton się uśmiechnął.

– O kim ty mówisz?

– O Torpie oczywiście.

– Jest na obchodach zakończenia roku. Wraca jutro. Stęskniłeś się?

– Stęskniłem jak stęskniłem. Nie jest szczególnie bystry, ale jest w porządku. Dobrze by mu zrobiło, gdyby nam potowarzyszył i zobaczył, jak wygląda prawdziwa policyjna robota. W przeciwieństwie do tego, co zwykle ma okazję oglądać.

– Spokojnie. Mamy tu wielu bardzo dobrych ludzi – przerwał mu Haugen.

Wiedział, do czego Anton zmierza. Ostatnio nadszarpnęła im opinię niska wykrywalność. Mieszkańcy mieli dosyć słuchania narzekań policji i ciągłych żądań, żeby im podwyższono pensje. Anton Brekke należał do ludzi, którzy uważali, że policji należy płacić według zasług – a te zasługi od jakiegoś czasu nie były szczególnie duże.

– No dobrze, jedźmy już.

Anton otworzył drzwi na dziedziniec, skłonił się i rzucił:

– Panie przodem.

Haugen uśmiechnął się krzywo. Najwyraźniej nadal cierpiał z powodu niefortunnego żartu z kamizelką ratunkową. Anton sięgnął po teczkę z dokumentami i zaczął przeglądać zdjęcia z miejsca zabójstwa. Pęknięte lustro, kałuża moczu na podłodze w windzie – jedyne dwa ślady świadczące o tym, że coś się tam wydarzyło. Nie wierzył, żeby Wilhelm Martiniussen miał jakiegokolwiek szanse. Jeszcze nigdy nie miał do czynienia z czymś takim. Wszystko zostało zrobione profesjonalnie – zabójca użył struny od pianina i nawet nie próbował ukryć ciała. Przypominało to stary film gangsterski, w którym ciało ofiary miało odstraszać i służyć za przestroagę. Po chwili schował zdjęcia do kieszeni przepastnej kurtki i nadal idąc, zaczął przeglądać notatki Klavestada.

– To spotkanie może być całkiem ciekawe, z tym Frodem...

– Haugen przerwał w połowie zdania, bo w tym momencie coś z hukiem upadło na ziemię. – Co to, na litość boską – wymamrotał, przyglądając się zszokowany leżącej na ziemi kamizelce ratunkowej.

– TRZYMAJ, HAUGEN! – rozległ się czyjś niski głos, a po chwili

z okna na drugim piętrze dał się słyszeć kolejny wybuch śmiechu.

– Kretyni – wrzasnął Haugen. – To jest sprzęt ratunkowy!

Reakcją na jego wybuch była kolejna salwa śmiechu.

– Wyluzuj, Simon. Do jutra te puste głowy o tym zapomną.
Wsiadaj, jedziemy do Torsnes.

Anton stał przy przednich drzwiach cywilnego mondeo. Żarty kolegów nie robiły na nim wrażenia.

FRODE MOEN szedł ścieżką prowadzącą przez nasyp w pobliżu swojego majątku w Torsnes. Obok niego biegł wierny towarzysz jego doli i niedoli, trzynastoletni owczarek alzacki. Frode spodziewał się, że w najbliższym czasie nie czeka go nic dobrego. Wiedział co prawda, że roczny zysk z jego niewielkiego udziału w Mardanie wystarczy, żeby przetrwał, a mając jeszcze kilka milionów na kontach zagranicą, nie musiał się obawiać biedy, ale o tych pieniądzach nie wiedział nikt, nawet jego żona. Mógł z nich korzystać jedynie w tajemnicy. To były środki odłożone na czarną godzinę. Na pewno nie mogły wystarczyć na to, żeby mógł zachować jacht, przy którym pracował przez kilka ostatnich miesięcy. Zamierzał wyjechać. Daleko. Zostawić za sobą kobietę, którą kiedyś poślubił, i dom, z którego kiedyś był taki dumny. Wszystko dokładnie zaplanował. Postanowił popłynąć jachtem w rejs dookoła świata. Po powrocie mógł ewentualnie zrobić to jeszcze raz. I jeszcze raz. Umrze zadowolony, na pokładzie, w kapitańskiej czapce na głowie, z kubańskim cygarem w ustach i kieliszkiem szampana w dłoni. I uśmiechem na ustach.

Teraz jego marzenie zaczęło się oddalać. A wszystko z powodu Nory Røed Karlsen. Nienawidził jej. Żałował, że nie zakończyła życia razem ze starym kozłem Martiniussenem. Patrzył, jak pies unosi łapę i oddaje mocz na potężny pień drzewa. Jego żona była w stajni. Spędziła tam całą noc, zajmowała się chorym koniem. Idąc ścieżką, widział szeroko otwarte wrota. Zobaczył, że do środka szybkim krokiem wchodzi dziewczynka. Mieszkała w sąsiednim majątku, ale często przychodziła odwiedzać ich konie. Chwilę później zobaczył, jak wybiega ze stajni. Za nią biegła jego żona, Margareth Moen. Krzyczała głośno. Nie słyszał, co dokładnie, dochodziły go jedynie pojedyncze słowa: że to chore, niech to szlag i diabli nadali. Że też ja

to znoszę, pomyślał. Najchętniej sprzedałby majątek, ale niestety nie należał do niego, tylko do jego żony. Czasem przychodziło mu do głowy, że mógłby wszystko puścić z dymem i wziąć niezłą sumkę z odszkodowania. Przyszło mu do głowy, że nadal ma taką możliwość. Wiele razy się nad tym zastanawiał. Kobieta, która była jego żoną, byłaby załamana, już samo to byłoby wystarczającą nagrodą. Niestety wadą tego pomysłu było to, że oboje wyładowałiby w pokoju hotelowym i byłiby zmuszeni szukać nowego mieszkania. Taka bliskość pewnie zakończyłaby się czymś jeszcze gorszym niż podpalenie. Uniósł głowę, spojrzał na niebieskie niebo i prażące słońce, zagwizdał na swojego przyjaciela i ruszył w stronę głównego budynku. Zamierzał przeciąć dziedziniec. Miał nadzieję, że żona go nie zauważy.

Skręcając z głównej drogi na długi podjazd, ciemne mondeo niemal cudem uniknęło zderzenia z zapłakaną dziewczynką. Haugen wcisnął hamulec i wyskoczył z samochodu.

– Wszystko w porządku?

Kucnął obok niej. Sztynna z przerażenia stała jakieś pół metra od zderzaka.

– Tak – powiedziała, szlochając.

Haugen otarł jej łzy z policzków.

– Mieszkasz tutaj? – spytał.

– Nie, przyszedłam tylko odwiedzić koniki. Mieszkam tam dalej – powiedziała, wskazując na zabudowania w oddali.

– Chcesz, żebyśmy cię odwieźli do domu?

– Nie wolno mi jeździć z nieznajomymi. – Dziewczynka przeciągnęła dłonią po twarzy i pobiegła dalej.

Z okna w kuchni Frode widział zbliżający się szary samochód. Nie spodziewał się gości, zastanawiał się, czy może to ktoś, kogo jego żona wezwwała do chorego konia. Samochód przejechał przez bramę między dwoma potężnymi kasztanami. Zatrudniony w majątku ogrodnik przyciął ich gałęzie tak, że przypominały ogromny brokuł. Samochód zatrzymał się w połowie zarośniętego trawą podjazdu. Moen zachował się jak wścibska sąsiadka: odciągnął firankę i zaczął

się przyglądać dwóm mężczyznom, którzy siedząc w samochodzie, pilnie studiowali jakąś kartkę.

Nie wyszedł na dziedziniec, zaczekał, aż zapukają do drzwi. Po chwili zapukali jeszcze raz. Otworzył dopiero za trzecim. Nie chciał, żeby ktoś sobie pomyślał, że nic tylko czeka na takie niezapowiedziane wizyty.

– Tak? – powiedział, stając w drzwiach.

– Simon Haugen. – Policjant przedstawił się i nie odrywając wzroku od Frodego, wskazał głową na kolegę: – Anton Brekke. Jesteśmy z policji. Prowadzimy dochodzenie w sprawie zabójstwa Wilhelma Martiniussena i chcielibyśmy zadać panu kilka pytań.

Frode spojrzał na legitymacje, które mieli na szyjach.

– Tak, oczywiście. Niech panowie wejdą. Tylko bardzo proszę zdjąć buty. Zwykle nanosicie ludziom do domów tonę błota. – Roześmiał się głośno.

– Zabawne – skwitował Anton z sarkazmem.

W samych skarpetach weszli do pełnego starych mebli pokoju. Anton usiadł na zniszczonej dwuosobowej kanapie. Miała pewnie z pięćdziesiąt lat, ale i tak wyglądała lepiej niż pozostałe meble.

– Piękne miejsce – pochwalił Haugen, rozglądając się. – Lubię mieszkania w starym stylu.

– Dziękuję. Osobiście cenię minimalizm, ale żona obcięłaby mi głowę, gdybym tu cokolwiek ruszył.

– Tak? – Haugen uśmiechnął się zdziwiony.

– To stary dwór, pod opieką konserwatora – powiedział Frode, przewracając oczami. – Żona dostała go w spadku. Jest w jej rodzinie od pokoleń. Zwykle przebywamy w skrzydle wschodnim, które jest urządzone trochę bardziej nowocześnie.

Skrzydło wschodnie, pomyślał Anton. Już miał go dość.

– Rozumiem. Ale...

– Odwiedziny policji – przerwał mu Frode. – No proszę. Ostatnim razem policja gościła tu kilka lat temu. Oczywiście nie wy, tylko te mądrale z wydziału przestępczości gospodarczej. Cieszę się, że na wyższym szczeblu są jednak ludzie z poczuciem sprawiedliwości.

Jeśli wolno mi tak powiedzieć.

– Tak? – Haugen wydawał się szczerze zdziwiony.

– Proszę nie udawać, że pan nie wie, o co chodzi – powiedział Frode. – Na pewno dokładnie mnie sprawdziliście, a ja nie jestem tak naiwny, żeby się tego nie domyślać.

Anton czuł, że arogancja i zadufanie mężczyzny zaczynają go irytować. Kiedy wchodzili, przedstawili się, powiedzieli, w jakiej sprawie przyszli, a Moen jak dotąd nawet słowem nie wspomniał o Martiniussenie. Anton wpatrywał się w jego twarz. Nie wydawał się zdenerwowany. Równie dobrze mogliby być przedstawicielami Czerwonego Krzyża, którzy przyszli zbierać na coś pieniądze. Albo nie był w żaden sposób zamieszany w zabójstwo Martiniussena, albo miał iście pokerową twarz. Anton nawet mu tego zazdrościł.

Haugen odkaszlnął.

– Proszę potraktować naszą wizytę jako przesłuchanie świadka. Nie ma pan obowiązku składać zeznań, ale jeśli się pan zdecyduje, proszę mówić prawdę. Świadome wprowadzanie policji w błąd jest karalne.

– Oczywiście.

– Wilhelm Martiniussen – zaczął Haugen stanowczym tonem. – Przyjaźniliście się?

– Byliśmy raczej kolegami niż przyjaciółmi. Proszę mnie źle nie zrozumieć – powiedział Moen, prostując się w krześle. – Owszem, przyjaźniliśmy się, ale spotykaliśmy się jedynie w sprawach służbowych, nigdy na gruncie prywatnym. A tak przy okazji... jak się czuje jego przemiła narieczona? Czytałem, że przeżyła.

– Wszystko z nią w porządku – odpowiedział Haugen i szybko przeszedł do kolejnego pytania: – Jak pan zareagował na wiadomość o tym, że Martiniussen postanowił się wycofać z kanadyjskiego projektu?

Moen westchnął i podrapał się za uchem.

– Jak zareagowałem... – Spojrzał w sufit, jakby się zamyślił. – Oczywiście z niedowierzaniem, byłem w szoku – powiedział, patrząc na Haugena. – A potem się wściekłem. Byłem naprawdę zły,

do tego stopnia, że nawet nie pamiętam, co mówiłem. Nie wykluczam, że mogłem palnąć coś, co nie zabrzmiało najlepiej.

– Tak? – spytał Haugen zaciekawiony.

– Powiedziałem, że dopuszczam taką możliwość. W złości człowiek mówi różne rzeczy. Mam tylko nadzieję, że mu nie groziłem – dodał. Uśmiechnął się niepewnie, a po chwili wybuchnął śmiechem.

– Gdzie pan był w piątek między godziną dziesiątą wieczorem a północą?

Haugen chciał zadać to pytanie dokładnie w tym momencie. Zwykle stawiał je na początku rozmowy, ale Moen zachowywał się tak arogancko, że tym razem odłożył je na później. Zaczekał, aż Moen trochę się odpręży i będzie zajęty analizowaniem tego, co powiedział przed chwilą.

– Byłem w domu z moją cudowną żoną. Piątkowy wieczór jest w pewnym sensie naszym wieczorem. Zwykle przygotowujemy coś dobrego do jedzenia, oglądamy jakiś film, miło spędzamy czas. W ciągu tygodnia mało się widzimy – powiedział Moen i po raz pierwszy naprawdę się uśmiechnął.

Pierwsze kłamstwo, pomyślał Anton. Pokerowa maska opadła. Był przekonany, że siedzący przed nim człowiek tkwi w małżeństwie, które jest chyba jeszcze bardziej nieudane, niż było jego własne.

– Co teraz zrobicie z Mardanem?

– Tego jeszcze nie wiemy. Nie zdążyliśmy jeszcze o tym porozmawiać. Poza tym o takie rzeczy musicie pytać adwokatów. Nie mogę odpowiadać na pytania dotyczące firmy. Nie mam takich uprawnień.

– To jest dochodzenie w sprawie o zabójstwo.

– Rozumiem, ale jak już mówiłem, informacje dotyczące firmy będą przekazywać nasi prawnicy.

Haugen skinął głową.

– Jest szansa, że projekt kanadyjski będzie kontynuowany?

– Niestety na ten temat nic jeszcze nie wiem. Będziemy musieli się nad tym zastanowić.

– A osobiście co pan sądzi?

– Osobiście nic nie sędzę.

– Jak przyjął pan wiadomość o śmierci Martiniussena?

– Jak już powiedziałem, byłem w szoku. Moja żona mi ją przekazała. Usłyszała w radiu.

– Ucieszył się pan?

Anton siedział odprężony na kanapie. Zadał pytanie spokojnie, nie odrywając wzroku od oczu Moena. Czekał na odpowiedź. Czuł, że Haugen zeszytywniał. On też się nad tym zastanawiał, ale nie zdobył się na taką bezpośredniość.

– Co takiego? – wydukał Moen. Wydawał się równie zaskoczony jak Haugen.

– Czy ucieszył się pan ze śmierci Wilhelma Martiniussena? Czy ma pan nadzieję, że teraz projekt jednak będzie kontynuowany i przyniesie zyski, o których pan przecież marzył?

– Jak pan śmie! – Moen wstał. – Proszę stąd wyjść! Proszę opuścić mój dom!

– Nie musi pan nas odprowadzać – powiedział Haugen. – I dziękujemy za rozmowę.

Moen stał i czekał, aż opuszczą dom. Jeszcze nigdy nie spotkał się z taką bezczelnością. Gdyby nie to, że nie chciał, by policja zaczęła się bliżej przyglądać jego interesom, złożyłby pisemne zażalenie zarówno do szefa policji, jak i do ministra sprawiedliwości. Trzasnął drzwiami, poszedł do kuchni i nalał sobie wody z kranu. Stare krzesło zatrzeszczało, kiedy na nim usiadł. Wyjrzał przez okno i zobaczył pozbawionego wszelkich manier jasnowłosego policjanta i jego towarzysza. Szli przez dziedziniec, najwyraźniej zamierzali też porozmawiać z jego żoną heterą. Zastanawiał się, czy dobrze odpowiedział na ich pytania. Czy właściwie zareagował na pytanie, czy ucieszyła go śmierć Martiniussena? Uznał, że tak. Gdyby się nie rozżłościł, a przynajmniej nie udawał, że czuje się obrażony, tylko odpowiedział szczerze, z pewnością siedziałby teraz na tylnym siedzeniu szarego mondeo z rękami skutymi kajdankami.

Anton i Haugen zatrzymali się w otwartych drzwiach stajni. Patrzyli na potężnie zbudowaną kobietę. Leżała na podłodze i delikatnie

gładziła konia. Margareth Moen była po czterdziestce, kilka lat młodsza od męża, ale za to kilka kilogramów cięższa. Potężne pośladki i uda ledwie się mieściły w obcistych jeździeckich spodniach.

– Jest chory? – spytał Anton, kucając.

Wzdrygnęła się i odwróciła do nich.

– Przykro mi, ale dzisiaj w stajni mogą być tylko ja.

– Może nam pani poświęcić dwie minuty? Jesteśmy z policji. Chodzi o zabójstwo Wilhelma Martiniussena.

– No tak, oczywiście. – Poklepała delikatnie konia. – Zaraz wracam, maleńki.

Chory koń parsknął i posłał je smutne spojrzenie.

– Straszna historia. Biedny człowiek – powiedziała, stając przed nimi ze złożonymi rękami.

Haugen wyrecytował formułkę o przysługujących jej prawach i spytał, czy dobrze знаła Martiniussena.

– Raczej nie, tyle co przez Frodego. To znaczy widzieliśmy się kilka razy i nawet zamieniliśmy ze sobą kilka słów podczas przyjęcia bożonarodzeniowego. Nigdy nie robił z siebie nikogo nadzwyczajnego. Bardzo miły człowiek. I bardzo spokojny.

– Co dolega koniowi?

– Nie mam pojęcia. Rano był weterynarz, pobrał próbki do analizy. Wróci wieczorem. – Odwróciła się i spojrzała w głąb stajni. – Biedny mały.

– Pani mąż twierdzi, że w piątek wieczorem oboje byliście w domu – powiedział Haugen, który nie bardzo się przejął chorym koniem.

Margareth Moen uniosła brwi i spojrzała na nich.

– Czyżbym była podejrzana?

– Ależ skąd, ale w takiej sytuacji musimy przesłuchać wszystkich najbliższych współpracowników i znajomych ofiary.

– W ciągu dnia byłam na wyścigach niedaleko Drammen.

Sympatyczna, miła kobieta nagle zniknęła.

– A wieczorem?

– Wróciłam do domu koło wpół do szóstej – odpowiedziała już

wyraźnie zła. – Zrobiłam coś do jedzenia. Zjedliśmy razem. Obejrzelśmy kawałek jakiegoś filmu i poszliśmy spać.

Haugen zapisywał coś w notesie.

– Wcześniej?

– Położyliśmy się o wpół do dziesiątej, a trzy i pół minuty później już spałam. To był długi dzień.

– Proszę nie mieć nam tego za złe – powiedział Haugen. – Jak już mówiłem, to rutynowe pytania. Proszę ich nie brać do siebie. Nikt pani o nic nie podejrzewa.

– Nie? To dlaczego wpadacie tu, stawiacie mnie pod ścianą i przesłuchujecie?

– Dziękujemy za rozmowę.

– To niech pan jeszcze dopisze, że dostałam rozwolnienia!
– Cofnęła się do stajni i zatrzasnęła za sobą wielkie wrota.

– Diablica – orzekł Anton, kiedy wsiadali do samochodu. – Jakby ktoś nagle wcisnął jakiś guzik. Była sympatyczna i miła, aż zapytałeś o piątek.

– Może powinienem był to sformułować trochę inaczej?

– Nie. Rozumiem, że zareagowała ostro, ale to było coś więcej. Nie wiem, komu z nich współczuję bardziej.

Haugen przekręcił kluczyk w stacyjce, dodał gazu i ruszył długim podjazdem w stronę bramy.

– To jest brama, nie meta, do której masz jak najszybciej dojechać.

– Anton, przestraszony jego zawziętością, usiłował go poskromić.

– Przepraszam, nie wiem, co mnie naszło – odpowiedział Haugen. Najwyraźniej myślami był gdzie indziej.

Zastanawiał się nad tym, o czym chwilę wcześniej rozmawiali z Moenem. On i Martiniussen najwyraźniej nie byli przyjaciółmi ani nawet dobrymi znajomymi. A jednak nie potrafił sobie wyobrazić, żeby to Moen stał za zabójstwem. Gdyby chciał pozbawić Martiniussena życia, zrobiłby to tutaj. Zwiabiłby go i zastrzelił. Albo pozbawił go życia inaczej. Na pewno nie wynająłby nikogo do wykonania brudnej roboty. A to było zabójstwo na zlecenie. Zabójca wiedział, co robi. To nie był jego pierwszy raz. To by tłumaczyło

przebieg wydarzeń i to, że oszczędzono kobietę. Ofiara miała być jedna, za to mu zapłacono.

– Kiepsko kłamie – stwierdził Anton.

– Dlaczego tak twierdzisz? – spytał Haugen. Zdążył już nieco ochłonąć i się uspokoić.

– To, co mówił o piątkowym wieczorze, to kłamstwo. Moja piękna żona i ja... Bzdura. Ich małżeństwo jest równie szczęśliwe jak małżeństwo... – Urwał, próbując sobie przypomnieć nieudane małżeństwo jakichś celebrytów. – Jak małżeństwo Ike'a i Tiny Turnerów.

Czytał o nich kiedyś w jakimś kolorowym piśmie.

– Co? Myślisz, że ją bije? – zaniepokoił się Haugen.

– Nie, Simon, to był tylko taki przykład. – Anton wyjrzał przez boczną szybę.

– Powiedziała, że usnęła zaraz po tym, jak się położyła. Powiedzmy, że koło dziesiątej. Więc Moen miał wystarczająco dużo czasu, żeby pojechać na Kråkerøy i wrócić. Wieczorem nie zajęłoby mu to więcej niż dwadzieścia minut w jedną stronę.

– To prawda, ale osobiście nie sądzę, żeby kogoś zabił – upierał się Anton.

– Nie? Niejeden raz dowiódł, że raczej nie ma skrupułów.

– Pamiętaj, że nigdy nie został za nic skazany. Jedyne, co ma na sumieniu, to miłość do pieniędzy. Ale to nie czyni go zabójcą. Nie on jeden lubi pieniądze. Ja też lubię.

– Tak, ale pamiętaj, że tu chodzi o bardzo dużo pieniędzy. Za takie miliony nawet ja mógłbym kogoś zabić – powiedział Haugen i uśmiechnął się, żeby podkreślić, że oczywiście żartował.

– To rzeczywiście suma, która może wiele w życiu człowieka zmienić. Dobrze, poproszę kogoś, żeby sprawdził nagrania z monitoringu z Hydro Texaco i z ronda St. Croix, i jeszcze z tej drugiej stacji benzynowej na Kråkerøy. Niech zwróci uwagę na białego range rovera i ewentualnie inne pojazdy, którymi jeździ. Między wpół do dziesiątej a północą w piątek.

Haugen pokiwał głową. Tak czy inaczej zamierzał to zrobić.

– Ale! – krzyknął Anton tak głośno, że Haugen podskoczył za kierownicą. – To ślepy zaułek. Ale niech sprawdzą. I tak nie mają nic lepszego do roboty.

Tym razem Haugen – mając świeżo w pamięci kamizelkę ratunkową – nie stanął w obronie kolegów.

Niedziela, 24 lutego 1963

New York City

MINĘŁY CZTERY DOBY od chwili, kiedy Vincent Giordano zostawił grubego Phila wiszącego na rzeźniczym haku, skazując go tym samym na pewną śmierć. Przez kilka pierwszych dni właściwie w ogóle o nim nie myślał. Tłumaczył sobie, że Phil – łamiąc *omertà*, najświętszą obietnicę – wiedział, że musi się liczyć z konsekwencjami. To nie było przyjemne, ale zdawał sobie sprawę, że sprawiedliwość bywa brutalna. Phil, ten tłusty wieprz, sam zdecydował o własnym losie w chwili, kiedy doniósł policji. A poza tym on nie miał wyboru. Gdyby odmówił wykonania polecenia, pewnie skończyłby w jakiejś beczce na dnie Atlantyku.

Czwartego dnia siedział na krześle w swoim mieszkaniu i wyglądał przez okno. Na dachu domu naprzeciwko – podobnie jak cztery dni wcześniej – dwóch łobuziaków rzuciło śnieżkami. Nagle poczuł się chory. Kiedy siadał na krześle, leżąca obok paczka papierosów była pełna, teraz zostały tylko dwa. Wiedział, że za chwilę sięgnie po kolejnego. Na parapecie leżał kawałek chleba, ale nie był w stanie go zjeść. Nie był w stanie nawet po niego sięgnąć. Nie miał siły na nic. Klub, który wkrótce miał otworzyć, też przestał go interesować. Chciał wyjechać. Było mu niedobrze, miał mdłości. Najchętniej wyskoczyłby przez okno i roztrzaskał się na podwórzu. „Nie ma żadnych wątpliwości”. Tak powiedział Calogero. On też nie miał wątpliwości. Aż do dzisiaj, do chwili, kiedy przyjaciel zjawił się u niego niezapowiedziany i dał mu stare zdjęcie z wypisanym na odwrocie nazwiskiem, co znaczyło, że Tłuścioch Phil był niewinny. To nie on zabił Eda Goldsteina i nie on donosił. Wszystko, co wtedy mówił, okazało się prawdą.

Zagryzł zęby i zamknął oczy. Powinien był się domyślić. Nikt by nie

wytrzymał takich tortur. Schylił się i podniósł z podłogi zdjęcie. Przeczytał głośno ręcznie napisane słowa: Tommy Mitchell, 1925–1963. Calogero zabawił się, podając datę urodzenia i datę przewidywanej śmierci. Tylko on mógł wpaść na taki pomysł i jeszcze uznać, że to zabawne.

Vincent nie znał człowieka. Na zdjęciu wyglądał na niegroźnego. Calogero twierdził, że to właśnie on przekazał im, że Phil donosił FBI. Tommy Mitchell nie przekazał im jednak, że sam był dłużnikiem Tłuściocha. Był mu winien pięć tysięcy dolarów – plus odsetki. Suma rosła z każdym dniem. Doszedł więc do wniosku, że za jednym zamachem może się pozbyć i długu, i Phila.

Tommy Mitchell był śledczym i miał upodobanie do wszystkiego, co zabronione. Szczególny pociąg czuł do prostytutek i hazardu. Wymyślił więc historię, na którą rodzina Locatellich dała się nabrać. Gdyby Phil po wyjściu z aresztu zdążył się skontaktować z kimś z rodziny, jego plan byłby zagrożony – w końcu Phil Piletti naprawdę nie miał nic wspólnego z zabójstwem. Ale prasa nagłośniła sprawę, co stawiało Don Domenica – który robił, co mógł, żeby uchodzić za uczciwego przedsiębiorcę – w jak najgorszym świetle. Dlatego Phil postanowił poczekać kilka dni z wizytą u głowy rodziny. Miał nadzieję, że do tego czasu uda mu się załatwić kierowanej przez siebie firmie korzystny kontrakt, który przyniosłby rodzinie spory zysk. Jego plan się jednak nie powiódł, a teraz wyglądało na to, że Mitchell, którego zamysł w swojej prostocie wydawał się genialny, też skończy – w cemencie.

Na dachu pojawiło się nagle dwóch policjantów. Zaczęli okładać chłopców pałkami. Razy padały jeden za drugim, chłopcy leżeli na dachu i próbowali chronić twarze. Policjanci wrzeszczeli na nich tak, że słyszało ich pół Brooklynu. Jeśli jeszcze raz was tu zobaczymy, to was zabijemy! Cholerne łobuzy!

Już nigdy potem Vincent nie widział chłopców bawiących się na dachu.

Sięgnął po ostatniego papierosa, włożył do ust i zapalił. Myślami ciągle wracał do tamtego dnia: czekali na niego na ulicy przed

burdelem, potem samochód i rzeźnia. To był jego chrzest bojowy, w końcu stał się częścią świata, o którym zawsze marzył. Oczywiście wiedział, że takie rzeczy się zdarzają, ale było mu z tym ciężko. Nie było ważne, kto wykonał brudną robotę. Przyczynił się do – powiedzmy szczerze – zaslachtowania człowieka honoru, i to całkowicie niewinnego, przynajmniej jeśli chodzi o to, o co go oskarżono – trudno było udźwignąć tę świadomość. Żeby zakończyć sprawę Phila, musiał wykonać jeszcze jedno zadanie. Jego ofiara kończyła właśnie pracę w komisariacie policji niedaleko cmentarza Cypress Hill. Powiedział, że tym razem chce to zrobić sam. Szybko i sprawnie.

I o ile to możliwe, względnie bezboleśnie.

Siedział za kierownicą granatowego forda. Jechał wąską ślepą uliczką koło cmentarza, którą zwykle jeździli kierowcy karawanów wiozący zmarłych w ich ostatnią podróż. W radiu Frank Sinatra śpiewał *I Get a Kick Out of You*. Nastawił radio głośniej, nucił razem z Sinatrą, rozglądając się dookoła. Kiedy Tommy Mitchell kończył wieczorną zmianę, zwykle skracał sobie drogę i szedł przez cmentarz. Vincent wyłączył silnik i został w samochodzie, czekał, aż Sinatra przestanie śpiewać.

Założył na lufę tłumik. Wysiadł. Przeszedł bezgłośnie po białym śniegu, który pokrywał cmentarz, i zajął pozycję przy wielkim grobowcu, właściwie mauzoleum. Według inskrypcji nad wejściem znajdowały się w nim ciała rodziny Hesslerów. Nie miał pojęcia, co to byli za ludzie ani jak się tam znaleźli. Najwyraźniej jednak rodzina była zamożna i chciała zadbać o to, żeby potomni jej nie zapomnieli. Vincent rozejrzał się po pustym cmentarzu. Wyglądało na to, że jest sam. Ostrożnie pokonał trzy stopnie prowadzące do mauzoleum i ukrył się za jedną z dwóch potężnych kolumn zdobiących wejście. Miał stamtąd widok na północną bramę. Wychodząc z domu, spojrzął na termometr. Dwa stopnie poniżej zera, ale ostry wiatr sprawiał, że miał wrażenie, iż jest co najmniej minus dziesięć.

Ostrożnie położył pistolet na najwyższym stopniu i zaczął pocierać dłonie, żeby się rozgrzać. Miał nadzieję, że policjant już się zbliża.

Tommy Mitchell przeszedł szybko przez ulicę i przez północną bramę wszedł na cmentarz. Było późno, był zły, że w taki dzień zostawił samochód w domu. Mógłby od razu pojechać do dwóch dziwek, które już na niego czekały w burdelu w Harlemie. Uśmiechnął się pod nosem. Poczuł się bogatszy o całe pięć tysięcy dolarów. Właściwie zamiast jechać do taniego burdelu w Harlemie mógł zaszaleć i zafundować sobie coś lepszego. Ale przecież jutro też jest dzień. Przyspieszył, prawie biegł wąską ścieżką między grobami. Ale najwyraźniej nie tylko on się spieszył. Słyszał za sobą kroki, były coraz bliżej, ale nie chciało mu się odwracać. Był policjantem, najlepszym w Nowy Jorku. Kto by chciał z nim zadzierać. Poczuł się nieśmiertelny. Kilka dni wcześniej oszukał nie tylko swoich kolegów, ale i Calogera Locatellogo i Don Domenica. Na pewno byli świadomi tego, że ma dług wdzięczności wobec policjanta, który im wydał kapusia. Donosiciela. Kogoś, kto mógłby obalić całe ich imperium. Znow się uśmiechnął.

– Tommy Mitchell – rozległ się niski głos tuż za nim. – Najbardziej gówniany glina w całym tym gównianym mieście.

Mitchell się zatrzymał. Odwrócił się.

– Kto tam? Jestem policjantem i mam broń!

Zobaczył ciemną postać. Czekał, aż powie coś więcej. Może uda mu się skojarzyć głos z twarzą. Zrobił krok do przodu, zobaczył pistolet w ręku nieznanego. Przeklinał władze samorządowe, że w latarniach okalających cmentarz nie wymieniły żarówek na mocniejsze. Ale najbardziej przeklinał siebie za to, że zostawił służbowy pistolet w torbie.

– Nie wiesz, kim jestem? – powiedział głośno.

– Phil Piletti przesyła ci pozdrowienia zza grobu – odezwał się ponury głos.

– Nie...

Nawet w ciemnościach Vincent widział, że Tommy Mitchell zrobił się biały jak kreda. Uniósł rękę i jednocześnie pociągnął za spust. Dwa celne strzały trafiły jasnowłosego policjanta w pierś. Padł na ziemię. Vincent podszedł bliżej, zatrzymał się obok bezwładnego ciała i opróżnił magazynek, celując w klatkę piersiową. Gdzieś z daleka doszły go jakieś głosy. Rozejrzał się, ale nikogo nie zauważył. Pewnie jakiś pijaczyna. Chwycił policjanta za ramiona i odwrócił na plecy. Zobaczył na śniegu drobne czerwone plamy. Gdyby to od niego zależało, zostawiłby bydlaka na cmentarzu, ale polecenie było wyraźne: Mitchell miał zniknąć – na zawsze. Zastrzelony policjant mógł wywołać niepotrzebny niepokój w podziemnym światku. Dlatego musiał zniknąć. Don Domenico nie potrzebował w tym momencie rozgłosu ani zainteresowania prasy, chociaż on sam wolałby, żeby ciało zostało na cmentarzu, ku przestrodze.

Ruszył przez cmentarz. Minął mauzoleum, zszedł ze wzgórza i wy dostał się na uliczkę, przy której zostawił samochód. Wrzucił ciało do zabezpieczonego folią bagażnika.

Był przekonany, że poczuje się lepiej, kiedy ciało Mitchella spocznie na placu budowy należącym do firmy Eda Goldsteina.

Niedziela, 14 czerwca
Fredrikstad

W WIADOMOŚCIACH o godzinie trzynastej radiowy program czwarty nadał fragment konferencji prasowej, w której Martine Rieck uczestniczyła godzinę wcześniej. Odbyła się w sali konferencyjnej w hotelu Radisson. Tak naprawdę nie był to fragment, tylko całość jej wystąpienia. Rozczarowani przedstawiciele prasy musieli się zadowolić informacją, że mają bardzo „niewiele śladów”, że policja „czeka na raport z obdukcji” i że „trwają przesłuchania świadków”. To ostatnie nie było zresztą prawdą: policja rozmawiała po prostu z najbliższymi współpracownikami Wilhelma Martiniussena.

Haugen ściszył radio i chwycił mocniej kierownicę. Anton patrzył na niego zdziwiony. Przyjaciel siedział w dziwnej pozycji. Nachylony nad kierownicą, trzymał ją tak mocno, że zbieleły mu knykcie. W skupieniu patrzył przed siebie. Wyjechał z dziedzińca i ruszył w kierunku centrum.

– Co się z tobą dzieje? Prowadzisz jak stara babcia – powiedział Anton, przyglądając mu się uważnie.

– Boli mnie.

– Plecy? Chcesz, żebym poprowadził?

– To nie pomoże.

– Jasne, że pomoże. Rozłóżysz sobie fotel. – Anton pociągnął za wajchę obok fotela i położył go niemal poziomo. – Jesteś za wysoki. Kręgosłup nie wytrzyma takiego obciążenia. Duże dłonie nic tu nie pomogą – dodał, drażniąc się z nim. – Simon?

– Fotel nic mi nie pomoże – upierał się Haugen.

– Wróć na komisariat i łyknij coś przeciwbólowego. Skoro ledwo siedzisz, na pewno nie będziesz w stanie chodzić.

– Wziąłem już coś przeciwbólowego – powiedział Haugen z rozpaczą. – Mam hemoroidy!

– To je usuń!

– To podobno bardzo bolesny zabieg. Mój szwagier po operacji spał w nocy na stojąco.

Anton uśmiechnął się pod nosem.

– Bardzo zabawne – warknął Haugen. – Gdybyś to ty miał hemoroidy, leżałbyś teraz w domu.

– Jasne. Zatrzymaj się tu na chwilę – powiedział Anton, wskazując na kiosk przy dworcu autobusowym. – Kupię sobie hot doga.

– Nie wjadę na przystanek – oświadczył Haugen i zatrzymał się na chodniku naprzeciwko dworca. – Będziesz musiał kawałek podejść.

– Boże drogi – westchnął Anton bezradnie. – Przecież tu nie ma żadnego autobusu, a ja potrzebuję pół minuty.

– Nie, nie wjadę na dworzec. Są pewne granice. Nie wolno nam wszystkiego.

– Cholerny służbista – rzucił Anton i wysiadł.

Bjørn Danielsen siedział na dużym balkonie na piętrze swojego domu. Miał na sobie biały T-shirt i szorty w kolorze khaki. Po raz drugi przeglądał trzy największe krajowe dzienniki, popijając kolejną whisky, trzecią tego dnia.

Nadal nie mógł tego pojąć. Że już nigdy nie usłyszy podnieconego głosu Wilhelma. Że już nigdy nie pojedą razem na ryby, nie będą prowadzić niekończących się rozmów i popijać starego koniaku. Najbardziej będzie mu brakować rozmów. Rozmów o tym, co było, i o tym, co będzie. O firmie, o ich Mardanie. Wilhelm był dla niego kimś bardzo bliskim, kimś więcej niż przyjacielem. Był dla niego bratem. Nie potrafił powiedzieć, jak by skończył, gdyby nie Wilhelm. Pewnie w jakimś biurze z roczną pensją w wysokości może pół miliona, a może nawet nie.

Opróżnił szklanekę i spojrzał na ogród, królestwo jego żony, Evy. Sama nie pracowała w nim często, ale zatrudniała fachowców,

którym dokładnie tłumaczyła, jaką ma wizję. Najważniejszy jest efekt końcowy, powiedziała kiedyś, kiedy spytał ją, dlaczego sama się nim nie zajmie. Na środku ogrodu stał prezent, który dostali od Wilhelma na srebrne wesele: fontanna o średnicy prawie pięciu metrów. Bezwzględnie najpiękniejszy ze wszystkich prezentów, jakie wówczas dostali. Do fontanny dołączona była kartka, biała ze złotym napisem: „Dla moich najdroższych przyjaciół Bjørna i Evy. Z najlepszymi życzeniami z okazji dwudziestopięciolecia ślubu. Wasz przyjaciel Wilhelm”. Przeczytał kartkę kilka razy, zanim ją schował pod „Aftenposten”. Złożona gazeta leżała na niewielkim okrągłym stoliku.

Wrócił myślami do letniego wieczoru w środku lipca, trzydzieści lat wcześniej. Siedzieli na schodach jego rodzinnego domu i zastanawiali się, jak nazwać firmę. Szukając możliwych kombinacji, napisali na kartce swoje imiona. Wilhelm zaproponował Danmar, żeby dać mu pierwszeństwo, ale on się sprzeciwił. Wilhelm wnosił do firmy więcej pieniędzy, więc oczywiście powinien być na pierwszym miejscu. Po długich namowach Wilhelm w końcu ustąpił i tak zaczęła się ich przygoda.

– Bjørn? – doszedł go z werandy głos Evy.

Otarł łzy, nie chciał, żeby żona je zauważyła. Odwrócił się:

– Tak?

– Przyjechała policja. Chcą z tobą rozmawiać. Chodzi o Wilhelma.

Wypił jeszcze jeden łyk whisky, żeby uspokoić nerwy, i powoli zszedł na dół. Zatrzymał się przy końcu schodów. Potrzebował chwili, żeby wziąć się w garść. Wchodząc do pokoju, spojrzął na dwóch funkcjonariuszy. Wyższy najwyraźniej postanowił stać, natomiast drugi zdążył się już rozgościć. Zajął miejsce na kanapie i w najlepsze jadł hot doga z grubą warstwą sałatki z krewetkami. Bjørn spojrzął na Evę. Dała mu ręką znak, żeby wszedł.

Anton Brekke w pierwszej chwili go nie zauważył. Był zbyt zajęty rozglądaniem się po domu. Powiódł wzrokiem po salonie. Raz, potem drugi. Bywał w wielu domach, ale ten był wyjątkowy. Schody na piętro biegly po obu stronach holu. Marmurowa podłoga, z sufitu

zwisał ogromny żyrandol. Na ścianach wzdłuż schodów wisały obrazy w dużych ozdobnych ramach. Po prawej była jadalnia. Zaczął liczyć stojące przy stole wysokie krzesła, doszedł do szesnastu.

Salon przypominał mu zdjęcia zamku. Czerwone otomany z nóżkami z mosiądzu w kształcie lwich łap. Nad kominkiem wisał olejny portret przedstawiający Danielsenów.

Spojrzał na swoją rękę z hot dogiem. Powinien był postuchać Haugena, który radził mu, żeby zjadł go, zanim wejdą do środka.

– Dzień dobry – powiedział Bjørn Danielsen i podał Haugenowi rękę.

– Simon Haugen. Z policji.

Anton wstał, przełożył hot doga do drugiej ręki, strzepnął ze spodni okruchy i podał rękę Danielsenowi.

– Anton Brekke – przedstawił się. – Przepraszam za to jedzenie, ale...

– Proszę się nie przejmować. – Danielsen się uśmiechnął. – Mogę zaproponować coś do picia?

– Nie, dziękuję – odpowiedział Haugen.

– A pan? – Danielsen spojrzał na Antona. – Coś żeby ugasić pragnienie?

– Nie odmówię. Poprosiłem o ketchup z chili – powiedział, wskazując na hot doga. – Ostry.

– Eva, podasz panu szklanekę wody z lodem?

Kobieta wyszła z salonu. Bjørn Danielsen opadł na niewielką dwuosobową kanapę naprzeciwko, Haugen nadal stał.

– Policja już coś wie? – spytał Danielsen, zwracając się do nich obu.

Anton podniósł do góry dwa palce, jakby chciał zasygnalizować, że zaraz odpowie. Jadł szybko, w końcu przełknął ostatni kawałek kiełbaski.

– Sprawdzamy pewne sygnały – skłamał.

– Dobrze. To były ciężkie dni, dla mojej żony i dla mnie. Zamierzałem nawet zadzwonić i spytać, czy mógłbym być w czymś pomocny, ale uznałem, że w razie czego na pewno sami się ze mną skontaktujecie.

Wyglądał na zmęczonego. Pod oczami miał worki, był nieogolony, włosy miał w nieładzie. I było mu wszystko jedno. Był w żałobie.

Eva Danielsen wróciła z dużą oszronioną szklanką z wodą z lodem i z podstawką pod szklankę. Postawiła ją na stole przed Antonem i usiadła na kanapie obok męża.

– Cudownie – westchnął Anton i wypił tyk wody.

Postawił szklankę na podstawce i spojrzał na Evę. Jej zadbaną twarz okalały długie włosy. Nad górną wargą po prawej stronie miała dwa pieprzyki. W młodości musiała być uderzająco piękna, pomyślał. Jego spojrzenie powędrowało do zdjęć wiszących na ścianie za Danielsenami. Na wielu z nich był też Wilhelm Martiniussen. Danielsenowie i Wilhelm na tle wieży Eiffła w Paryżu. Eva między nimi. Podobnie na zdjęciu zrobionym przed pałacem Króla Słońce, Wersalem. Tylko przed Taj Mahal małżonkowie byli sami.

– Podróż poślubna? – spytał Anton, wskazując na zdjęcie.

Danielsen pokręcił głową i wskazał na niewielkie zdjęcie stojące na stoliku obok kanapy.

– Mediolan. Tam pojechaliśmy tuż po ślubie.

– Mediolan. Byłem w Mediolanie. Na wycieczce szkolnej w osiemdziesiątym trzecim roku. Chętnie bym tam wrócił. – Anton wypił wodę i poprawił się na kanapie. – Dużo podróżujecie – stwierdził, wskazując głową na stojące na półce z książkami zdjęcie nowojorskiej Statuy Wolności. – Nowy Jork. Naprawdę jest tak ogromny, jak wszyscy twierdzą?

– Nie mam pojęcia. Tam niestety jeszcze nie byliśmy. To zdjęcie zrobił Wilhelm. Był z niego tak zadowolony, że mi je podarował. Cały on.

– Wygląda na stare. Kiedy zostało zrobione?

– Pewnie pod koniec lat sześćdziesiątych, może na początku siedemdziesiątych. Wilhelm miał wtedy jakieś dwadzieścia lat. Zawsze lubił podróżować. Szczególnie razem z nami.

– Gdzie pan był w piątek wieczorem? – spytał nagle Anton.

– Byliśmy w teatrze, a potem poszliśmy na późną kolację.

– W teatrze? Tu? We Fredrikstad?

– Nie, w Teatrze Narodowym w Oslo. Na *Heddzie Gabler*. Potem poszliśmy coś zjeść, zwykle tak robimy.

– Może mi pan polecić jakąś restaurację w Oslo? Sam zwykle jadam w Bislet Kebab.

– Statholdergaarden – weszła mu w słowo Eva. – Tam zwykle jadamy, kiedy jesteśmy w Oslo. Albo Feinschmecker.

Jasne, pomyślał Anton. Eva Danielsen zapewne nie miała pojęcia, jak wygląda bar z kebabem.

– W drodze powrotnej rozmawiałem z Wilhelmem – ciągnął Danielsen.

– O której?

– Myślę, że koło jedenastej.

– Może pan sprawdzić w komórce?

Danielsen wstał i poszedł do kuchni. Haugen usiłował oprzeć kość ogonową o podłokietnik kanapy.

– Jest pan błądy – powiedziała Eva, patrząc na niego. – Na pewno nie podaś panu nic do picia?

– Bardzo dziękuję. Mam problemy z... plecami.

– Ojej.

Anton odchrząknął.

– Eva! – rozległo się wołanie z kuchni. – Musisz mi pomóc. Nic z tego nie rozumiem!

– To przyjdź tutaj – powiedziała Eva łagodnie.

Danielsen wrócił do salonu i podał Haugenowi komórkę.

– Jest zapisany jako Wilhelm.

– O dwudziestej trzeciej zero dwie – powiedział Haugen i zanotował dokładną godzinę.

– O czym rozmawialiście? – zapytał Anton.

– Zadzwoń, żeby się dowiedzieć, jak się czuje. To był bardzo nerwowy tydzień. Prasa rozdmuchała tę historię z samochodami, a w poniedziałek Wilhelm poinformował nas, że wycofujemy się z dużego projektu, w który zdążyliśmy już sporo zainwestować. Nie zostało to dobrze przyjęte, łagodnie mówiąc.

– To prawda. A jak pan zareagował na wiadomość o jego śmierci?

– Przeżyłem szok. Jak tylko usłyszałem o tym w radiu, od razu do niego zadzwoniłem. Nie mam pojęcia, co mi przyszło do głowy. Pewnie nie chciałem tego przyjąć do wiadomości. Oczywiście nikt nie odebrał, więc pojechaliśmy z żoną na Kråkerøy, a tam było już czarno od policji. Nie byłem w stanie wrócić do domu.

– W ten sposób odpowiedział pan na moje następne pytanie.

– Anton się uśmiechnął. – Zastanawiałem się, jak pan zareagował na wiadomość o tym, że wycofujecie się z projektu.

Danielsen potarł rękami twarz, widać było, że jest zmęczony.

– No cóż... – zaczął. – Byłem zawiedziony, to rozumiałe, ale poparłem go. On zawsze wiedział najlepiej.

Eva Danielsen odwróciła się i spojrzała na męża.

– Poparłeś go? To co teraz będzie?

– O tym będziemy rozmawiać na zebraniu zarządu. Wilhelm nie zdążył oficjalnie wycofać firmy z projektu.

– Martiniussen – Danielsen – Mardan. Tak?

Danielsen skinął głową.

– Zgadza się.

– Jeśli dobrze zrozumiałem, to zakładaliście firmę wspólnie, ale to Martiniussen był głównym akcjonariuszem.

– To prawda. Początkowo miał pięćdziesiąt pięć procent akcji, ja pozostałe czterdzieści pięć. Powód był prosty: on wniósł do firmy więcej pieniędzy. – Danielsen wstał, ale po chwili mówił dalej:

– Przez pierwsze lata akcje mieliśmy tylko my dwaj. A potem w pewnym momencie okazało się, że potrzebuję pieniędzy. Zakochałem się w dziewczynie, która zresztą potem została moją żoną – powiedział i uśmiechnął się do Ewy. Odwzajemniła uśmiech.

– Potrzebowałem pieniędzy. Chciałem kupić sportowy samochód, dom, chatę za miastem. – Pokręcił głową. – Czego mężczyzna nie zrobi, żeby zaimponować kobiecie.

– Wiem, co pan ma na myśli. Sam to przeżyłem, tyle że nie miałem sportowego samochodu, domu ani chaty za miastem – powiedział Anton.

– Wilhelm nie chciał się zgodzić. Nie tyle mi nawet odradzał, po prostu powiedział, że się nie zgadza. Wiedział, że firma się rozwinie, i chciał, żebym na tym skorzystał. W końcu udało mi się go przekonać, żeby odkupił ode mnie dziesięć procent z moich czterdziestu pięciu. Starczyło na czerwony sportowy samochód i chatę na Hvaler – powiedział. Usiadł i objął żonę ramieniem.

– Domyślam się, że dzisiaj dziesięć procent starczyłoby na trochę więcej.

Danielsen pokiwał głową i potarł skroń dwoma palcami.

– A więc został pan z trzydziestoma pięcioma procentami. A teraz ma pan trzynaście – powiedział Anton, patrząc na Danielsena.

Danielsen pokiwał głową.

– Co się stało z resztą?

– Sprzedałem je w osiemdziesiątym dziewiątym roku. Wilhelm kupił trzy procent, tak że miał łącznie sześćdziesiąt osiem, co dawało mu kontrolę nad spółką. Dziewiętnaście procent sprzedałem Frankowi Julsenowi, Hansowi Arnesenowi i Gustawowi i Johnny'emu Nilsenom – to bracia. No i Frodemu Moenowi. – Ostatnie imię i nazwisko wymówił takim tonem, że Anton spojrzał na niego pytającym wzrokiem. – Wilhelmowi się to nie podobało – dodał Danielsen.

– To, że sprzedał pan akcje czy że sprzedał je pan Moenowi?

– Chodziło o Moena. Wilhelm za nim nie przepadał. Nigdy tego nie powiedział wprost, ale przecież go znałem. W końcu jednak stwierdził, że wiem, co robię.

– A wiedział pan?

Danielsen się uśmiechnął.

– Nie – powiedział i wstał z kanapy. – Jakies dwa lata później, tuż po wojnie w Zatoce, Wilhelm pojechał do Iraku. Nic nikomu nie powiedział, tylko po prostu wyjechał. Taki był. W Iraku zawarł umowę w imieniu firmy. Chodziło o poszukiwania ropy i gazu w trzech różnych miejscach. No i o wydobywanie oczywiście. Kilka miesięcy później we wszystkich trzech miejscach coś znaleziono. Do kasy Mardanu wpłynęło sporo pieniędzy.

Za oknem pojawiło się nagle dwóch mężczyzn w roboczych kombinezonach i z narzędziami w rękach.

– Ojej, zupełnie zapomniałam! – zawołała Eva Danielsen. – Mają pracować w ogrodzie.

– Dzisiaj? – zdziwił się jej mąż.

– Umawiałam się z nimi we wtorek. Co ja teraz zrobię?

– Eva, naprawdę... – przerwał jej Danielsen, wyraźnie poirytowany.

Anton i Haugen patrzyli za panią Danielsen. Wyszła pospiesznie, stukając szpilkami po parkiecie. Danielsen zaczął przepraszać.

– Wygląda na to, że dobrze pan znał Wilhelma – powiedział Anton.

– Kojarzy pan kogoś, kto mógł mu życzyć śmierci?

– Od dwóch dni nie myślę o niczym innym. Ale Wilhelm nie miał wrogów.

– Po poniedziałku też nie? – spytał Anton ostrożnie.

– Chciałbym odpowiedzieć, że nie, ale szczerze mówiąc, nie wiem. Frode Moen chyba najgłośniej dał wyraz swojemu niezadowoleniu z jego decyzji. Wczoraj w końcu wziętem się w garść, obdzwońnię wszystkich członków zarządu i zwołałem... – Urwał. Patrzył pustym wzrokiem w powietrze. – Zwołałem pilne zebranie. Na którym zadałem właśnie to pytanie.

– I jak zareagowali?

– W ogóle nie zareagowali.

– Jeszcze jedno pytanie – powiedział Anton, wstając.

– Rozmawialiście o czymś jeszcze?

– Słucham?

– Pan i Martiniussen. W piątek, przez telefon.

– Jak już mówiłem, zadzwoniłem, żeby się dowiedzieć, jak się czuje. Odniosłem wrażenie, że jest w świetnej formie. Pewnie poczuł ulgę, że może rzucić ciężar odpowiedzialności za ten projekt. Był zadowolony, martwił się tylko o Norę. Chyba była chora.

– I to wszystko?

– Tak – powiedział Danielsen i zafrasowany podrapał się po głowie.

– Wygląda na to, że byli sobie bardzo bliscy – zauważył Haugen, kiedy już wsiedli do samochodu.

– Mm... Dasz sobie dzisiaj radę sam?

– Tak, a o co chodzi?

– Pojadę do Oslo. Przegadam sprawę z szefem, wezmę z domu jakieś ubrania i wrócę wieczorem. Wynajmę coś w hotelu. Mógłbyś w tym czasie porozmawiać z pozostałymi członkami zarządu?

– Dobrze. Wezmę ze sobą Erika.

– Kto to jest Erik? – spytał Anton, patrząc, jak elegancka rezydencja Danielsena znika w oddali.

– Inspektor Erik Lange. Był na naszym roku w szkole policyjnej...

– Ten pajac pracuje we Fredrikstad? Zatrudniacie wszystkich jak leci? W czwartek miałem wykład dla roku, na którym jest jego młodszy brat. Zresztą równie udany jak starszy.

– Erik pracuje tu już kilka lat – roześmiał się Haugen.

– Boże drogi, więc jest gorzej, niż myślałem.

– Przestań. To dobry śledczy – dodał Haugen już poważnie.

– Najwyraźniej potrafi być przekonujący. Ale bycie przekonującym a bycie zdolnym to dwie różne rzeczy, mój drogi. Przemyśl to sobie.

Niedziela, 14 czerwca
Sarpsborg

KIEDY ANTON BREKKE mijał zjazd na Oslo w Moss, radiowóz z komisariatu w Sarpsborgu jechał Navestadveien, ulicą prowadzącą do strefy przemysłowej na obrzeżach miasta. Policjanci mieli szukać czegoś, co mogłoby pomóc zidentyfikować człowieka, który dzień wcześniej trafił do miejscowego szpitala. Początkowo ratownicy medyczni sądzili, że mężczyzna upadł, bo źle się poczuł, ale inteligentny lekarz z pogotowia we Fredrikstad szybko się zorientował, że został uderzony w głowę. Czym – tego nie potrafił powiedzieć, ale na pewno było to coś ciężkiego i ostrego. Policjanci niechętnie wykonywali zleczone im zadanie. Już nawet występowanie w sądzie byłoby lepsze.

Radiowóz skręcił i zatrzymał się przed szeregiem baraków w miejscu, gdzie prawdopodobnie doszło do pobicia.

– Beznadziejna sprawa – stwierdził kierowca, otwierając drzwi. – Przecież nawet nie wiemy, gdzie dokładnie to się stało.

Drugi policjant westchnął.

– Czy to właśnie stąd zabrała go karetka? – spytał, wskazując na drogę biegnącą obok terenów przemysłowych.

– Zgadza się.

– Jak myślisz, co mogło się stać?

– Nie mam pojęcia.

– Ktoś na niego napadł?

– Nie mam pojęcia. Wiem tylko, że pogotowie przywiozło go wczoraj przed południem.

– Jest w śpiączce?

– Zgadza się.

– To straszne. – Policjant pokręcił głową. – Biedny człowiek. Moi

rodzice mieszkają tu niedaleko. Równie dobrze mogło się to przydarzyć mojemu staremu ojcu.

Kierowca przytaknął z poważną miną.

Po drugiej stronie terenów przemysłowych znajdowały się niedawno wykończone lokale należące do Urzędu Dróg. Większość starych magazynów była pusta, kilka wypełniał stary złom. Ale baraki, przed którymi właśnie stali, wyglądały na nowe. Świadczyło to o tym, że ktoś jednak zamierzał w nich coś robić.

Starszy rangą policjant zlecił koledze, żeby sprawdził teren wzdłuż Navestadveien. Sam ruszył wąską asfaltową jezdnią biegnącą po zachodniej stronie głównej drogi. Resztki dawnych murów, powybijane szyby i puste butelki po piwie – zostawione przez młodych ludzi, którzy najwyraźniej nie mieli gdzie się spotykać – to jedyne, co przykuwało jego uwagę.

Nagle ciszę przeciął głośny warkot jadącego z nadmierną prędkością motoroweru. Policjant obrócił się na pięcie i ruszył biegiem do samochodu. Nagle się zatrzymał. Coś się nie zgadzało. Motorower zwolnił, kiedy młody chłopak za kierownicą zauważył policjanta. Idący wzdłuż drogi funkcjonariusz pogroził mu palcem. Po chwili chłopak przyspieszył, uznając, że zanim policjanci dotrą do radiowozu, jego już dawno nie będzie.

– Jedziemy za nim? To pirat drogowy. Założę się, że ma podrasowany silnik.

Drugi policjant nie odpowiedział. Stał i wpatrywał się w pobocze. Asfalt od starego ogrodzenia z siatki oddzielało kilka metrów piasku. Wiele lat wcześniej ogrodzenie miało powstrzymywać osoby niepowołane przed wtargnięciem na teren zakładów. Teraz było w takim samym stanie jak stare hale produkcyjne.

– Halo? Jedziemy? – zawołał jeszcze raz jego kolega.

– Nie. Podejdz tu. Coś tu jest.

Kucnęli. W miejscu gdzie zaczynały się ślady, widać było niewielką plamę. Wyróżniała się na piasku, ciemna, zastygła ciecz. Ślady wydawały się wskazywać na to, że ktoś usiłował wydostać się na pobocze. Kończyły się w miejscu, gdzie piasek stykał się z asfaltem.

– Leżał tutaj. Odzyskał przytomność i wdrapał się na górę, na drogę, tam, gdzie go potem znaleziono – powiedział starszy rangą.

– Na to wygląda – przytaknął drugi. – Może jest tu gdzieś jego portfel? Najwyraźniej został obrabowany.

– Nie sądzę, żebyśmy coś znaleźli – odpowiedział jego kolega.

– Trzeba wezwać techników. Niech zabezpieczą ślady.

– Zaczekaj chwilę. – Starszy rangą policjant wstał i wyprostował plecy. Zaczął się przyglądać zardzewiałemu ogrodzeniu. – Sprawca pewnie zabrał gotówkę. Wszyscy wiedzą, że starsi ludzie często noszą przy sobie większe sumy. Uderzył go, a potem zostawił. Niewykluczone, że portfel rzeczywiście gdzieś tu leży. Zdesperowany złodziej wyjąłby forszę i jak najszybciej pozbył się portfela. Zgadzasz się ze mną?

– Brzmi logicznie. Sprawdzę za ogrodzeniem – odpowiedział jego kolega. – Ja bym go tam rzucił – dodał. Skierował się w stronę drogi, zamierzał obejść ogrodzenie. Zardzewiała siatka nie utrzymałaby jego dziewięćdziesięciu kilogramów.

Starszy rangą policjant został, czekał, aż kolega pokaże się po drugiej stronie. Krążył dookoła, wpatrując się w ziemię. Obaj milczeli. Już znaleźli więcej, niż się spodziewali. Jeśli nie odszukają portfela, to trudno. Wcześniej czy później ktoś zgłosi zaginięcie starszego pana i wtedy poznają jego tożsamość. Był zadowolony: wykonali kawał dobrej roboty.

– Ha! – rozległ się nagle głos za ogrodzeniem. – Bingo! Powiniennem być w Kripos – powiedział, podnosząc z ziemi portfel z brązowej skóry. Uśmiechnął się.

Wrócili do samochodu, włożyli gumowe rękawiczki i otworzyli portfel: karta do drzwi z hotelu Radisson SAS, karta VISA, gotówka i zdjęcie młodej ciemnowłosej kobiety z małym chłopcem na kolanach.

– Zero-dwa, sierra trzy-zero.

W głośniku coś zatrzeszczało.

– Zero-dwa, odbiór – rozległ się głos kobiety po drugiej stronie.

– Znaleźliśmy portfel przy Navestadveien. Prawdopodobnie należy

do tego starszego pana, który został pobity. Nazywa się Vincent De...
– Przynął dowód do oczu. – Luca. DeLuca. Dowód wydany w Nowym Jorku, pewnie turysta. W każdym razie nic nie wskazuje na to, żeby był Norwegiem.

– Przeliteruj nazwisko.

– Delta-echo-lama-ufo-charlie-alfa.

– DeLuca. Vincent DeLuca – powiedziała kobieta, starając się wymówić to poprawnie.

– Zgadza się. Przyślijcie kogoś, kto popilnuje miejsca do czasu przybycia techników. Zaczekamy tu na niego.

– To będzie trudne, ale technicy będą tam za jakieś pół godziny.

– Świetnie – skwitował policjant z lekką ironią. Chciał jak najszybciej wracać do miasta. – Kończę, odbiór, sierra trzy-zero.

Drugi policjant schował wszystko z powrotem do portfela i włożył go do brązowej papierowej torby. Coś na niej zanotował i położył na desce rozdzielczej.

– Dziwne. Wygląda, jakby niczego nie brakowało.

– Ile miał gotówki?

– Dwa i pół tysiąca koron norweskich, pięć tysięcy szwedzkich, pięć tysięcy duńskich i kilkaset dolarów.

– Turysta. Na wakacjach. Biedak. – Policjant sięgnął po torebkę z tytoniem do żucia i pokręcił głową. – Wczoraj Sparta znów przegrała. Byłeś na meczu?

Poniedziałek, 15 czerwca
Fredrikstad

PORANNE SŁOŃCE świeciło przez żaluzję i trafiło w błyszczącą łysinę inspektora Erika Langego.

Siedział wygodnie rozparty w fotelu dla gości w gabinecie Haugena. Przeciągnął palcem wskazującym i kciukiem po świeżo wyczesanych wąsach. Spojrzenie jego lodowato zimnych niebieskich oczu spoczywało na brązowej teczce z dokumentami, którą trzymał na kolanach. Anton Brekke stał w drzwiach i przyglądał się jego ostro zakończonym uszom i opalonemu karkowi, który zawdzięczał swój kolor jednemu z miejscowych solariów.

– Lange – odezwał się.

Mężczyzna się wzdygnął. Położył dokumenty na biurku i odwrócił się.

– Witaj. Anton Brekke we własnej osobie, no proszę. – Wstał i wyciągnął do niego rękę. – Minęło trochę czasu.

Anton udał, że nie zauważył wyciągniętej ręki.

– Gdzie Haugen?

– U lekarza. Za godzinę powinien być z powrotem – powiedział Lange i wrócił na fotel. Sięgnął po otwartą teczkę.

Anton pomyślał, że skoro Haugen jednak poszedł do lekarza, to musiał bardzo cierpieć. Miał tylko nadzieję, że lekarz nie wyśle go na zwolnienie. Szczerze wątpił, żeby Lange rzeczywiście był dobrym śledczym. Gdyby musiał zastąpić Haugena, byłby to koszmar.

Lange przerzucał znajdujące się w teczce papiery i zdjęcia.

– No proszę, wiedziałeś, że...

– Jak wczorajsze rozmowy z członkami zarządu? – przerwał mu Anton.

– Haugen rozmawiał z nimi sam. Ja do późna przeglądałem

nagrania z monitoringu. Skoro nic ci nie przekazał, to najwyraźniej rozmowy niewiele wniosły do sprawy. – Uśmiechnął się do Antona, jakby w ten sposób chciał dać mu do zrozumienia, że nie mówi tego złośliwie. – Co innego nagrania z monitoringu! – dodał pośpiesznie, machając teczką. – Mieliśmy wczoraj prawie setkę telefonów. Wszystkie potwierdzają, że w piątek wieczorem widziano Wilhelma Martiniussena na nabrzeżu. Rozmawialiśmy z obsługą jednej z knajp. Martiniussen wypił tam kilka piw w towarzystwie dwóch młodych dziewczyn. Lewaczki, w palestyńskich chustach, jak twierdzi kelner. Widziałeś rysunki?

– Nie widziałem, ale wiem, co masz na myśli – odpowiedział Anton.

– Słyszałem, że miałeś wykład dla rocznika mojego brata. Podobno dał ci nieźle popalić, mój braciszek. Ma to po mnie. Bystrzak.

– Inteligencja twojego brata jest rzeczywiście godna podziwu.

Lange spojrział na niego i wrócił do wyводу:

– Martiniussen wrócił do domu kilka minut przed jedenastą. Żeby trochę ułatwić sobie zadanie, sprawdziłem nagrania z monitoringu ze stacji Shell Kråkerøy od dwudziestej pierwszej trzydziści do dwudziestej trzeciej trzydziści. – Uśmiechnął się do słynnego śledczego z Kripos. Cekał, aż się zainteresuje tym, co miał mu do przekazania, ale nic takiego nie nastąpiło. – Tak czy inaczej – ciągnął więc dalej – w tym czasie na stację wjechały sześćdziesiąt trzy samochody i cztery motory jadące ze śródmieścia na Kråkerøy, w kierunku domu Martiniussena. Dwa range rovery, ale żaden z nich nie był biały. Był natomiast motor, którego właściciel o tej porze ponoć leżał w łóżku i spał...

– Frode Moen?

Lange powoli pokiwał głową.

– Prawdę mówiąc, to wystarczający powód, żeby go zatrzymać – powiedział.

Anton był zdziwiony, że to się jeszcze nie stało. Powinni móc pokazać, że mają już podejrzanego. Leżało to w ich interesie.

– Co Haugen na to? – spytał, siadając na krześle za biurkiem.

– Nic. Wzruszył ramionami, nie wyglądał na zaskoczonego.

– Jest przekonany, że Moen coś ukrywa.

– A ty nie jesteś?

– Nie – odpowiedział Anton stanowczo.

– Więc nie aresztujemy go?

– Jeszcze nie. Chociaż kłamał, co w tych okolicznościach jest wystarczającym powodem. Ale jeszcze zaczekamy. Zobaczymy, co powie Haugen, chociaż prawdę mówiąc, chyba wiem, jak zareaguje.

– W porządku. Prawniczka prosiła o pilne spotkanie w ciągu dnia. Za kilka godzin powinniśmy dostać raport z obdukcji.

– Przekaż jej, że w porządku.

Anton ucieszył się, że znów będzie mógł podziwiać zgrabną figurę Martiny Rieck.

Erik Lange wstał. Wychodząc z gabinetu, zderzył się w drzwiach z Magnusem Torpem, młodym studentem Wyższej Szkoły Policyjnej.

– Cześć, Erik! Sorka – powiedział chłopak i przepuścił go.

Erik wymamrotał coś – chyba miało to być cześć – i ruszył przed siebie długim korytarzem. Anton podniósł głowę i spojrzał na Torpa. W świeżo wyprasowanej niebieskiej koszuli, w obowiązkowym czarnym krawacie, w czarnych spodniach z taśmą odblaskową przy nogawkach i w czarnych błyszczących butach stał w drzwiach i patrzył na niego.

– Cześć, Erik! – rzucił Anton wesoło, uśmiechnął się i załamał ręce.

– Ha, ha, bardzo zabawne. Ktoś z wydziału porządku prosił, żebym ci to przekazał.

Podał Antonowi małą karteczkę z nazwiskiem i adresem.

– Wielkie nieba, niewiarygodne, jakie rzeczy są teraz możliwe!

– Anton złożył kartkę i schował ją do kieszeni spodni. – Wiesz może, czy kładka dla pieszych prowadząca na Kråkerøy, tam, gdzie mieszkał Martiniussen, jest monitorowana?

– Zwykle...

– Niech zgadnę. Zwykle są kamery, ale teraz nie działają?

Torp pokiwał głową.

– Rzeczywiście nie działały, ale już zostały naprawione.

– I co nam z tego przyjdzie? – zachnął się Anton. Położył nogi na

biurku.

– Nic. – Torp wzruszył ramionami. – Co mamy dzisiaj w planach?

– Całkiem sporo. – Anton się uśmiechnął. – Możesz zacząć od przyniesienia mi filiżanki kawy. Z pokoju śniadaniowego, nie z ekspresu w korytarzu.

Kilka minut po dziesiątej do gabinetu wszedł Simon Haugen. Był błądy. Spojrzał na Torpa, który drzemał z rękami zwisającymi wzdłuż ciała w j e g o fotelu. Uznał to za prowokację. Powinni coś robić. A przynajmniej udawać, że coś robią. A oni siedzą i patrzą na siebie. Student drugiego roku Wyższej Szkoły Policyjnej i jeden z ponoć najlepszych śledczych w kraju.

A on sam cierpiął katusze.

– A więc tak sobie tu siedzicie – rzucił skwaszony, stając na środku pokoju. Anton zamierzał coś odpowiedzieć, ale Haugen nie dopuścił go do głosu: – Rozmawiałeś z Langem? – spytał.

– Yes – rzucił Anton, nie podnosząc głowy. Był zajęty wpatrywaniem się w ogromny nos Torpa. – Tak, rozmawiałem z nim – potwierdził.

– Świetnie. Masz jakieś przemyślenia?

– Niewiele o tym myślałem. To rzeczywiście dziwne, że zaobserwowano w pobliżu motor Moena. Może go komuś pożyczył? – Anton obrócił się w krześle. – Musimy z nim porozmawiać. Pokazać mu nagranie z monitoringu. Podejrzewam jednak, że będzie miał jakieś przekonujące wytłumaczenie. Co powiedzieli członkowie zarządu?

– Wszyscy mają alibi. I wszyscy są wstrząśnięci tym, co się stało.

– No proszę, dużo zdążyłeś wczoraj zrobić – stwierdził Anton, nadal się uśmiechając.

Haugen nie zareagował na pochwałę.

– Musimy odwiedzić adwokata Martiniussena. Oczekuje nas.

– Już? To czym on leciał? F-16?

Torp zachował milczenie.

– Spokojnie, udało mu się kupić bilet na lot wczoraj po południu – powiedział Haugen i ruszył do drzwi.

Kancelaria adwokacka Skjold, której jedynym pracownikiem był sam Kurt Skjold, miała siedzibę zaledwie kilka minut spacerem od budynku komendy. Trzech funkcjonariuszy szło rażno chodnikiem. Torp na chwilę odłączył się od grupy, żeby zająć się dwójką narkomanów, którzy okazywali nadmierne zainteresowanie najprawdopodobniej cudzym rowerem. Na jego widok odskoczyli jak oparzeni, ale Anton zakazał Torpowi dalszej pogoni. Sklepy niedawno zostały otwarte, pracownicy wystawiali na zewnątrz stojaki z towarem w nadziei, że zwabią klientów. Anton spojrzał na swoje ubranie i doszedł do wniosku, że powinien się wybrać na zakupy. Uznał jednak, że zaczeka do wyprzedaży, wtedy sprawa Martiniussena będzie już dawno zakończona.

A przynajmniej miał taką nadzieję.

– Jak się czujesz? – spytał Haugena.

– Jakoś.

– Nic lepiej? Co powiedział lekarz?

– Nie teraz, proszę – przerwał mu Haugen, dając do zrozumienia, że nie chce, by Torp słyszał, o czym rozmawiają. Niezależnie od tego, jak bardzo cierpiał, nie chciał, żeby ktokolwiek dowiedział się, co mu dolega. Po incydencie, który skończył się kąpielą w rzece, miał dosyć bycia w centrum zainteresowania. Nie chciał znajdować na biurku tubek z maściami na hemoroidy.

– Niczego się nie domyśli – stwierdził Anton.

– A o co chodzi? – zainteresował się Torp.

– Rozumie więcej, niż ci się wydaje – wyszeptał Haugen. – Ma dwadzieścia trzy lata, za rok kończy studia. Poza tym wykonał ostatnio kawał dobrej roboty. To między innymi dzięki niemu udało nam się niedawno zarekwirować cztery kilogramy amfetaminy i prawie dziesięć kilogramów haszyszu.

– W jego wieku byliśmy już po szkole – powiedział Anton, któremu nie było łatwo zaimponować.

– Pamiętaj, że teraz to wyższe studia.

- Licencjat z „wydaje mi się”. Jasne, zawsze się przyda.
- O mnie mówicie? – spytał zaciekawiony Torp, wchodząc między nich.
- Nie – odpowiedzieli chórem.

Adwokat Kurt Skjold powitał ich w swoim gabinecie. Jego uśmiech ginął pod gęstą białą brodą pokrywającą trzy podbródki. Do gabinetu wprowadziła ich sekretarka, dobrze zbudowana dwudziestokilkuletnia blondynka z wyraźnie zarysowanymi brwiami.

– Moja córka – powiedział Skjold, rzucając Torpowi znad okularów ostrzegawcze spojrzenie. – Niedawno skończyła szkołę sekretarek prawniczych – dodał, siadając w dużym skórzanym fotelu. – Nie chciała pójść w moje ślady – westchnął.

Po chwili wstał i poszedł do jednej z pięciu stojących pod ścianą szafek z dokumentami. Chociaż szedł normalnie, miało się wrażenie, że się kołysze. Pewnie był to wynik zbyt wielu wieczorów spędzonych w pracy i spożywania niezdrowego jedzenia na wynos.

Wyciągnął trzecią szufladę ze środkowej szafki i zaczął szybko przeglądać dokumenty.

– Camilla! – zawołał. – Teczka Wilhelma na pewno tu była. Jestem pewien. – Był wyraźnie zestresowany.

– Leży tutaj – odpowiedziała dziewczyna z korytarza.

Torp zerwał się z krzesła i poszedł po nią.

– Serdecznie dziękuję – powiedział Skjold. Opadł na krzesło za biurkiem i położył teczkę przed sobą. – Jak wygląda sytuacja? Jacyś podejrzeni?

– Oficjalnie czy nieoficjalnie? – spytał Anton.

– Ha! – Skjold się roześmiał, aż zatrzęsa mu się broda. – Tutaj wszystko jest nieoficjalne.

– W takim razie nie mamy żadnego podejrzanego.

– A oficjalnie?

– Mamy pewien trop. Chociaż, prawdę mówiąc, nic konkretnego.

– Rozumiem. – Potężnie zbudowany mężczyzna odchylił się na

krzesła. Splótł palce i położył dłonie na wielkim brzuchu.

– Domyślam się, że członkowie zarządu zostali przesłuchani?

– Ze wszystkimi już rozmawialiśmy – potwierdził Haugen.

Do pokoju weszła sekretarka z tacą z napojami i czterema szklankami. Postawiła ją ostrożnie na biurku i wyszła bez słowa.

– Proszę – powiedział Skjold, zachęcając ich gestem.

Haugen podziękował. Anton otworzył butelkę z lodowatą colą i zaczął pić prosto z butelki.

– Wielkie nieba – westchnął, stawiając oszronioną butelkę na biurku. – Mówcie, co chcecie, ale cola ze szklanej butelki smakuje lepiej niż z plastikowej.

Haugen zagryzł wargi. Niekiedy zastanawiał się, czy z Antonem nie jest coś nie tak, czy może świadomie czasem zachowuje się jak niesforny szesnastolatek. Czy w ogóle się zastanawia, zanim coś powie? Czy może to wszystko jest częścią jakiegoś planu? Tak czy inaczej, nie był zachwycony. W czasie wolnym Anton mógł się zachowywać, jak tylko chciał, ale teraz byli na służbie. Prowadzili śledztwo w sprawie o morderstwo.

– Członkowie zarządu zeznali coś ciekawego? – zapytał Skjold.

– Właściwie nie – odpowiedział Anton. – A właśnie, chciałem spytać, czy pana i Wilhelma łączyły tylko sprawy zawodowe.

– Nie, nie tylko. Przyjaźniliśmy się. Znaliśmy się od dawna, od czasu, kiedy on i Bjørn postanowili założyć Mardan. – Oparł się o krzesło i sięgnął po zdjęcie, które stało na parapecie tuż za nim.

Krzesło zatrzeszczało. Torp odsunął się lekko na bok.

– Tu jesteśmy na polowaniu w Afryce. Osiem lat temu. Podróż była prezentem na moje pięćdziesiąte urodziny.

Trzech policjantów pochyliło głowy nad zdjęciem, na którym widać było o osiem lat młodszego Wilhelma i o kilka kilogramów lżejszego Skjolda. Stali po przeciwnych stronach upolowanego nosorożca. Obaj w szortach khaki, koszulach w tym samym kolorze i tropikalnych hełmach. Strzelby stały oparte o ciało martwego zwierzęcia.

– To była wielka przygoda – powiedział Skjold, uśmiechając się

tęsknie. Po chwili wrócił do opowieści: – Niedawno byliśmy w Rzymie, oglądaliśmy finał Ligi Mistrzów. Wilhelm kibicował United, ja Barcelonie. Był nieszczęśliwy – roześmiał się. – Chyba mam zdjęcie z tamtego wieczoru – przypomniał sobie nagle. Otworzył górną szufladę i zaczął przekładać jakieś rzeczy.

– Proszę się nie trudzić – powiedział Anton cicho. – Jestem pewien, że to był pamiętny wieczór.

On sam miał raczej przykre wspomnienia z wieczoru, kiedy Manchester United spotkał się z Barceloną, kosztował go bowiem sześć tysięcy koron.

Nagle wyraz twarzy Skjolda się zmienił. Ciepły uśmiech ukryty za gęstą brodą zniknął, w oczach pojawiły się łzy. Jakby właśnie w tym momencie uświadomił sobie, że jego goście przyszli w związku ze śledztwem w sprawie zabójstwa jego przyjaciela i klienta – w tej właśnie kolejności. Założył ręce za głowę. Mimo że klimatyzacja była włączona, pod pachami miał mokre plamy. Próbował zachować kamienną twarz, ale trzech funkcjonariusze zauważyli, że nagle zaczął szybko mrugać oczami. Po chwili podniósł wzrok i dłuższą chwilę patrzył w sufit. Nagle szybkim ruchem sięgnął po chusteczkę i wytarł nos.

– Przepraszam – powiedział i odchrząknął.

Nikt nic nie powiedział.

– No cóż. – Kolejne chrząknięcie. – Dużo o tym myślałem. Każdy człowiek ma coś, czego wolałby nie ujawniać. Tajemnice, które nie powinny wyjść na jaw. Czasem jesteśmy nawet gotowi umrzeć, byle tylko nie dopuścić do ich ujawnienia. – Policjanci pokiwali głowami. – Zastanawiałem się, co było tak ważne, że kosztowało Wilhelma życie. Miał dwóch prawdziwych przyjaciół. Bjørna Danielsena i mnie. I dużo znajomych. Ludzie Ignęli do niego, ponieważ był... Wilhelmem Martiniussenem. Często ze sobą rozmawialiśmy. Właściwie o wszystkim. – Urwał, ale tylko na chwilę. – Myślę i myślę, ale nie przychodzi mi do głowy nikt, kto mógłby chcieć pozbawić go życia. W ogóle nikt, kto chciałby go skrzywdzić. A o niewielu ludziach można tak powiedzieć. Gdyby pewnego dnia znaleziono mnie

martwego, okazałoby się, że dziesiątki osób miały powód, by chcieć mojej śmierci. W waszym przypadku byłoby pewnie podobnie. Pomyślcie, ilu ludziom zniszczyliście życie, chociaż prawdopodobnie w większości przypadków sami byli sobie winni.

Haugen zachował kamienną twarz. Anton skinął głową, Torp także.

– Przez trzydzieści lat Wilhelm i Bjørn Danielsen tworzyli razem Mardan. Z zewnątrz mogło się wydawać, że to Bjørn jest głową wszystkiego. Ale było odwrotnie. Wilhelm był niezwykle inteligentny, dostrzegał możliwości tam, gdzie inni widzieli problemy. Żeby zgromadzić tak ogromny majątek, trzeba iść po trupach do celu, ale Wilhelm taki nie był. – Skjold otworzył zapalniczką butelkę napoju, nalał sobie trochę do szklanki i wypił jednym haustem. – Wiem, że Wilhelm musiał podjąć bardzo trudną decyzję dotyczącą tak zwanego projektu kanadyjskiego. Wiecie coś o tym?

– Co nieco – odpowiedział Anton.

– Kiedy usłyszałem, że został zamordowany, to właśnie była moja pierwsza myśl. – Twarz Skjolda wykrzywił grymas. – Pomyślałem, że podjął decyzję. A jeśli ktoś wycofuje się z projektu wartego miliardy, musi się liczyć z tym, że będzie miał wrogów. Nawet jeśli tym kimś jest stary dobry Wilhelm. – Sięgnął po leżącą na biurku paczkę papierosów. – Mogę?

– Oczywiście – odpowiedział Anton.

Skjold otworzył okno i zapalił papierosa.

– Staram się nie palić w gabinecie – wyjaśnił. Zaciągnął się, wydmuchnął dym przez okno. Przez chwilę obserwował idących ulicą ludzi. Zajętych swoimi sprawami. Zmierzających do następnego celu.

– O czym nie chciał pan z nami rozmawiać przez telefon? – spytał z ciekawioną Anton. Domyślał się, że odpowiedź znajduje się w leżącej na biurku brązowej teczce z dokumentami.

– O jego testamencie – powiedział Skjold i wyrzucił papierosa przez okno. – Wiecie, kto po nim dziedziczy?

Anton i Haugen zakładali, że majątek – pieniądze, akcje

i nieruchomości – przypadną najbliższej rodzinie.

– Jak zapewne wiecie – ciągnął Skjold – Wilhelm nie miał bliskiej rodziny. Poza kuzynem w Stavanger. Też zresztą pracującym w przemyśle naftowym. Łączyły ich relacje raczej zawodowe niż rodzinne. – Otworzył teczkę i podał Antonowi kartkę.

Anton zaczął czytać na głos:

TESTAMENT

Ja, Wilhelm Martiniussen, obywatel Norwegii, urodzony 3 marca 1949 roku, oświadczam, iż niniejszy dokument należy traktować jako mój testament. Ponieważ nie mam bezpośrednich spadkobierców, pozostawiam cały swój majątek, nieruchomości, akcje spółki Mardan A/S, Nokii, Golden Ocean Group i Orkli, całą gotówkę i środki na kontach bankowych Bjørnowi Danielsenowi, urodzonemu 10 lutego 1949 roku, zamieszkałemu przy Øvre Allé 3, 1613 Fredrikstad.

Także wszelkie ruchomości, w tym samochody i rzeczy osobiste, pozostawiam Bjørnowi Danielsenowi.

Poza tym również Bjørnowi Danielsenowi przekazuję kontrolę nad Fundacją Martiniussena. Jeśli nie zechce jej przejąć, może ją przekazać komuś innemu, według własnego uznania. Osobiście sugerowałbym, żeby był to obecny wojewoda, Ole Ivar Lerdal.

Fredrikstad, 13.08.1999

Podpis Wilhelma Martiniussena był, jak zwykle podpisy, trudny do odczytania. Ale nie było wątpliwości, że to on go złożył. Pod testamentem podpisało się dwóch świadków: adwokat Kurt Skjold i emerytowany sędzia. Obaj zaświadczyli, że Wilhelm Martiniussen, spisując swoją ostatnią wolę, był w pełni władz umysłowych i że żaden z nich nie był w tę sprawę w żaden sposób zaangażowany.

Anton nie był prawnikiem, ale miał wrażenie, że wszystko jest w porządku. Kurt Skjold potwierdził, że testament jest ważny.

Bjørn Danielsen zostanie wkrótce najpotężniejszym człowiekiem w kraju. Tylko czy jest tego świadom?

Kurt Skjold wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia. Nigdy go o to nie pytałem. Zakładam, że Wilhelm mu o tym powiedział. Dziwne byłoby, gdyby tego nie zrobił. Byli jak bracia. A właśnie, jak on to przyjął?

– Był bardzo poruszony. Zna go pan? – spytał Anton, odkładając testament na biurko.

– Nie, niezbyt dobrze. Kilka razy byliśmy razem na kolacji.

– Pan i Bjørn Danielsen?

– Nie, nie. Wilhelm, Bjørn i ja. Znaliśmy się głównie przez Wilhelma. – Skjold zapalił kolejnego papierosa, także tym razem usiadł na parapecie. – Zajmowałem się sprawami Wilhelma. Nie miałem nic wspólnego z jego firmą.

– Ile dziedziczy Bjørn Danielsen?

– Nie mam pojęcia. Ale na pewno będzie to duża suma.

– Mniej więcej jakiego rzędu?

– Trudno powiedzieć. Przejmuje wszystko: gotówkę, nieruchomości, akcje. Trudno podać jakąś sumę, choćby w przybliżeniu. Ale powiedzmy, że... – Skjold zamyślił się, kalkulator w jego głowie pracował na pełnych obrotach. – Powiedzmy, że jakieś dwa i pół, plus minus.

– Rozumiem, że nie mówimy o milionach?

Skjold pokręcił głową, wydmuchując dym z płuc. Anton poprawił się na krześle. Takiej sumy nie był nawet w stanie sobie wyobrazić. Dwa i pół miliarda koron. Co by zrobił z takimi pieniędzmi? Musiał przyznać, że zadowoliliby się skromnym procentem. Nawet pół procenta by mu wystarczyło. Ćwierć! Pierwsze, co by zrobił, to kupiłby nowe mieszkanie. Potem zalogowałby się na Pokerstars i zajął miejsce przy jednym ze stolików z największą pulą. Nie, zasiadłby przy kilku stolikach. I wygrałby. Dużo. Jak zawsze, kiedy grał pieniędzmi, których nie bał się stracić.

– Co to za fundacja? – spytał Haugen.

– Wilhelm założył ją pod koniec lat dziewięćdziesiątych. Poza Mardanem to jedyna rzecz, na której mu naprawdę zależało. Fundacja rozdziela duże sumy między organizacje, które ich potrzebują. W zeszłym roku rozdzielono prawie pięćdziesiąt milionów, rok wcześniej sto milionów.

– Komu? Na co?

– Na biedne dzieci w Afryce. – Skjold się uśmiechnął. – I na podobne cele. Nie śledziłem tego tak dokładnie. To nie moja sprawa. Wilhelm zatrudniał do tego innych prawników.

Funkcjonariusze pożegnali się i wyszli na ulicę. Słońce stało już wysoko. Ulice objęli w posiadanie emeryci. Anton po raz pierwszy miał poczucie, że posunął się o krok naprzód: dwa i pół miliarda koron to wystarczający motyw. Nie mógł się doczekać, kiedy znów złoży wizytę w willi przy Øvre Allé 3.

*Poniedziałek, 15 czerwca
New York City*

CZARNY MERCEDES S600 toczył się powoli Union Street. Zatrzymał się przed skrzyżowaniem z Ósmą Aleją. Wysiadł z niego młody mężczyzna w garniturze i eleganckim gestem otworzył tylne drzwi. Potężna laska z ciemnego drewna uderzyła o asfalt. Po chwili pokazała się para nóg w świeżo wyprasowanych szarych spodniach od garnituru. Kierowca jak zwykle spytał pasażera, czy nie potrzebuje pomocy, a Calogero Locatelli – jak zwykle – odmówił. Nie chciał pomocy, chociaż to znaczyło, że wysiadanie z niskiego samochodu zajmie mu kilka sekund więcej.

Już dawno nie był w tych stronach. Rozejrzał się dookoła. Na chodnikach bawiły się boscie dzieci, samochody toczyły się powoli spokojną ulicą. Nikt nie zwracał uwagi na siwego starszego pana z laską. Dwóch młodych chłopaków minęło go, pędząc na deskach, jeden świadomie przejechał tuż obok niego. Inne czasy.

Kobieta z dzieckiem w wózku skinęła mu głową, kiedy go mijała. Zacerpnął powietrza. Brooklyn miał w sobie coś szczególnego. To tutaj wszystko się zaczęło. Kierowca, który cały czas miał baczenie na wszystko i wszystkich dookoła, najwyraźniej pełnił rolę nie tylko kierowcy, ale i ochroniarza. Kiedy jego ojciec, Don Domenico, związał się z Frankiem Ioele, znanym później jako Frankie Yale, policja zaczęła deptać im po piętach. Pewnego letniego dnia w tysiąc dziewięćset dwudziestym ósmym roku ktoś nafaszerował Frankiego nabojami z pistoletu maszynowego marki Thompson. Siedem miesięcy później ten sam Thompson został znaleziony w Chicago. Użyto go podczas niesławnej masakry w dniu świętego Walentego. Siedmiu gangsterów ustawiono pod ścianą garażu i rozstrzelano. Zrobili to ludzie przebrani za urzędników policyjnych z Chicago. Za

obiema akcjami stał ten sam człowiek, ulubieniec mediów – Al Capone. Don Domenico go nie znosił. Po zabójstwie Frankiego już nigdy się do niego nie odezwał.

Don Domenico Locatelli zmarł z przyczyn naturalnych. Późną jesienią tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego trzeciego roku odszedł we śnie po długiej chorobie w szpitalu Victory Memorial. Uśmiechnął się, wziął ostatni oddech i zasnął. Miał za sobą długie życie – zdążył skończyć osiemdziesiąt siedem lat – i nie zostawił po sobie żadnych niezatawionych spraw. Przeczuwając, że zbliża się koniec, zebrał wokół siebie najbliższych współpracowników i ogłosił, że nową głową rodziny ma być jego syn Calogero. Vincent Giordano, który także był obecny przy łóżku umierającego, odetchnął z ulgą. Był zadowolony, że wybór padł na Calogera, a nie na niego. Wiedział, że Don Domenico długo uważał go za ewentualnego następcę, i modlił się do Boga, żeby nim nie zostać. Zniszczyłoby to jego przyjaźń z Calogerem, a przecież to dzięki niemu został człowiekiem honoru.

– Gorąco – powiedział Calogero, przeciągając dłonią po czole.

– Kiedy wyjeżdżaliśmy z domu, nie było aż tak upalnie.

– To prawda – przytaknął ochroniarz. – Zostawić marynarkę w samochodzie?

– Tak.

Stary Calogero oparł się o ochroniarza i zdjął marynarkę. Oddychał ciężko.

– Na pewno nie chce pan zostać w samochodzie? Mieszkanie jest na drugim piętrze. Schody są strome, ciężko się po nich wchodzi. No i nie mamy pewności, że jest w domu.

Calogero spojrział na okno na drugim piętrze – okno mieszkania Vincenta.

– Kiedy dzwoniłeś ostatni raz?

– Dziesięć minut temu.

– Pójdziemy razem.

Ochroniarz skinął głową w stronę niebieskiego chevroleta, który po chwili zaparkował między dwoma innymi samochodami. Samochód

należał do FBI. Już kiedy wjeżdżali na most Verrazano-Narrows od strony Staten Island, zwrócił Calogero na niego uwagę. To nie było nic nowego. Zwykle byli gdzieś w pobliżu. Nie przejmował się tym. Przez pół wieku FBI próbowało – bez powodzenia – wsadzić go za kratki. Parsknął na ich widok i przeszedł przez jezdnię, wspierając się na lasce.

– Najświętsza Panienko, nie pamiętałem, że są aż takie strome, ale...

Widok schodów odebrał mu zapał, zrozumiał, że mógł sobie oszczędzić krótkiego spaceru od samochodu do drzwi.

– Chyba jednak zaczekam tu, na dole. Powiedz mu, że tu jestem – powiedział Calogero, siadając na drugim stopniu, żeby prawa noga mogła trochę odpocząć.

Słyszał, jak na górze ochroniarz z całej siły puka do drzwi. Kilka razy wołał, że Calogero Locatelli chce się z nim spotkać, ale nic nie było w stanie skłonić Vincenta do otwarcia drzwi. Ochroniarz się nie poddawał: To ważne, wołał. Sir, proszę otworzyć. I: Don Calogero przyszedł, żeby z panem porozmawiać!

– Jest pan pewien, że jest w domu? – zawołał ochroniarz.

– Nie, ale gdzie mógłby być? – warknął Calogero, zmęczony samym widokiem stromych schodów. – Pojedźmy do jego córki. Może z nim rozmawiała.

Czarny mercedes wyjechał z Union Street i ruszył w kierunku Fort Hamilton. Cywilny samochód FBI podążał za nimi. Zawsze trzymał się jakiegoś trzy wozy dalej. Agenci nie przejmowali się tym, że mogą zostać zauważeni. To było wręcz częścią ich planu. Chcieli, żeby Calogero Locatelli czuł się obserwowany, zestresowany przestępca wcześniej czy później zawsze popełnia błąd. Bo dla nich był przestępcą. Łotrem. Przestępcą i psychopatą, który – w dosłownym tego słowa znaczeniu – szedł do celu po trupach. Budził przede wszystkim strach, dopiero potem – szacunek. Odwrotnie niż jego ojciec. Don Domenico zawsze dopiero w ostateczności uciekał się do zabijania. Przez całe długie życie próbował rozwiązywać konflikty, nawiązując dialog. Calogero Locatelli podchodził do tych spraw

inaczej. Nie lubił rozmawiać, wolał proste rozwiązania.

Przez całą drogę do Fort Hamilton Calogero próbował sobie przypomnieć rozmowy, które w ostatnich tygodniach toczył z Vincentem. Zbliżała się dziesiąta rocznica śmierci jego ukochanej żony, więc nie było wykluczone, że wpadł w depresję. Zawsze bardzo przeżywał tę datę.

– Mam nadzieję, że siedzi gdzieś w Miami z dziwką na każdym kolanie i piña coladą w dłoni – rzucił ochroniarz. Zerkał na szefa we wstecznym lusterku.

– Miejmy nadzieję. Ale nie podoba mi się to. To do niego niepodobne – powiedział Calogero, opierając głowę o zagłówek.

Ochroniarz wjechał na podjazd przed domem córki Vincenta. Właśnie pielęła rabatkę z kwiatami. Kiedy zobaczyła samochód, poczuła dziwny ciężar w piersi – rzadko się zdarzało, żeby Calogero zjawiał się z niezapowiedzianą wizytą.

Stała i patrzyła, jak starszy pan mozolnie wysiada z samochodu. Zrobił kilka kroków po asfaltowym podjeździe i zatrzymał się na skraju trawnika.

– Connie – powiedział i rozłożył rękę, tę, w której nie trzymał laski.

Connie zdjęła gumowe rękawiczki, upuściła je na trawę i różnym krokiem ruszyła w jego stronę. Podeszła i objęła go.

– Wujku Calo, co ty tu robisz?

– Twój ojciec...

Connie przyłożyła dłoń do ust:

– Nie...

Odszedł, pomyślała. Jej stary ojciec. I nagle stanęła jej przed oczami ceremonia pogrzebowa i ciężkie chwile zaraz po niej. Tak niedawno to przeżywała.

– Nie, kochanie, spokojnie – powiedział Calogero i pogłaskał ją po policzku. – Po prostu zastanawiałem się, czy może ostatnio się do ciebie odzywał. Nie mogę się z nim skontaktować.

– Ja... ja nic nie wiem. – Nie mogła się pozbierać po szoku. – Mówił, że wyjeżdża na jakiś czas.

– Tak? Czy to z powodu... – Calogero urwał, czekał, aż dokończy za

niego. – Hm?

– Co masz na myśli?

– Że wyjechał, bo to ta pora roku...

– Myślisz o mamie?

Calogero skinął głową.

– Nie – powiedziała Connie i spuściła wzrok. – Tym razem chodziło o coś innego. Powiedział, że wyjeżdża w interesach. Nic o tym nie wiesz?

– Nie – wycedził Calogero przez zaciśnięte wargi. – Więc pewnie w ogóle nie ma go w mieście?

– Pewnie nie. – Connie była wyraźnie zmartwiona. – Byłam pewna, że wiesz. To możliwe, żeby ot, tak sobie wyjechał?

– Mamo? – Angelo wyjrzał przez drzwi i zobaczył gościa. – Wujek Calo! – zawołał i zaczął zbiegać po schodach.

– Cześć! – Calogero się uśmiechnął, podał laskę ochroniarzowi. Powoli kucnął i uściskał chłopca. – Może pojedziemy po lody? Oczywiście jeśli mama pozwoli.

– Mama pozwoli. – Connie się roześmiała.

– Chyba nigdzie się nie spieszymy?

Ochroniarz pokręcił głową.

Poniedziałek, 15 czerwca
Fredrikstad

NA TRZECIM PIĘTRZE w sali konferencyjnej w komisariacie we Fredrikstad inspektor Erik Lange powiesił na ścianie tablicę. Wszystko zostało dokładnie zaznaczone szpilkami z łebkami w różnych kolorach. W prawym górnym rogu widniało zdjęcie Wilhelma Martiniussena. Pozostała część tablicy była pokryta zdjęciami z miejsca zbrodni, była też mapa centrum Fredrikstad i mapa Kråkerøy; czerwonym kółkiem zaznaczono apartamentowiec, w którym mieszkał Martiniussen. Ponadto dwa niewielkie zdjęcia Moena i Danielsena, zdjęcie motoru Moena w chwili, kiedy miały stację benzynową Shella na Kråkerøy, i małe żółte karteczki z notatkami.

Na spotkaniu obecni byli Anton Brekke, inspektorzy Simon Haugen i Erik Lange, prawniczka Martine Rieck i jeszcze dwóch śledczych, których zdesperowany komisarz policji włączył do sprawy w nadziei, że pomogą popchnąć ją do przodu. Z wydziału technicznego przyszedł tylko Klavestad. Simonsen zabezpieczał ślady po napadzie rabunkowym na stacji benzynowej. Obecny był też stażysta Magnus Torp, zachwycony tym, że może uczestniczyć w dochodzeniu, a nie tylko służyć jako kierowca. Mało który z jego kolegów z Wyższej Szkoły Policyjnej, nawet ze starszych lat, będzie w stanie po wakacjach pochwalić się podobnym doświadczeniem.

Inspektor Lange szybko przedstawił wstępny raport Instytutu Medycyny Sądowej w Oslo. Zacytował te zdania, które rozumiał. Przyczyną zgonu Wilhelma Martiniussena była – tak jak od początku przypuszczano – asfiksja, nagłe odcięcie dopływu tlenu do organizmu w wyniku uduszenia. Jediną oznaką uszkodzeń zewnętrznych była długa rana cięta na szyi, którą – lekarz stwierdził

to z całą pewnością – zadano struną od pianina.

Anton zabrał głos. Obecni słuchali uważnie, jak referuje najważniejsze wątki rozmowy z adwokatem Kurtem Skjoldem. Pieniądze, akcje, nieruchomości o łącznej wartości dwóch i pół miliarda koron. A wszystko to dziedziczy jeden człowiek – Bjørn Danielsen.

– Dziedziczenie nie jest przestępstwem, Brekke – zauważyła Martine Rieck łagodnie.

Uśmiechnęła się, ale nie z wyższością, uśmiechnęła się oczami. Anton spojrzał na twarze pozostałych. Czyżby tylko on zauważył jej uśmiech? Wyglądało na to, że tak. Oczy wszystkich były zwrócone na niego, więc nie odważył się do niej uśmiechnąć. Pocieszał się, że robi to wkrótce. Kiedy Martine zgodzi się pójść z nim na drinka. A był pewien, że się zgodzi.

– Słusznie, po prostu dzielę się z wami różnymi przemyśleniami.

Co to za odpowiedź? Skąd mu coś takiego przyszło do głowy? Najchętniej cofnąłby taśmę. Dał jej rzeczową odpowiedź. Pokazał, kto tu jest szefem.

Martine Rieck skinęła głową.

– Porozmawiajcie z nim, a potem zobaczymy, jakie kroki trzeba będzie podjąć.

– W porządku – skwitował Anton krótko. – Poproszę o wykaz rozmów Martiniussena z Bjørnem Danielsenem i Frodem Moenem.

– Jak się czuje Nora Røed Karlsen?

– Coraz lepiej. Rodzina i przyjaciele się nią zajęli – powiedział Haugen. – Martine, znajdź, proszę, odpowiednie paragrafy, których będziemy mogli użyć wobec Frodego Moena.

– Oczywiście, z tym nie będzie problemu.

Anton wstał i podszedł do tablicy. Wyjął pinezkę, którą przypięto zdjęcie szyi Martiniussena. Wziął je do ręki i zaczął się przyglądać. Przez całą szyję, od ucha do ucha, biegła głęboka rana. Widać było wybroczyny, ale rana wydawała się czysta. Mordercy wystarczyło jedno podejście.

– Tego nie zrobił amator – powiedział Anton, machając zdjęciem.

– To nie była zbrodnia w afekcie – dodał. Milczał chwilę, po czym znów spojrzął na zdjęcie. – Wszystko zostało dokładnie zaplanowane. Byłbym zdziwiony, gdyby się okazało, że to debiutant. Wszystko wskazuje na to, że był to ktoś doświadczony, ktoś, kto wiedział, co robi. – Odłożył zdjęcie na stół i przesunął je w stronę Haugena. Haugen podał je dalej.

Martine Rieck nawet na nie nie spojrzała.

– Muszę już iść. Jestem umówiona – powiedziała, zerkając na zegarek. – Już od minuty powinnam być gdzie indziej.

Zamknęła teczkę z dokumentami i wstała. Czarne spodnie od munduru wspaniale podkreślały jej zgrabne kształty. Erik Lange odprowadził ją wzrokiem.

– Ktoś ma ochotę na lunch? – spytał Torp.

– Owszem – odpowiedział Anton, również zerkając na zegarek. – Najwyższa pora.

– To prawda – dodał Lange. – To prawda – powtórzył, klepiąc się po brzuchu.

– Sprawdzisz rozmowy Martiniussena przez komórkę z Danielsenen i Moenem – powiedział Anton do Langego w sposób, który uniemożliwiał odmowę.

Lange spojrzął na niego.

– Tak, po lunchu – odpowiedział spokojnie.

– Proponowałbym przed – rzucił Anton i wyszedł z sali.

W policyjnej stołówce zapełnił tacę łakomymi kąskami. Wziął bagietkę z rostbefem, kanapkę z krewetkami, pół litra mleka, mały kartonik soku i czekoladę. Torp poszedł za jego przykładem, ale zrezygnował z mleka, natomiast Haugen zadowolili się filiżanką kawy i kanapką z krewetkami.

– Pójdę zająć stolik – oświadczył Anton, wychodząc z kolejki.

– Musisz jeszcze zapłacić – upomniał go Haugen.

– Nie, dzisiaj Torp stawia lunch – powiedział Anton. Uśmiechnął się pod nosem i ruszył przez stołówkę do wolnego stolika w rogu.

Torp – trochę obrażony i trochę biedniejszy niż przed chwilą – usiadł naprzeciwko niego i pokręcił głową.

- Torp, chyba się nie obraziłeś?
- Nie.
- Więc co tak kręcisz głową?
- Na rostbefie jest cebula.
- Oczywiście, że jest.
- Nie lubię cebuli.
- Boże drogi, czy ty masz dwanaście lat?

Anton i Haugen roześmiali się i zaczęli jeść. Jedli w milczeniu. Torp męczył się z cebulą. Antona nękała wizja dwóch i pół miliarda koron. Zastanawiał się też, jak Martine Rieck wygląda bez munduru. Rozejrzał się. Przy sąsiednim stoliku usiadło siedmiu, może ośmiu policjantów w mundurach. Głośno rozmawiali o tym, co robili w weekend. Kilku było w Oslo – najwyraźniej miejscowe lokale były mniej atrakcyjne. Kilku narzekało, że musiało pracować.

Anton, Haugen i Torp skończyli jeść, ale zostali jeszcze chwilę przy stoliku, żeby spokojnie strawić. Chcąc nie chcąc, w milczeniu słuchali rozmów toczących się przy sąsiednim stoliku.

– Podobno zidentyfikowali tego starca, który został pobity w Sarpsborgu. Jakiś turysta – odezwał się w końcu Torp, żeby przerwać milczenie.

– Co to za historia? – zainteresował się Haugen.

– Starszy pan został napadnięty w strefie przemysłowej, niedaleko tych nowych budynków urzędu drogowego – powiedział Torp i wypił łyk soku. – Vincent jakiś tam. Z Nowego Jorku. Amerykanin.

– Ach tak? I co z nim? – spytał Haugen, zbierając talerze.

– Jest w śpiączce. Facet przyjeżdża z niebezpiecznego Nowego Jorku do spokojnej Norwegii i zostaje napadnięty. Tragikomedia.

– Powiedziałbym, że tragedia – poprawił go Anton. – Ludzi, którzy napadają na innych, wieszalbym na latarniach – dodał. – Naprawdę. Powiedziałaś, że to był straszny pan?

– Tak. Koło siedemdziesiątki, tak mi się wydaje.

– Okropne. Złapali już kogoś?

– Nie. Na razie nie.

Anton dopił mleko i wstał.

– Ruszamy dalej. Następnym na naszej liście jest Danielsen. *Cry-baby*, idź i przebierz się w cywilne ciuchy, Torp. Nie ma potrzeby nachodzić państwa Danielsen w mundurach. Wiesz, jak to jest. Nikt nie lubi, kiedy sąsiedzi zaczynają plotkować.

Z tylnego siedzenia forda mondeo Anton obserwował Torpa. Wracał już do samochodu. Był elegancko ubrany, dostrzegając się, że szczeniak ma gust. Miał na sobie czarne bawełniane spodnie i cienki biały sweter. Skoro pozbył się obowiązkowej czapki, zadbał też o fryzurę. Jego włosy błyszcząły po przecignięciu woskiem.

Anton wcisnął guzik, opuścił szybę i wystawił głowę na zewnątrz. Spojrzał na brązowe buty na potężnych stopach.

– Ładne buty, Torp.

– Dziękuję – odpowiedział Torp i uśmiechnął się zadowolony.

– Są w jakimś normalnym rozmiarze?

Torp się roześmiał, wsiadł do samochodu i szybko wyjechał z policyjnego dziedzińca.

– Grasz może w pokera? – spytał nagle, od niechcienia.

Anton pomyślał, że mógł to zrobić z dwóch powodów: albo rozmawiał z Haugenem o jego słabości do hazardu, co było raczej mało prawdopodobne – Haugen nie należał do ludzi, którzy rozmawiają o takich rzeczach – albo zamierzał go zaprosić na wieczór pokerowy. Odczekał kilka sekund.

– Nie, to znaczy czasem – odpowiedział bez większego zainteresowania.

– Szkoda. Ja i moi przyjaciele organizujemy dzisiaj mały turniej. Trzysta koron na początek, zwycięzca bierze wszystko. Pomyślałem, że zamiast się nudzić w pokoju hotelowym, mógłbyś do nas dołączyć.

– Brzmi sympatycznie. O której się spotykacie?

– O ósmej, u mnie.

– U ciebie czy u twojej mamusi?

– Ha, ha. Mam swoje mieszkanie, w piwnicy.

– Płacisz czynsz?

– Nie.

- Masz własną łazienkę?
- Nie.
- Kuchnię?
- Nie.
- Czyli masz po prostu swój pokój.
- Tak czy inaczej, spotykamy się u mnie. Byłoby miło, gdybyś wpadł. Zawsze jedna osoba więcej. Na razie jest nas pięciu.
- No dobrze. Trzysta na wejściu, tak? Niewiele. Nie wiem, czy baton toblerone w hotelowym minibarku nie okaże się bardziej kuszący.
- A ty jaką sumę proponujesz?
- Minimum pięćset, od łebka.
- Może być, jeśli o mnie chodzi. Pogadam z kumplami. Przyjdiesz?
- Tak, jeśli obiecasz, że nie wykosicie mnie zaraz na początku.
- Dobrze. – Torp się roześmiał. – Przekażę kumplom. W każdym razie osobiście obiecuję, że będę grał grzecznie.
- Anton – odezwał się Haugen. – Jesteś pewien?
- Mam pewne wątpliwości, ale skoro nie mam nic lepszego do roboty...
- Moja lepsza połowa prosiła, żebym spytał, czy nie wpadłbyś dzisiaj do nas na kolację.
- Vibeke? – Anton był w szoku.
- Tak.
- No to chyba jednak wybiorę pokera. *No offence*, ale rozumiesz, że...
- Tego się spodziewałem. Ale musiałem spytać. – Haugen odwrócił się i uśmiechnął do siedzącego na tylnym siedzeniu Antona. – Myślę, że naprawdę chciała, żebyś przyszedł.
- Wątpię. Ale zdążymy to nadrobić, chociaż pewnie nie w tym roku. – Anton pochylił się do przodu i poklepał Torpa po ramionach.
- Gaz do dechy. Muszę wracać do hotelu i przypomnieć sobie zasady. Jak to było: ful bije pokera?
- Torp się uśmiechnął, zapowiadał się wesoły wieczór.

Bjørn Danielsen obudził się skacowany.

Na śniadanie wypił szklaneczkę whisky, J&B. Jedynej, którą według niego warto było pić. A teraz czekali na niego śledczy. Eva już kilka minut temu powiedziała mu, że przyszli i że chcą z nim rozmawiać. Ale on zwlekał. Nie miał ochoty na żadne rozmowy. Wciąż jeszcze się nie ogolił, włosy sterczały mu na wszystkie strony. Wiedział, że wygląda niechlujnie, ale było mu wszystko jedno. Odrzucił koc, usiadł na skórzanej kanapie, spuścił nogi i postawił stopy na drewnianej podłodze. Powłókł się do barku i nalał sobie kolejną szklankę. Wypił niemal jednym haustem i poszedł do gości.

Skinął głową Antonowi i Haugenowi, podszedł do Torpa i spojrzał na niego zdziwiony. Jego spojrzenie mówiło: Kim ty jesteś i czego tu szukasz?

– To Magnus Torp – powiedział Anton. – Student Wyższej Szkoły Policyjnej. Żeby pan nie pomyślał, że chodzę do pracy z synem.

Danielsen się uśmiechnął.

– Dzień dobry – powiedział i usiadł na niewielkiej kanapie obok żony. – Jakież nowe wieści?

– Testament Wilhelma Martiniussena. Coś pan o nim wie? – spytał Haugen wprost.

Eva Danielsen spojrzała na męża. Siedział ze zmarszczonym czołem.

– Nie – powiedział, a zmarszczki na czole jeszcze się pogłębiły.

– Nic o nim nie wiem.

– Jest pan jedynym spadkobiercą.

– Co takiego?! – wykrzyknął Danielsen, niemal przestraszony. Jakby przed chwilą dowiedział się o czyjejś śmierci. – Ja? A Nora?

– Nora nie została wymieniona w testamencie – powiedział Anton.

– Ale to nic dziwnego. Niedawno się poznali. Poza tym tylko ze sobą chodzili.

– Więc nic pan o tym nie wiedział? – zapytał Haugen. Mówił spokojnie, nie chciał, żeby Danielsen odniósł wrażenie, że policja o coś go podejrzewa.

– Nie.

Eva Danielsen sprawiała wrażenie zamyślanej.

– Na pewno?

– Bjørn. – Położyła rękę na jego udzie. – Zawał... – zaczęła ostrożnie.

– Tak, jasne! – wykrzyknął Bjørn. – Trochę za dużo wypitem, ale rzeczywiście, teraz sobie przypominam, że wspominał o tym. Byliśmy w podróży służbowej, w Sztokholmie. Długi weekend. Od czwartku do niedzieli. Spotkania, odczyty, od rana do wieczora – powiedział, patrząc na funkcjonariuszy.

– Co się stało w Sztokholmie?

– To były cztery bardzo pracowite dni. Byliśmy zajęci od ósmej rano do siódmej wieczorem. A potem szliśmy na miasto. Chwilami trudno nam było nadążyć za młodymi, ale radziliśmy sobie nadspodziewanie dobrze. Podczas całego pobytu tam spaliliśmy w sumie może dziesięć godzin, a w niedzielę, kiedy mieliśmy już wracać, stało się to, co się stało. Byliśmy już na lotnisku, w drodze do bramek, kiedy Wilhelm nagle padł na podłogę.

– Zawał – wtrąciła Eva. – Biedak. Na szczęście wszystko skończyło się dobrze.

– Tak, dzięki Bogu. Natychmiast trafił do szpitala. Byłem przy nim cały czas. Kiedy leżał w szpitalu, powiedział, że ponieważ nie ma spadkobierców, postanowił wszystko zapisać mnie. Roześmiałem się, ale najwyraźniej to zrobił. Jeszcze tego mi teraz trzeba.

Wyglądał na szczerze zmartwionego.

– Wie pan, jaka suma wchodzi w grę? – spytał Anton podchwytliwie.

– Nie mam pojęcia. – Danielsen spojrział na żonę. Patrzyła na niego wielkimi oczami. – Ale wiem, że był zaangażowany w wiele rzeczy, nie tylko w Mardan. Posiadał akcje wielu dużych, świetnie prosperujących firm. Między innymi Nokii. Zainwestował w nią sporą sumę w połowie lat dziewięćdziesiątych, a co było potem, to wszyscy wiemy. Miał też sporo mieszkań, które wynajmował. – Bjørn Danielsen odchylił głowę do tyłu. – Boże drogi, rozumiem, że czyni

mnie to głównym podejrzanym?

– Nie – zapewnił go Haugen pospiesznie.

– Wolałbym być na jego miejscu – powiedział Bjørn Danielsen i po policzkach poleciały mu łzy. – Bez niego byłbym nikim. Mardan, dom, samochody, wszystko, co mam, zawdzięczam jemu. Nawet żonę.

– Ależ Bjørn... – Eva Danielsen objęła męża.

Anton i Haugen, a nawet Torp, byli zdziwieni jego reakcją. Musiał się orientować w finansach przyjaciela. Byli tego pewni. Większość ludzi zapewne ucieszyłaby wiadomość, że właśnie wzbogacili się o dwa i pół miliarda koron, a on był zasmucony. Najwyraźniej wcale nie pragnął takiej odpowiedzialności. Anton nie potrafił powiedzieć dlaczego. Nie bardzo mógł uwierzyć, że siedzący naprzeciwko niego mężczyzna naprawdę jest takim nieudacznikiem, w jakiego się wciela. Chociaż rzeczywiście w tym momencie wcale nie przypominał pewnego siebie i świadomego swoich celów człowieka, na jakiego wyglądał w telewizji.

Anton spojrzął na omegę na swoim ręku i wstał.

– Przepraszamy za kłopot – powiedział Haugen. – Wrócimy, jak tylko dowiemy się czegoś więcej.

Eva Danielsen odprowadziła ich do drzwi. Pożegnali się na schodach. Wychodząc, uśmiechnęli się ze współczuciem. Na podjeździe minęli szarego bentleya continental GT i wsiedli do forda mondeo z silnikiem słabszym o dobrych czterysta koni.

Anton wyjął kartkę, którą dostał od Torpa. W tym momencie Haugen usłyszał, że otrzymał SMS-a. Lange pisał: „Frode Moen zaczął się awanturować. Uspokoi się w celi”.

– Kazałeś mu jechać do Moena? – spytał Antona.

– Nie. Ale dobrze, że się do czegoś poczuwa.

– Wolałbym, żebyśmy to my z nim rozmawiali.

– No ale okazuje się, że nie musimy – powiedział Anton i podał mu kartkę.

– Lars Andreassen? – odczytał Haugen głośno. – Kto to jest?

– To ten facet, który cię wrzucił do wody. Poprosiłem jednego ze

stada, żeby spróbował się czegoś o nim dowiedzieć, i proszę. Jak się chce, to można.

STRZAŁKA SZYBKOCIOMIERZA wskazywała dokładnie sześćdziesiąt kilometrów na godzinę, kiedy Magnus Torp skręcił na południe, w drogę krajową 108, prowadzącą na Kråkerøy. Zahamował przed dwójgim przechodniów na pasach. Wykorzystał ten moment, żeby pogłośnić radio i znaleźć coś, czego będzie można słuchać. Haugen chciał jak najszybciej wracać na komendę i spotkać się z Moenem, który pewnie siedział w celi na pierwszym piętrze i obgryzał paznokcie.

– Z Moenem możemy rozmawiać tylko ja i Brekke – rzucił do Langeego.

Im dłużej Moen na nich czeka, tym lepiej. Niech się trochę spoci, niech się przygotuje na pytania, których zapewne się spodziewa. Na pewno jest pod większą presją niż kiedykolwiek wcześniej. Jego numer z akcjami był niczym w porównaniu z tym, przez co teraz przechodzi.

Haugen był przekonany, że mają właściwego człowieka.

Torp nastawił głośniej radio. Eminem okazał się wyzwaniem zarówno dla starych głośników, jak i dla Antona: podskoczył na tylnym siedzeniu, odpiął pas i niemal położył się między fotelami, żeby sięgnąć wyłącznika. Haugen patrzył na jego rękę, którą zdesperowany próbował dosięgnąć radia. Dotknął guzika palcem wskazującym i ściszył muzykę.

– Dzięki! – powiedział Anton głośno. Odchylił się do tyłu i zapiął pas. – Chcesz mnie wykończyć, Torp? Słuchasz takich rzeczy?

– Eminem to król – odpowiedział Torp stanowczo.

– A ja myślałem, że raper.

Torp zjechał z głównej drogi. Jechali teraz wąską, nierówną szutrową aleją. Po obu stronach rosły krzaki i drzewa. Na szczęście zapewniały trochę wiatru. Mondeo parło z mozołem do przodu.

Jechali z prędkością zaledwie dwudziestu kilometrów na godzinę, ale auto podskakiwało tak, że Haugen musiał oprzeć się lewą ręką o deskę rozdzielczą. Prawą trzymał się uchwytu nad drzwiami.

Po kilkuset metrach droga nie była już zła – była jeszcze gorsza. Torp – który nie chciał, żeby samochód się rozpadł – zaproponował, żeby ostatni kawałek przeszli piechotą. Niewielkie gospodarstwo rozciągało się na horyzoncie niczym zaciśnięta pięść. Anton zaprotestował. Postanowił, że nie przejdzie nawet metra.

Podwórce przed walącym się domem, któremu przydałaby się świeża warstwa farby, kiedyś było zapewne wysypane żwirem. Teraz nawierzchnia była tak samo nierówna jak droga. Cała działka była usiana najróżniejszym złomem i starymi narzędziami rolniczymi. Dwóch traktorów nie używano chyba od wielu lat, a z sześciu samochodów tylko dwa miały drzwi. Anton wysiadł. Spojrzał na stodołę, która wyglądała na jeszcze starszą od głównego budynku. Duże drzwi były zabezpieczone potężną belką, po obu stronach zamontowano kłódki. Wiedział, że belka jest zapewne jednocześnie belką nośną. Gdyby ktoś odważył się włamać, ryzykowałby, że stodoła się na niego zawali. Nie zamierzał nawet próbować tam wejść.

Wrócił do głównego budynku. Wszedł po czterech kamiennych schodkach i zatrzymał się przed drzwiami. Rozejrzał się w poszukiwaniu dzwonka, ale jedynym śladem po nim były dwa luźne kabelki wystające ze ściany, tuż pod mosiężną tabliczką, z której ledwie można było odczytać ozdobne litery: Andreassenowie. A pod spodem: Gunnar, Lisbeth i Lars. Kiedy podniósł rękę, żeby zapukać, Haugen zwrócił mu uwagę na samochód, który z dużą prędkością jechał szutrową aleją w stronę domu.

Stara brązowa toyota corolla zbliżała się z widocznym pośpiechem, zostawiając za sobą tumany kurzu. Kierowca wyraźnie znał drogę i sprawnie manewrując, unikał największych dziur. Stojąc na schodach, Anton widział wystającą przez okno tłustą, bladą rękę. Coraz głośniej docierał do niego refren *The Final Countdown* zespołu

Europe. Corolla wjechała na podwórze i zatrzymała się obok mondea, w którym nadal siedzieli Haugen i Torp. Wysiadł z niej wrak człowieka.

Potęźnie zbudowany mężczyzna miał na sobie stare dresowe spodnie Adidasa, granatową flanelową koszulę, na bosych stopach zniszczone drewniaki. Anton zszedł ze schodów. Próbował się skupić na czymś innym niż tłuste, dawno niemyte włosy faceta. Po jakimś czasie udało mu się spojrzeć mu w oczy. Zimne, nieco wyłupiaste. Cieszył się, że nie jest wierzący, bo byłby przekonany, że właśnie zobaczył diabła.

– Co wy za jedni, do cholery? – warknął mężczyzna. Wszedł na schody, odepchnął Antona i wszedł do środka.

– Chcielibyśmy porozmawiać z Larsem – powiedział Haugen spokojnie, jak tylko on potrafił.

– Po co?

Mężczyzna, który mógł być tylko Gunnarem Andreassenem, odwrócił się i spojrzał na nich.

– Jesteśmy z policji – powiedział Anton. – Chcielibyśmy porozmawiać z pana synem. Jest w domu?

– Co szczeniak zrobił, że go szukacie?

– Jest w domu? – powtórzył Anton.

– Tak.

Gunnar Andreassen zostawił drzwi otwarte, wszedł i zniknął w kuchni. Policjanci podążyli za nim. Weszli do pokoju, w którym na kanapie przed telewizorem siedział Lars Andreassen. Leciąca kolejna powtórka jakieś popularnej opery mydlanej. Lars nie wydawał się szczególnie zainteresowany. Skupiał się raczej na niewielkim ekranie LCD swojej cyfrowej kamery. Jego ręka cały czas wędrowała od torby z prażoną kukurydzą do pełnych warg.

– Cześć – zaczął Anton, siadając obok niego. – Masz fajny aparat.

– Lubię robić zdjęcia – odpowiedział chłopak, nie podnosząc głowy.

– Popatrz! – Podniecony uniósł kamerę. Na ekranie widać było zbliżenie zęba lwa, na którym przysiadła pszczoła. Żółte paski na jej odwłoku współgrały z żółtym zębem. Anton musiał przyznać, że

zdjęcie rzeczywiście jest dobre.

– Mam więcej, chcesz zobaczyć?

Lars po raz pierwszy uniósł głowę. Spozrzegł Torpa i inspektora Haugena. I najwyraźniej się go przestraszył. Otworzył usta. Siedział z rozdziawionymi ustami i wzrokiem wbitym w Haugena.

– Cześć. Poznajesz mnie? – Haugen się uśmiechnął.

– Nie zrobiłem nic złego. Przysięgam.

Gunnar Andreassen wtoczył się do pokoju z puszką piwa w ręku. Opadł na fotel i zaczął pić. Kilka kropli pociekło mu po brodzie i wylądowało na poplamionej koszuli. Jednym ruchem zgniótł puszkę i otarł ręką usta, po czym upuścił puszkę na podłogę.

– Co ty, do diabła, znów zmajstrowałeś, Lars? – spytał i beknął.

– Nie zrobił nic złego – wtrącił Anton. – Chcemy po prostu obejrzeć jego zdjęcia.

Gunnar Andreassen wstał, nachylił się nad niewielkim stolikiem, który stał między nim a synem, i z pianą na ustach krzyknął:

– Ile razy mam ci powtarzać, że przez ten cholerny aparat tylko napytasz sobie biedy?!

Uniósł dłoń, jakby chciał go uderzyć.

– Dosyć tego! – krzyknął Anton.

Wstał i pchnął go. Poleciał na krzesło z taką siłą, że się przewróciło.

– Ani słowa więcej! – wycedził przez zęby Anton.

Gunnar Andreassen wydostał się spod przewróconego krzesła, ale nadal siedział na podłodze. Widać było, że nie bardzo rozumie, co się dzieje.

– Może porozmawiamy na komisariacie? – zaproponował Haugen.

– Chciałbyś pojechać z nami, Lars? – spytał Anton, kucając obok chłopaka. Najchętniej postarałby się, żeby chłopak już nigdy nie musiał wracać do domu. Na stole stały papierowe talerze z zapleśniałym jedzeniem. Dywan był cały zastany resztkami i puszkami po piwie. To nie było miejsce dla niego.

– Nie chcę iść do więzienia.

– Nie pójdziesz do więzienia – uspokoił go Anton, klepiąc go po ramieniu. – Chcemy po prostu obejrzeć zdjęcia, które masz

w aparacie. Sądzimy, że możesz mieć takie, które bardzo nas interesują. Po drodze możemy kupić jakieś słodycze, żebyś miał coś do przegryzienia, kiedy będziemy przeglądać zdjęcia. A potem odwieziemy cię do domu. Co ty na to?

– Pojedziemy z migającym światłem i z włączoną syreną – zaproponował Haugen.

Anton westchnął. Chciał zabrać chłopca, ale żeby zaraz włączać syrenę? Haugen trochę się pospieszył.

– Mogę siedzieć z przodu?

Kiedy mondeo wyprzedzało kolejne samochody na drodze krajowej numer 108 w drodze do centrum, Torp i Lars uśmiechali się jeden przez drugiego.

Kiedy dotarli na miejsce, Lars został posadzony w fotelu dla gości. W rękę miał tabliczkę czekolady, od czasu do czasu popijał gazowany napój. Uśmiechał się, wyraźnie zadowolony takim przyjęciem, i wciąż podniecony jazdą. Anton połączył laptopa kablem z aparatem.

– Dużo zrobiłeś zdjęć w piątek? – spytał.

Karta miała cztery gigabajty i mogła pomieścić prawie dwieście trzydzieści zdjęć.

– Tak.

– Ale chyba nie wszystkie te są z piątku?

– Są – odpowiedział Lars, zjadając ostatni kawałek czekolady.

– A może zrobiłeś więcej? Może masz je w komputerze?

– Wszystkie, które zrobiłem w piątek, są w aparacie. Nie mam komputera! – stwierdził chłopak.

– To co robisz ze zdjęciami, kiedy już się nie mieszczą w aparacie?

Lars spojrzał na Torpa, który zdążył się już przebrać w mundur.

– Tego nie mogę powiedzieć – wydukał chłopak. Spuścił wzrok. Zaczął się wpatrywać w kawałek podłogi między krzesłem a biurkiem. – Boję się, że to może być nielegalne.

Torp kucnął obok niego.

– Posłuchaj, Lars, jesteśmy kumplami, prawda?

– Tak.

- No właśnie. Więc możesz mi powiedzieć. Nic złego cię nie spotka.
- Ale tak nie wolno.
- Posłuchaj, nawet jeśli to nielegalne, to nie musisz się tym przejmować. Pomagasz policji, a to my decydujemy o tym, co jest, a co nie jest legalne – powiedział i puścił oko.
- Na pewno?

Anton skinął głową.

Wykonując dziwne ruchy rękami, Lars wyznał, że przegrywa zdjęcia do jednego z komputerów w miejskiej bibliotece. Niemal ze łzami w oczach tłumaczył, że wie, że tak nie wolno, widział kartkę, na której było to wyraźnie napisane.

– Torp, wiesz, co masz zrobić? – spytał Anton, odwracając się do stażysty.

- Co?
- Sprawdzić zdjęcia w komputerach w bibliotece.
- Może najpierw przejrzymy te? Chłopak twierdzi, że wszystkie zdjęcia z piątku są w aparacie.
- Dobrze. Tylko najpierw przynieś mi kawę.

Torp i Haugen wyszli z pokoju. Haugen nie chciał dłużej zwlekać. Postanowił zejść do celi w piwnicy. Niech Anton przegląda zdjęcia. Był pewien, że wiele na nich nie znajdzie. A potrzebował rezultatów.

Anton skopiował zdjęcia na twardy dysk i zaczął przeglądać. Podano mu kawę, wypił ją. Dalej przeglądał zdjęcia, ale nie było na nich nic ciekawego. Większość – zresztą zaskakująco dobra – przedstawiała samochody. Lars najwyraźniej interesował się pojazdami, a w szczególności SUV-ami. Jego ulubionym modelem było Lamborghini Gallardo, tak przynajmniej twierdził. Ale zdjęcie lamborghini było na komputerze w bibliotece. W aparacie najczęściej powtarzały się mercedes ML i bmw X5. Często robił pięć, sześć zdjęć temu samemu samochodowi, o ile oczywiście miał szczęście i auto stało na parkingu. Można było pomyśleć, że występują jedynie w kolorach białym, czarnym i szarym. Zdjęć było dużo, a stary laptop Haugena potrzebował dużo czasu, żeby je otworzyć. Anton zrobił krótką przerwę. Sięgnął do torebki Larsa po

garść żelkowych ludzików. Trzy torebki cukierków, które kupili chłopakowi na stacji benzynowej, były już puste.

– Jeszcze coś do picia? – spytał w nadziei, że chłopak odmówi.

Ale Lars się uśmiechnął i głośno przytaknął:

– Tak, poproszę!

– Torp...

– Oczywiście.

Torp wyszedł wykonać ważne polecenie. Wrócił z półlitrową butelką lodowato zimnej coli.

– Prywatna butelka inspektora Langeego. Ma całą skrzynkę w lodówce, ale kontroluje sytuację, więc będziemy musieli mu ją odkupić.

– To zrozumiałe – odpowiedział Anton, nie przestając oglądać zdjęć.

Motyw się zmienił: teraz przedstawiały łodzie, potem kwiaty, a potem wyświetliło się zdjęcie pszczoły i zęba lwa. Lars był z niego bardzo dumny.

– Bardzo dobre zdjęcie – pochwalił go Anton z uśmiechem.

– Doskonale sobie radzisz. Sam kupiłeś aparat?

– Nie, wygrałem go – powiedział Lars z ustami pełnymi żelków.

– Co takiego? Co przegrałeś?

– Nie przegrałem. Ja go wygrałem – roześmiał się chłopak.

– Szczęściarz z ciebie.

Anton dalej przeglądał zdjęcia, a Lars zaczął opowiadać o konkursie, w którym wygrał aparat.

– Redakcja „Fredriksstad Blad” ogłosiła konkurs fotograficzny – mówił podniecony. – Wysłałem zdjęcie mamy, które zrobiłem, kiedy miałem dziesięć lat. Takie bez kolorów!

– Czarno-białe? – Anton spojrzał na niego z ciekawością.

– Mama siedziała na huśtawce w ogrodzie. Już jej nie ma, tej huśtawki, bo tata ściął drzewo. Któregoś wieczoru, kiedy był porządnie pijany. Groził, że porąbie cały dom, ale tego na szczęście nie zrobił – powiedział Lars i roześmiał się głośno. – Na odwrocie zdjęcia napisałem, dlaczego zdjęcie nie ma kolorów. Dlatego, że

mama, tata i ja wywoływaliśmy je w ciemni w stodole. A na końcu napisałem, że nie mam żadnego nowszego zdjęcia mamy, bo już nie żyje. No i wygrałem, chociaż zdjęcie było bardzo stare!

Historia była smutna, ale Lars opowiedział ją tak, że nawet Anton musiał się uśmiechnąć.

– Niesamowita historia.

– Co takiego? – spytał Torp, wyraźnie niezainteresowany.

Anton zerknął na niego: siedział na szafce z dokumentami i czytał SMS-a.

– Idź i zajmij się czymś pożytecznym!

– Co? Nie jestem już potrzebny?

– Nie. Idź i pozadawaj się ze stadem. Może znajdziecie jakiś kradziony samochód. Co za zachowanie. Za grosz szacunku. Zabieraj się stąd!

Torp był zdziwiony. Nie do końca wiedział, co sprawiło, że Anton właściwie wyrzucił go z pokoju. Wyszedł ze wzrokiem wbitym w ekran, kończąc pisać SMS-a.

Anton pomyślał o siedzącym przed nim chłopcu. I o jego ojcu. Możliwe, że zawsze taki był.

Otworzył kolejne zdjęcie.

– Znalazłeś złodzieja? – spytał Lars i na moment przestał jeść.

– Nie – odpowiedział Anton krótko. Oglądał zdjęcie z nabrzeża, na którym siedzieli naprzeciwko siebie inspektor Erik Lange i Martine Rieck.

– Szlag.

Lange najwyraźniej był nią zainteresowany. Na zebraniu patrzył na nią pożądliwie. Anton przeciągnął dłońią po krótkim zaroście i zaczął się zastanawiać, czy nie powinien zapaść brody.

– Podać ci coś do picia? – spytał.

– Jeszcze mam – odpowiedział Lars, potrząsając butelką.

– Widzę, ale... – Anton wstał i otworzył szafkę Haugena. Zobaczył plecak. Były w nim dres, ręcznik i torba z kosmetykami. Wyrzucił z niego wszystko i odłożył do szafy.

– Nigdzie nie odchodź, zaraz wracam.

Idąc korytarzem, uśmiechał się sam do siebie. Spoważniał, kiedy zobaczył idących w jego stronę dwóch funkcjonariuszy w niebieskich koszulach i czarnych krawatach. Minęli go, a on poszedł dalej korytarzem. Zatrzymał się dopiero przed drzwiami do niewielkiej kuchenki. Rozejrzał się szybko i wszedł, starając się nie robić hałasu. Inspektor Erik Lange najwyraźniej lubił colę: na dole w lodówce stała niemal cała skrzynka. Żeby zaznaczyć, że to jego własność, owinął ją kilkoma metrami taśmy wygradzającej.

– Pajac – wymamrotał Anton do siebie i zaczął przekładać butelki do plecaka. Kiedy skończył, obwiązał skrzynkę taśmą i zawiązał na kokardę.

Wrócił do gabinetu.

– Proszę, starczy ci coli na kilka dni – powiedział, podając plecak Larsowi.

Chłopak otworzył go i uśmiechnął się szeroko.

– To wszystko dla mnie?

– Wszystko.

Anton zatytułował zdjęcie Langego i Martine Rieck „Gołąbeczki”. Wszedł w pocztę Haugena, znalazł adres Martine i przesał jej zdjęcie z dopiskiem: „Cześć! Patrząc na załączone zdjęcie i myślę, że chyba wkrótce będę musiał was wezwać na przesłuchanie, ha, ha. Anton”.

Co za żaloszny krok. Już po kilku minutach szczerze go żałował. Przez moment miał nadzieję, że mail nie dotrze i wróci z adnotacją: błędny adres czy coś w tym stylu. Potem po raz kolejny otworzył zdjęcie i powiększył je. Na szczęście nie trzymali się za ręce. Zawsze coś, pomyślał. Lange miał na sobie białą koszulę z podwiniętymi rękawami, wyraźnie chciał się pochwalić piękną opalenizną. Miał chude ręce, nawet w porównaniu z jego rękami, ale opalone. On nigdy nie był w solarium, nie przepadał też za podróżami na południe. Martine Rieck miała na sobie obcisły czarny kostium z krótką spódnicą, niemal wyzywająco krótką. Długie jasne włosy

spięta na czubku głowy. Widać było, że spędziła przed lustrem więcej czasu niż zwykle. Wyglądała ślicznie. To na pewno była randka.

Łajdak!

Anton zamknął pocztę. Bał się, że zaraz nadejdzie odpowiedź. Wrócił do zdjęć. Postanowił przejrzeć je jeszcze raz, ale tym razem od końca.

Ostatnie zostało zrobione w sobotę przed południem. Przedstawiało radiowozy z włączonymi światłami. Stały przed budynkiem, w którym mieszkał Martiniussen. Na następnym widać było Larsa: stał przed jednym z radiowozów z uniesionym kciukiem.

Potem obejrzał trzy zdjęcia mostu prowadzącego na Kråkerøy. Dwa były lekko rozmazane. Na moście nie było żadnego dużego samochodu, który byłby dla Larsa interesujący. Kolejne zdjęcie przedstawiało czerwone ferrari. Stało na stacji benzynowej Shella.

Nagle rozległo się pukanie do drzwi i zaraz potem głośnie:

– Cześć!

Anton podniósł głowę.

– Cześć – odpowiedział.

– Dzięki za maila. – Martine weszła do gabinetu i stanęła obok Larsa. Przywitała się z nim, uśmiechając się.

– Cześć – odpowiedział Lars. Przyłożył butelkę do ust i zaczął pić.

– Gołąbeczki – powiedziała Martine. Zabrzmiało to surowo, ale nie do końca.

– Tak, to chyba odpowiedni tytuł, nie uważasz? – Anton wyciągnął nogi i odchylił się na krześle.

– Na pewno, ale chyba nie mnie masz na myśli.

– Jedno zdjęcie mówi więcej niż tysiąc słów... – powiedział Anton, obdarzając ją uśmiechem jak z reklamy pasty do zębów.

– To prawda, Brekke. Sama nie wiem, co mam sądzić o tym zdjęciu.

– No właśnie...

Anton wiedział, że ją uraził. Wiedział, że nie powinien był wysłać maila ze zdjęciem, które na dodatek nazwał tak, jak nazwał. Poczut się nieco zbyt pewny siebie. To mu się zdarzało, nie pierwszy raz się

sparzył. W ogóle nie powinno go to obchodzić. To nie jego sprawa, z kim Martine Rieck spotyka się w wolnym czasie. Przecież nawet jej nie zna. Chociaż miał ochotę poznać ją lepiej. Zacerpnął powietrza i pomyślał, że zrozumie, jeśli da mu w twarz.

– Na zdjęciu jest moja siostra, Anette. No i Lange. Nasz *prince charming* – dodała, przewracając oczami.

Anton wypuścił z płuc powietrze. A więc nadal mógł mieć nadzieję.

– Czyżbym słyszał nutkę ironii?

– Nie, tylko że on nie jest w moim typie. Jakiś czas temu zaprosił mnie na randkę, ale grzecznie odmówiłam.

– Niech zgadnę. – Anton się uśmiechnął. – Pewnie użył pracy jako pretekstu. Pracujemy razem, może powinniśmy się lepiej poznać i tak dalej, i tak dalej.

– Dokładnie tak.

Martine się roześmiała. Cudownie się śmiała. Anton teraz już na serio zaczął o niej myśleć. Ponętna blondynka.

– Ja musiałbym wymyśleć coś innego. Jestem tu tylko gościnnie.

Radosny śmiech stał się nagle jakby mniej radosny.

– Ach tak.

Pożerał ją wzrokiem. Spojrzała na niego surowo.

– Dużo trenujesz? – spytał ją nagle.

Na jej twarzy zobaczył lekki rumieniec.

– Połóż się na biurku, a zafunduję ci masaż życia – zaproponował.
– Lars może mi asystować.

Lars uśmiechnął się szeroko. Anton wiedział, że to skok na głęboką wodę. Martine patrzyła na niego zszokowana.

– Marzy ci się. – Roześmiała się.

– Dobrze, zadowolę się kolacją i...

Wieczorem miał grać w pokera z Torpem i jego kolegami. Pomyślał, że chętnie zrezygnuje nawet z kilku tysięcy, żeby tylko móc spędzić wieczór z nią. Poza tym nie miał przecież żadnej gwarancji, że wygra. Zaczął się zastanawiać. Kogo próbuje oszukać? Oczywiście, że wygra. Czterech żółtodziobów nie ma z nim żadnych szans.

– Co proponujesz? – spytała Martine niepewnie.

– Może piwo... albo *sex on the beach*. Albo whisky, jeśli wolisz.
– *Sex on the beach*, no wiesz... – Roześmiała się. – Brzmi kusząco, ale dzisiaj niestety nie mogę. Jestem już umówiona.

– Mam nadzieję, że nie z Langem – spytał z lekkim przekąsem.

– Nie, nie. Jestem umówiona z uczestniczką tego tajnego spotkania, które właśnie przestało być tajne.

Miała ochotę się z nim spotkać, ale nie chciała tak łatwo ulec sławnemu komisarzowi. Nie sądziła, żeby miał poważniejsze zamiary. Ale ten rozkochany, nieogolony mężczyzna miał w sobie coś, co ją przyciągało, chociaż nie potrafiła powiedzieć, co to było. Był znany z bezpośredniości. Najwyraźniej dotyczyła ona nie tylko spraw zawodowych. I właśnie to jej się podobało.

Ale nie, jednak nie.

– W porządku, jutro wieczorem też tu będę – powiedział.

Uśmiechnęła się, jej oczy zamieniły się w wąskie szparki.

– Byłoby miło, ale..

– Świetnie, przyjadę po ciebie o siódmej.

– Chyba będziemy musieli to odłożyć.

– Rieck, w mieście grasuje zabójca. Nie podoba mi się pomysł, żebyś miała spędzić wieczór sama – powiedział, puszczając do niej oko.

– Przykro mi – uśmiechnęła się. Miała ochotę, ale rozsądek kazał jej odmówić.

– Wy, prawnicy. Kwadrans po siódmej. Ostatnia szansa.

– Czuję, że się czerwienię, ale nie. Innym razem.

– Mogę tylko jutro. Potem już do końca roku jestem zajęty.

Uśmiechnęła się.

– Gdyby coś się zmieniło, proszę, daj mi znać. A teraz spieszę się do sądu.

Anton śledził wzrokiem jej kształtne ciało, aż zniknęła za drzwiami. Po chwili wrócił do zdjęć.

– Rany boskie, to dopiero bryczka, Lars.

– Ta czerwona? Na stacji benzynowej?

– Tak.

– To ferrari – powiedział chłopak z dumą. – Rzadko się trafiają.

Anton skinął głową, ale nic nie powiedział. Nagle poczuł, że spociła mu się ręka, adrenalina dała o sobie znać. Na ekranie pokazał się Wilhelm Martiniussen. Szedł kładką dla pieszych. Najwyraźniej wybrał się na spacer na nabrzeże i właśnie wracał do domu. Kilka kroków za nim szedł jakiś mężczyzna. Ubrany na czarno. Patrzył prosto w obiektyw, nie będąc tego świadomy. Wyglądał jak pierwszy lepszy facet wracający z miasta do domu. Gdyby nie ten wzrok. Anton kliknął na jego twarz i zrobił zbliżenie. Mężczyzna rozglądał się bacznie, jakby chciał się upewnić, że nikt go nie obserwuje. Anton spojrzał na Larsa. Nie miał pojęcia, jakie miał szczęście, że akurat wtedy nie użył lampy błyskowej.

Anton zdał sobie sprawę, że wiele lat wcześniej widział zdjęcie tego mężczyzny. Stał obok Calogera Locatellogo, bezsprzecznego króla wszystkich nowojorskich gangsterów. Stali uśmiechnięci przed budynkiem sądu federalnego w Nowym Jorku. Cały naród amerykański był przekonany, że Calogero Locatelli zgnije w więzieniu. Sprawa budziła duże zainteresowanie, przedstawiciele wszystkich stacji telewizyjnych i radiowych stali pod salą rozpraw, kiedy pierwszy świadek, starsza pani, położyła powykręcaną reumatyzmem dłoń na Biblii i przysięgła mówić prawdę i tylko prawdę, po czym nagle oświadczyła, że nic nie pamięta. „Kto? Calogero Locatelli? Nie, nigdy o kimś takim nie słyszałam”. Dwaj inni świadkowie w ogóle nie zjawili się w sądzie. Nikt nie był w stanie ich znaleźć, więc sędzia mógł jedynie oddalić sprawę. Sprawiedliwość po raz kolejny zawiodła. Calogero Locatelli po raz kolejny nie poniósł kary. Po raz kolejny rodzina udowodniła, że zbrodnia popłaca.

Nagle Anton przypomniał sobie, o czym rozmawiali Haugen i Torp w stołówce. Vincent, turysta, który został napadnięty i zapadł w śpiączkę. Zdjęcie nie pozostawiało żadnych wątpliwości. Turystą był Vincent Giordano, jeden z najbardziej niebezpiecznych ludzi na Wschodnim Wybrzeżu Stanów Zjednoczonych.

Anton wyszedł na korytarz.

– Torp! – zawołał. – Torp!

Chłopak niemal natychmiast pojawił się w drzwiach pokoju śniadaniowego, zadowolony, że Anton już się na niego nie gniewa.

– Zawieź mnie do szpitala! – krzyknął Anton i ruszył w stronę schodów.

– Muszę sprawdzić, czy mogę wziąć jakiś samochód – powiedział Torp.

– Możesz! – warknął Anton i przyspieszył.

– Mam kluczyki do mondeo. – Torp wyjął z kieszeni kluczyki. – Ale muszę zawiadomić dyspozytora.

– Na litość boską, człowieku, daj mi te kluczyki.

Zeszli pospiesznie na dół. Torp wyjechał z dziedzińca i na zakręcie niemal położył się na kierownicy. Szybkim ruchem zmienił bieg, włączył sygnał świetlny i syrenę.

– Jeśli nie chcesz spędzić reszty życia na wózku inwalidzkim, to wyłącz to diabelstwo. Natychmiast. – Anton był wyraźnie zły. Niemał unosił się nad fotelem.

Torp wyłączył syrenę i spojrzał na Antona niepewnie.

– Światła też – nakazał Anton.

– Myślałem, że...

– Za dużo myślisz. Przyznaj się: takie rzeczy jak światła i syreny cię podniecają. W porządku. A teraz chciałbym, żebyś zrobił dla mnie dwie rzeczy.

– Jakie?

– Odwieź Larsa do domu i powiedz Langemu, żeby się skontaktował z władzami gminy i poprosił, żeby się zainteresowali chłopakiem. I jak najszybciej postarali się dla niego o mieszkanie. Nie chcę, żeby mieszkał z ojcem w tej norze. Zastużył na coś więcej. Podjedź tutaj – powiedział nagle, wskazując na główne wejście do szpitala.

– Jasne.

Torp zahamował obok kilku taksówek czekających na klientów.

– Zanim odwieziesz Larsa, zabierz go na małą przejażdżkę – rzucił Anton, wysiadając.

– Dokąd?

– Wszystko jedno. Do Sarpsborga, gdziekolwiek. Tylko jedź jak pan Bóg przykazał.

– Jasne – powiedział Torp, szczęśliwy jak dziecko na widok prezentów pod choinką.

– Masz jechać zgodnie z przepisami. Rozumiemy się?

– Jasne. Tak. Jeszcze tylko jedno.

Anton spojrział na niego zaciekawiony.

– Lange sprawdził listę połączeń między Moenem i Danielsenem. I nic.

– No dobrze.

– Ma ci chyba coś za złe.

– Kto?

– No, Lange.

– *Boo-fucking-hoo* – powiedział Anton. Wysiadł i zamknął za sobą drzwi.

Biuro wydziału do zwalczania przestępczości zorganizowanej FBI mieściło się na dziewiętnastym piętrze budynku federalnego imienia Jacoba K. Javitsa na Mahattanie. Człowieka, który przez lata prowadził śledztwa w sprawach dotyczących Calogera Locatellogo i jego ludzi, agenta FBI Percivalla Wilsona, koledzy nazywali Percy. Był weteranem. Wkrótce miał przejść na emeryturę. Właściwie się cieszył. Odłożył dość pieniędzy, żeby sobie kupić małe mieszkanie na Florydzie i nie musieć myśleć ani o Locatellim, ani o jego ludziach. Kosztowało go to już dwa małżeństwa i niezliczone bezsenne noce. Już dawno zrozumiał, że w walce z mafią stoją na straconej pozycji. Po pamiętnej rozprawie, kiedy to dwóch świadków – będących pod opieką biura – rozplynęło się w powietrzu, skupił się na ludziach otaczających Calogera, przede wszystkim na Vincencie Giordano, który szybko stał się prawą ręką głowy rodziny. Obserwowali go już blisko czterdzieści lat i nie udało się im nawet postawić go przed sądem.

Spojrzął na zegar w rogu ekranu laptopa. Od chwili kiedy zadzwonił

informator, w jego twarzy nie drgnął nawet jeden mięsień. W podziemnym światku Nowego Jorku krążyły plotki, jakoby Vincent Giordano zaginął. Od kilku dni nikt go nie widział ani z nim nie rozmawiał. Od mniej więcej dziesięciu lat raczej unikał rozgłosu. Ale FBI wiedziało, że nie wycofał się z branży, nadal bowiem widywano go, kiedy odwiedzał Calogera Locatello. Tyle że nie działał już równie aktywnie jak kiedyś. W jakimś stopniu było to związane ze śmiercią jego żony. Agenci FBI byli na pogrzebie. Przybyło ponad pięćset osób. Wiele złego można było powiedzieć o Vincencie Giordano, ale na pewno kochał żonę. Co do tego nikt nie miał wątpliwości. Ponad pięć minut spędził nad otwartą trumną, a potem, kiedy przemawiał, też nie odrywał od niej wzroku.

A teraz zaginął.

Wyjaśnienia mogły być dwa: albo postanowił zrobić sobie wakacje – jeśli wziąć pod uwagę fakt, że Calogero Locatelli nic o tym nie wiedział, było to mało prawdopodobne – albo został zabity. W takim przypadku raczej nie należało się spodziewać, że ktoś kiedykolwiek odnajdzie jego ciało. Wilson wstał z krzesła i podszedł do okna. Dochodziła dwudziesta trzecia, ale dziewiętnaście pięter niżej, na Broadwayu, życie dopiero się zaczynało. Wiedział, że jeśli Giordano wkrótce się nie objawi, rodzina Locatellich obwini o jego zniknięcie jakąś inną rodzinę – jedną, a może i więcej, i w podziemnym światku wybuchnie wojna. A on i jego agenci będą mogli się tylko przyglądać. Nawet FBI nie będzie w stanie pomóc osobom, które narażą się Locatellemu. Bo też co mogliby zrobić? Zaproponować ochronę całej armii psychopatów i zabójców? Wywołałoby to jedynie pusty śmiech.

Wilson usiadł przy biurku i napisał krótkiego maila: zawiadamił rezydującego w Waszyngtonie dyrektora FBI o tym, że Vincent Giordano zapadł się pod ziemię, w najgorszym razie w dosłownym tego słowa znaczeniu. To wszystko, co mógł zrobić. Potem mógł już tylko siedzieć w fotelu i czekać.

INSPEKTOR ERIK LANGE wyszedł na dziedziniec, żeby się uspokoić. Włożył szczyptę tytoniu pod górną wargę i oparł się o ścianę. Przeciągnął dłonią po wąsach i brodzie. Był zły, że Anton Brekke zlecił stażystę, Magnusowi Torpowi, by mu przekazał, że ma się skontaktować z władzami samorządowymi i poprosić, by zechciały pomóc temu downowi. Był autentycznie wściekły. Nie jest pracownikiem opieki społecznej, do cholery! A do tego jeszcze zauważył, jakie spojrzenia Martine Rieck posyła Antonowi. Pocieszał się, że z jej siostrą poszło mu nawet łatwiej, niż się spodziewał. Ale nie o nią mu chodziło, tylko o Martine. I to od samego początku, od chwili, kiedy zaczęła u nich pracować, już dwa lata temu. Wtedy był jeszcze żonaty. Co ona widziała w Antonie? Rozczochrane włosy, bladą cerę? Odwrócił się i przejrzał w szybie. Może powinien zgolić brodę? Już nawet nie pamiętał, jak wyglądał bez zarostu. Nosił brodę, od kiedy skończył dziewiętnaście lat.

Jeśli chodzi o Antona, pewnie zadziałała jego sława. Jego swobodny sposób bycia sprawił, że stał się ulubieńcem mediów, no i rzeczywiście nigdy się nie poddawał. Każdą sprawę doprowadzał do końca. Erik był tego świadom. Inni też. Wszyscy wiedzieli, że tę sprawę też wcześniej czy później rozwiąże.

Ale on postanowił, że tym razem mu się nie uda. Pokona słynnego komisarza.

Od zabójstwa Wilhelma Martiniussena minęły już trzy dni, a oni nadal nie mieli podejrzanego. Poza Frodem Moenem. Ale zdjęcie jego motoru w pobliżu mieszkania Martiniussena nie czyniło go jeszcze mordercą. Nawet jeśli wzbudził zainteresowanie policji. Tak naprawdę nic mu nie groziło, nie potrzebował nawet adwokata. Ale jego adwokat był już w drodze ze stolicy.

Gdyby Frode Moen miał cokolwiek wspólnego z zabójstwem

Martiniussena, bez wątpienia odwiedziłby Porucznika, człowieka, który był miejscową wyrocznią. Mieszkał w niewielkiej posiadłości między Halden a Fredrikstad, w zapomnianym przez boga i ludzi miejscu zwanym Skjeberg. Lange musiał przyznać, że go nie lubił, podobnie jak reszta miejscowej policji. Porucznik był kaleką, rzadko się pokazywał, ale wszyscy wiedzieli, że prowadzi nielegalną działalność. Grupa dziesięciu śledczych, w tym Haugen i on, śledziła go już od blisko półtora roku. Jak dotąd bez powodzenia. Jedyne, co byli w stanie przedstawić, to rosnące koszty przedsięwzięcia.

Posiadłość Porucznika odwiedzali najróżniejsi ludzie, począwszy od zamożnych zabójców po polityków, także z zagranicy. Wszyscy w jednym celu: żeby nie musieć ponosić odpowiedzialności za swoje nieczne czyny. Cena audjencji u Porucznika wynosiła pięćdziesiąt tysięcy euro. Pięćdziesiąt tysięcy za rozmowę. Końcowa suma zależała od tego, za jakie nitki Porucznik musiał pociągnąć, żeby załatwić sprawę. Największy interes zrobił w połowie lat dziewięćdziesiątych. Jego klientem był jeden ze zbrodniarzy wojennych z Serbii. Bezwzględny łotr, poszukiwany na całym świecie. Porucznik osobiście zaplanował jego ucieczkę. Dotarł przez Europę do Szwecji. Potem zwykłą łódką przetransportowano go dalej, przez granicę w Svinesund, a potem samochodem do domu Porucznika. Cztery dni ukrywał się w stodole. Piątego stał się Albańczykiem z Kosowa z ważnym norweskim paszportem. Następnie poleciał specjalnie do tego celu wynajętym samolotem do Hiszpanii, gdzie zlikwidowano mu podwójny podbródek, zmniejszono nos i zrobiono pełniejsze usta. Został właścicielem kilku restauracji i barów w Oslo. Cena za to wszystko wyniosła prawie dwadzieścia milionów norweskich koron, które zgodnie z wszelkimi regułami wpłynęły na konto Porucznika na Kajmanach. Porucznik nie miał pojęcia, kto je wpłacił. Zresztą było mu wszystko jedno. Uważał, że jego wkład został przeszacowany, w końcu chodziło jedynie o sześć telefonów, ale nie lubił Serbów, a czystki etniczne jako metoda prowadzenia wojny budziły jego sprzeciw.

Lange zaklął. Miał wrażenie, że wszyscy zapomnieli, że to on

wypatrzył motor Moena na zdjęciach z monitoringu. Wypluł tytoń i postanowił, że sam rozwiąże sprawę Martiniussena. Niech Brekke zaleca się do Martine. On zajmie się robotą. Wiedział, kto mógłby mu w tym pomóc, a właściwie kto musiał, bo nie miał wyboru.

Trzynastego września tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego roku o trzeciej w nocy bombowiec Royal Air Force przeleciał nad Østfold. Zrzucił dwanaście pojemników z bronią, materiałami wybuchowymi i amunicją dla norweskiego ruchu oporu. W tym samym czasie kilkaset metrów dalej przyszedł na świat maleńki chłopiec, a pomogła mu w tym nie położna, tylko brat. Płakał całą noc i całe przedpołudnie. Nagle ucichł i podobno już nigdy potem nie płakał. Siedem miesięcy później jego ojciec dołączył do jedenastej dywizji pancerniej SS „Nordland”. Walczył przeciwko komunistom na froncie wschodnim, u boku innych Norwegów i Niemców. Kiedy wojna się skończyła, wrócił do domu i na cztery lata trafił do więzienia – za zdradę kraju. Porucznik miał pięć lat, kiedy zobaczył swojego ojca po raz pierwszy.

W tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym trzecim skończył służbę wojskową, której nienawidził od pierwszego dnia. Dlaczego miał służyć krajowi, który posłał jego ojca do więzienia za zdradę? Jakie prawo mieli ci, którzy uciekli z kraju, kiedy wkroczyli Niemcy, żeby sądzić jego ojca, który przecież ryzykował życie, walcząc z sowieckimi hordami na froncie wschodnim? Ale ojciec nie przyjmował jego argumentów do wiadomości. Musisz się stawić i odbyć służbę, chłopcze, powiedział, a on posłuchał. W tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym czwartym zrobił to samo co jego ojciec dwadzieścia lat wcześniej – ruszył walczyć z komunistami. Pojechał do Afryki, do Rodezji, i zaciągnął się do Rhodesian Light Infantry. Polował w buszu na partyzantów, którymi dowodził Robert Mugabe. W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym trzecim został przyjęty do Selous Scouts, specjalnego oddziału składającego się wyłącznie z wybranych żołnierzy. Przez sześć lat wędrował po buszu razem

z innymi wojskowymi, cieszącymi się złą sławą brązowymi beretami.

Zarzynali każdego napotkanego po drodze partyzanta.

W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym dziewiątym, po piętnastu latach wojny z partyzantami w Rodezji i po wygraniu wszystkich bitew, przegrali wojnę. Robert Mugabe został premierem, a Rodezja stała się Zimbabwe. Zarówno biali, jak i czarni, którzy walczyli przeciwko Mugabemu, uciekli z kraju. Doskonale wiedzieli, co by z nimi zrobił. Porucznik niejednokrotnie był świadkiem, jak okaleczano ludzi. Mężczyzn i kobiety, starców i młodych. Ucinano im policzki, wargi, brody. Wielu przeżyło – ale straciło twarz.

Wyjechał do Południowej Afryki i wstąpił do South African Defence Forces, SADF, i przez następny rok dalej toczył krwawą walkę z komunistami. Kolejne siedem lat spędził w MID – Military Intelligence Division – w służbie wywiadowczej. Ta posada dała mu dostęp do ogromnej sieci kontaktów. Wówczas nie zdawał sobie sprawy, jak pożyteczna miała się okazać w przyszłości.

W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym ósmym wziął udział w ostatniej bitwie. Niedaleko Cuito Cuanavale w Angoli SADF stoczyły walkę z siłami angolskimi i kubańskimi. Komuniści zostali odepchnięci, zostawili za sobą pięćset dwadzieścia trzy ciała i trzydzieści trzy wozy pancerne. Na polu walki został także ciężko ranny Porucznik.

W mrocznym świetle za ogromnym biurkiem siedział Peter Jäckel – Porucznik. Jedynym źródłem światła w pokoju były dwa pięćdziesięciocalowe ekrany plazmowe i dwa monitory stojące po dwóch stronach wielkiego biurka. To były jego okna na świat. Zza biurka śledził to, co się działo na całej kuli ziemskiej, zaś telewizory informowały go na bieżąco – jeden o sytuacji na giełdzie w Oslo, drugi o tym, co mówią w wiadomościach CNN.

Wcisnęła guzik i wezwała asystentkę, Mery. Azjatycka piękność, która właśnie w tym tygodniu skończyła dwadzieścia dziewięć lat, chociaż wyglądała, jakby nie miała nawet dwudziestu. Porucznik poznał ją trzy lata wcześniej w szpitalu, w którym robił badania. Pracownicy szpitali, z którymi do tej pory miał do czynienia, zajmowali się nim

tak, jak powinni, ale zawsze czuł, że po prostu wykonują swoją pracę. Tylko Mery okazywała mu prawdziwą troskę, czuł, że naprawdę ją obchodzi. Podczas kolejnego pobytu w szpitalu zaproponował jej pracę. Zarabiałaby trzy razy więcej niż dotąd, mieszkałaby za darmo w niewielkim samodzielnym mieszkaniu w jego posiadłości, miałyby do dyspozycji samochód. Nie będzie ci niczego brakować, powiedział. Jej rodzina pochodziła z Wietnamu, ale ona urodziła się i dorastała w Norwegii. Roześmiała się i powiedziała, że nie ma prawa jazdy. Trzy miesiące później objęła nową posadę, a jeszcze dwa miesiące później zdała egzamin i dostała prawo jazdy. Zajmowała się głównie swoimi sprawami, ale dbała też o to, żeby Porucznikowi niczego nie brakowało i żeby na czas przyjmował leki. No i gotowała. Chociaż jego życie właściwie niewiele się zmieniło, Mery wniosła coś nowego. Uważał, że jest warta każdej korony.

– Peter? – powiedziała z uśmiechem, stając w drzwiach.

– Jaki jest ETA, jeśli chodzi o obiad?

Przyzwyczała się do jego wojskowych zwrotów. Początkowo nosiła przy sobie karteczkę, na której wszystko zapisała. *Estimated time of arrival* – spodziewany czas przybycia. Adam, dawny kolega Porucznika z SADF, który teraz był jego kierowcą i zarazem ochroniarzem, wprowadził ją we wszystko.

– Mniej więcej za godzinę.

– Co zamierza pani podać?

– Kurczaka. Właśnie się rozmraża. Z ryżem w sosie słodko-kwaśnym. Jeśli jesteś już głodny, mogę ci coś przygotować. Może kanapkę? Kupiłam świeże warzywa u sąsiada.

– Mmm... – Porucznik się oblizał. Uwielbiał jej słodko-kwaśny sos.

– Nie, zaczekam do obiadu. Zje pani dzisiaj ze mną czy spodziewa się pani kogoś? – zapytał lekko uszczypliwie.

Miał na myśli młodego mężczyznę, który ją ostatnio odwiedzał. Aroganckiego, pewnego siebie biznesmena, który udawał nie wiadomo kogo, chociaż mercedes, którym jeździł, należał do jego ojca, podobnie jak mieszkanie na ostatnim piętrze apartamentowca,

z którego prowadził nie zawsze udane interesy.

Był dobrze poinformowany, korzystał z pewnych źródeł. Oczywiście tak, żeby Mery się nie domyśliła, że ją kontroluje. Mieszkali pod jednym dachem już trzy lata, nigdy wcześniej nie odwiedzał jej żaden mężczyzna. Porucznikowi zależało na tym, żeby znalazła dobrego, porządnego męża. Uznał, że sam jest już za stary dla takiej piękności.

– Nie, zresztą nie sądzę, żeby się jeszcze zjawił – powiedziała Mery i uśmiechnęła się smutno.

– To dobrze. To nie był mężczyzna dla pani.

– Tak, wiem, Peter. Powinam była zrozumieć to wcześniej – powiedziała i podeszła bliżej. Dotknęła jego chudych nóg. – Jesteś lodowaty! Masz na sobie tylko cienkie spodnie.

– Mam nadzieję, że nie zachował się wobec pani nieelegancko.

– Nie, w żaden sposób. Kto zakręcił ogrzewanie?

– W nocy było okropnie gorąco. Poprosiłem Adama, żeby wyłączył piec.

– Nie wolno tego robić – powiedziała Mery. Była zła. – Wiesz, jakie to ważne, żeby zawsze było ci ciepło. Chodzi o twoje krążenie. Już ci to tłumaczyłam.

Otworzyła dużą szafę za jego plecami, wyjęła z niej dwa grube pledy i owinęła mu nimi nogi. Wyszła, a po chwili wróciła z parą wełnianych skarpet. Założyła mu je na zimne stopy.

– No, teraz lepiej.

– Dziękuję, Mery. Gdybym był chociaż o rok młodszy, zaprowadziłbym panią do ołtarza – powiedział Porucznik, a jego twarz rozświetlił uśmiech.

W interkomie na biurku coś zatrzeszczało. W stodole na piętrze rezydował Adam. Za czerwonymi ścianami urządzono nowoczesne mieszkanie, w którym miał gabinet. Stało tam ponad dwadzieścia monitorów, każdy podłączony do oddzielnej kamery. Miał pełną kontrolę nad całą posiadłością, nadzorował wszystkie pokoje w głównym budynku, z wyjątkiem sypialni Porucznika, jego gabinetu i mieszkania Mery. Proponował, żeby je także objąć monitoringiem

– tam przecież też mogło się coś wydarzyć – ale Porucznik rzucił krótko, że to nie wchodzi w grę. Kiedy kilka lat wcześniej podczas przeszukania domu policjanci otworzyli drzwi do naszpikowanego technologią pokoju, Haugen i Lange byli pewni, że porucznik musi mieć niejedno na sumieniu. Nikt nie włożyłby tyle pieniędzy w bezpieczeństwo, gdyby nie miał nic do ukrycia. Wtedy właśnie policja z Østfold podjęła decyzję: Peter Jäckel musi trafić w ich ręce. Gdyby było trzeba, byli nawet skłonni przebudować więzienie tak, żeby mógł w nim odbywać karę inwalida. Porucznik przyjął wszystko spokojnie. Zastrzegł sobie prawo do nieskładania zeznań i policja musiała się uznać za pokonaną. Bardzo go to ucieszyło. Dwa dni później komisarz odebrał telefon od ministra sprawiedliwości. I skończyło się nękanie Porucznika, a grupa specjalna, której zadaniem było wsadzenie go za kratki, została rozwiązana.

– Przed bramą stoi cywilny samochód policji – poinformował go Adam przez interkom. – W środku siedzi jeden mężczyzna. Nikogo poza nim nie widzę. Na żadnej z kamer. Trąbił już trzy razy, najwyraźniej oczekuje, że zostanie wpuszczony.

– No cóż. Spodziewamy się gości?

– Nie.

– Co to za jeden?

– Chwileczkę. – Adam zrobił zbliżenie twarzy Langego. – To ten z brodą i wąsami.

– Boże drogi. Czego ten kretyn chce?

– Nie mam pojęcia. Mam go wpuścić?

– Możesz. I tak aż do obiadu nie mam nic specjalnego do roboty. Mery ma przygotować kurczaka z ryżem w sosie słodko-kwaśnym. Mam poprosić, że nakryła również dla pana?

– Tak, chętnie.

Porucznik spojrzał na Mery.

– Zajrzy pani za dziesięć minut i zaproponuje mi coś do picia? Gość zapewne nie będzie spragniony.

Mery skinęła głową i wyszła. Porucznik wyłączył monitory, tak żeby ktoś, kto wejdzie, widział jedynie kontur jego głowy za biurkiem. Nie

lubił Langego. Nie tylko jako funkcjonariusza policji, ale w ogóle jako człowieka. Podczas przeszukania był wręcz nieuprzejmy, szczególnie wobec Adama, który mógł go pozbawić życia na sto różnych sposobów, tak że nawet by się nie zorientował, co się dzieje. Jedynym człowiekiem, którego Porucznik darzył szacunkiem, a i to niewielkim, był Simon Haugen. Podczas przesłuchania tylko on zdjął w korytarzu buty. Dość niezwykle zachowanie jak na policjanta. I chociaż on też chętnie widziałby go za kratkami, zawsze okazywał mu należny szacunek. Zadziwiające, pomyślał Porucznik. Właśnie za to go cenił. Chodził w ubłoconych butach wokół jego łóżka i walił w sufit, żeby sprawdzić, czy nie ma tam jakiejś skrytki. Co on sobie myślał? Że ma do czynienia z amatorem? Nigdy nie znajdą niczego, co mogłoby być dowodem w jakiegokolwiek sprawie. Takie rzeczy przechowywał w innych miejscach.

Nacisnął guzik pilota i z drugiej strony gabinetu dobiegły dźwięki *Kanonu D-dur* Johanna Pachelbela. Wcisnął *repeat* i ściszył, żeby móc swobodnie rozmawiać z kretyńcem, który najwyraźniej był już niemal pod drzwiami. Słyszał, jak jego buciory uderzają o parkiet.

No cóż, sam się o to prosił. Porucznik nie był człowiekiem wylewnym, ale kiedy mówił, zawsze go słuchano.

Inspektor Erik Lange wszedł do gabinetu. Nie zauważył, że nie jest sam. Jego ciężkie buty zapadły się w dywan. Rozejrzał się po ciemnym pokoju i nagle zobaczył coś, co delikatnie błyszczało w otwartym etui na komodzie pod ekranami telewizorów.

Ciekawskimi palcami sięgnął po medal i podniósł go do góry. Poczł jego ciężar. Duży krzyż maltański ze złotego metalu, z emaliowanymi na biało polami. Na środku widniał symbol, którego nie znał. Medal był przypięty do żółtej jedwabnej wstążki z wyraźnym zielonym paskiem na końcu i wąskim czerwonym na środku. Na jego widok Lange przypomniał sobie jedyne wyróżnienie, jakie kiedykolwiek dostał – medal za dobrą służbę. Wisiał w jego domu razem z dyplomem od ministerstwa obrony – za ukończenie służby.

Porucznik chrząknął znacząco. Nie chciał, żeby inspektor dotykał

tego, co dla niego było najświętsze.

– Boże, siedzisz tu w ciemności, Peter? – Lange stanął obok krzesła przed biurkiem, w ręku trzymał medal. – Dzień dobry.

– Czyżby? – spytał Porucznik drwiąco. – Proszę, odłóż go do pudełka.

Lange się roześmiał.

– W domu mam taki sam – powiedział i pomachał medalem, a potem włożył go z powrotem do etui.

– Nie t a k i sam – odpowiedział Porucznik poirytowany. – Co pan tu robi, nieszczęsny podczłowieku? – Lata na froncie i zdarzenia, których był świadkiem za linią wroga, sprawiły, że wyrażał się bardzo bezpośrednio. – Nie przypominam sobie, żebym wysyłał panu zaproszenie, a skoro jest pan sam, zakładam, że nie istnieje żaden dokument prawny, który dawałby panu prawo wstępu na mój teren.

– To wizyta czysto grzecznościowa, Peter – powiedział Lange.

– W pana ustach brzmi to co najmniej dziwnie. Czego pan chce?

– Mam kilka pytań.

– Oczywiście. Nie wyobrażam sobie, żeby przyszedł pan mi coś powiedzieć. Nie ma takiej rzeczy na świecie, o której pan by wiedział, a ja nie.

Lange odsunął krzesło i już chciał usiąść, kiedy Porucznik nagle podniósł głos.

– Długo zamierza pan zostać?

– Zakładam, że nie.

– To dobrze. W takim razie może pan stać.

– Mozart – powiedział Lange cicho, jakby rzeczywiście znał się na muzyce. – Niemiecka muzyka w najlepszym wydaniu. Ładna – dodał.

– Jest pan głupszy, niż ustawa przewiduje.

– Uważaj, Peter. Nie zapominaj, że jestem policjantem. Nie możesz mówić, co ci ślina na język przyniesie.

– Proszę mi nie mówić, co mi wolno, a czego nie! Walczyłem na wojnie, kiedy pan jeszcze ssał pierś matki – warknął Porucznik w ciemności. – Co do jednego ma pan rację: tak, to niemiecki kompozytor. Ale Mozart pochodził z Austrii. Chociaż oczywiście

mówił po niemiecku, co jednak nie czyni go automatycznie Niemcem. Jeśli pan się nauczy bezbłędnie mówić po angielsku, nie stanie się pan automatycznie Anglikiem. Rozumie pan? – Urwał, zapadło milczenie. – Niech pan przejdzie do sprawy – odezwał się po chwili.

Lange stał i milczał. Padł ofiarą słownej kanonady, zanim w ogóle zdążył cokolwiek powiedzieć.

– Czy siedząc, będzie pan mówił i myślał szybciej?

– Tak – westchnął Lange.

Żałował, że w ogóle zdecydował się na tę wizytę.

– Więc niech pan usiądzie, na Boga.

Lange opadł ostrożnie na fotel. W ciemności próbował nawiązać kontakt wzrokowy z Porucznikiem. Odchrząknął, oczyścił gardło.

– Frode Moen – powiedział w końcu.

– Co z nim? – Porucznik uśmiechnął się i poprawił na wózku.

– Co o nim sądzisz? – spytał Lange cicho, wyraźnie dotknięty tym brakiem szacunku. Nie przywykł do takiego traktowania. Został policjantem właśnie po to, żeby nie musieć znosić takich rzeczy.

– Nic nie sądzę. Wiem. Rozumie pan? Proszę mi powiedzieć, dlaczego wpada pan tu i pyta o Moena.

Porucznik przyglądał się Langemu. Wydał mu się równie obrzydliwy jak poprzednio. Nie potrafił zrozumieć, jak ten osobnik może uchodzić za dobrego policjanta. Chętnie wypuściłby go gdzieś w lesie w Skjebergu i pozwolił Adamowi na niego zapolować. Nie trwałoby to długo.

Sprawił co prawda wrażenie człowieka twardego, ale co ten łajdak mógł wiedzieć o trudach życia i o walce? Już dawno go przejrzał. Pozer. Udawał macho, ale tak naprawdę w ciele dorosłego mężczyzny tkwiło małe nieśmiałe dziecko.

– Czyżby chodziło o zabójstwo Wilhelma Martiniussena?

– Co wiesz o tej sprawie?

– No cóż... – Porucznik nachylił się nad biurkiem, światło z ekranów komputerów padało na jego zniszczoną twarz.

Lange zobaczył jego lodowato zimne, pozbawione życia oczy.

Świdrujące spojrzenie. Zawsze szukające wroga.

– A jak pan sądzi, co ja mogę wiedzieć?

– Jeśli wiesz coś o zabójstwie Wilhelma Martiniussena, to radzę, żebyś mi powiedział. Jeśli będziesz nam utrudniał pracę, może cię to dużo kosztować.

– Tak?

Nagle w drzwiach stanęła Mery. Moment był idealny.

– Podać ci coś do picia, Peter?

– Poproszę wodę z lodem i z kilkoma kroplami cytryny.

Mery uśmiechnęła się do Langego i odwróciła na pięcie. Była świetna. Porucznik poczuł się z niej dumny. Uśmiechnął się do siebie w ciemności. Lange śledził ją wzrokiem, aż zniknęła gdzieś na końcu korytarza.

– Moglibyśmy na przykład zacząć dochodzić, skąd masz pieniądze.

– Rozumiem, że chcielibyście to wiedzieć. Ale przecież już próbowaliście. Bez powodzenia. – Porucznik napawał się każdą chwilą. – Ale dość żartów, inspektorze. Jeśli chodzi o zabójstwo Wilhelma Martiniussena, wiem tyle, ile powiedzieli w mediach.

– Jesteś tego pewien?

– Więc macie na oku Frodego Moena? Nie chcę gasić waszego zapału, ale proszę mi wierzyć, że Frode Moen nie byłby w stanie zabić nawet myszy.

– Mamy pewną teorię...

– Litości! – przerwał mu Porucznik. – Teorię! Słucham z uwagą.

– Frode Moen twierdzi, że w piątek wieczorem był w domu i spał. Ale zdjęcia z monitoringu ze stacji Shella na Kråkerøy dowodzą, że przejeżdżał tamtędy na motorze właśnie wtedy, kiedy doszło do zabójstwa.

Mery postawiła szklanekę z wodą na leżącej na biurku podstawce. Porucznik od razu wypił niemal połowę i wytarł usta dłonią.

– Tego mi było trzeba – powiedział. – Interesujący wywód – dodał.

Lange przewrócił oczami.

– Proszę, daj mi chociaż jakąś wskazówkę. Jestem przekonany, że coś wiesz – powiedział niemal błagalnie.

Zapadło milczenie. Porucznik wypił resztę wody i westchnął zadowolony.

– No więc pomyśleliśmy, że... – zaczął Lange.

– Pomyśleliśmy? Kto pomyślał? Pan czy Anton Brekke? O ile wiem, to śledztwo prowadzi Anton Brekke.

– W pewnym sensie tak.

– To zdolny policjant. Rozumiem, że przyjechał pan do mnie, żeby zaimponować jemu i reszcie?

– Nie, Peter.

– Anton Brekke wie, że pan tu jest?

– Nie...

– No właśnie. Działa pan szalenie profesjonalnie, ale tego mogłem się spodziewać. Ale dobrze, co pan pomyślał?

– Sytuacja wygląda następująco: Frode Moen zareagował bardzo mocno na wiadomość o tym, że Wilhelm Martiniussen postanowił odstąpić od projektu kanadyjskiego. Ze wszystkich członków zarządu tylko on miał w przeszłości do czynienia z policją, więc jest rzeczą naturalną, że go sprawdzamy.

– W sprawie przeciwko Moenowi odstąpiono od oskarżenia – powiedział Porucznik z triumfem. Zarobił na tym prawie sześćset tysięcy. Moen nadal był mu winien ładną sumkę.

– Obaj wiemy, że był winien.

– Pan tego nie wie, inspektorze. – Ja to wiem, pomyślał.

– Nieważne. Tak czy inaczej, nie zakładamy, że Frode Moen jest zabójcą, ale być może pociągnął za jakieś sznurki. Niewykluczone, że kiedy został nagrany przez kamerę, jechał sprawdzić, czy zadanie zostało wykonane. Rozumiesz?

– Zaoszczędzę pieniędzy podatnikom i zdradzę panu, że kochanka Moena mieszka na Kråkerøy. To by tłumaczyło to nagranie.

– Kochanka?

– Nie widział pan jego żony? Tak czy inaczej, odwiedza ją wieczorami we wtorki i w czwartki, a czasem, jak już wiecie, bywa u niej także w piątki. Wszystko zależy od sytuacji w domu. Kobieta, z którą się ożenił, uchodzi za nieco trudną. Ale ma za dużo pieniędzy,

żeby się z nią rozwiódł. Bo Frode Moen nie jest już tym, kim był kiedyś. Oczywiście sprawia wrażenie człowieka majątnego, ale dureń roztrwonił niemal cały swój majątek. Poza tym posiadłość należy do niej. A tak przy okazji... to niesamowite miejsce.

– Jak się nazywa jego kochanka?

– Nie wolno chcieć za dużo, inspektorze.

– Wiesz, jak się nazywa?

Porucznik pochylił się do przodu, uniósł jedną brew i spojrzał na niego, jakby chciał powiedzieć: oczywiście. Po chwili znów zniknął w mroku.

– Dlaczego mi to powiedziałaś? – spytał Lange podejrzliwie. Doskonale wiedział, że Porucznik za nim nie przepada. To nie musiała być prawda. Mógł w ten sposób chcieć mu podsunąć fałszywy trop.

– Bo mi pana żal. I dlatego, że Frode Moen to jeden wielki blef, a do tego jest chciwy. Najwyższa pora, żeby jego żona się dowiedziała, że facet orze też gdzie indziej.

– Więc nie sądzisz, że Frode Moen mógł nająć kogoś, żeby usunął Wilhelma Martiniussena?

– Pańskim zadaniem jest się tego dowiedzieć.

– Ale...

– Muszę odpocząć przed obiadem – przerwał mu Porucznik.
– Proszę jechać ostrożnie. Nie chciałbym przeczytać w prasie, że zginął pan w wypadku samochodowym.

– Jeszcze jedno pytanie, Peter.

– Nie. *Au revoir* – powiedział Porucznik i eleganckim gestem dał mu do zrozumienia, że powinien opuścić gabinet.

INSPEKTOR SIMON HAUGEN siedział naprzeciwko Frodego Moena i jego adwokata.

Moen był już wcześniej przesłuchiwany, ale nigdy nie odbywało się to w takim pokoju jak ten. Przesłuchania w sprawie zakupu akcji odbywały się w zwykłych pokojach, w których stały biurka, komputery, szafki z dokumentami, na ścianach wisały dziecięce rysunki, a na parapetach stały rośliny w doniczkach. Teraz było inaczej. Lodowato zimne szare ściany. Na środku metalowy stolik z uchwytnymi na kajdanki. Jedną ze ścian pokrywało duże lustro weneckie. Czuł się jak przestępca w taniej amerykańskiej operze mydlanej. Chwilę wcześniej rozmawiał z miłym policjantem. Pomyślał, że zapewne za chwilę zjawi się jego kolega, już nie tak sympatyczny i opanowany.

W pokoju było chłodno, ale Moen się pocił. Miał mokre czoło, drżały mu ręce. Ani inspektorowi Langemu, ani inspektorowi Haugenowi nie powiedział nic istotnego. Nieważne, o co Haugen go pytał, jego adwokat przypominał mu, że nie musi odpowiadać na żadne pytanie. Więc milczał.

Drzwi się otworzyły i wpadł zdyszany Anton Brekke. Położył na stoliku brązową teczkę z dokumentami.

– Przepraszam za spóźnienie, ale przychodzę prosto ze szpitala.

Chwycił krzesło, odwrócił je i usiadł. Położył ręce na oparciu i nachylił się do przodu. Przyglądał się chwilę adwokatowi.

– Znam pana.

– Miło mi, Brekke.

– Wie pan, że ludzie na mieście mówią, że ci, którzy wybierają pana na obrońcę, zawsze są winni? Że niektórzy przestępcy unikają pana, bo bronili pan zbyt wielu bydlaków? Nikt nie ma wątpliwości, że jest pan zdolnym adwokatem. I nie zauważył pan, że jeśli tylko jest choćby najmniejsza szansa, że pana klient jest winny, to na ogół

trafia do więzienia? Ludzie są przekonani, że zwykle broni pan tych, którzy mają coś na sumieniu.

Haugen kopnął go w nogę pod stołem.

– I wie pan też zapewne, co to znaczy, kiedy ludzie na mieście zaczynają mówić takie rzeczy – ciągnął Anton niezrażony.

Adwokat posłał mu pytające spojrzenie.

– Nie wie pan? – Anton spojrzał na niego i się uśmiechnął.
– Podobno ludzie na mieście zawsze mówią prawdę. A to znaczy, że nasz drogi Frode Moen najpewniej ma coś na sumieniu. Pytanie tylko co.

Anton znów poczuł kopnięcie, tym razem silniejsze.

– Ale cóż, mamy rozmawiać nie o panu, tylko o pańskim kliencie. Wie pan chociaż, w jakie bagno się wpakował? Nasz drogi pan Moen – posłał Moenowi lodowate spojrzenie – ma, mówiąc dosadnie... przesrane.

Frode Moen przełknął ślinę. Jego szpiczasta twarz była blada. Wolał, kiedy pytania zadawał jeden z inspektorów.

– Właściwie to dlaczego tu jestem? Nic nie zrobiłem – próbował się bronić.

– Dobrze, zacznijmy od tego. Dlaczego tu jesteś? Dlatego, że inspektor Lange chciał się dowiedzieć, dlaczego nas okłamałeś. Chodzi o piątkowy wieczór. Ale ty wolałeś... Chwileczkę. – Anton sięgnął po teczkę z dokumentami, otworzył ją i zaczął przeglądać papiery. – O, tutaj. Ty wolałeś chwycić go za kark, a potem z impetem otworzyłeś drzwi i walnąłeś w niego głową.

– To nie było tak... – zaczął Moen.

– Nie musi pan nic mówić – wtrącił adwokat.

– Mam wrażenie, że to już chyba zrozumiał – wszedł mu w słowo Haugen, wyraźnie zły.

– No cóż, to nie było dokładnie tak – ciągnął Moen. – Inspektor Lange zadzwonił do drzwi i spytał, czy może wejść. Powiedziałem, że oczywiście może. Poszedłem do salonu, inspektor za mną, w wojskowych butach bojowych! – powiedział i uderzył w blat stołu.
– Na litość boską. To stary budynek, pod ochroną konserwatora

zabytków. Uprzejmie poprosiłem, żeby zdjął buty, a on tylko się roześmiał. Stał tam i się śmiał! Wtedy się wściekłem i go wywalilem. To prawda.

– Więc przyznajesz się do winy?

– Nie otworzyłem drzwi, waląc w nie jego głową, jeśli o to chodzi.

– Słowo przeciwko słowu. Sam możesz sobie odpowiedzieć na pytanie, komu uwierzy sędzia – powiedział Anton. Odłożył na bok teczkę. – Dlaczego kłamałeś, Frode?

– Pokażcie dowody. Inaczej nie macie prawa go przetrzymywać – powiedział adwokat, wstając.

Anton spojrzął na niego obojętnie.

– Frode Moen napadł na funkcjonariusza policji prowadzącego dochodzenie w sprawie o zabójstwo. Możemy go tu trzymać tak długo, jak uznamy za konieczne – powiedział Anton i znów spojrzął na Moena. – Frode, Frode. Rozumiem, że byłeś już kiedyś u nas, ale dzisiejsze doświadczenie pewnie przerosło twoje oczekiwania.

– Nie wiem, o czym pan mówi. Nikogo nie zabiłem.

Anton znów sięgnął po teczkę. Ponownie zaczął przerzucać kartki, w końcu wyjął zdjęcie, na którym widać było numer rejestracyjny motoru Moena. Położył je przed nim zamaszystym ruchem.

– Wiemy, że kłamałeś.

Moen zagryzł wargi, aż mu zbieleły.

– Mogę dostać coś do picia? – spytał schrypniętym głosem.

– Nie – powiedział Anton, wskazując na dwa stojące na stoliku puste plastikowe kubki. – Dostałeś już coś do picia. Musi ci wystarczyć. Skąd znasz Vincenta Giordano?

Moen spojrzął na niego przestraszony. Jego usta poruszały się bezgłośnie.

– Skąd znasz Vincenta Giordano?! – wrzasnął Anton, pochylając się nad stolikiem.

– Ja... ja nie mam pojęcia, kto to jest – powiedział Moen i pokręcił głową.

– No dobrze. Zaczniemy jeszcze raz. Widziałeś zdjęcie. Rozumiem, że to twój motor.

– Tak, to mój motor.

Adwokat chrząknął.

– Frode, nie musisz w ogóle nic mówić. Na sali sądowej taki numer nie przejdzie i oni to wiedzą. Chcą tylko, żebyś zaczął się plątać w zeznaniach.

– To już się stało. Moen twierdzi, że w czasie kiedy doszło do zabójstwa, spał w domu obok żony. A tak naprawdę jeździł po mieście na motorze. I, jak widać, kierował się tam, gdzie zginął Wilhelm Martiniussen. Został uduszony w windzie, kiedy jechał na górę, do swojego mieszkania. I tam umarł, w kałuży moczu i kału.

– Nie jesteście w stanie stwierdzić, kto prowadził motor.

– Ale też motor nie został skradziony. Nadal stoi w garażu pańskiego klienta.

– Ktoś mógł go sobie p o ż y c z y ć. Takie rzeczy się zdarzają.

Moen zerknął na adwokata.

– Mogę porozmawiać z komisarzem sam? – spytał.

Adwokat spojrział na niego ze zdziwieniem.

– Co takiego? Stanowczo ci to odradzam, Frode. Włożą ci w usta nie twoje słowa i po kwadransie oskarżą o morderstwo.

– Dziękuję za troskę, ale proszę, wyjdź na chwilę, zaczekaj na zewnątrz.

Adwokat spojrział na policjantów niezadowolony, ale ruszył do drzwi.

– Będę na zewnątrz. Zawołaj, gdybyś czegoś potrzebował.

Moen zszedł, aż drzwi się zamknęły.

– Jest także adwokatem mojej żony – powiedział po chwili.

– Tak? I co z tego?

I wtedy Moen się otworzył. Opowiedział, jak wyglądało jego życie po tym, jak został oskarżony pierwszy raz. O swojej żonie, Margareth, która zawsze była trudna, ale kiedy dziesięć lat temu wpadł w kłopoty i zrobiło się o nim głośno, zamieniła się w prawdziwą diabolicę. O tym, że od ośmiu lat nie sypiają ze sobą, a od dziewięciu nawet się nie dotykają. Czasy, kiedy był miejscowym celebrytą, minęły, wielu uważa go za przestępcę. To, że sprawa

została oddalona, okazało się bez znaczenia. Media zniszczyły jego reputację. Pewnej nocy na portalu randkowym poznał piękną młodą kobietę, około trzydziestki. Zdjęcie, które sam zamieścił, zrobiono mu piętnaście lat wcześniej. Miał więcej włosów, nieco krągłejsze policzki, wyglądał na szczęśliwego. Widać było, że mu się w życiu powiodło. O tym, że zdjęcie nie jest aktualne, młoda kobieta nie wiedziała. Nie czytała też wiadomości gospodarczych w gazetach. W nocy przed pierwszym spotkaniem nie mógł zasnąć. Bo przecież wiedział, jak wygląda, widział w lustrze swoją wychudzoną twarz i przerzedzone włosy. Kiedy tamtego kwietniowego wieczoru stawił się u niej zgodnie z umową, widział, że próbuje ukryć, że jest zawiedziona, chociaż nie bardzo jej to wychodziło. Aż nagle zauważyła jego wóz: nowe błyszczące porsche 911. I już była jego. Wiedział, że jest z nim dla pieniędzy, ale nie przejmował się tym. Dawał jej dobra materialne i miłość, wiedząc, że tak naprawdę interesują ją tylko rzeczy.

Kiedy Anton spytał, jak zareagował na wieść o śmierci Martiniussena, powiedział prawdę. Uśmiechnął się, kiedy usłyszał, że Wilhelm nie żyje, ale rozżośćcił się, kiedy się okazało, że Nora Røed Karlsen nie ucierpiała. Bo przecież to wszystko to była jej wina. Nienawidził jej jeszcze bardziej, niż nienawidził Wilhelma.

– Vincent Giordano?

– Nigdy o nim nie słyszałem – odpowiedział. – Musicie mi uwierzyć. Nienawidziłem Wilhelma, ale nie mam nic wspólnego z jego śmiercią – powiedział, a w jego głosie słychać było desperację. – Znałem Wilhelma na tyle dobrze, że wiedziałem, że kiedy już podjął decyzję, to nie ma od niej odwrotu. A mimo to długo miałem nadzieję, że jednak zmieni zdanie. Ale on był uparty jak osioł. Wręcz słynął z upor.

– Oczywiście będziemy musieli porozmawiać z twoją przyjaciółką – powiedział Anton. – Kiedy rozmawialiście ze sobą ostatni raz?

– W piątek.

– Po zabójstwie Wilhelma już się nie widzieliście?

– Nie. Mamy swoje stałe dni. Spotykamy się we wtorki

i w czwartki, i w co któryś piątek.

– Kto zyskał na śmierci Martiniussena?

Moen się uśmiechnął.

– Nie wiecie tego?

Anton się nie odezwał, domyślał się, jaka będzie odpowiedź.

– Bjørn Danielsen oczywiście. Dziedziczy po nim wszystko.

Anton i Haugen spojrzeli na siebie. Czyżby Danielsen jednak wiedział o testamencie? Twierdził, że Wilhelm co prawda wspominał o tym, ale on nie potraktował tego poważnie, a potem wyleciało mu to z głowy.

– Skąd wiesz? – spytał Anton.

– Bjørn wspomniał coś o tym na jakimś przyjęciu bożonarodzeniowym wiele lat temu, a Wilhelm przytaknął. Miałem wrażenie, że Bjørn nie traktuje tego serio, ale wszyscy wiedzieliśmy, że w takich sprawach Wilhelm by nie żartował.

Haugen wstał i przysunął krzesło do stolika.

– Możemy zamienić kilka słów na zewnątrz? – spytał Antona.

Wyszli. Minęli adwokata, nawet nie zaszczycając go spojrzeniem.

– Kto to jest ten Vincent Giordano? – spytał Haugen cicho.

Anton opowiedział mu pokrótce. Na początku myślano, że to turysta, który dostał zawału. Ale potem on zobaczył zdjęcie, na którym widać było, jak facet idzie kładką dla pieszych przed domem Wilhelma, kilka metrów za nim. Opowiedział mu też o powiązaniach Vincenta Giordano ze słynną rodziną Locatellich.

– Dlaczego nic mi nie powiedziałeś?

– Nie byłem pewien. Nadal nie jestem. Pojechałem nawet do szpitala. Mam tam wrócić i porozmawiać z lekarzem, który badał go po przyjęciu na oddział.

Haugen pokiwał głową.

– Dobrze, a ja sprawdzę przyjaciółkę Moena. Pojadę i utniemy sobie pogawędkę.

– Jeśli potwierdzi jego słowa, a przypuszczam, że tak, to będziemy mogli go puścić. Powiedziałbym, że teraz chyba bardziej interesuje nas Danielsen.

– Tak czy inaczej, przetrzymamy go dwadzieścia cztery godziny. Zostanie oskarżony o napaść na Langego.

– To konieczne? Lange nie zachował się właściwie.

– Tak, konieczne – powiedział Haugen stanowczo.

Na korytarzu za nimi rozległy się ciężkie kroki. Ktoś otworzył jakieś drzwi, kroki się przybliżyły. Nagle stanął przed nimi Lange.

– Wiem, dlaczego Moen został nagrany przez kamerę na stacji Shella – powiedział z przebiegłym uśmiechem.

– Bo ma w okolicy kochankę, tak? – rzucił Anton lekko, jakby to było coś oczywistego. – Powiedział nam o tym podczas przesłuchania.

– Do diabła, Simon, dlaczego nic mi nie powiedziałeś?

– Właśnie ci powiedzieliśmy. Zresztą sami niedawno się o tym dowiedzieliśmy. A ty skąd wiesz?

– Gdybyś wiedział, przez co musiałem przejść, żeby się o tym dowiedzieć... – Lange westchnął.

Haugen podrapał się po głowie.

– Mów...

– Pojechałem do Petera Jäckela...

– Do Porucznika? – zapytał Haugen ze złością.

Lange przytaknął.

– To nie było mądre posunięcie. Prowadzimy śledztwo razem. Wiesz, że nie powinieneś robić takich rzeczy na własną rękę. Poza tym polecono nam zostawić go w spokoju. To może cię sporo kosztować.

ANTON BREKKE stał przed domem w Lisleby, w którym mieszkali Magnus Torp i jego matka.

Przy schodach obok drzwi stał rower Torpa. Był dobrze zabezpieczony. Zarówno przednie koło, jak i rama i tylne były przymocowane do poręczy. Anton się uśmiechnął. Zastanawiał się, kogo mógłby skusić taki stary rower. Był na siebie zły o to, że nie poprosił Torpa o numer komórki. Co miał teraz zrobić? Zadzwoić do drzwi, a potem wytłumaczyć pani Torp, która zapewne była w jego wieku, że jest umówiony z jej synem? Żalosse.

Westchnął.

Okrzyżył dom. Jak włamywacz, pomyślał. Miał nadzieję, że znajdzie jakieś drzwi do piwnicy, a przynajmniej okno. Zapuka i w ten sposób da znać, że już jest.

Ale nie znalazł ani drzwi, ani okna.

– Co za nora – mruknął pod nosem.

Postanowił jeszcze raz obejść dom. Także tym razem bez rezultatu.

W końcu znów stanął przed drzwiami. Na owalnej białej tabliczce udekorowanej kwiatkami przeczytał, że mieszkają tam Judith i Magnus Torp. Ledwie dotknął palcem dzwonka, kiedy drzwi się otworzyły. Niewiele brakowało, a uderzyłyby go w twarz.

– Cześć – przywitała go kobieta w obcisłym różowym dresie. – Słyszałam, że ktoś chodzi po ogrodzie. Anton Brekke, tak? Dużo o tobie słyszałam! Magnus bez przerwy o tobie opowiada: Anton to, Anton tamto. Miło cię poznać.

Mówiła bardzo szybko.

– Tak... To ja. Cześć – powiedział Anton, nieco speszony.

– Ale nie wspominał, że jesteś taki przystojny!

– Co...

– Wejdz, proszę! – krzyknęła energicznie. – Mogę ci coś

zapropionować? Może kieliszek wina? Mam wybitne rosé! Byłam na kursie za granicą i przywiozłam kilka butelek. – Roześmiała się. – Może o kilka za dużo. Tylko nie mów nic Magnusowi, jest bardzo surowy, jeśli chodzi o te sprawy.

– Dzięki, ale prowadzę. Chłopak jest w domu?

Przed oczami miał najgorszy z możliwych scenariuszy: Magnus Torp się spóźnia, więc będzie musiał poczekać na niego na kanapie obok jego przeuroczej mamusi. Chociaż musiał przyznać, że tak naprawdę jest w porządku, dobrze się trzymała. Niemniej jednak byłoby to krępujące. Torp na pewno nie byłby zadowolony. Nie żeby Anton jakoś szczególnie się tym przejmował, ale nie miał w zwyczaju podrywać matek studentów szkoły policyjnej i w przyszłości też nie zamierzał tego robić.

Boże drogi, niech szczeniak będzie w domu, pomyślał.

– Magnus jest w domu. Siedzi na dole z kolegami i czeka na ciebie. Bardzo się denerwował.

– Tak?

– Tak. – Poszła do kuchni i otworzyła kolejną butelkę wina. Na stole stał do połowy opróżniony kieliszek, na ławie pusta butelka po winie. – Jesteś pewien, że nie? – spytała, wskazując na pełną butelkę.

– Nie, dzięki. Gdzie są... schody?

Zaprowadziła go do drzwi, za którymi kryły się strome schody. Zeszli na dół, minęli kolejne drzwi. Matka Torpa zapukała i nie czekając na odpowiedź, otworzyła.

Pokój Torpa wyglądał tak, jak Anton się spodziewał: na ścianie między dwoma ogromnymi głośnikami wisiał plazmowy telewizor. Pod ścianą po drugiej stronie stała duża kanapa z dwiema czarnymi poduszkami z japońskimi znakami, obok dwa skórzane fotele, między nimi niewielki szklany stolik, a na nim najnowszy numer magazynu „FHM”. Obok stolika do pokera stał drugi, z mnóstwem najróżniejszych miseczek: z czekoladą, chipsami i innymi przekąskami. Stolik pokerowy został ustawiony w miejscu strategicznym, pod lampą, jedynym – poza świeczkami – źródłem

światła.

Anton zmarszczył nos.

– Mamy grać w pokera czy miło spędzać czas? Jeśli to drugie, to się wycofuję.

– A o co chodzi?

Anton wskazał głową na palące się świece. Torp się roześmiał.

– Świece stwarzają przyjemny nastrój.

– Czyżbyś się spodziewał wizyty kobiety?

– Prawdę mówiąc, tak. – Torp poszedł po laptopa, otworzył go, wyszukał zdjęcie i pokazał mu je. Przedstawiało dziewczynę. Miała najdziwniejszy podbródek, jaki Anton kiedykolwiek widział. Trochę przypominał brodę lwa morskiego. Wrażenie estetyczne było, łagodnie mówiąc, średnie. Okrągłą twarz okalały cienkie włosy. Anton pomyślał, że Torp powinien jednak mierzyć nieco wyżej. Na ekranie pokazało się kolejne zdjęcie: tym razem dziewczyna była w bikini. – Świetna, no nie?

– Spodziewasz się jej dzisiaj? – spytał Anton. Był zszokowany.

Torp z dumą pokiwiał głową.

– I jak zamierzasz oczarować taką piękność? Rohypnol i szczypta GHB?

– Świece zwykle robią swoje.

Torp nie brał do siebie jego uszczypliwości. Był pod wrażeniem, najwyraźniej uważał dziewczynę za prawdziwego wampa.

– Może napiłbyś się piwa? – spytał Anton.

– Nie, nie potrzebuję.

– Wiem, ale może jednak powinieneś...

Usiedli przy stoliku. Torp przedstawił go kolegom. Dwóch było stolarzami, jeden ochroniarzem, jeden ekonomistą. Ochroniarz przyszedł chyba prosto z pracy – miał na sobie granatowy mundur Securitas. Pierwsze wrażenie było w porządku. Chłopcy byli uprzejmi, wszyscy wstali, przywitali się, podając mu rękę.

– Dowiedziałeś się czegoś w szpitalu? – spytał go Torp szeptem.

– To nie czas ani miejsce na takie rozmowy – uciął Anton.

– Jasne, sorka.

– Wieczorem tam wrócę. Lekarz z pogotowia ma dyżur, będę mógł z nim porozmawiać.

Każdy z sześciu uczestników zasilił pulę pięciusetkoronowym banknotem. Torp rozdał sztony, ostrzegając kolegów, żeby grali fair wobec Antona, który nie do końca jest pewien zasad.

Anton odpuścił cztery ręce startowe, rozegrał dopiero piątą. Pula nie była duża, ale uśmiechnął się, kiedy pokazał swoje karty.

– Chyba wygrałem?

– Przecież nic nie masz – powiedział ekonomista, który był drugą ręką rozgrywającą.

– Mam strita – zaprotestował Anton.

Torp wyciągnął szyję i sprawdził jego karty.

– Nic nie masz – roześmiał się.

– No proszę. – Anton przeciągnął dłonią po czole. – A ja zamierzałem iść *all in* czy jak to się nazywa. To chyba nie jest mój dzień. Te pięćset koron spisałem już na straty.

Sięgnął po szklanekę, wypił łyk i spojrzał na Torpa. Chłopak siedział i uśmiechał się. Świetnie się bawił, patrząc, jak łatwo sławny śledczy dał się pokonać. Będzie miał co opowiadać kolegom w szkole.

Anton pokręcił głową. Co za dzieciaki. Powinien był wybrać toberone z hotelowego minibarku.

– Powinieneś sobie przypomnieć reguły gry, Brekke. No i daj mi znać, gdybyś szukał jakiejś taniej, dobrze urządzonej garderoby – powiedział ekonomista i uśmiechnął się.

– Ekonomista sprzedający garderoby?

– Tak, prowadzę księgowość w firmie sprzedającej wyposażenie garderób. Co myślisz o takiej z drzwiami z napędem elektrycznym i reflektorkami, które włączają się automatycznie? Mógłbym ci taką załatwić z, powiedzmy, dwudziestopięcioprocentowym rabatem. Jeśli dzisiaj wygram, dam ci nawet pięćdziesiąt procent.

– Nie, dzięki. Grajmy. Tasuj karty.

Nagle rozległo się głośne stuknięcie. Po chwili drzwi się otworzyły i na progu stanęła matka Torpa. Anton musiał przyznać, że wygląda całkiem atrakcyjnie.

– Cześć, chłopcy. Macie na coś ochotę? Coś do jedzenia? Mogę coś przygotować.

Torp zacisnął zęby.

– Mamo, możesz sobie odpuścić?

– Na litość boską, jak ty się zwracasz do matki, Torp? – oburzył się Anton.

– Słyszysz? To prawdziwy dżentelmen. – Matka Magnusa uśmiechnęła się do Antona.

Wino zdążyło jej już uderzyć do głowy. Anton miał wrażenie, że mrugnęła do niego porozumiewawczo. Torp zerwał się z krzesła, niemal wypchnął ją z pokoju i odprowadził na górę – wszystko ku radości kolegów.

W tle leciała muzyka, której Anton w normalnej sytuacji nie chciałby słuchać, nawet gdyby mu za to płacono. Gra trwała w najlepsze, nawet dwa razy coś wygrał. Za każdym razem udawał, że jest zaskoczony i nie rozumie, jak do tego doszło.

– Boże, wygrałem? – dziwił się, przyjmując gratulacje od Torpa.

Wszystko szło zgodnie z planem.

Po godzinie stos jego sztonów nie zmienił się znacząco. Młody chłopak w mundurze Securitas pokonał jednego ze stolarzy, wygrał też coś od drugiego. Ekonomista nie był już tak radosny jak na początku. Uśmiech zniknął z jego twarzy, kiedy musiał oddać połowę sztonów Torpowi.

Anton postanowił na serio przystąpić do gry. Równie dobrze mógł to zrobić godzinę wcześniej, ale co wtedy zrobiłby z czasem? Był umówiony w szpitalu, ale dopiero za kilka godzin. Lekarz pokerzysta zaczynał dyżur o dwudziestej trzeciej. Tak przynajmniej poinformowała go nieuprzejma pielęgniarka, kiedy powiedział jej, że szuka lekarza: niskiego, dobrze zbudowanego, z rzadkimi włosami. Miał nadzieję, że będzie w stanie powiedzieć mu coś więcej o Vincencie Giordano. Przede wszystkim czy jest szansa, żeby przeżył. Cokolwiek zrobił, Anton miał nadzieję, że jednak tak. Chciałby móc go przesłuchać. Nawet jeśli szansa na to, że rzeczywiście zechce coś powiedzieć, była niewielka. Od małego

pochłaniał literaturę i filmy o Cosa Nostrze. Książki o mafii były jedynymi, do których czytania nauczyciele nie musieli go zaciągać siłą. Czytał je z własnej woli. Czytał reportaże, biografie. Dopiero kiedy będąc już w szkole policyjnej, dowiedział się o istnieniu pewnego sycylijskiego mafioso, który syna faceta podejrzanego o donosicielstwo kazał zanurzyć w beczce z kwasem, dotarło do niego, że nie wszystko jest tak piękne i fascynujące, jak pokazują w książkach i filmach. Zdał sobie sprawę, że ci ludzie to psychopaci, potwory. Nadal jednak go fascynowali. A teraz miał pod bokiem jednego z najpotężniejszych z nich. Samego Vincenta Giordano. Pełnoprawnego członka Cosa Nostry. Prawą rękę Don Calogera Locatello. Człowieka numer dwa w nowojorskiej mafii. I pewnie w Stanach w ogóle. Taka okazja zdarza się tylko raz w życiu. Kiedy był w szpitalu, zajrzał przez uchylone drzwi do pokoju, w którym leżał. Nie dawał znaku życia. Jedynie dźwięki aparatury monitorującej pracę serca, do której był podłączony, świadczyły o tym, że tli się w nim życie. Wszędzie miał podłączone cienkie wężyki: do nosa, ust, rąk, głowy, nawet do palców. Budzący postrach, ale i szacunek starszy pan po raz pierwszy w życiu sprawiał wrażenie pokonanego.

– Halo? – zawołał Torp. – Śpisz? Twoja kolej.

Głos Torpa wyrwał go z zamyślenia. Spojrzał na karty. Dziesiątka pik i szóstka karo. Kiepsko.

– Pasuję.

– Rozmarzyłeś się? Myślałeś o Martine Rieck? – Torp się uśmiechnął. – Byłeś gdzieś daleko.

– Byłem na gorze, z twoją matką. Widziałeś, jak na mnie patrzyła? Miała ogień w oczach.

Wszyscy się roześmiali, nawet Torp.

Za kolejne rozdanie odpowiadał ochroniarz. Jego ręce pracowały szybko, rozdawał karty w zawrotnym tempie. Był dobry, ale nie wystarczająco dobry. Nikt z pozostałych nie zwrócił na to uwagi, ale Anton zauważył, że za każdym razem, kiedy odkłada kartę dla siebie, bierze ją z samego spodu. W pierwszej chwili miał ochotę chwycić go

za głowę i odciągnąć od stołu. Najchętniej wpakowałby mu do gęby całą talię. Nie dość, że oszukiwał, to robił to, kiedy grali na pieniądze. Jeśli ktoś decyduje się na coś takiego, musi być naprawdę dobry. Na tyle, żeby nie zostać przyłapanym. Albo ponieść konsekwencje. Nieszczęśnik powinien dostać lekcję. Może nawet skończyć w szpitalu.

Tak daleko Anton oczywiście nie zamierzał się posunąć. Postanowił tylko doprowadzić do tego, żeby chłopak padł ofiarą własnego oszustwa. Nawet jeśli dał sobie najlepszą rękę startową, nie miał pojęcia, jakie karty dostali inni. Anton postanowił wejść do gry na serio. Jeśli ochroniarz dał sobie dwa asy – a zapewne o to zadbał – to trudno. Postanowił zdać się na łut szczęścia.

– Wchodzę – oświadczył. Spojrzał na swoje karty: dama karo i walet karo.

Kiedy przyszła druga kolejka, pula urosła, stos banknotów wyglądał zachęcająco.

Na stole leżały dziewiątka karo, dziesiątka pik i dwójka karo. Ekonomista przesunął stos sztonów, dając do zrozumienia, że zamierza zgarnąć pulę.

Anton póki co nie miał nic, ale wszystko jeszcze mogło się zmienić. Dwie karty były nadal do wzięcia. Jeśli trafi mu się karo, będzie miał kolor, jeśli ósemka albo król – strita. Wypił łyk napoju, obliczając w myślach, jakie ma szanse na wygraną. Mogło mu ją zapewnić piętnaście kart. Czyli jego szanse wynosiły mniej więcej pięćdziesiąt procent.

Dołożył swoje sztony do puli.

Torp spasował.

Anton spojrzął na ochroniarza. Widać było, że jest zadowolony. Nic dziwnego, skoro zapewnił sobie dwa asy, pomyślał Anton. Ochroniarz wyciągnął rękę i sięgnął po kawałek czekolady. Zastanawiał się.

– Hmm... nie – powiedział w końcu. – Wchodzę *all in*.

– Sprawdzam – rzucił ekonomista.

– Masz asy – powiedział Anton z uśmiechem, zerkając na niego.

– Jestem tego pewien, ale też: sprawdzam. Zawsze mogę powiedzieć, że jestem amatorem i nie wiem, co robię.

Pokazał waleta i damę karo. Ekonomista miał siódmkę i ósemkę trefl. Postawił resztę sztonów, licząc na szóstkę albo waleta.

Ochroniarz pokazał swoje karty. Anton miał rację. Dwa asy, najsilniejsza ręka jak dotąd. Kolejna karta okazała się kolejnym asem. Aż podskoczył z radości. Trzy asy. Ekonomista zaklął i wstał. Zamierzał wyjść.

Kolejna karta okazała się królem pik. Anton się uśmiechnął. Szeroko. Teraz wszystko powinno już pójść szybko.

– Chyba mam strita? – spytał niewinnie.

Osiemnaście rozdań później, nie zdradziwszy oszustw ochroniarza, wsunął do kieszeni sześć banknotów pięćsetkoronowych i ostrożnie wszedł po schodach na górę. Prześlizgnął się obok pokoju, w którym Judith Torp zasnęła na kanapie, i wyszedł na wilgotne powietrze.

Agent FBI Percivall Wilson siedział za kierownicą służbowego forda crown victoria. Jechał Ósmą Aleją na Brooklyn. Zatrzymał się przed lokalem Bobby’ego. Wszyscy w FBI doskonale znali zwyczaje Vincenta Giordano: według jego wizyt u Bobby’ego można było regulować zegarki. Wilson miał nadzieję, że Bobby Parvati, dobry przyjaciel Giordano, ale człowiek spoza rodziny, będzie mógł mu coś powiedzieć. Miał nadzieję, że będzie to coś, co pozwoli wyjaśnić tajemnicze zniknięcie Giordano. Poprzedniego dnia przez cały wieczór sprawdzał, czy w systemie na międzynarodowym lotnisku Newark i w systemach innych dużych nowojorskich lotnisk nie figuruje nazwisko Vincenta. Znalazł wielu Vincentów, ale żaden z nich nie nosił nazwiska Giordano.

Sięgnął po brązową marynarkę leżącą na fotelu pasażera. Otworzył skrytkę na rękawiczki i wyjął z niej służbowy pistolet: czarny heckler &koch P2000.40. Dotąd używał go wyłącznie na strzelnicy. Nie licząc pewnego razu, kiedy oddał ślepy strzał z tarasu swojego domu. Nabój przeszedł przez drewniane ogrodzenie i zarył w ziemię pod

tarasem. Powinien mniej pić. Był tego świadom.

Wchodząc do pełnej ludzi kawiarni, poprawił kaburę na biodrze i zapiął marynarkę. Na pasku widniała wyraźnie widoczna złota odznaka FBI. Spojrzał na pusty stolik w głębi. Na białej laminowanej tabliczce napisano: Rezerwacja – signor Giordano.

– Dzień dobry pani – powiedział i skinął uprzejmie głową pani Parvati, która stała za ladą z ciastami.

– Dzień dobry – odpowiedziała. Zapewne zauważyła odznakę, ale najwyraźniej się nią nie przejęła. Codziennie przychodzili tam ludzie różnych zawodów. To, że był wśród nich także agent FBI, nie było niczym nadzwyczajnym. Pomyślała, że przyszedł po to, po co przychodzą inni strażnicy prawa: po kawę w papierowym kubku.

– Czym mogę służyć?

– Pani Parvati?

Skinęła głową.

– Szukam pani męża – powiedział. – Bobby’ego. Jest gdzieś w pobliżu?

Jej brązowe oczy zrobiły się nagle okrągłe.

– Mąż jest chory. A o co chodzi, jeśli wolno spytać?

Usłyszał w jej głosie wahanie. Była ostrożna. Ani ona, ani jej mąż nigdy nie zrobili niczego, co nie byłoby zgodne z prawem, a tu nagle zjawia się agent FBI i chce rozmawiać z jej małżonkiem. Ciężko pracującym i płacącym podatki człowiekiem, który nigdy nie wdawał się w żadne spory. A przynajmniej ona o niczym nie wiedziała. A przecież nikt nie znał go tak dobrze jak ona.

– Chciałbym mu zadać jedno pytanie. – Wilson uśmiechnął się i wskazał na ekspres do kawy: – Poproszę kawę w papierowym kubku. Z dodatkowym cukrem.

Pani Parvati zaczęła przygotowywać kawę.

– Rozumiem – powiedziała. – Ale nie sądzę, żeby Bobby był w stanie w czymś panu pomóc. Bobby przestrzega prawa. Nie zadaje się z przestępcami.

– Wiem, że jest człowiekiem praworządnym, ale w ostatnich latach często spotykał się z kimś, kogo poszukuję. To znaczy nie tylko ja go

szukam. Zniknął z powierzchni ziemi. A przynajmniej na to wygląda.

– Tak? A o kogo chodzi? – Pani Parvati wsypała cukier do kubka i nakryła go pokrywką.

– O Vincenta Giordano.

Mimo że stała plecami do niego, zauważył, że na kilka sekund zamarła. Bo Bobby nie był chory. Był zmartwiony i smutny. Siedział w domu i bez przerwy albo oglądał telewizję, albo przeglądał wszystkie możliwe gazety. Od dnia kiedy Giordano wręczył mu klucz, bardzo się zmienił. Tak, pani Parvati widziała wszystko.

Na początku, kiedy Giordano zaczął u nich bywać bardziej regularnie, prosiła Bobby'ego, żeby nie rozmawiał z nim więcej, niż to konieczne. Był złym człowiekiem. Prasa o nim pisała. Był mordercą. Gangsterem. Gdyby z nim zadarł, mógłby zginąć.

– Pani Parvati...

– A, pan Giordano. Tak, bywa tutaj. Chociaż... teraz, kiedy pan o nim wspomniął, muszę przyznać, że już dawno go tu nie widziałam. Zaginął? Ale chyba nic złego mu się nie stało? – powiedziała, stawiając kubek z kawą na blacie.

– Właśnie tego usiłuję się dowiedzieć. Mieszkacie państwo po drugiej stronie ulicy, prawda? – Wziął do ręki kubek z kawą. – Mogę na chwilę do państwa zajrzeć? Mam nadzieję, że mąż nie złapał tej okropnej grypy, o której ostatnio tyle się mówi. – Roześmiał się, żeby nieco złagodzić wydzźwięk tych słów.

– Nie, nie, może pan do niego zajrzeć. Tylko proszę wytrwale dzwonić. Pewnie śpi.

Bobby Parvati nie spał. Powitał Wilsona w znoszonym dresie, poprosił, żeby usiadł, po czym uważnie wysłuchał jego pytań. Następnie powiedział, że kiedy ostatnim razem rozmawiał z Vincentem Giordano, ten zachowywał się jak zwykle. Wydawał się radosny i zadowolony z życia. Cieszył się, że spędzi popołudnie z wnukiem. Dodał, że to dziwne, że tak nagle zniknął. To do niego niepodobne, powiedział. Giordano jest człowiekiem, który potrafi

o siebie zadbać, na pewno wkrótce się zjawi.

Ale nie przekonał ani siebie, ani tym bardziej Wilsona.

Wilson podziękował i wyszedł. W tym czasie przed restauracją zatrzymał się czarny mercedes S600. Wysiedli z niego dwaj goryle Locatellich. Weszli do kawiarni i zaczęli torować sobie drogę do lady.

LEŻAŁ NA BIAŁYM PRZEŚCIERADLE, przykryty cienką jasnoniebieską kołdrą.

Nieustraszony Vincent Giordano.

Firanki w sterylnym pokoju były szczelnie zaciągnięte. Na małym stoliku obok łóżka nie było żadnych kwiatów, żadnych ręcznie napisanych kartek od znajomych czy rodziny. Najprawdopodobniej rodzina nie została jeszcze poinformowana. Dla lekarzy i pielęgniarek pozostawał pacjentem bez nazwiska. W karcie napisano: nazwisko nieznane. Dodano też: znaleziony na Navestadveien.

Anton Brekke stał i patrzył, jak owłosiona klatka piersiowa mężczyzny unosi się i opada za sprawą stojącej obok maszyny. Pomyślał, że jego twarz się zmieniała. Kiedy kilka godzin wcześniej zajrzał do niego przez uchylone drzwi, widział jedynie nagi tors i płataninę wężyków i rurek. W ciągu trzech dni zarost zrobił się bujniejszy, tylko gęste włosy, mimo że środek głowy miał ogolony, pozostały takie same.

Anton nie był w stanie powstrzymać uśmiechu. Sytuacja była surrealistyczna. Człowiek, którego amerykańskie władze wielokrotnie usiłowały wsadzić za kratki, leżał tu, w szpitalu we Fredrikstad.

Autentyczny mafioso. Bezlitosny zabójca. Człowiek, który torturował i zabijał ludzi na długo, zanim Anton się urodził.

– Czy ten człowiek ma coś wspólnego z zabójstwem Wilhelma Martiniussena? – spytał ordynator, studiując kartę.

Udawał niezainteresowanego, ale nie bardzo mu to wychodziło.

– Jest pan ciekaw, doktorze?

Lekarz się uśmiechnął.

– Podobno początkowo myśleliście, że dostał zawału – powiedział

Anton.

– No cóż... – zaczął ordynator, siadając na krześle pod ścianą. – Otrzymaliśmy zgłoszenie z centrali pogotowia. Starszy pan źle się poczuł, upadł i uderzył się w głowę. – W jego kieszeni zabrzączał pager. Wyjął go, spojrzął na numer i włożył z powrotem do kieszeni. – Skierowałem go na izbę przyjęć. To było niedługo po tym, jak pan i pana kolega byliście tu odwiedzić tę młodą kobietę. Rana na głowie oczywiście wzbudziła moje zainteresowanie. Uznałem, że to niemożliwe, żeby powstała w wyniku uderzenia. Musiałby pionowo uderzyć głową o coś twardego. Rozumie pan? Rana była głęboka, po uderzeniu zostało nawet małe wgłębienie. Pokażę panu zdjęcia. Poza tym miał duże krwiaki na plecach. Bardzo duże. – Rozcapierzył palce, żeby pokazać, jak duże. Wyglądało na to, że ich średnica wynosiła dobre trzydzieści centymetrów. – Oczywiście mamy zdjęcia. Wysłaliśmy go na rentgen kręgosłupa i tomografię komputerową głowy. Obawiałem się złamania. Na szczęście okazało się, że to tylko pobicie, ale bardzo poważne. Natomiast tomografia wykazała pęknięcie czaszki i lekkie opuchnięcie mózgu. Ale bez krwawienia, co dobrze rokuje.

– Tak?

– Obecnie wszystko jest pod kontrolą, stan pacjenta jest stabilny.

– Te urazy, krwiaki na plecach, pęknięcie czaszki... Czy to wszystko mogło powstać w wyniku wypadku? Ktoś na niego najechał?

Lekarz zmarszczył czoło. Zamyślony podrapał się po głowie.

– Nie, to niemożliwe. Nie ma urazu nóg. Ma krwiaki na plecach i dziurę w głowie. Gdyby samochód najechał na niego od tyłu, zostałby wyrzucony w górę, a potem spadłby na ziemię. Uraz głowy byłby poważniejszy, podobnie jak uraz kręgosłupa. Nie. Ktoś go uderzył w głowę, a potem bił po plecach, najprawdopodobniej w tej kolejności. Ciężkim, ostrym narzędziem.

Anton pokiwał głową. Brzmiało to sensownie.

– Odzyska przytomność?

– Staram się o tym za dużo nie myśleć. Jego stan jest stabilny, mózg nie jest już tak bardzo opuchnięty. Jestem optymistą.

– Z natury?

– Nie – powiedział ordynator i uśmiechnął się. – Proszę chwilę zaczekać, pobiegnę po zdjęcia – dodał i wolnym krokiem ruszył do gabinetu.

– Jeszcze jedno – powiedział Anton. – Miał coś przy sobie, kiedy go tu przywieziono? Coś w kieszeniach?

– Nic mi o tym nie wiadomo, ale sprawdzę.

Nie odrywając wzroku od Vincenta Giordano, Anton odchylił się na krzesło i oparł o ścianę. Przekrzywił głowę i zaczął mu się przyglądać. Dużo by dał za to, żeby móc z nim porozmawiać. Starszy pan mógłby mu niejedno opowiedzieć. Widział wszystko. Uczestniczył we wszystkim. Niezależnie od tego, jak kto go oceniał, był kawałkiem amerykańskiej historii. Był prawą ręką Calogera Locatellego, króla gangsterów. Podobno to z nim kontaktowała się CIA, kiedy chciała usunąć ówczesnego prezydenta Johna. F. Kennedy'ego. Plany zamachu omawiano w domu Santa Trafficante, człowieka, który kontrolował Florydę. O wszystkim zdecydowały podobno słowa Don Domenica.

Niewykluczone, że człowiek leżący przed nim na łóżku znał rozwiązanie i tej zagadki.

Prawdopodobnie tak.

Po prawie dwudziestu minutach wrócił ordynator. Szedł wolnym krokiem z kopertą i dużą brązową papierową torbą w ręku. Anton otworzył ją i wyjął czarną marynarkę.

– Niewiele tego. – Ordynator spojrzał na niego ze współczuciem. – Zdjęcia – dodał, machając kopertą – może pan zatrzymać. Mamy kopie – powiedział, kładąc kopertę na kołdrze, którą był przykryty Vincent Giordano. – A teraz muszę już wracać. Absolutny chaos.

– Rozumiem. Dziękuję za pomoc. Proszę dać mi znać, gdyby coś się wydarzyło.

– Oczywiście.

Anton rozłożył marynarkę na podłodze i kucnął. Sprawdził kieszenie. Nic, nawet starego dropsa. Włożył trzy palce do wewnętrznej kieszeni, pomacał – też nic. Uśmiechnął się ironicznie.

Dłuższą chwilę przyglądał się Vincentowi, próbując zaobserwować jakiegokolwiek ślady życia.

– Coś się dzieje? – usłyszał za sobą głos Torpa.

– Co ty tu robisz? Miałeś mieć gościa. Nie zjawiła się?

– Zjawiła, ale przeprosiłem ją. Postanowiłem, że pójdę z tobą.

– Ukląkł obok Antona. – Spotkałem ordynatora. Powiedział mi, gdzie cię znajdzie. Potrzebujesz pomocy?

– Tak, Torp, potrzebuję pomocy. T w o j e j pomocy – powiedział Anton z sarkazmem.

– Więc dobrze, że przyszedłem. – Torp uśmiechnął się szeroko.

– To prawdopodobnie nasz zabójca. Tylko na razie zachowaj to dla siebie. Rozumiemy się?

Torp pokiwał głową. Przez moment myślał, że ostatni rok studiów w Wyższej Szkole Policyjnej tak naprawdę nie jest mu wcale potrzebny. Miał wrażenie, że już teraz dorównuje doświadczeniem większości wykładowców. Przejdzie do historii. Będą o nim mówić. *Student, który rozwiązał zagadkę zabójstwa Wilhelma Martiniussena*. Jeśli tak dalej pójdzie, zostanie gwiazdą Kripos w wieku niespełna trzydziestu lat.

– To jest morderca? – spytał. Stał obok łóżka i zaczął się przyglądać Vincentowi Giordano. – Starszy pan.

– Nie mówiłbym mu tego, kiedy się obudzi. To turysta, który został pobity w Sarpsborgu.

– No proszę! – Torp pochylił się nad łóżkiem. – Widziałeś tę bliznę?

– Tak.

– Skąd ją ma?

– Nie mam pojęcia.

– Wygląda paskudnie. Co dalej?

– Zadzwoń do Sarpsborga i powiedz, że jedziemy do nich. Chcę przejrzeć wszystko, co mają w związku z tą sprawą.

– Co zrobimy z moim rowerem? Zostawiłem go przed wejściem.

Po chwili z rowerem Torpa wystającym z bagażnika prywatnego volvo Antona ruszyli do Sarpsborga.

KIEDY ANTON POKAZAŁ policyjną odznakę, recepcjonista w hotelu Radisson SAS skinął głową.

Tak, zwrócił uwagę na Amerykanina, ale właściwie tylko dlatego, że był ze Stanów. Nieczęsto się zdarza, żeby w hotelu nocowali Amerykanie. Wstawał wcześniej, jadł śniadanie kwadrans po siódmej i rzadko wychodził wieczorem.

– Wiecie, kiedy goście wychodzą i kiedy wracają? – spytał Anton, wyraźnie zdziwiony.

– Oczywiście, że nie. W ciągu dnia trudno powiedzieć, kto jest w hotelu, a kogo nie ma, ale wieczorem ruch jest mniejszy, więc widać, kto kiedy wraca. Pracuję na nocną zmianę, czasem obserwuję gości, trochę z nudów, trochę z ciekawości.

– Rozmawiał pan z nim?

Recepcjonista zagryzł wargę.

– Nie, zamieniłem kilka zdań, jak ze wszystkimi gośćmi.

– W ostatni piątek też miał pan dyżur?

Recepcjonista skinął głową.

– Pracuję tylko w nocy. Dwa tygodnie. Potem mam dwa tygodnie wolnego.

– Więc widział go pan wieczorem?

– Tak, przyszedł niedługo po tym, jak zacząłem dyżur.

– A o której pan zaczyna?

– O dwudziestej trzeciej. Kończę o siódmej rano. – Rozejrzał się zamyślony po dużym holu. – Sądzę, że było kwadrans po dwudziestej trzeciej. Powiedział, że wraca z zamku. Uznałem, że miał na myśli stare miasto.

– Też się tu zatrzymałem. Ale pan to zapewne wie.

– Tak.

– Jeśli korzystam z telefonu w pokoju, to automatycznie loguję się do systemu, prawda?

– Zgadza się.

– Rozmowy przychodzące też są rejestrowane?

– Tak.

– Załatwi mi pan wykaz rozmów łączonych do pokoju trzysta osiemnaście?

– Oczywiście, to żaden problem. Nic w pokoju nie ruszaliśmy, tak jak prosiliście.

– Prosiliśmy? Kto prosił?

– Policja z Sarpsborga. Ktoś od nich zadzwonił i poprosił, żeby nie sprzątać pokoju i niczego nie dotykać. Zaraz znajdę kartkę z wiadomością. Dziewczyna, która pracuje tu w dzień, wszystko dokładnie zapisała. To ona odebrała wiadomość. – Recepcjonista zaczął przerzucać leżące na biurku kartki. – Niedawno gdzieś ją tu widziałem.

– Proszę już nie szukać. I dziękuję za pomoc – powiedział Anton.

Przeszli przez hol po kamiennej posadzce, wsiedli do windy i pojechali na górę.

Na drzwiach pokoju numer trzysta osiemnaście wisiła tabliczka z napisem: Nie przeszkadzać. Weszli. Choć od kilku dni nikt tam nie sprzątał, w pokoju panował porządek. Łóżko było pościelone. W blacie niewielkiego stolika stojącego obok dwuosobowej kanapy można było się przegłądać jak w lustrze. Leżący na podłodze dywan wyglądał, jakby przed chwilą został odkurzony. Jediną rzeczą, która świadczyła o tym, że pokój nie jest gotów na przyjęcie nowych gości, była zamknięta walizka w nogach podwójnego łóżka.

– Szukamy czegoś konkretnego? – spytał Torp, omiatając pokój wzrokiem.

– Nie. Sprawdź łazienkę.

– Za czym mam się rozglądać?

Anton rozłożył bezradnie ręce.

– Po prostu się rozglądaj, mój drogi. Może coś znajdziesz. Sprawdź w szufladach, w szafkach... – Urwał i wyjął z tylnej kieszeni spodni lateksowe rękawiczki. – W kibelku.

– Serio? W kiblu? – Torp zmarszczył czoło.

– Tak.

Torp poszedł do łazienki, zamknął za sobą drzwi. Anton wziął walizkę, położył ją na łóżku i otworzył. Sześć białych koszul, cztery pary bawełnianych spodni i kosmetyczka. Odłożył na bok ubrania i przeciągnął palcami po wewnętrznej stronie walizki. Westchnął. Czego się spodziewał? Uśmiechnął się. Rozczulił go własny optymizm.

Włożył ubrania z powrotem do walizki i otworzył kosmetyczkę. Pasta do zębów, zdjęcie w ramce przedstawiające małego uśmiechniętego chłopca, dezodorant, woda po goleniu i amerykański paszport. Odsunął na bok walizkę i usiadł na krawędzi łóżka. Oparł ręce o uda i pochylony wpatrywał się w czarno-białe zdjęcie w paszporcie. Zrobiono je przed kilku laty, ale zimne oczy i gęste włosy były takie same jak na zdjęciu zrobionym przez Larsa. Data urodzenia: siódmy stycznia 1941 roku. Vincent DeLuca. Paszport był fałszywy, ale to nie miało znaczenia. Każdy mógł sobie taki załatwić. Akurat ten człowiek miał ich zapewne kilka. Anton zapisał imię, nazwisko i datę urodzenia w notesie i odłożył paszport.

Drzwi do łazienki się otworzyły.

– Nic nie znalazłem – powiedział Torp bezradnie. – A ty?

Anton udał, że nie usłyszał.

– Na pewno w łazience nic nie było? – spytał.

– Szczoteczka do zębów w szklance – powiedział Torp i cofnął się, żeby przepuścić Antona.

Na blacie przy umywalce stał standardowy hotelowy zestaw: małe mydélka, obok cztery grube ręczniki z logo hotelu. W kabinie prysznicowej szampon i balsam.

Spojrzenie Antona padło na lateksową rękawiczkę na podłodze.

– Za krótka – powiedział Torp.

– Za krótka?

– Sięga tylko trochę za nadgarstek. Mogę sprawdzić kibel, nie ma sprawy, ale wołałbym mieć dłuższe rękawiczki.

– Cieszę się, że jesteś ze mną i uczysz się różnych rzeczy, ale jeśli mówię, że masz coś zrobić, to oczekuję, że to zrobisz. Jeśli chcesz się

bawić w policjanta, to proszę, ale nie kiedy jesteś ze mną.

– Ale...

– Przesuń się.

Anton zdjął kurtkę, podwinął rękaw koszuli i naciągnął na dłoń rękawiczkę. Ukląkł na kamiennej posadzce i włożył rękę do sedesu. Poprosił Torpa, żeby zszedł do recepcji i przyniósł wykaz połączeń telefonicznych.

Zmienił pozycję. Jedną ręką oparł się o ścianę za sedesem, drugą włożył głębiej. Powiódł palcami wzdłuż gładkiej porcelany. Nie wiedział, czego szuka, ale wiedział, że nie zagna spokoju, jeśli dokładnie wszystkiego nie sprawdzi. Znajdował dowody w dziwniejszych miejscach. Niestety sedes wydawał się czysty, jak cały pokój. Wyjął rękę. Woda kapłała na posadzkę.

Przez chwilę stał i przyglądał się swojej dłoni. Do lateksowej rękawiczki przykleił się maleńki kawałek papieru. Zdjął go, chwycił kciukiem i palcem wskazującym i uniósł do światła. Kolory były wyblakłe, widać było, że zdjęcie leżało w wodzie, ale wyraźnie rysował się kawałek twarzy i nie było wątpliwości, że to oczy, nos i włosy Wilhelma Martiniussena.

Kiedy Anton zakończył rozmowę z inspektorem Haugenem, było już po pierwszej w nocy. Nie mieli już wątpliwości, że zabójca został ujęty i że – jeśli wybudzi się ze śpiączki – zostanie aresztowany.

Torp już dawno spał w swoim łóżku. Anton był za bardzo wzburzony, żeby zasnąć. Wiedział, że leżałby i gapił się w sufit. Był przekonany, że za zabójstwem Martiniussena stał ktoś z jego najbliższego otoczenia. Zastanawiał się, co mógł zyskać Giordano, podejmując się tego zadania.

Zaparkował przed hotelem i poszedł do Oscara, restauracji z muzyką na żywo.

Mimo że był to dzień powszedni, lokal był pełen ludzi. Miejscowy muzyk występujący pod pseudonimem Staysman prezentował płytę zatytułowaną *Bez butów*. Anton usiadł przy barze, zamówił piwo

i otworzył notes na pustej stronie. Zapisał kilka imion i nazwisk: Wilhelm Martiniussen, Vincent Giordano, Frode Moen i Bjørn Danielsen. Od Martiniussena poprowadził dwie strzałki: do Danielsena i do Moena. Napisał: Mardan i wziął nazwę firmy w trzy kółka. Co ich wszystkich łączy? – zastanawiał się, popijając piwo.

Bjørn Danielsen był najbliższym przyjacielem Wilhelma Martiniussena i jedynym spadkobiercą jego wartej miliardy fortuny. Czy był to wystarczający powód, żeby pozbawić go życia? Zdecydowanie tak. Co w takim razie miał z tym wspólnego Vincent Giordano? Bjørn Danielsen wydawał się załamany. To on najbardziej przeżywał stratę. A może cierpiał nie tyle z powodu straty, ile z zazdrości? Zawsze był numerem dwa, sam to mówił. Tylko znów: czy mógł mieć aż tak dobre kontakty z amerykańskim światem przestępczym? Anton w to wątpił. Zdążył już zebrać o nim sporo informacji. Wiedział, że zawsze towarzyszył Wilhelmowi. Nie studiował za granicą, nie figurował w policyjnym rejestrze, nie miał żadnych mrocznych tajemnic. Nie miałby kiedy nawiązać takich kontaktów. Był czysty.

Może grał. Z zimną krwią.

Zamówił kolejne piwo i przeniósł się na kanapę ze stolikiem w głębi lokalu. Otworzył kopertę, którą dostał od lekarza, wyjął zdjęcia i położył na stoliku. Plecy Vincenta Giordano wyglądały tak, jak opisał lekarz. Środkowa część była fioletowa. Trudno było powiedzieć, ile razy został uderzony. Drugie zdjęcie przedstawiało głowę. Gęste włosy wyglądały, jakby zostały zanurzone we krwi. Samej rany nie było widać, ale lekarz twierdził, że została zadana ciężkim, ostrym narzędziem.

Anton siedział i wpatrywał się w zdjęcia. Popijał piwo. To, że Giordano przeżył, świadczyło o tym, że ktoś, kto próbował pozbawić go życia, był tym, kto zlecił mu zabicie Martiniussena. Żałosny amator. Ktoś, kto nie miał odwagi zrobić tego sam. Ale dlaczego postanowił zabić wynajętego zabójcę? Żeby zatrzeć ślady? Bez

sensu. Ktoś, kto wynajął Vincenta Giordano, zrobił to dlatego, że wiedział, że ma do czynienia z zawodowcem. Zaraz po wykonaniu zadania Giordano miał opuścić Norwegię. Gdyby zdążył, sprawa zabójstwa Martiniussena prawdopodobnie pozostałaby nierozwikłana.

Anton schował zdjęcia do koperty. Oparł się wygodniej, zamknął oczy i spróbował wyobrazić sobie, co poszło nie tak, kiedy Vincent Giordano spotkał się z napastnikiem. Został trafiony w czubek głowy. To by wskazywało na to, że został zaatakowany od tyłu. Padł na ziemię, inaczej próbowałby się bronić. A więc leżał na ziemi, a napastnik bił go po plecach. Kto to był? Ktoś, kogo znał, skoro odwrócił się do niego plecami. Frode Moen jest drobny i raczej nie wzbudza strachu. Czy Vincent Giordano odwróciłby się do niego plecami? Niewykluczone. Gdyby się znali.

Ale znów: Frode Moen nie jest podejrzany. Teraz już nie.

Bjørn Danielsen skopał cienkie jedwabne prześcieradło i spojrzał na żonę. Leżała i czytała jakieś pismo kobiece, które prenumerowała. Pomyślał, że nigdy mu się nie znudzi na nią patrzeć. Na jej długie falujące włosy, gładką twarz i uwodzicielskie niebieskie oczy. Dzięki świetnemu chirurgowi plastycznemu z Oslo jej ciało było równie ponętne jak wtedy, kiedy miała trzydzieści lat. Kiedy dwadzieścia lat temu po raz pierwszy umówiła się na konsultację, był temu przeciwny. Zawsze wołał to, co naturalne. A Eva była prawdziwą pięknoscią. Nie rozumiał jej decyzji. Po co jej to? Ale ona nalegała i w końcu ustąpił. A teraz był nawet zadowolony.

Spojrzała na niego kątem oka i uśmiechnęła się.

– Ciepły wieczór – powiedział i usiadł na łóżku.

– Tak uważasz? – Włożyła palce między kartki i położyła dłoń na jego czole. – Jesteś rozpalony.

– Coś mnie bierze.

Wstał z łóżka i podszedł do okna. Wychodziło na piękny ogród. Przyglądał się podświetlonej fontannie.

– Jak myślisz, Eva, kto go zabił? – spytał nagle niskim, zachrypniętym głosem.

Eva odłożyła pismo.

– Nie mam pojęcia. Chodź, połóż się. Musisz odpocząć.

Bjørn otworzył okno i wrócił do łóżka.

– Czuję się fizycznie chory. Mam mdłości.

Eva odwróciła się i położyła głowę na jego owłosionej klatce piersiowej.

– Teraz powinieneś się skupić na odpowiedzialności, którą przekazał ci Wilhelm.

Bjørn nie odpowiedział. Myślał o przyjacielu, o pieniądzach i o odpowiedzialności, którą będzie musiał dźwigać. Cieszył się z pieniędzy – na pewno im się przydadzą.

– Dobrze byłoby teraz mieć syna albo córkę.

– Dlaczego akurat teraz?

– Cały czas brakuje mi dziecka, ale teraz szczególnie. Moglibyśmy się skupić na czymś innym.

– Nawet gdybym mogła zająć w ciążę, to teraz jest już za późno.

– Wiem. Myślałem o adopcji.

– Nie mów bzdur. Zaczynamy się starzeć. Przy adopcji obowiązuje granica wieku.

– Wiem, ale... – Pogładził ją po włosach. – Moglibyśmy zostać rodzicami zastępczymi... Stworzyć mały dom dziecka.

– Nie chcę tego słuchać. Już o tym rozmawialiśmy.

– Nie o byciu rodziną zastępczą. – Odsunął jej głowę i usiadł na łóżku.

– Bjørn...

– Zastanów się nad tym. Moglibyśmy im stworzyć doskonałe warunki, dać wykształcenie. A sami zyskalibyśmy cel w życiu. Na pewno dobrze by mi to zrobiło. Szczególnie teraz.

– Czy ty naprawdę nic nie rozumiesz? Jesteśmy za starzy na takie rzeczy. – Spojrzała na niego surowo, po chwili odwróciła się do niego plecami.

Bjørn siedział i dłuższą chwilę patrzył przed siebie. W końcu

powiedział:

- Powinienem być zrobić więcej.
- Co masz na myśli? – Eva odwróciła się i spojrzała na niego.
- Powinienem być go przekonać. To go zabiło. Sprawy związane z projektem kanadyjskim. Szlag! Że też musiał być taki uparty.

Wtorek, 16 czerwca
Fredrikstad

ANTON BREKKE spojrział na zegarek. Właśnie minęła pierwsza.

Oparł łokcie o blat biurka Haugena, podparł dłonią brodę i westchnął.

– Masz jakieś wieści od szefa? Wie, że Giordano został zidentyfikowany?

– Zostanę tu tak długo, jak długo będę potrzebny, czyli dopóki nie ustalimy, kto pociągał za sznurki.

– Chyba nie straciecie nadziei? – Haugen podniósł głowę znad komputera i spojrział na Antona. – Morderstwo popełniono zaledwie cztery dni temu, a morderca najprawdopodobniej został już ujęty. Jeśli wziąć pod uwagę, jak niewiele mieliśmy śladów, uważam, że zrobiliśmy dużo.

– Nadal nic z tego nie rozumiem. Chociaż jestem przekonany, że rozwiązanie leży przed nami. – Anton podsunął Haugenowi notes z zapiskami z poprzedniego dnia. – Nie potrafię go dostrzec, ale wiem, że Giordano nie jest tu głównym rozgrywającym.

Haugen pokręcił głową.

– To prawda. A Bjørn Danielsen?

Anton wzruszył ramionami.

– Zanim wczoraj zasnąłem, przyszło mi do głowy, że ten, kto zlecił morderstwo, wcale nie musiał być związany z Mardanem. Może to ktoś z zewnątrz, kto dużo by stracił, gdyby Mardan wycofał się z projektu.

– Czyli kto? Lange przejrzał kontakty firmy. Nie odnotował nic podejrzanego. Ani jeśli chodzi o inwestycje, ani osoby prywatne. Z wyjątkiem Moena. Ale pewno masz rację. Moen to fałszywy trop.

– Moen to łajdak, ale to nie jego szukamy. Nie tym razem.

Anton wstał i podszedł do okna. Nad miasto nadciągnął układ niskiego ciśnienia, nad centrum rozwarło się niebo. Nagle komputer Haugena wydał dźwięk sygnalizujący nadejście poczty.

Anton odwrócił się od okna i pochylił nad szerokimi ramionami Haugena.

Telenor nie zdołał znaleźć właściciela komórki, z której kontaktowano się z Vincentem Giordano w jego pokoju w hotelu. Karta była zarejestrowana na niejakiego Hansa Larsena, który według rejestru ludności przebywał w domu starców pod Trondheim. Użyto jej zaledwie trzy razy: jedno połączenie przychodzące i dwa wychodzące. Wszystkie do pokoju numer trzysta osiemnaście w hotelu Radisson.

– Jeśli znajdziemy właściciela numeru, to znajdziemy też tego, kto pociągał za sznurki – stwierdził Haugen, przeglądając pobieżnie pocztę.

– To już wiedzieliśmy – powiedział Anton zawiedziony. – Nie podają namiarów stacji przekaźnikowych?

– Zaraz do tego dojdę. Kiedy Giordano dzwonił ze swojego pokoju, komórka znajdowała się gdzieś tutaj. – Haugen zatoczył palcem koło wokół centrum miasta. – Podobnie w przypadku obu połączeń przychodzących.

– Tak?

Haugen uniósł rękę, dając znać, żeby się chwilę wstrzymał. Chciał najpierw przeczytać maila.

– Połączenia przychodzące to środa o szesnastej i piątek o osiemnastej. Natomiast Giordano dzwonił z hotelu w sobotę kwadrans po dziewiątej. Właśnie wtedy został napadnięty, prawda?

Anton za jego plecami pokiwał głową.

– Potem, właśnie w sobotę przed południem, komórka loguje się do innych stacji przekaźnikowych niż ta pierwsza, którą ci pokazywałem. Do trzech różnych, a potem zamiera. Ktoś ją wyłączył. – Haugen przeszedł do następnej mapy. Wskazał palcem na Navestadveien w Sarpsborgu. – To się stało prawdopodobnie w miejscu, gdzie Vincent Giordano został napadnięty.

– Navestadveien jest w zasięgu ostatniej stacji przekaźnikowej?
Haugen skinął głową.

– Giordano zadzwonił do zleceniodawcy w sobotę. Uzgodnili, że się spotkają, prawdopodobnie po to, żeby się rozliczyć. Ale facet się rozmyślił i uznał, że Giordano też ma zginąć.

– Przypuszczam, że tak mogło być. Tylko nie sądzę, żeby chodziło o pieniądze. Vincent Giordano nie jest mordercą do wynajęcia. Jest prawą ręką Calogera Locatello. Słyszałeś o nim?

– Wiem o nim tyle, ile mi powiedziałaś wczoraj przez telefon. Jakiś gangster.

– Jakiś gangster... – Anton spojrział na Haugena. – Chodzi o to, że Calogero Locatelli nie jest j a k i m ś tam gangsterem. Tu wchodzi w grę potężne siły.

– Mafia.

– Tak jest.

Drzwi się otworzyły i do gabinetu wszedł Torp. Dumnie paradował w mundurze.

– O, jest nasz młokos. – Anton się uśmiechnął. – Próbowalesz coś zrobić z tym daszkiem?

Daszek policyjnej czapki niemal przecinał mu czoło.

– W każdym razie jest lepsza niż ta kiełbasa, którą ty nosiłeś w swoim czasie. Ta to dopiero wyglądała.

– Po raz pierwszy słyszę, żebyś mówił do rzeczy, Torp. Ale rozumiem, że nie przyszedłeś tu dyskutować o modzie. O co chodzi?

– Zgłosił się jakiś świadek, po tym, jak przeczytał w sieci artykuł w „VG”, o Giordano i Martiniussenie.

– Artykuł? – Anton spojrział pytająco na Haugena.

Haugen wyszukał internetowe wydanie dziennika. WILHELM MARTINIUSSEN ZLIKWIDOWANY PRZEZ MAFIĘ – krzyczał tytuł na pierwszej stronie. Na górze widniało zdjęcie Martiniussena i drugie, mniejsze, zrobione w miejscu, gdzie napadnięto na Giordano.

– Niewiarygodne. Cholera! – warknął Anton wściekły. – Kto, do diabła, wyszedł z czymś takim?

– Nie ja – odezwał się Torp natychmiast.

– Ktoś to jednak zrobił. Gdzie Martine Rieck? Domyślam się, że jej komórka dzwoni bez przerwy.

– Jest w sądzie. Spędzi tam cały dzień – powiedział Haugen.

– I dobrze. Co za historia.

– I co z tym świadkiem? – spytał Haugen.

– Jakaś kobieta widziała, jak dwóch mężczyzn stało i rozmawiało niedaleko placu budowy przy Navestadveien. Jeden miał gęste czarne włosy i był w garniturze. Drugi miał na sobie powyciągany dres, a na głowie cienką białą czapkę. Obok stał czarny samochód. Niezbyt duży.

– Nie podała dokładniejszego rysopisu? – spytał Anton.

– Nie. Wyszła na spacer z psem. Z dogiem niemieckim. Pewnie była zajęta pilnowaniem go. Ale Giordano nie jest potężnie zbudowany?

– Jest szeroki w ramionach. Potężnie zbudowany w odniesieniu do mężczyzny nie musi znaczyć gruby, Torp.

– Ale w odniesieniu do kobiety tak?

Anton się uśmiechnął.

– Tak czy inaczej, nas interesuje ten drugi. Miał na głowie czapkę. Pewnie nie przypadkiem. Ukrywał się. Szczupły. I mały czarny samochód. Frode Moen jest szczupły. Dowiedz się, jakie ma samochody albo jakimi dysponuje, i w jakich kolorach.

Torp skinął głową.

– A właśnie, byłbym zapomniał. Lange pyta, czy nie wiesz, co się stało z jego napojami.

– Z jakimi napojami?

– Miał w lodówce całą skrzynkę. Napoje zniknęły, a skrzynkę ktoś obwiązał taśmą policyjną.

– Tak? – Anton z trudem powstrzymywał uśmiech.

– Kiedy odwoziłem Larsa do domu, powiedział, że jesteś najmilszym policjantem, jakiego zna, bo dałeś mu całą torbę coli.

– Przykro mi, ale nic mi o tym nie wiadomo.

– Dziwne – rzucił Torp i zniknął za drzwiami.

– Bjørn Danielsen też ma czarny samochód – stwierdził Haugen. Niezbyt się przejął zaginioną colą.

- Ma szarego bentleya.
- Czyżbyś znów skłaniał się ku Moenowi?
- Sam już nie wiem. Kręcimy się w kółko. Moen, Danielsen, Moen, Danielsen. Coś mi mówi, że to tylko czubek góry lodowej. Ale wiem, od kogo możemy się dowiedzieć czegoś więcej. – Anton zerknął na swoją omegę. – Przypuszczam, że wkrótce się obudzą.

Kiedy winda zatrzymała się na dziewiętnastym piętrze, agent FBI Percivall Wilson odetchnął z ulgą. Nienawidził wind, ale zwykle lenistwo brało górę nad strachem.

Duże otwarte pomieszczenie było podzielone na boksy. Po drugiej stronie znajdował się jego gabinet, z widokiem na Broadway. Dostał go już pięć lat temu. Własne biuro oznaczało większą odpowiedzialność. Miał łapać przestępców, przede wszystkim Locatellich. Raz udało mu się postawić przed sądem samego Calogera, ale ponieważ świadkowie się nie stawili, sędzia musiał oddalić sprawę. Teraz czekał już tylko na wytęsknioną emeryturę. Na moment, kiedy przekaże następcy klucz do biura.

Praca nigdy go nie nudziła. Wiedział, że jest ważna. Gdyby nie oni, organizacje przestępcze robiłyby, co chciały. Z upływem lat coraz lepiej rozumiał, że ich praca polega na zapobieganiu. Już sama ich obecność trzymała przestępców w ryzach, nie byli w stanie robić w s z y s t k i e g o. Zrozumiał, że walka jest przegrana w dniu, kiedy agencji nie udało się ochronić świadków w sprawie przeciwko Locatellemu. Stał przed sądem federalnym i uśmiechał się do licznie zgromadzonych policjantów. Jakby chciał powiedzieć: Nigdy mnie nie dopadniecie. To były drwiny z FBI, a w jeszcze większym stopniu z obywateli. Kto będzie chciał zeznawać przeciwko tym ludziom, skoro nawet FBI nie jest w stanie zapewnić obywatelom bezpieczeństwa?

Codziennie miał nadzieję, że w końcu Calogero albo któryś z jego najbliższych współpracowników popełnią jakiś błąd. Chociaż podejrzewał, że nie stanie się to za jego życia. Już dawno pogodził

się z myślą, że przechodząc na emeryturę, będzie po prostu jednym z wielu agentów, którzy ponieśli klęskę w walce z mafią.

Mężczyźni w czarnych garniturach i z kaburami na biodrach witali się z nim skinieniem głowy, kiedy mijał boksy, w których siedzieli, oddzieleni od siebie niskimi ściankami. Kiwali mu uprzejmie głowami. Zdecydowanym krokiem przemierzał biurowy labirynt. Przed jego gabinetem siedziała młoda asystentka, zestresowana zerkała na monitor komputera. Poinformowała go, że ma rozmowę na trzeciej linii i że ktoś czeka na niego już kwadrans.

Wszedł do gabinetu. Zamknął za sobą drzwi, podciągnął żaluzje i usiadł przy biurku. Włączył uśpiony komputer, podniósł słuchawkę i wcisnął guzik migający przy trójce.

– Agent specjalny Percivall Wilson – powiedział wyraźnie niskim głosem.

Mężczyzna po drugiej stronie też się przedstawił, ale Wilson nie dosłyszał jego nazwiska. Poprosił, żeby powtórzył, ale i tym razem nie udało mu się go zapamiętać. Mężczyzna zaczął coś opowiadać, Wilson słuchał, logując się jednocześnie do systemu. Bez większego zainteresowania słuchał zardzewiałego angielskiego i zastanawiał się, czy mężczyzna został dobrze przełączony. Tuż obok mieścił się wydział do spraw imigracji.

Przytrzymując słuchawkę ramieniem, zaczął przeglądać pocztę. Mężczyzna dalej coś opowiadał. Nagle Wilson puścił mysz, odchylił się w fotelu i chwycił mocniej słuchawkę.

– Kto?

– Vincent Giordano – powiedział mężczyzna.

– A pan jest kim? Proszę powtórzyć.

– Anton Brekke z Kripos.

– *Cry...* co takiego?

– To po norwesku. Policja kryminalna.

Piątek, 13 grudnia 1968

New York City

GŁOŚNY OKRZYK odbił się echem od ścian przebudowanego magazynu.

Vincent Giordano rozchylił żaluzje i spojrzał na pomieszczenie piętro niżej. Ze swojego gabinetu na piętrze miał widok na cały parter. Gruby, łysy mężczyzna tańczył i wydawał radosne okrzyki.

Vincent westchnął. Na szczęście tak duże wypłaty nie zdarzały się często. Poza tym facet był nałogowcem: w ciągu miesiąca przegra całą wygraną. A może i więcej.

Kasyno działało już szósty rok. Vincent miał trzydzieści siedem lat i pensję, z którą mało kto mógł się zmierzyć. Nie otrzymywał zadań od Calogera Locattellego, tylko od jego ojca, Don Domenica. Jego głównym zadaniem było prowadzenie kasyna. Don Domenico był zadowolony, dostarczane przez Vincenta grube pliki banknotów robiły się coraz grubsze. Podejmował się też wykonywania różnych pomniejszych zadań. Nie zarabiał na nich wiele, ale dowodziły jego lojalności wobec szefa. Uważał to za swój obowiązek. W końcu o takiej pozycji niejedyn młody mafioso mógł jedynie pomarzyć.

Właśnie wrócił po wykonaniu jednego z takich zadań. Były członek rodziny Locatellich uciekł z miasta z kochanką i walizką z prawie milionem dolarów należących do Don Domenica. Był młody, młodszy od niego, i najwyraźniej pokusa okazała się zbyt duża. Zapewne pomyślał: cóż znaczy milion dolarów dla kogoś takiego jak Don Domenico. Zanim ktoś się w ogóle zorientuje, on i jego kochanka będą już w Meksyku.

Vincent znalazł uciekiniera i kochankę w nędznym motelu przy drodze 81, w Zachodniej Wirginii. Najpierw zastrzelił ją. Potem powiedział uciekinierowi, że może daruje mu życie, jeśli odda mu

walizkę z pieniędzmi. Po chwili walizka leżała przed nim na podłodze. Żądni przygód kretyni zdążyli przepuścić ponad dwadzieścia tysięcy.

– Jak zamierzasz je oddać? – spytał spokojnie.

– Ja... nie mam pojęcia.

Ostatnie słowo, które młody mężczyzna zdążył wypowiedzieć, zanim Vincent strzelił mu dwa razy w twarz, brzmiało: nie!

Takich zadań miał na koncie wiele. Ale sumienie go nie dręczyło. W końcu zabijał tych, którzy okazali się nielojalni. Ludzi, którzy nie zawahaliby się posłać mu kulki. Jedyne, co nie dawało mu spokoju, to śmierć Tłustego Phila. To prawda, przez lata zdążył przywłaszczyć sobie kilkaset tysięcy dolarów. Nie powinien był tego robić, ale czy zasłużył na tak okrutną śmierć? Na samą myśl o tym Vincentowi nadal robiło się niedobrze. Uśmiechał się za to zawsze, kiedy przypominał sobie, jak zginął Tommy Mitchell, skorumpowany gliniarz.

Krzyki na dole ucichły. Grubas odszedł od ruletki i ruszył do narożnika, w którym stały stoliki do blackjacka. Vincent usiadł przy biurku i rzucił okiem na rachunki. Wszystko robił sam. Nie chciał żadnych księgowych. Żadnych pośredników. Nie chciał nikogo między sobą a Don Domenikiem. Gdyby zatrudnił księgowego, który z pewnością byłby w stanie robić różne rzeczy szybciej, straciłby część kontroli. Nikt przy zdrowych zmysłach nie próbowałby go co prawda oszukać, ale możliwość istniała. I co powiedziałby na to Don Domenico?

Od strony schodów dały się słyszeć kroki. Drzwi się otworzyły i ukazała się czworokątna twarz Calogera Locatellogo.

– Gotowy? – spytał podniecony.

– Na co? – Vincent zaczął sprzątać papiery z biurka.

– Jedzenie, whisky i kobiety.

– Obiecałem Sofii, że wrócę do domu wcześniej.

– Ja też obiecałem żonie, że wrócę wcześniej. Ale przecież nie musimy być grzecznymi mężami cały czas.

– To prawda. – Vincent się uśmiechnął. – Ale w domu jest jeszcze

kilka rzeczy do zrobienia.

– Daj spokój. To wszystko może poczekać do jutra. Cathy pytała o ciebie. Zastanawia się, dlaczego nigdy nie dzwonisz.

– Wie, że mam żonę.

– Wie też, że bez przerwy ją zdradzasz. – Głośny śmiech wypełnił pokój. – Gotowy?

– Naprawdę czeka na mnie robota. Meble nadal są nie rozstawione – powiedział, ale w jego głosie dało się wyczuć pewne wahanie.

– Zadzwoń i powiedz, że wrócisz późno, ale podeślesz jej kogoś, kto jej pomoże z firankami i takimi tam drobiazgami.

Vincent się roześmiał.

– Na pewno by się ucieszyła.

– Cathy wyglądała dzisiaj szczególnie ponętnie...

– Widziałeś się z nią?

Calogero skinął głową.

– Jest w formie. Chodź, nie daj się prosić.

– Poradzisz sobie sam.

– Jasne, z jedną, ale nie z dwiema babeczkami – powiedział Calogero, mrugając do niego porozumiewawczo. – Isabella też będzie. Najpierw pojedziemy coś zjeść do Provenzano, a potem wynajmiemy pokoje. No, chodź, pantoflarzu.

Vincent zastanawiał się chwilę, w końcu sięgnął po słuchawkę i zadzwonił do swojej ukochanej Sofii, żeby ją poinformować, że jednak wróci późno.

Z okien znajdującej się w zachodniej części Manhattanu włoskiej restauracji Provenzano rozciągał się widok na rzekę Hudson i New Jersey. Jej historia była ściśle związana z historią rodziny Locatellich. Zarówno Don Domenico, jak i Calogero urządzali tam wesela, a w sąsiednim barze młody Calogero – miał wtedy zaledwie szesnaście lat – po raz pierwszy zabił człowieka.

Prostokątna sala była wypełniona dużymi okrągłymi stolikami na cztery, osiem, a nawet dwanaście osób, nakrytymi białymi obrusami.

Krzeseła miały wysokie oparcia, a sufit podpieraly białe rzymskie kolumny. Na ciemnych ścianach wisały obrazy, dzieła mniej lub bardziej znanych artystów. Kelnerzy mieli na sobie czarne spodnie, białe koszule i białe marynarki.

Restaurację odwiedzali goście z raczej zasobnymi portfelami, a bar – kobiety polujące na takich właśnie mężczyzn.

Cathy siedziała w barze. Razem z przyjaciółką, Isabellą, niecierpliwie wypatrywały mężczyzn. Romans Isabelli i Calogera trwał już drugi rok. To dzięki niej Vincent poznał Cathy. Wysoka piękność z długimi, ciemnymi, kręconymi włosami, które tak pięknie kontrastowały z jej mlecznobiałą cerą. Oczy przypominały dwa błyszczące szafiry. Kiedy na niego patrzyła, mrużyła je, jakby go pożerała wzrokiem.

– Jak myślisz, co się stanie dzisiaj wieczorem? – spytała, mieszając niecierpliwie drinka.

– Dlaczego sądzisz, że ten wieczór będzie inny niż poprzednie?
– Lekko drwiący ton miał znaczyć: nie wyobrażaj sobie za wiele.

Dla Isabelli romans zamienił się w codzienność. Spotykała się z Calogerem kilka razy w tygodniu, szli coś zjeść, a potem kończyli wieczór w jej łóżku albo w jakimś hotelu. Dobrze wiedziała, jaka jest różnica między żoną, narzeczoną a kochanką. Wiedziała też, że może być tylko tą ostatnią. Nie była zakochana. Takie rzeczy miała już za sobą. Ale lubiła przebywać w jego towarzystwie. Obsypywał ją drogimi prezentami, no i był kimś.

Cathy natomiast była na tym etapie, na którym Isabella była półtora roku wcześniej: była zakochana. I przekonana, że Vincent rzuci dla niej żonę. Sofia miała kłopoty z zajściem w ciążę, co odbijało się na ich małżeństwie. Po co Vincentowi Giordano żona, która nie może mu dać dziecka? Nie żeby kiedykolwiek powiedział to głośno, ale ona to wyczuwała. Opowiedział jej o swoich kłopotach już pierwszego wieczoru. Był przygnębiony, a dojrzała osiemnastolatka sprawiła, że się przed nią otworzył. Zdobyła jego zaufanie. To musiało coś znaczyć. Nie chciała być tylko kochanką. Giordano był mężczyzną, z którym pragnęła założyć rodzinę.

Miewała już starszych kochanków, nawet w Londynie, ale żaden nie mógł się równać z przystojnym Włochem z Brooklynu. Kiedy wchodził, od razu przyciągał uwagę wszystkich. I ten sposób, w jaki traktował ludzi! Na samą myśl zrobiło jej się gorąco. Jeśli restauracja, którą wybrali, była pełna, kelner natychmiast dostawiał stolik. Jeśli była kolejka do wejścia, ochroniarze zawsze torowali im drogę. Tak wyglądało życie u jego boku.

Był czuły, silny, bardziej władczy niż jakikolwiek inny mężczyzna, którego znała, no i był bogaty.

Kochała go.

– Przestań. – Cathy się uśmiechnęła. – Vincent jest inny niż Calogero.

Isabella położyła dłoń na dłoni przyjaciółki. Spojrzała jej poważnie w oczy.

– Nie. Nie jest inny. Nie wierz w to. Mówiąc brutalnie: jesteśmy dla nich dziwkami.

Cathy cofnęła rękę i pokręciła głową.

– Jak możesz tak mówić? Pomyśl o tych wszystkich prezentach, które nam dają. Podróże, ubrania. O ile wiem, to nawet pracę zawdzięczasz Calogero.

– Nadal tego nie rozumiesz? Cathy... – Isabella objęła przyjaciółkę i wyszeptowała jej do ucha: – Cieszymy się tym wszystkim, póki możemy.

Od drzwi dobiegł dobrze im znany głos:

– Gotowe? Vincenzo już składa zamówienie.

Vincent przeglądał kartę. Na widok dziewcząt uniósł głowę, uśmiechnął się i wrócił do czytania karty dań. Dokładnie wczytywał się w opis każdego dania, chociaż znał je na pamięć. Zawsze miał problem z podjęciem decyzji i zawsze w końcu zamawiał to samo: kurczaka marsala. Proste danie z trzech składników: kurczaka, sosu i wina marsala. Spytał, czy pozostali też już wybrali, i dał znak kelnerowi.

Ze swojego miejsca przy stoliku wyglądał przez duże okno na końcu sali. Samochody pędziły ulicą. Śnieg nadal padał i nie wyglądało na to, żeby miał szybko przestać. Podniósł wzrok i zerknął na New

Jersey po drugiej stronie rzeki Hudson.

- Kusi cię? – spytał po chwili Calogero.
- Co? – Vincent odwrócił się do okna.
- Jersey – odpowiedział Calogero i rozprostował plecy.
- Nie, nie kusi mnie.

Napięcie między dwiema rywalizującymi rodzinami, Locatellich i Balduccich z New Jersey, ciągle rośnie. New Jersey stawało się coraz częściej wybieranym miejscem zamieszkania. Napływali nowi osadnicy, budowano nowe domy, mieszkania. Dawniej Don Domenico po prostu rozdzieliłby obowiązki między dwie rodziny, ale Balducci chcieli zatrzymać wszystko dla siebie.

Calogero się roześmiał.

– Miejmy nadzieję, że wkrótce wszystko się uspokoi. Bezcelnie mieszają się w interesy ojca. A przecież dał im wolną rękę, jeśli chodzi o narkotyki, w zamian za udział w inwestycjach. Niewdzięczne bydlaki, ot co. Gdyby to ode mnie zależało... – Pociągnął nosem. – Balducci są jak szczeniaki. Cały czas sprawdzają, gdzie jest granica, i nie odpuszczają, aż nie dostaną w dupę. Tak, żeby zabolą. To jest problem ojca. Widziałeś, jak się zachowuje szczeniak, którego ojciec podarował matce? Sika w domu, rozrabia, boi się własnego cienia. Nigdy się nie nauczył, gdzie jest granica, a teraz jest już za późno. Będzie terroryzował rodziców, aż zdechnie. Wiem, że ojciec chce po raz drugi porozmawiać z Balduccim. Porozmawiać... – Rozłożył ręce, żeby pokazać, co o tym myśli. – Dialog, dialog, dialog. Już tego próbował. I nic. Z nimi trzeba ostro. No i odpowiednio wcześniej, bo potem już nic się nie robi.

Vincent pokiwał głową. Calogero był znany z zapalczywości, ale akurat w tym przypadku miał rację. Był całkowitym przeciwieństwem ojca, który zawsze próbował rozwiązywać problemy pokojowo. Rozsądnie. I słusznie, ale czasem należało jednak sięgnąć po inne środki.

- Jak myślisz, co się stanie?
- Nic. Musimy czekać, aż miarka się przebierze. I zobaczymy.

A teraz bawmy się. – Uśmiechnął się i położył rękę na udzie Isabelli.
– Co ty na to, maleńka?

Isabella pocałowała go w policzek.

Do restauracji ciągle napływali nowi goście, a oni jedli, śmiali się i głośno rozmawiali. Większość gości wiedziała, kim są, i była dumna, że może przebywać w tak doborowym towarzystwie. W towarzystwie ludzi wyjętych spod prawa. Takich, o których czyta się w gazetach.

Przy sąsiednim stoliku usiadła dobrze ubrana czteroosobowa rodzina.

– Jak ci idzie na studiach? – spytał Vincent, nie przestając jeść.

– Dobrze. W styczniu jedziemy do Rzymu – odpowiedziała Cathy, próbując złapać jego spojrzenie.

– Nieźle. Nigdy nie byłem we Włoszech – odpowiedział Vincent, nie podnosząc wzroku znad talerza.

– Nie? To możesz się wybrać, kiedy tam będę – odpowiedziała, wyraźnie podniecona.

– Po co?

– Vincenzo! – zarechotał Calogero. – Nie masz w sobie nic z romantyka.

– To prawda. I nadal nie rozumiem, po co miałbym jechać do Włoch.

Cathy pogładziła go po policzku.

– Nie byłoby przyjemnie? Odwiedziłbyś swój stary kraj.

– Stary kraj... – Vincent się roześmiał. – Mówisz jak Włoszka. Nie mogę zostawić Sofii. Przecież wiesz. Jak długo cię nie będzie?

Nagle jego uwagę przykuło jakieś zamieszanie przy drzwiach. Dwaj ubrani na czarno mężczyźni szli w ich stronę.

– Calo! – krzyknął, próbując ostrzec przyjaciela. Wiedział, że to na nic. Było już za późno. Zaraz go trafią, więc to, co robi, nie ma żadnego znaczenia. – Calo! – zawołał jeszcze raz. – Są tutaj!

Szarpnął Cathy, pociągnął ją na podłogę i położył się na niej. Nagle w lokalu zapanowała cisza. Nie padło nawet jedno słowo. Pozostali goście patrzyli na nich z otwartymi ustami. Widzieli, jak próbuje

ochronić młodą kobietę. W tym momencie Calogero zorientował się, co się dzieje. Zamarł. Jego widelec uderzył o talerz i spadł na podłogę. Mężczyźni podeszli bliżej, z wycelowaną w nich bronią. Rozległy się strzały. Kobiety zaczęły przeraźliwie krzyczeć, odgłos strzałów odbijał się echem od ścian.

Wtorek, 16 czerwca
Fredrikstad

– POLICJA KRYMINALNA? Norweska? – powtórzył agent Wilson.
– Vincent Giordano jest w Norwegii?

– Tak, jestem pewien, że to on. Znalazłem jego paszport w pokoju w hotelu. Vincent DeLuca, ale zakładam, że to...

– Pseudonim – wszedł mu w słowo Wilson. – Widziałem, że jakiś Vincent DeLuca leciał z Newark. Więc żyje. Coś takiego. Nawet Calogero Locatelli nie ma pojęcia, co się z nim stało. Wie pan coś o Locatellich?

– Tak – odpowiedział Anton. – Ale tylko tyle, ile mogłem wyczytać w Internecie. Poza tym Giordano co prawda rzeczywiście żyje, ale jest w śpiączce. Ktoś próbował go zabić.

– Co? – Wilson był tak zdziwiony, że aż wstał z krzesła. – Kto? No i przede wszystkim: dlaczego?

Anton opowiedział mu o zabójstwie Wilhelma Martiniussena i o kawałku zdjęcia, które znalazł w klozecie. Podkreślił też, że dopóki Giordano jest w śpiączce, śledztwo nie posunie się dalej. Wilson się roześmiał i dodał, że to nie ma większego znaczenia, bo Giordano i tak nic nie powie.

– Nawet kto usiłował go zabić?

– Byłbym bardzo zdziwiony. Nie tylko ja, całe biuro. Mam nadzieję, że dojdzie pan do tego, kto pociąga za sznurki, zanim Giordano wybudzi się ze śpiączki. O ile w ogóle to się stanie. W przeciwnym razie obawiam się, że może dojść do kolejnych zabójstw. Mogę panu w czymś pomóc? – Wyciągnął szufladę i wyjął z niej notes.

– Chciałbym dostać dane jego rodziny, żeby szpital mógł się z nimi skontaktować.

– Oczywiście. Ma córkę, urodziła się na początku lat

siedemdziesiątych. Coś jeszcze?

– Mógłby pan porozmawiać z Calogero Locatellim i spróbować się dowiedzieć, dlaczego Giordano znalazł się w Norwegii?

Wilson odezwał się dopiero po dłuższej chwili.

– Gdyby to było takie proste. Oganiają się ode mnie jak od zarazy. Nie ma szans, żeby Calogero zgodził się ze mną rozmawiać.

– Nawet jeśli sprawa dotyczy jednego z jego ludzi?

– Szczególnie w takim przypadku. Vincent Giordano jest w rodzinie numerem dwa. On i Calogero są jak bracia, ale to niestety nic nie pomoże. Prawdę mówiąc, pan ma większe szanse, żeby z nim porozmawiać, niż ja. Jeśli uważa pan, że to pomoże w dochodzeniu.

– Ma pan jakiś numer telefonu, pod którym mógłbym go zastać?

Wilson się roześmiał.

– Nie. Chyba musi pan się pofatygować tu, do nas, na drugą stronę. Anton milczał.

– Boi się pan latać?

– Nie, tylko zastanawiam się, jaką mam gwarancję, że zechce ze mną rozmawiać.

– Niczego nie jestem w stanie panu zagwarantować. Ale wiem, gdzie jest. Jeśli przedstawi mu pan sprawę, to kto wie. Na pewno jednak ma pan większe szanse niż ja. Może się okazać, że Calogero Locatelli jednak ma serce i chciałby się dowiedzieć, co się przytrafiło jego przyjacielowi.

Anton pożegnał się i spojrzał na Haugena.

– Wiemy coś więcej? – spytał Haugen.

– Może się dowiemy. Ale musimy lecieć do Nowego Jorku. Jeśli gdzieś jest jakieś wytłumaczenie tego wszystkiego, to właśnie tam.

Anton wstał i ruszył do drzwi.

– Do Nowego Jorku? Dzisiaj? – Haugen był zdziwiony.

– *Yes, baby. Neeew Yooork, Neeeeew Yoooork!* – fąszował Anton.

– Nie wiem, czy sześć-, a może nawet siedmiogodzinna podróż jest w moim stanie wskazana...

– Przestań. Nowy Jork na rachunek państwa. Jak często trafia się taka okazja?

- Lekarz powiedział, że...
- Skoro nie dał ci zwolnienia, to chyba nie jest tak źle. Poza tym nie zostaniemy tam długo. Góra kilka dni.
Haugen spojrzął na niego. Poddął się.
- No dobrze. Boję się tylko lotu. Rozumiem, że nie polecimy klasą biznes.
- Marudzisz. Kup sobie dmuchane koło. Będzie ci wygodniej
- rzucił Anton. Roześmiał się i wyszedł.

Piątek, 13 grudnia – sobota, 14 grudnia 1968
New York City

PISTOLETY PLUŁY OGNIEM.

Ojciec rodziny siedzącej przy sąsiednim stoliku kazał dzieciom schować się pod stół. Niektórzy goście położyli ręce na głowach i wbili twarze w stoliki, bojąc się, że zostaną trafieni. Pociski fruwały w powietrzu.

Dlaczego Calogero nie odpowiada ogniem? – zastanawiał się Vincent. Wiedział, że jego przyjaciel zawsze ma przy sobie broń, rewolwer przypięty do kostki u nogi. Bał się, że został trafiony. Vincent leżał na brzuchu na plecach Cathy, chronił ją. Chciał się odwrócić, żeby sprawdzić, czy Calogero został trafiony, chociaż właściwie znał odpowiedź. Ostrzał trwał dalej.

Naliczył dwanaście strzałów.

Usłyszał trzaśnięcie drzwiami. W lokalu zapanowała przeraźliwa cisza. Mężczyźni wyszli równie szybko, jak się pojawili. Wstał. Nawet nie spojrzął na umierającą kobietę leżącą przed nim na podłodze. Podszedł do zakrwawionego przyjaciela. Podniósł nogawkę, sięgnął po rewolwer i wybiegł na ulicę. Rozejrzał się uważnie, sprawdził parking, omiół wzrokiem ruchliwą ulicę. Nikogo nie zauważył. Na zewnątrz prawie nie było ludzi. Na chodniku na świeżym śniegu zobaczył cztery odciski butów. Ślad urywał się przy świeżych śladach opon.

Schował rewolwer do kieszeni i wrócił do restauracji. Pierwszą osobą, którą zobaczył, był ojciec rodziny przy sąsiednim stoliku. Leżał, szlochając, obok ciała żony. Dzieci siedziały nieruchomo i patrzyły na matkę. Zobaczył biegnącą w jego stronę Cathy. Isabella nie żyje! Zastrzelili Isabellę! – krzyczała. Odepchnął ją i ukląkł obok Calogera. Leżał z brodą opartą o klatkę piersiową. Miał roztrzaskane

kolano. Widać było kości.

Poczuł, że robi mu się niedobrze. Chociaż widywał przecież gorsze rzeczy. O wiele gorsze. Ale to było co innego. Spojrzał na twarz przyjaciela. Krew zdążyła już zabarwić koszulę. Rozpiął mu marynarkę. Na środku klatki piersiowej miał dużą ranę. Jęknął. Z dużym wysiłkiem otworzył oczy i spojrzał na niego.

– Dopadłeś ich? – wyszeptał.

– Nie – odpowiedział Vincent szybko. – Czekał na nich samochód. Isabella nie żyje.

Rozejrzał się po restauracji. Cathy siedziała obok martwej przyjaciółki i cała się trzęsła. Gładziła ją po zakrwawionej twarzy. Kelner, który zdążył przyjąć od nich zamówienie, stał i chwiał się na nogach. Był w szoku.

– Z czego strzelali? Boli jak cholera.

– Nie wiem.

– Umrę. Umrę w tej cholernej knajpie.

– Nie. Wszystko będzie dobrze. Nic nie mów, oszczędzaj siły, wszystko będzie dobrze, przyjacielu. Zabiorę cię do szpitala. Okej?

– Ktoś musi zapłacić za to życiem, Vincenzo. Słyszysz? Niezależnie od tego, co powie papa. Ktoś musi umrzeć.

Vincent nie odpowiedział. Zdjął marynarkę i przycisnął ją do klatki piersiowej przyjaciela. Obwiązał paskiem, żeby się lepiej trzymała. Ludzie zaczęli wychodzić. Vincent spojrzał na mężczyznę, który siedział i patrzył bezradnie, jak umiera jego żona, matka jego dzieci. Spojrzał na Vincenta, który nie został nawet draśnięty. Jego spojrzenie mówiło: To wasza wina. Vincent spuścił wzrok i odwrócił głowę. Tak, to była ich wina.

– Zadzwońmę po karetkę – powiedział cicho kelner.

Vincent wsunął ręce pod kolana i ramiona Calogera i spróbował go podnieść.

Spojrzał na kelnera.

– Masz samochód? – spytał.

– Tak...

– Zawieź nas do szpitala. On umrze, jeśli będziemy czekać na

karetkę. – Odwrócił się do Cathy: – Zaczekaj tu na mnie – rzucił krótko.

– A co z Isabellą?

Spojrzał na nią.

– Nie żyje – powiedział, ruszając do wyjścia. – Ty żyjesz. Zaczekaj tu.

– Zaraz przyjedzie policja.

– I co z tego? Nie zrobiliśmy nic złego. Opowiedz im, co się stało.

Cathy skinęła głową.

Vincent ułożył Calogera na tylnym siedzeniu samochodu kelnera i próbował nie dopuścić, żeby zasnął w drodze do najbliższego szpitala, oddalonego o siedem przecznic.

Wtorek, 16 czerwca
New York City

ANTON BREKKE siedział na kanapie z ręką na ramionach syna.

W telewizji leciał stary klasyk. *Człowiek z blizną*. Jeden z jego ulubionych w młodości. Spojrzał na syna. Był całkowicie pochłonięty filmem. Zabójcy Sosy – wroga Tony’ego Montany – właśnie włamywali się do jego domu. Anton spojrzął na zegarek i zmarszczył brwi. Nie było jeszcze ósmej. Trochę za wcześnie na tak drastyczne sceny.

– Teraz będzie coś straszego – powiedział i zasłonił synkowi twarz poduszką.

– Nie, wyluzuj. – Chłopiec rzucił poduszką w kąt kanapy. – Nic mi nie będzie.

Wyluzuj. Kto go nauczył tak mówić? Chwycił pilota, żeby zmienić kanał, i wtedy zadzwonił telefon. Wstał, przeszedł po kamiennej podłodze i niemal zderzył się w kuchni ze swoją byłą partnerką. Patrzył na nią. Czyżby schudła? Może była na jakiejś nowej diecie? Nie żeby tego potrzebowała. Chociaż może? Po rozwodzie przytyła, co go ucieszyło. Bo świadczyło o tym, że przeżywa ich rozstanie bardziej, niż daje po sobie poznać.

Objęła go i pocałowała.

– Jak się cieszę, że znów tu jesteś – powiedziała i uśmiechnęła się do niego.

– Ja się cieszę jeszcze bardziej – powiedział i pogłodził ją po policzku. – Odbierzesz? To na pewno ktoś do ciebie.

Patrzył, jak podchodzi do aparatu i podnosi słuchawkę. Uśmiechnęła się, po chwili spoważniała, a potem znów się uśmiechnęła. Tym razem jeszcze szerzej. Podała mu słuchawkę.

– Anton Brekke? – spytał jakiś głos.

– Tak. Z kim rozmawiam?

– Mówi Kurt Tobiassen z loterii Norsk Tipping. Proponuję, żeby pan usiadł.

Anton poczuł, że ktoś go szarpie za ramię. I coś do niego mówi. Gdzieś z daleka dotarł do niego głos Haugena:

– Anton, podchodzimy do lądowania.

Otworzył oczy, przetarł twarz dłońmi. Wypił łyk letniej wody z butelki i mrużąc oczy, spojrzął na Haugena.

– W ogóle nie spałeś?

– Nawet minuty. Spójrz, co za widok – powiedział Haugen, pochylając się do przodu.

Anton wyjrzał przez małe okienko i zobaczył drapacze chmur na Manhattanie. Samolot leciał tak nisko, że można było odnieść wrażenie, iż są na poziomie czubka wysokiego na trzysta osiemdziesiąt jeden metrów Empire State Building. Anton, jak wszyscy, widział niezliczone zdjęcia Nowego Jorku z lotu ptaka. Ciągające się w nieskończoność kwartały domów, proste ulice.

– Nie sądzisz, że lecimy trochę za nisko? – zaniepokoił się Haugen.

– Podejrzewam, że pilot latał tu już wcześniej – odpowiedział Anton z sarkazmem. – Patrz! – wskazał na duży pusty czworokąt między wieżowcami. – Ground Zero.

Samolot lekkim łukiem skierował się na pas numer dwadzieścia dziewięć na międzynarodowym lotnisku Newark. Ciężka maszyna dotknęła ziemi. Hamulce na skrzydłach włączyły się z hukiem. Samolot zaczął hamować, przed końcem pasa skręcił i podjechał pod rękaw. Z głośników doszedł przyjemny kobiecy głos:

– Kapitan Didrik Dahl i jego załoga dziękują państwu za wybranie linii Continental Airlines. Jest godzina dziewiętnasta czasu lokalnego, temperatura powietrza wynosi dwadzieścia pięć stopni w cieniu.

Ciągnąc za sobą walizki, ruszyli do pierwszej wolnej taksówki.

– Na Manhattan – powiedział Anton po angielsku. – Do siedziby federalnych.

Taksówka opuściła teren lotniska i wyjechała na autostradę. Po chwili wjechała do prowadzącego pod rzeką Hudson dwuipółkilometrowego tunelu, Holland Tunnel, łączącego Jersey City z Manhattanem. Następnie skręcili na południe. Mimo że zapadł już wieczór, ulice były pełne samochodów i ludzi. Wszyscy wydawali się gdzieś spieszyć.

Kierowca sprawnie manewrował między pojazdami, od czasu do czasu używał klaksonu, przestrzegając niefrasobliwych przechodniów. Na West Broadway skręcili w lewo. Kiedy znaleźli się na Worth Street, kierowca przyspieszył, a po chwili wprawnym ruchem zaparkował między dwoma innymi samochodami pod tablicą z napisem: Jacob K. Javits Federal Building – 26 Federal Plaza.

Duży plac przed budynkiem wypełniały długie, zielone, powyginane kształty. Sztuka współczesna, pomyślał Anton. Potężnie zbudowany mężczyzna w czarnych spodniach i białej koszuli opinającej jego wydatny brzuch podszedł do nich i wyciągnął rękę.

– Witamy w Nowym Jorku. Agent specjalny Percivall Wilson.

Przywitali się i podążyli za nim do czterdziestodwupiętrowego budynku. Gdzieś w połowie holu zatrzymali się przy windach.

– Jak minęła podróż? – spytał Wilson, wciskając guzik z napisem: XIX piętro.

– Dobrze – powiedział Anton. – Do chwili wylądowania na lotnisku – dodał.

– Urzędnicy imigracyjni? – Wilson się uśmiechnął.

Anton skinął głową.

– Chyba nie spodobała im się moja twarz. Zabrali mnie do pokoju i zaczęli coś sprawdzać w jakichś papierach. Zajęło im to dwie i pół godziny. Tłumaczyłem, że jestem policjantem i że przyleciałem w związku z dochodzeniem, ale to nie pomogło.

– Wiem, nic nie pomaga. Takie są zasady, ale to niestety konieczne.

– Po jedenastym września – dorzucił Haugen.

– Tak.

Drzwi się otworzyły. Wilson wyszedł pierwszy i ruszył przodem.

Minęli tabliczkę z napisem „Przestępczość zorganizowana” i stanęli przed szerokimi szklanymi drzwiami. Było już dobrze po dwudziestej drugiej. Większość boksów była pusta, ale przy ośmiu biurkach nadal siedzieli ludzie. Wilson poinformował ich, że to członkowie grupy specjalnej rozpracowującej gang kokainowy mający powiązania z mafią. Anton i Haugen rozejrzeli się. Na każdym biurku stały rodzinne zdjęcia.

– Przepraszam – powiedział Haugen. – Już dawno skończył pan pracę. Na pewno ma pan rodzinę, która czeka na pana w domu. Wrócimy do sprawy jutro.

Wilson otworzył drzwi swojego gabinetu.

– Nie, praca to całe moje życie. Moja rodzina to Locatelli. – Uśmiechnął się krzywo i ciągnął dalej: – Zarezerwowałem wam hotel. Holiday Inn w Soho. – Podciągnął żaluzje i wskazał na biały budynek kilka przecznic dalej. – To niedaleko stąd. Zarezerwowałem pojedynczy pokój z dwoma łózkami. Rozumiem, że należy oszczędzać pieniądze podatników.

Anton rozejrzał się po gabinecie. Na ścianach wisiały dyplomy i wyróżnienia. Na wieszaku przy drzwiach zobaczył granatową wiatrówkę z żółtym nadrukiem FBI. Przeszedł przez pokój i stanął pod oknem. Gabinet Wilsona znajdował się na tyle wysoko, że można było cieszyć oczy widokiem nocnego Manhattanu. Widać było nawet podświetlone na niebiesko najwyższe piętra Empire State Building. Widziany z powietrza wydawał się bardzo duży, oglądany stamtąd miał w sobie coś niemal królewskiego. Dumny symbol Nowego Jorku. Teraz rozumiał dlaczego.

– Nigdy mi się nie znudzi – powiedział Wilson, siadając na krześle. – Ten widok.

Anton spojrzał na niego z zazdrością i usiadł na krześle obok Haugena.

Wilson spojrzał na leżące na biurku papiery.

– A więc macie martwego biznesmena. Podejrzewacie, że został zamordowany, ponieważ postanowił wycofać swoją firmę z ważnego projektu. – Nie czekając na ich reakcję, mówił dalej: – Dzień po

zabójstwie Vincent Giordano trafia do szpitala, z poważnymi urazami. Najwyraźniej ktoś usiłował pozbawić go życia.

Spojrzał na nich. Pokiwali głowami.

– Macie dwóch podejrzanych, kolegów ofiary. Jeden został przyłapany na kłamstwie. Poza tym rzucił się na policjanta. Drugi okazał się jedynym dziedzicem ogromnej fortuny. Początkowo wyglądało na to, że nic o tym nie wiedział, a potem okazało się, że jednak wiedział. Zgadza się?

– Tak, właśnie tak to wygląda. Frode Moen, ten, którego złapaliśmy na kłamstwie, powiedział nam, że Bjørn Danielsen wygadał się podczas bożonarodzeniowego przyjęcia, że wie o zapisie w testamencie.

– Rozmawiałem z naszymi ludźmi, ale nikt z nich nie słyszał ani o Moenie, ani o Danielsenie. Co oczywiście nie musi znaczyć, że nie są w jakiś sposób powiązani z Vincentem Giordano. Trudno mi tylko zrozumieć, jaki Giordano mógłby mieć motyw. Dlaczego miałby zabić zwykłego biznesmena. Coś tu nie pasuje.

– Zastanawiamy się, czy ktoś go nie wynajął – powiedział Anton. – Niestety właściwie nie mamy śladów, miejsce zbrodni zostało wyczyszczone. Wiemy jedynie, w jaki sposób został uduszony...

– Struną od pianina – wszedł mu w słowo Wilson. – Pamiętam, że wspominaliście o tym.

– Dlatego początkowo myśleliśmy, że zbrodnia miała podłoże prywatne. Ale potem pojawił się Giordano i doszliśmy do wniosku, że to mogło być zabójstwo na zlecenie.

– Giordano nie zabija dla pieniędzy. A w każdym razie, o ile mi wiadomo, nigdy dotąd tego nie robił.

– Ale zabijał ludzi? – spytał Haugen.

– Tak, wielokrotnie. Wielokrotnie też zlecał zabójstwo. – Wilson spojrzał na Haugena. Wydawał się zdziwiony. – Taka jest rzeczywistość. Co możemy na to poradzić? Spreparować dowody? Nikt nie chce z nami rozmawiać. Ci, którzy mimo wszystko się decydują, płacą za to życiem albo zostają objęci programem ochrony świadków, co podobno wychodzi na to samo.

– Nigdy nie został za nic skazany? – spytał Haugen.

– Owszem. W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym siódmym został skazany na trzydzieści lat więzienia. Za zabójstwo Menica Bagarello. Które miało miejsce pewnej grudniowej nocy w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym ósmym. Tak krwawej, że dotąd się o niej mówi. Odsiedział cztery!

– Cztery z trzydziestu? – Haugen pokręcił głową. – Jak to możliwe?

– Jeden z sąsiadów widział wszystko, a syn ofiary słyszał, jak jego ojciec błaga o życie, nadaremnie.

– Jak go zabił? – spytał Anton.

– Jednym strzałem. – Wilson wycelował palcem między oczy. – Sporo czasu minęło, zanim syn w ogóle zaczął mówić. Miał wtedy dziesięć lat. Gdyby jego ojciec żył trochę dłużej, pewnie w ogóle nie otworzyłby ust. Próbowaliby się zemścić, gdy tylko nauczyłby się używać broni. Ale w dniu zabójstwa był małym chłopcem, dzieckiem. Jego matka zmarła przy porodzie, miał tylko ojca. I chciał, żeby jego zabójca trafił za kratki. Kiedy się rozeszło, że syn był świadkiem zbrodni, ujawnił się sąsiad. Jego zeznania były bardzo konkretne, ale nie wystarczyły, żeby skazać Giordano. Sprawa trafiła do nas. Sąsiad stawiał się na rozprawę, syn został z tego zwolniony. Jego zeznanie, nagrane na taśmę, zostało odsłuchane w sądzie. Łamiący się głos dziecka poruszył wszystkich obecnych na sali. Podobno nawet sam Giordano miał łzy w oczach. – Wilson wstał z krzesła i podszedł do drzwi. – Zapomniałem zaproponować coś do picia. Może kawy?

– Chętnie – odpowiedzieli chórem.

Wilson wyszedł. Po chwili wrócił z trzema filiżankami i dzbankiem gorącej kawy. Postawił wszystko na biurku i nalał kawy gościom i sobie, po czym wrócił za biurko. Wypił trzy łyki i spojrzał na komórkę. Odsunął nieco krzesło, usiadł wygodniej i wrócił do opowieści.

– Sędzia nie miał wątpliwości. Nie przestraszył się i bez mrugnięcia okiem skazał Giordano na trzydzieści lat. To była wielka wygrana. Wtedy Giordano nie był jeszcze numerem dwa w rodzinie, ale wiedzieliśmy, że jest blisko związany z głową rodziny i jego synem.

Jego ojciec był jednym z założycieli Murder Inc. I przyjacielem Don Domenica.

– Luciano Giordano – podchwycił Anton. – Jeden z najokrutniejszych przestępców. O ile dobrze pamiętam, skończył też w dość okrutny sposób.

Wilson skinął głową. Widać było, że Anton zaimponował mu swoją wiedzą.

– Luciano Giordano nie dożył sędziwego wieku. Został zastrzelony, kiedy Vincent był nastolatkiem. Podobno dlatego stał się tym, kim jest dzisiaj. A jego pierwszą ofiarą był zabójca ojca. Tak mówią ludzie.

Wyjął z szuflady biurka grubą brązową teczkę z dokumentami i otworzył ją.

– Co było dalej? – zapytał zaciekawiony Haugen. – Po tym, jak Giordano został skazany.

– Trafił do więzienia. Nigdy nie przyznał się do winy. Po trzech, może czterech latach zjawił się na komisariacie jeden z kapitanów Don Domenica i przyznał się do zabójstwa, za które Giordano został skazany. Miał nawet pistolet, z którego oddano strzał, a którego policja nie potrafiła znaleźć. Był podobny do Giordano. Szeroki w barach, szczupły, miał czarne włosy. Przypominał go.

– Wziął winę na siebie? – zapytał Anton.

– Powiedział nawet o czym rozmawiali, zanim go zastrzelił.

– Ale Giordano nie był niewinny?

– Oczywiście, że nie, ale został uniewinniony. Szesnaście miesięcy później ten człowiek umarł w więzieniu. Okazało się, że już kiedy składał zeznania, był śmiertelnie chory.

– Czyli wziął na siebie winę, bo wiedział, że i tak umrze?

– Tak jest. Sprawa była oczywista, ale nic nie mogliśmy zrobić. Przyznał się do winy, miał nawet broń, z której strzelano. Adwokat Giordano zajął się wszystkim. Takie rzeczy się zdarzały i będą się zdarzać. Dawniej może trochę częściej niż obecnie.

– Został skazany w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym, a jego córka urodziła się na początku lat siedemdziesiątych. Jak to

możliwe? – zdziwił się Haugen.

– Oni nawet za kratkami mają przywileje. Żona odwiedzała go regularnie.

– Co się stało z chłopakiem i z drugim świadkiem? – zapytał Anton.

– Obaj zostali objęci świeżo ustanowionym programem ochrony świadków. Każdy został wysłany do innego miasta, dostali nową tożsamość. Świadek był dorosłym człowiekiem, cudzoziemcem. Został odesłany do swojego kraju. Natomiast syn ciągle tu wracał, co z oczywistych względów jest surowo zabronione. Po kilku razach agencja US Marshals zdecydowała o wycofaniu go z programu. Szybko trafił na margines i umarł z powodu przedawkowania w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym pierwszym. Zresztą gdzieś tu, niedaleko. Jeśli chodzi o świadka, to pewnie nadal żyje. Wszelkie informacje na jego temat są tajne. Nawet ja nie wiem, gdzie jest.

– Więc Giordano nigdy się na nim nie zemścił?

– Nie.

Anton się zamyślił. Przypomniawszy sobie, że Wilhelm Martiniussen był w Stanach pod koniec lat sześćdziesiątych.

– Można się jakoś dowiedzieć, z jakiego kraju pochodził ten człowiek?

Teraz Wilson się zamyślił. Na jego czole pojawiły się cztery głębokie zmarszczki.

– Może to zabrzmie dziwnie, ale Wilhelm Martiniussen był w Stanach na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych – powiedział Anton.

Wilson sprawiał wrażenie zaskoczonego.

– Świadek mógł być Norwegiem. Ale byłby to najdziwniejszy przypadek w mojej karierze. Skontaktuję się z US Marshals. Szansa, że zechcą nam pomóc, jest niewielka, ale może przynajmniej potwierdzą, czy był narodowości norweskiej, czy nie. – Wyjął z teczki kilka fotografii i położył je na biurku przed Antonem i Haugenem. – To kilka zdjęć Giordano. I czarno-białe zdjęcie z zatrzymania w latach siedemdziesiątych.

– Boże drogi, człowiek z bliźną! – wykrzyknął Haugen.

Rana na twarzy Giordano ciągnęła się od lewego ucha przez szczękę do połowy brody, ale Wilson najwyraźniej nie zrozumiał żartu. Haugen się zaczerwienił i odłożył zdjęcie z powrotem na biurko. Przejrzeli pozostałe. Niektóre zostały zrobione dziesięć lat wcześniej. Wszystkie pochodziły z kamer monitoringu. Giordano nic o nich nie wiedział. Wiele z nich zrobiono przed domem Calogera Locatellogo. Trzy w kawiarni Bobby’ego Parvatiego. Dwa przed dawnym domem Giordano na Staten Island. Na obu była jego nieżyjąca już żona.

– Skąd ta blizna? – spytał Anton, wskazując na jedno ze zdjęć.

– Zastanawiam się nad tym od chwili, kiedy zacząłem tu pracować. Prawdę mówiąc, niewiele jest rzeczy, których o nim nie wiem, ale to pytanie nadal pozostaje bez odpowiedzi. Z papierów z sądu wynika, że podczas rozprawy w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym padło pytanie, ale Giordano odmówił udzielenia odpowiedzi.

Anton napełnił policzki powietrzem, a potem szybko je wypuścił.

– Dobrze strzeżona tajemnica.

– Na pewno.

Wilson odepchnął się nogami i krzesło potoczyło się powoli w stronę ściany i pancernych szafek na dokumenty. Wyciągnął dolną szufladę i wyjął z niej siedem teczek. Wszystkie grube. Położył je na brzegu biurka. Na wierzchu położył tę, która już wcześniej leżała na blacie. Pół metra dokumentów.

– To akta jego spraw? – Anton przechylił się na bok i zaczął przyglądać się stercie.

– Nie, akta zajęłyby znacznie mniej miejsca. To moje osobiste notatki na temat rodziny Locatellich. Możecie je przejrzeć. Może znajdziecie w nich coś interesującego. Zapisywałem prawie wszystko. Od plotek po rzeczy, których sam byłem świadkiem. Wiem, że wygląda to dość chaotycznie, ale jest w tym pewien porządek. W teczce numer pięć jest kilka mniejszych teczek, zawierających papiery dotyczące poszczególnych członków rodziny. Między innymi Giordano.

Anton i Haugen sięgnęli po teczki i przelecieli wzrokiem

dokumenty. Czytało się je jak thriller. Wilson rzeczywiście zapisywał wszystko.

Haugen próbował ukryć ziewnięcie. Zbliżała się już północ.

– Na tym chyba na dzisiaj skończymy – powiedział Wilson.

– Weźcie teczki ze sobą do hotelu. Tylko uważajcie na nie.

– Ma pan kopie? – spytał Haugen. – Nie żebyśmy planowali je zgubić, ale to przecież lata pracy.

– Mam kopie. Ale i tak na nie uważajcie. Jest tam wiele danych, które nie powinny trafić w niepowołane ręce. I jeszcze jedno: darujcie sobie jutro śniadanie w hotelu.

– Słucham? – Anton był niemal w szoku. Cieszył się na hotelowe śniadanie.

– Znam świetne miejsce. Bądźcie gotowi za kwadrans dziewiąta.

Sobota, 14 grudnia 1968

New York City

W DUŻEJ PROSTOKĄTNEJ POCZEKALNI nie było już miejsc siedzących. Na stojących pod ścianami kanapach siedzieli elegancko ubrani mężczyźni. Wszyscy przejęci powagą chwili. Na środku zebrała się grupa ludzi. Wszyscy chcieli coś powiedzieć. Przedstawić swoje pomysły na to, jak w najbardziej brutalny sposób zaszlachtować te bestie. Tyle że nikt nie odważył się nic powiedzieć. Jeszcze nie.

Vincent Giordano przyglądał się twarzy starszego mężczyzny, który siedział naprzeciwko niego. Ojca Calogera. Głowy rodziny. Najpotężniejszego człowieka podziemnego świata. Może wręcz kraju. Robił rzeczy, które wydawały się niemożliwe. Na swój sposób zrealizował amerykański sen. Zawsze próbował znaleźć rozwiązanie, które byłoby korzystne dla wszystkich. Nawet podczas negocjacji z rodziną Balduccich w New Jersey. Teraz ich celem stał się najbliższy mu człowiek: jego jedyny syn. Raz można było wystąpić przeciwko Don Domenicowi. Trzeba było wtedy odbyć poważną rozmowę z jednym z jego ludzi. Za drugim razem lądowało się w morzu w bloku cementu.

Don Domenico patrzył tępo w podłogę. Ręce położył na udach. Oczy miał matowe. Drżały mu policzki. Twarz była pogrążona w żałobie. Vincent czytał w jego myślach. Może powinien był się wycofać już dawno temu? Mógł to zrobić, kiedy jego dzieci, syn i córka, byli jeszcze mali. Mógł kupić ranczo w Montanie i żyć sobie spokojnie, bez ryzyka. Ale on nie należał do tych, co się poddają. Miał przekazać swoje imperium chciwym, chorym na żądzę władzy ludziom? Wszystko, co tworzył przez całe życie, ległoby w gruzach.

Sam wybrał takie życie. Podobnie jak jego syn.

Grupa stojąca chwilę wcześniej na środku poczekalni rozproszyła się. Przyszła żona Don Domenica i zapłakana rzuciła mu się na szyję. Vincent siedział pochylony i patrzył, jak Don Domenico gładzi ją po plecach i próbuje pocieszyć. W drzwiach stanął młody lekarz. Spojrzał na zwrócone w jego stronę twarze.

– Niech pan coś powie – warknął jeden z mężczyzn.

– Zoperowaliśmy go. Jego życiu nic nie zagraża, ale kolano już nigdy nie będzie całkowicie sprawne.

W poczekalni rozległo się westchnienie ulgi.

– Gdyby do nas trafił pięć minut później, nie przeżyłby. Dobrze, że nie czekał pan na karetkę – powiedział i uśmiechnął się do Vincenta.

– Niedługo będzie można go odwiedzić – dodał.

Don Domenico zamknął oczy i objął mocniej żonę. Niektórzy zaczęli rozmawiać. Vincent siedział i czekał na skinienie głowy, które by oznaczało: Zrób to!

Dłuższa wskazówka zegara przesuwiała się drobnymi skokami. Wszyscy, łącznie z żoną Don Domenica, czekali na to, o czym wiedzieli, że musi nastąpić.

– Chcę porozmawiać z Vincenzem. W cztery oczy – powiedział Don Domenico, wskazując na drzwi.

Jego żoną, wspierana przez przyjaciół, razem z innymi opuściła poczekalnię. Don Domenico wstał. Podszedł do Vincenta i usiadł obok niego. Położył mu na kolanie swoją żylastą rękę.

– Dziękuję, Vincenzo. Uratowałeś dzisiaj więcej niż jedno życie. Jestem twoim dłużnikiem.

– Nie jesteś mi nic winien. Cieszę się, że wszystko skończyło się dobrze.

– Widziałeś tych, którzy strzelali?

– Jednego.

– Balducci, tak?

Vincent skinął głową.

– Bydlaki. Twojej przyjaciółce nic się nie stało?

Kolejne skinienie.

– Dobrze. Rozumiem, że przyjaciółka Calogera nie miała tyle

szczęścia.

– Niestety. A do tego zginęła jeszcze jedna kobieta. Była na kolacji z mężem i dwojgiem dzieci. Jej mąż patrzył na mnie, jakbym to ja był zabójcą.

– Rozumiem go. Nie celowali w ciebie?

– Nie mam pojęcia. Widziałem tylko, jak wpadają z bronią gotową do strzału. Rzuciłem się na podłogę. Próbowałem ostrzec Calogera.

Don Domenico pokiwał głową.

– Przejmij sprawę. Zajmij się tym, który strzelał... I wszystkimi, których znajdziesz.

– Z przyjemnością. Jutro rano rodzina Balduccich będzie historią.

– Już dawno powinno się to stać.

Nocna cisza spowijała willę na Staten Island i całą okolicę. Na ulicy nie było nikogo: o tej porze normalni ludzie już spali. Vincent zamknął za sobą drzwi. Jedyne dźwięki, jakie było słychać, to cichy szum lodówki. Przeszedł ostrożnie przez korytarz i wszedł do salonu. Drzwi były otwarte. Odwrócił się i dotknął włącznika lampy, którą zamontował poprzedniego dnia. Kartony, które jeszcze kilka godzin wcześniej stały pod ścianami, zniknęły. Kanapy i fotele nie były już owinięte folią. W dużych oknach, sięgających od podłogi do sufitu, wisały firanki. Zamknął na moment oczy. Poczuł, że gryzie go sumienie. Sofia zrobiła wszystko sama. Nawet regał stał na swoim miejscu. Na półce leżały cztery oprawione w ramki zdjęcia. Ich dwojga. Przyniósł cztery cienkie gwoźdźki i wbił je delikatnie w ścianę. Największe powiesił nad kominkiem. Trzy pozostałe obok regału. Potem wyszedł na korytarz, wspiął się cicho po schodach i wszedł do sypialni. Było chłodno, tak, jak Sofia lubiła. Usiadł na brzegu łóżka i otulił ją szczerzej kołdrą. Pogładził ją czule po włosach. Przeszedł na drugą stronę i otworzył szufladę nocnego stolika. Włożył do niej rękę i wyjął niewielki czerwony klucz. Zamknął ostrożnie, położył klucz na nocnym stoliku Sofii i wyszedł. Jeśli będzie tam leżał, kiedy się obudzi, zrozumie. Powiedział jej

o tym, kiedy brali ślub. Czerwony kluczyk znaczył, że może już nie wrócić.

Poszedł do garażu i otworzył szafkę z narzędziami. Na samym dole stało metalowe pudełko z zamkiem szyfrowym. Wybrał kod, otworzył i wyjął zawartość: pistolet, colt M1911 A1 z tłumikiem, i dwa rewolwery typu Smith & Wesson, model 25, kalibru 45 ACP. Jego ulubiony. Duża, ciężka kula poruszała się powoli, ale była bezwzględna dla celu. Wziął też długi, ostry sztylet, fairbairn-sykes.

Wszyscy członkowie rodziny Balduccich wiedzieli, że Don Domenico będzie wściekły. Niewielu jednak spodziewało się, że stanie się to jeszcze tej nocy. Zakładali, że będzie musiał się zająć żoną i córką, pogrążonymi w żałobie po utracie Calogera. Nie byliby zaskoczeni, gdyby przed podjęciem ostatecznej decyzji zrezygnował ze spotkania z głowami innych rodzin w Nowym Jorku, ale na pewno musiał zwołać naradę z najbliższą rodziną: ze swoim zastępcą i doradcami, *consigliere*. Don Domenico był najinteligentniejszym ze wszystkich głów rodzin, nigdy nie podejmował nieprzemyślanych decyzji. Wszyscy to wiedzieli.

Dlatego Johnny i Pete Balducci byli całkowicie zaskoczeni, kiedy wyszli z ulubionego baru w Jersey i nagle spojrzeli w lufę rewolweru trzymanego przez Vincenta Giordano. Johnny zdążył jeszcze otworzyć usta i zacząć mówić, kiedy Giordano strzelił mu w twarz. Następnie wycelował w brata i znów pociągnął za spust. A potem wrócił do Johnny'ego, potem znów do jego brata, i tak na zmianę, aż opróżnił cały magazynek. Obdzielił ich po równo. Omiótł spojrzeniem pustą ulicę. Nikogo nie zauważył. Pomyślał, że zanim któryś z klientów baru odważy się wystawić głowę na zewnątrz, żeby sprawdzić, co się stało, on będzie już daleko.

Zaparkował na chodniku przy cmentarzu w Jersey City. Znalazł jakieś monety w kieszeni spodni i wszedł do budki telefonicznej. Widział z niej okna mieszkania Giovanniego Schiro, ważnego członka klanu Balduccich. Poszukał w kieszeni kartki z numerem jego telefonu.

– Tak? – rozległ się kobiecy głos. – Kto, do cholery, dzwoni o tej

porze?

Vincent zmienił głos, udawał zdyszanego i zestresowanego.

– Mówi Johnny. Niech Giovanni zejdzie za pięć minut. Ktoś po niego podjedzie.

– Coś się stało? – Teraz kobieta wyraźnie się zaniepokoiła.

– Powiedz mu, że Calogero Locatelli żyje. Za pięć minut.

Odczekał sześć minut, po czym wsiadł do samochodu i dodał gazu. Ruszył ulicą z dużą prędkością, skręcił, rozbryzgując śnieg i błoto. Widział czekającego na schodach Schiro. Żeby dać mu do zrozumienia, że się spieszą, zajeżdżając pod drzwi, zahamował z piskiem opon.

Schiro zbiegł ze schodów. Wiedział, że Johnny Balducci go potrzebuje. Może powinni odszukać Calogera w szpitalu? Czy to już wojna? Był świadom, że może do niej dojść. Don Domenico Locatelli nie zrozumie powagi sytuacji, jeśli jego syn i spadkobierca nie umrze. Dopiero wtedy zaczną ich traktować poważnie, nie jak szczeniaki. Kiedy zobaczył opuszczoną szybę od strony kierowcy, nagle zwolnił i się poślizgnął. Ale było już za późno. Z samochodu oddano cztery strzały. Schiro poczuł, że traci równowagę. Poleciał do tyłu i upadł w śnieg obok skrzynki pocztowej. Nie był w stanie zaczerpnąć powietrza. Z daleka słyszał krzyk zrozpaczonej żony.

Na terenie portu, kawałek na wschód od Newark International, siedział w samochodzie Alessio Balducci. Wnuk Francesca Balducciego – głowy rodziny z Jersey. Właśnie skończył dziewiętnaście lat i zamierzał pójść w ślady ojca i dziadka. Jego życie było wspaniałe. Był przystojny, kobiety rzucały mu pożądliwe spojrzenia. Miał pieniądze, więcej pieniędzy niż jego koledzy. Jedynym, z czego był niezadowolony, było to, że musiał przejść przez wszystkie stopnie w hierarchii. Przez ostatnie sześć tygodni siedział w porcie i pilnował, żeby robotnicy wykonywali polecenia jego dziadka. Co zresztą robili. Jeśli wysiadał z samochodu, to tylko po to, żeby iść do toalety. Najważniejsze było to, że tam był. Tego życzył

sobie dziadek. Szczeniak musi wiedzieć, że nic w życiu nie przychodzi za darmo. Musi zdobyć doświadczenie i nauczyć się cenić życie, którym został obdarowany.

Alessio Balducci wychylił się przez okno i wyrzucił papierosa. Wytarł zaparowaną szybę z lewej strony, opuścił oparcie fotela i usiadł wygodnie. Silnik pracował, żeby w kabinie nie było zimno. Wzdłuż nabrzeża stały kontenery. Po cztery, jeden na drugim. Gdzieś w oddali widział sylwetki pracujących robotników. Pracowali całym ciałem. Uśmiechnął się. Boże, jakie miał szczęście, że nie musiał tak harować. Na pewno lepiej było spędzić kilka godzin w ciepłym samochodzie. Poza tym za kilka tygodni dostanie pewnie nowe, ciekawsze zadanie. Ojciec mu to obiecał.

Czyjaś pięść zapukała w okno. Złota obręczka uderzyła o szybę, wydała ostry dźwięk. Alessio Balducci podniósł się w fotelu i opuścił szybę do połowy.

– Mister Balducci? – usłyszał przyjemny głos.

– Tak. Jakieś problemy?

– Tak...

Alessio sięgnął do klamki.

Vincent wbił mu sztylet w lewe oko. Przekręcił, odczekał dwie sekundy, wyciągnął i wbił jeszcze raz, tym razem w gładką chłopięcą szyję. Ciepła krew popłynęła po jego piersi i po dłoni Vincenta. Z rozciętego gardła unosiła się para. Chciał coś krzyknąć, ale był w stanie jedynie cicho jęczeć. Vincent wbił ostrze do końca, aż po rękojęść. Potem je wyjął i wytarł w kurtkę chłopaka, który przyłożył ręce do szyi i ze wszystkich sił próbował zatamować krwawienie. Usta miał na w pół otwarte, wargi mu drżały. Zdrowe oko patrzyło w panice. Młode, dziewiętnastoletnie ciało wykonało kilka rozpaczliwych ruchów. Po chwili ręce opadły mu bezwładnie na kolana.

Vincent otworzył drzwi do mieszkania Cathy.

Znajdowało się na Lexington Avenue we wschodniej części

Manhattanu i przypominało raczej pracownię niż mieszkanie. Wszędzie na podłodze stały rzeźby i obrazy. Część była skończona, większość ledwie zaczęta. Pod dwoma dużymi owalnymi oknami z widokiem na sąsiedni dom i Central Park stało łóżko. Pod ścianą po przeciwnej stronie stały prostokątny stolik, biała skórzana kanapa i dwa głębokie fotele.

Cathy położyła słuchawkę na ramieniu i spojrzała na niego przerażona. Prawą rękę miał pokrytą zastygłą krwią.

– Odłóż słuchawkę – powiedział zdecydowanym tonem. – Czekam na telefon.

– Co? Rozmawiam z ciotką.

Podszedł do niej.

– Odłóż słuchawkę. Teraz.

Cathy powiedziała coś cicho do słuchawki i odłożyła ją głośno, jakby chciała go sprowokować.

– Co się stało?

– Mam tu jakieś ubrania?

– Zaraz ci przyniosę. Ale co się stało? Jesteś ranny?

– Nie – rzucił krótko.

– Kto ma tu do ciebie dzwonić?

– Zadajesz za dużo pytań. Z kim rozmawiałaś?

– Z ciotką.

– O tej porze?

– W Anglii jest teraz rano. Musiałam z kimś porozmawiać.

– Powiedziałaś jej, co się stało?

Spojrzała na niego, zawahała się, w końcu jednak powiedziała:

– Tak.

– Dlaczego?

– Dlaczego? – krzyknęła zdziwiona. – Moja najlepsza przyjaciółka zginęła dzisiaj na moich oczach!

– Co powiedziałaś policji?

– To, co mi kazałeś – powiedziała i głos jej się załamał.

Podszedł do niej i objął ją.

– No, już dobrze, dobrze. Dzielnie się spisałaś. – Otarł jej łzy

i spojrzął głęboko w oczy. – Musisz spróbować o tym zapomnieć. Pomyśl o czymś innym. Jedź do Rzymu i baw się dobrze.

– Nie jestem nawet w stanie zasnąć. Zostaniesz ze mną? – spytała, szlochając.

Giordano przebrał się i opadł na fotel. Z daleka dochodził go głos Cathy, coś do niego mówiła, ale nie rozumiał co. Myślami był gdzie indziej. Zastanawiał się, czy był wystarczająco ostrożny. Kiedy załatwił braci Balduccich przed barem, w pobliżu nie było żywej duszy. Kiedy strzelał do Giovanniego Schiro, siedział w samochodzie. Nikt nie będzie w stanie go zidentyfikować. Co innego gdyby to był dzień, nie środek grudniowej nocy. Postąpił nierozsądnie, działając w pojedynkę. Ale tak chciał to zrobić. Teraz został mu już tylko człowiek, który do nich strzelał i którego rozpoznał. Potem wróci do domu, wejdzie po cichu na górę, zabierze kluczyk z nocnego stolika i położy się na łóżku obok Sofii.

– Co ty na to? – spytała Cathy i uśmiechnęła się, po raz pierwszy od wielu godzin.

– A o co chodzi?

– Pojadę na święta do domu.

– I co z tego?

– Mógłbyś przyjechać mnie odwiedzić.

Giordano westchnął.

– Najpierw chciałaś, żebym pojechał z tobą do Rzymu, a teraz to? Kochanie, musisz zrozumieć, że to niemożliwe.

– Ale bardzo bym tego chciała.

– Kiedy wyjeżdżasz?

– We wtorek, więc mamy kilka dni dla siebie. Do Włoch powinienam jechać w Nowy Rok.

– Jak to powinnaś?

– Nie wiem, czy będę miała siłę.

– Z powodu tego, co się dzisiaj stało?

– Tak. – Położyła się na brzuchu na kanapie i spojrzała na niego.

– Będę za tobą okropnie tęsknić.

Nie lubił, kiedy wpadała w taki nastrój. Była cholernie wrażliwa.

Kilka miesięcy wcześniej powiedział jej, że między nimi nigdy nic więcej nie będzie. Twierdziła, że rozumie. A teraz zachowywała się jak opętana.

Telefon zadzwonił głośno dwa razy. Vincent podniósł słuchawkę, ale się nie odezwał. Zapisał tylko adres na kartce.

– Kiedy? – spytał. Wygładził kartkę i schował do kieszeni spodni. – Okej. *Grazie*.

– Kto to był? – spytała Cathy.

– Przyjaciel. Muszę iść.

*Środa, 17 czerwca
New York City*

KIEDY AGENT FBI Percivall Wilson zajechał swoim czarnym służbowym samochodem pod Holiday Inn, Anton Brekke właśnie kończył jeść śniadanie w hotelu: kanapkę z pszennego chleba z plastrem szynki grubości centymetra. Pomachał Wilsonowi przez okno, wyszedł na ulicę i z kanapką w ręku usiadł obok niego, na miejscu pasażera.

– Więc jednak nie oparteś się pokusie? – powiedział Wilson z uśmiechem.

– Skusiłem się na małą kanapkę – powiedział Anton z pełnymi ustami. – Uwielbiam hotelowe śniadania.

– Z połową prosiaka. Gdzie twój kolega?

– Będziemy sami. Haugen nie czuje się najlepiej.

– Mam nadzieję, że to nic poważnego.

Wyjechali na Lafayette Street i ruszyli jednokierunkową ulicą.

– Jeszcze nie, ale wkrótce może być. Ten wielki mężczyzna ma próg bólu jak panienka – powiedział Anton. – Dokąd jedziemy? – spytał.

– Na Brooklyn. Do Bobby’ego, ulubionej knajpy Giordana.

Kiedy mijali most Brooklyński, Wilson powiedział, że w ciągu ostatnich trzynastu lat trzydziestu siedmiu ludzi postanowiło zakończyć tam życie, a także że most – obok Empire State Building – to dzisiaj ikona Nowego Jorku. Anton wyglądał przez szybę. Wyjął komórkę i zrobił zdjęcie The Financial District na południowym Manhattanie. Z tej odległości miało się wrażenie, że wieżowce stoją niemal jeden na drugim. Niebo należało do nich.

– Zdążyłeś przejrzeć materiały?

– Tak, przeczytałem pięćdziesiąt parę stron z pierwszej teczki.

– Radziłbym zacząć od piątej. Zrobię kopię wszystkich teczek, żebyś

mógł je zabrać ze sobą. Dowiesz się różnych interesujących rzeczy – powiedział Wilson i mrugnął do niego porozumiewawczo.

– Świetnie! – Anton był zachwycony.

– To żaden problem. Rozumiem, że na razie niewiele się dowiedziałeś.

– Niezwykle interesująca lektura. W niektóre rzeczy aż trudno uwierzyć. Na przykład w to, że syn był świadkiem zabójstwa ojca.

– Gorąca noc... – wtrącił Wilson. – Czternasty grudnia tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego ósmego roku.

– Gorąca noc – powtórzył Anton. – Bardzo wyjątkowa.

– Tej mroźnej nocy polało się dużo krwi. Starsi ludzie do tej pory o niej opowiadają. Niektórzy twierdzą, że Domenico Locatelli wysłał wtedy do Jersey małą armię, inni są przekonani, że wszystkiego dokonał jeden człowiek: Vincent Giordano.

– A ty co o tym sądzisz?

– Przychyłam się do drugiej wersji. Zresztą Giordano został oskarżony i skazany za ostatnie morderstwo, które popełnił tamtej nocy. Ale potem został zwolniony. Mój poprzednik wszystko dokładnie opisał. Jak wspominałem, było to jeszcze, zanim zacząłem pracować w FBI. Mój poprzednik nie wierzył, żeby jeden człowiek był w stanie wyrządzić tyle zła.

– Rozumiem, że wszystko to miało być zemstą za próbę zabicia Calogera Locatellogo. To wtedy zginęła przyjaciółka Calogera i jeszcze jedna osoba, matka dwojga dzieci, która znalazła się tam zupełnie przypadkowo.

– Tak. Tamtej nocy Domenico Locatelli wykazał się większą determinacją i siłą niż kiedykolwiek przedtem. Zadał rodzinie z Jersey potężny cios. Już nigdy się po nim nie podnieśli. To Vincent Giordano usunął mu ich z drogi. Sam.

– Jesteś tego pewien?

– Tak, ja to w i e m. Oglądałeś zdjęcia z tamtej nocy? Widziałeś, co zrobił z tym młodym chłopakiem w porcie?

Anton pokiwał głową.

– To potwór. Ale dla rodziny Locatellich nieoceniony. Zawsze taki

był. Lojalny aż do bólu. Dowiedział tego tamtej grudniowej nocy. Atak na Calogera uznał za atak na siebie.

– Wspomniałeś, że zmienił się po śmierci żony.

– Tak, zaprzestał wszelkich akcji. Chociaż martwy przedsiębiorca w tym twoim Fredrikstad dowodzi, że trudno się pozbyć starych nawyków. – Wilson podjechał do chodnika. – Jesteśmy na miejscu.

Lokal był w połowie pełen. Anton i Wilson zajęli stolik w głębi. Starszy pan przy sąsiednim stoliku spojrzał na nich niezadowolony znad okularów i wrócił do kanapki i gazety. Nozdrza Antona rozszerzyły się, kiedy poczuły cudowny zapach kawy, świeżego pieczywa, smażonych kiełbasek i jajek na bekonie. Cieszył się, że zdołał się pohamować przy śniadaniu w hotelu.

Przez chwilę oglądali zafoliowaną kartę, a potem poszli złożyć zamówienie.

Anton pochylił się nad ladą i z zaciekawieniem zaczął się przyglądać wypiekom.

– Omlet z pesto i z bekonem. Z dodatkową porcją bekonu. I jeszcze kawałek tego – powiedział, wskazując na ciasto czekoladowe z grubą warstwą glazury.

Bobby Parvati wyglądał na przestraszonego.

– Agent Wilson. Co dla pana?

– Poproszę to samo co kolega. Usiądziemy tam, w kącie. Podasz nam czy mamy...

– Przyniosę wszystko do stolika – odpowiedział Bobby szybko.

Za oknem przejechały cztery radiowozy na sygnale. Anton podniósł głowę. Ale tylko on. Ani Wilson, ani nikt z pozostałych gości nie zareagował. W Norwegii cztery radiowozy z włączonymi syrenami na pewno wywołałyby większą ciekawość. Tutaj najwyraźniej nie.

Po chwili do stolika podszedł Bobby Parvati, niosąc w obu rękach talerze. Spojrzał na Antona, potem na Wilsona, a potem ruchem głowy wskazał na stojącą na stole tabliczkę: Rezerwacja – signor Giordano.

– Nie mogą panowie tu zostać. Ten stolik jest zarezerwowany – powiedział uprzejmie.

Anton w pierwszej chwili nie zauważył niewielkiej tabliczki. Kiedy Bobby im ją pokazał, wziął ją do ręki i podniósł do oczu. Tekst napisano ręcznie, niebieskim atramentem. Zrozumiał, że siedzi przy stoliku, przy którym zwykle siadywał Vincent Giordano. Pewnie nawet na tym samym krześle. Z którego miał widok na wszystko, co się działo i w lokalu, i na zewnątrz. Tacy jak on nigdy nie siadają plecami do innych. Muszą mieć kontrolę. Pełną kontrolę. Zrozumiał, że agent Wilson nie podziela jego fascynacji mafią. Fascynacji, nie podziwu.

– Właśnie o tym chciałem z tobą porozmawiać. To Anton Brekke, śledczy z...

– Przy tym stoliku nie obsługujemy – przerwał mu Bobby. – Albo znajdziecie inny, albo będziecie musieli wyjść.

Ustąpili. Wstali i przenieśli się do wolnego stolika, kawałek dalej.

– Już mówiłem, że nic nie wiem.

Wilson nadział na widelec kawałek bekonu i włożył go do ust.

– Tak, zawsze słuchałem cię uważnie. Tylko że ci nie wierzę. Wiem, że ty i Giordano się przyjaźnicie. I uwierz mi, kiedy mówię, że on cię teraz bardzo potrzebuje. Bardziej niż kiedykolwiek.

Bobby się wyprostował. Jego oczy zamieniły się w wąskie szparki.

– Przykro mi, ale nie mogę wam pomóc.

Wilson wskazał na Antona.

– To śledczy z wydziału zabójstw z Norwegii. Wiesz, dlaczego tu jest?

Bobby skinął głową.

Śledczy z wydziału zabójstw. Zaczął się zastanawiać, czy to znaczy, że Vincent nie żyje. Miał ochotę spytać, ale nie chciał się wdawać w rozmowę z Wilsonem. Nie chciał być pionkiem w ich grze.

– Kiedy u ciebie byłem, widziałem, jak dwaj goryle Calogera rozmawiają z twoją żoną. Pewnie cię śledzą. Podejrzewam, że szukają odpowiedzi na te same pytania, które ja ci zadałem. Mam rację?

– Pytali, czy wiem, gdzie jest Vincent.

– Jeśli ludzie Calogera sądzą, że ty coś wiesz, to jest wielce

prawdopodobne, że rzeczywiście coś ci powiedziało.

– Nie mam pojęcia, dokąd pojechał ani po co. Ma kłopoty?

– Jest w sypialni – odpowiedział Wilson krótko i nieporuszony odkroił spory kawałek omleta.

Bobby poczuł ulgę. Więc Vincent żyje. Poradzi sobie. Zawsze sobie radził. Nie wierzył, że może zakończyć życie w jakimś szpitalu w Norwegii. To nie było jego przeznaczenie.

– Ktoś próbował go zabić – powiedział Anton. – Chcę znaleźć tego, kto na niego napadł. Dlatego tu przyjechałem. Mam nadzieję, że się dowiem, co łączy Vincenta Giordano z Norwegią.

Wyraz twarzy Bobby'ego się zmienił. Otworzył szeroko oczy. Włożył rękę do kieszeni i potarł palcem kluczyk, który dał mu Vincent.

– Przykro mi. Naprawdę chciałbym wam pomóc, ale nic nie wiem. Naprawdę. Słowo honoru.

Przeszedł szybkim krokiem przez lokal i otworzył duże drzwi prowadzące do kuchni. Zanim się zamknęły, Anton i Wilson zdążyli zobaczyć, jak pada na krzesło w kącie kuchni.

– Wierzę mu – powiedział Anton. – Mam wrażenie, że rzeczywiście nic nie wie.

– Wydawał się przekonujący. Szkoda. Miałem nadzieję, że jednak coś wie i że kiedy zrozumie, że jego przyjaciel może nie wrócić do domu żywy, wyłoży karty na stół.

Sobota, 14 grudnia 1968

New York City

CATHY ZACZEKAŁA, aż drzwi się zamkną.

Podniosła się szybko z kanapy, zarzuciła na siebie grube zimowe palto i wyszła na klatkę. Jego ciężkie kroki odbijały się echem od ścian. Zatrzymaj się, chciała zawołać, zaczekaj. Ale odgłos kroków cichł. W końcu usłyszała, że na dole trzasnęły drzwi. Trzymając się poręczy, zaczęła zbiegać po schodach. Nie mogła go stracić. Wiedziała, że zamierza kogoś zabić. Isabella opowiadała jej różne historie o nim i o Locatellim. Niewiarygodne historie. Brutalne. Robiła wszystko, żeby Cathy zrozumiała, że to nie jest człowiek, z którym powinna się wiązać. Ale ona nie chciała słuchać. Jej Vincent nie był taki. Chociaż teraz mogła się przekonać na własne oczy. Najpierw w Provenzano, a potem kiedy przyszedł do niej cały we krwi. Chciała zobaczyć na własne oczy, do czego jest zdolny człowiek, którego kochała. Nie była przerażona. Przeciwnie: była podniecona. Wiedziała, że już nigdy nie spotka takiego mężczyzny jak on. Nigdy. Bo tacy po prostu nie istnieją. Mężczyźni go podziwiali, kobiety go kochały. Czego więcej mogła pragnąć? Wiedziała, że na razie nie jest jeszcze gotów opuścić dla niej Sofii.

Na razie. Wiedziała jednak, co zrobić, żeby postawić na swoim.

Mród szczypał ją w policzki. Z ust leciała para. Jego samochód nadal stał przed budynkiem. Ale jego nie było. Co się z nim stało? Otuliła się szczelniej paltem. Spojrzała w lewo, potem w prawo. Zobaczyła go. Szedł ulicą. Musiała zachować dystans. Bała się nawet pomyśleć, co by się stało, gdyby się odwrócił. Nie sądziła, żeby ją zabił, ale na pewno nie chciałby się nadal z nią spotykać. Na samym początku ich znajomości powiedział jej wyraźnie, że ma nigdy nie dociekać, czym on się zajmuje. N i g d y.

Cały czas szła o przecznicę za nim. Minęli kilka małych kiosków i sklepików chronionych potężnymi kratami. Spojrzała na zegarek, który dostała od niego kilka tygodni wcześniej. Wpół do piątej. Strzały w restauracji padły zaledwie kilka godzin temu, a ona miała wrażenie, jakby minęło kilka dni.

Co za wieczór.

Zobaczyła, że skręca za róg. Przyspieszyła. Czyżby ją zobaczył? Stoi za rogiem i czeka na nią? Serce zaczęło jej bić mocniej. Chrząst opon na śniegu zagłuszył jej kroki. Zatrzymała się na rogu. Ostrożnie wyciągnęła szyję. Jak w kiepskim filmie szpiegowskim. Czuła się głupio, ale musiała to zrobić. Adrenalina buzowała jej w żyłach. Zobaczyła, jak Vincent przebiega przez jezdnię, a potem – już wolniejszym krokiem – kieruje się na wschód.

– Wszystko w porządku, panienko?

Wzdrygnęła się i odwróciła. Policjant przyglądał jej się zaniepokojony.

– Nie chciałem panienki przestraszyć. Coś się stało?

– Nie, nie. Nic się nie dzieje – odpowiedziała i uśmiechnęła się.

– Daleko panienka mieszka?

– Nie, kilka przecznic dalej.

– Mam panienkę odprowadzić do domu? Nie podoba mi się, że taka młoda...

– Bardzo dziękuję, ale nie ma takiej potrzeby.

Policjant skinął uprzejmie głową i ruszył w przeciwną stronę. Cathy znów wyrzała za róg. Vincent zniknął. Szlag, zaklęła cicho. Przebiegła przez jezdnię i ruszyła tam, gdzie go widziała ostatnio. Dotarła do skrzyżowania i zatrzymała się. Zastanawiała się kilka sekund. W końcu postanowiła przejść przez jezdnię. Mogła też skręcić w prawo, ale wtedy doszłaby do Harlemu. Nie sądziła, żeby szedł właśnie tam. Poza tym raczej nie miała ochoty się tam zapuszczać sama. Nie chciała się prosić o kłopoty. Przecież czytała gazety.

Złożyła dłonie, podmuchała na nie. Palce miała tak zimne, że bolało, kiedy je zginała. Jak mogła zapomnieć o rękawiczkach. Na

dworze było minus dwadzieścia stopni! Zakłęta i przyspieszyła, żeby choć trochę się rozgrzać. Nie mógł iść daleko, skoro nie wziął samochodu.

Przy Pierwszej Alei i Sto Drugiej Ulicy stało kilka niezbyt wysokich bloków otoczonych drzewami. Rosły tak gęsto, że miało się wrażenie, iż budynki wstawiono pomiędzy nie dźwigiem. Nazwanie tego miejsca przyjemnym zakątkiem byłoby grubą przesadą. Latarnie nie działały, na parkingu stał wrak samochodu. Cathy przeszła przez Pierwszą Aleję i zatrzymała się przed wjazdem na osiedle. Zobaczyła na śniegu świeże ślady. Rozejrzała się po okolicy. Widok przyprawiał ją o gęsią skórkę. To musiały być jego ślady. Poszła za nimi, przemykając się pod obsypanym śniegiem drzewami. Zobaczyła go w mroku. Na pewno stał tam mężczyzna. Łudzaco podobny do jej Vincenta. Zatrzymała się, przywarła do ściany. Tam nikt jej nie zobaczy. Po chwili znów ostrożnie wyjrzała. Mężczyzna zniknął. Potarła dłonią o dłoń i skrzyżowała ręce na piersi. I wtedy usłyszała stuknięcie. Metaliczny dźwięk przeszył niewiarygodną ciszę, jakby ktoś ładował magazynek. Znów spojrzała przed siebie. Zobaczyła go, stał plecami do niej. Zrobiła dwa kroki w bok, weszła pod niewielki daszek przed klatką. Drzwi do mieszkania dozorczy? A może to wyjście awaryjne? Albo po prostu drzwi na klatkę? Znów go zobaczyła. Niezbyt wyraźnie, ale nie miała wątpliwości.

Gdzieś w pobliżu ktoś cicho śpiewał.

Przywarła do ściany, aż poczuła ból. Znała tę piosenkę. *And here's to you, Mrs. Robinson, Jesus loves you more than you will know, wo, wo, wo, God bless you please, Mrs. Robinson, heaven holds a place for those who pray, hey, hey, hey.* Ten, kto śpiewał, urwał na chwilę, a potem zaczął śpiewać dalej. Usłyszała refren. Uśmiechnęła się. Lubiła ją.

– Menico Bagarello – usłyszała ponury głos.

Wzdrygnęła się. To był głos Vincenta. Nagle nie czuła już zimna. Palce przestały ją boleć. Vincent stał spokojnie przed drzwiami. Powtórzył imię i nazwisko. Tym razem nieco ciszej. Kucnęła, ale prawym okiem nadal widziała ich obu.

- Kim jesteś? – spytał Bagarello, wyraźnie zły.
- Od kiedy to strzelacie do kobiet i dzieci?
- O czym ty mówisz?
- Z kim byłeś w Provenzano?

Menico Bagarello zrobił dwa kroki do przodu. Spojrzał na pistolet z tłumikiem.

- Z kim tam byłeś? – powtórzył Vincent.
- Możemy o tym porozmawiać, mister? Mam na górze dziesięć tysięcy dolarów. Mogę po nie pójść. I uznamy, że nigdy się nie widzieliśmy. Okej?
- Czy twoje życie nie jest warte więcej niż dziesięć tysięcy dolarów? Czy życie kobiet, które zabiłeś, nie było warte więcej? Czy honor Calogera Locatellego nie jest wart więcej niż nędzne dziesięć tysięcy dolarów?

– Mogę załatwić więcej. Powiedz, ile chcesz. Mam ludzi, którzy wszystko załatwią.

Vincent się uśmiechnął.

- Nie masz już nikogo. Wszyscy wyjechali.
 - Wyjechali? Dokąd? – W głosie mężczyzny słychać było strach.
- Vincent uniósł pistolet.

– *Arrivederci.*

Menico Bagarello wyciągnął rękę.

– Proszę. Mam małego synka.

Cathy usłyszała stłumiony dźwięk i wzdrygnęła się. Właściwie nawet nie brzmiało to jak strzał, raczej jak klaśnięcie w dłoń. W oknie na trzecim piętrze poruszyła się firanka. Cathy znów przywarła do ściany. Wstrzymała oddech. Zamknęła oczy.

Otworzyła je dopiero po dłuższej chwili. Człowiek, którego kochała, zniknął. Menico Bagarello leżał z szeroko rozpostartymi rękami i nogami. Jakby robił na śniegu anioła.

Środa, 17 czerwca
New York City

ANTON BREKKE i agent FBI Percivall Wilson wjechali na most Brooklyński w chwili, kiedy w kieszeni Antona zabręczała komórka.

Rzucił okiem na wyświetlacz: Simon Haugen.

– *Hell-o!*

– Cześć. Dowiedzieliście się czegoś? – spytał niewyraźnie.

– Tak, sprawa została wyjaśniona – odpowiedział Anton z sarkazmem.

Haugen westchnął.

– Anton, nie mam siły, naprawdę. Dowiedziałeś się czegoś czy nie?

– Co się dzieje? Tak źle z tobą?

– Tak, chcę wracać.

– Wracać? Przylecieliśmy niecałe dwadzieścia cztery godziny temu. Marudzisz jak baba. Mam ci kupić opakowanie tamponów?

Haugen się rozłączył. Najwyraźniej żart Antona nie przypadł mu do gustu. Anton przetłumaczył ich krótką rozmowę. Wilson tylko się roześmiał.

– Kawał drania z siebie!

Czarny ford Wilsona, crown victoria, zatrzymał się przed hotelem Holiday Inn. Zostali jeszcze chwilę w samochodzie. Klimatyzacja właczała chłodne powietrze. Anton sprawdzał dane córki Vincenta, Connie. Uznał, że i tak już za długo zwlekał z przekazaniem jej danych szpitalowi. W końcu chodziło o córkę Vincenta. Miała prawo wiedzieć, że jej ojciec przebywa w ciężkim stanie w szpitalu po drugiej stronie kuli ziemskiej. Ale musiała jeszcze poczekać. Najpierw chciał porozmawiać z Locatellim. Potem zawiadomi Connie. Gdyby wszystko odbyło się w odwrotnej kolejności, zapewne uprzedziłaby Locatellego, zanim miałby okazję się z nim spotkać. I wtedy to nie on

zawiadomiłby go o losie Vincenta. Wiedział, że karty, które ma w ręku, są raczej kiepskie, ale się nie poddawał.

– Przyjadę po was o siódmej – powiedział Wilson. – Skorzystajcie z okazji i przejdźcie się po Nowym Jorku. Znajdźcie jakiś dobry przewodnik, wybór jest duży.

– Innym razem – powiedział Anton i uśmiechnął się. – Wrócę do twoich notatek.

Haugen leżał na łóżku i czytał „New York Timesa”. Kiedy usłyszał, że drzwi się otwierają, nawet nie podniósł głowy. Anton podszedł do minibarku i wyjął z niego zimną butelkę seven upa. Podszedł do łóżka i spojrzał na Haugena.

– Może byś się uśmiechnął, Simon?

– Wracamy do domu, jak tylko porozmawiasz z tym Locatellim. Tutaj i tak niczego się nie dowiemy.

– Tylko jeśli się uśmiechniesz.

Haugen się uśmiechnął, chociaż z wyraźnymi oporami.

– Niczego nie obiecuję – zaczął Anton. – Najpierw zobaczymy, co ma nam do powiedzenia. Może nic. Zdążyłeś coś przeczytać?

Haugen wymamrotał pod nosem coś, co chyba miało znaczyć: tak.

– Nic ciekawego?

– Owszem, to nawet ciekawe, tylko nie ma nic wspólnego z tym, czego szukamy – stwierdził Haugen i sięgnął po leżącą na nocnym stoliku czekoladkę.

– Wilson po nas przyjedzie. Wybierzemy się do restauracji, której stałym bywalcem jest Calogero Locatelli.

– Nie podoba mi się to.

– Wiem, ale chciałbym, żebyś z nami pojechał. Coś jesteś nie w formie. Może takie rzeczy nie są dla ciebie? Może wolałbyś pracować w wydziale porządkowym, razem z resztą stada? Tam wyzwania są mniej ambitne.

Haugen się uśmiechnął.

– Nie ma nic złego w byciu zwykłym policjantem. Dobrze się czułem, kiedy tam pracowałem.

– A ja nie – odpowiedział Anton. Rzucił Haugenowi jedną z teczek.

– Przeczytaj.

Sam usiadł na krześle pod oknem. Spojrzał na leżącą w dole trzypasmową Lafayette Street. Po obu jej stronach stały zaparkowane samochody. Zderzak w zderzak. Naprzeciwko hotelu znajdowały się trzy restauracje. Dwie chińskie i jedna francuska. Postanowił, że odwiedzi je jeszcze tego dnia. A może uda mu się znaleźć którąś ze słynnych pizzerii? Słyszał, że nowojorskie pizzerie są najlepsze na świecie. Wilson na pewno będzie mógł mu coś podpowiedzieć.

Otworzył teczkę numer pięć. Poza notatkami Wilsona było w niej osiem cieńszych plastikowych teczek. Na każdej naklejono białą kartkę.

Domenico Locatelli 1896–1983: zmarł śmiercią naturalną

Salvatore Conti 1944–1977: zamordowany

Calogero Locatelli 1937–

Anthony Nichetti 1939–1980: zamordowany

Vincent Giordano 1941–

Paul Teoli 1920–1999: zmarł śmiercią naturalną

Bernardo Capasso 1946–1977: zamordowany

Mario Roberto 1960–

Rozpoznał trzy nazwiska, ale domyślił się, że cała ósemka zajmowała w rodzinie Locatellich ważną pozycję. Teczka Giordano była jedyną, która była grubsza od teczki Don Domenica. Pierwsze strony zostały zapisane ręcznie. Początek – coś w rodzaju wstępu – stanowiły dwie kartki formatu A4 z wszelkimi możliwymi informacjami o Vincencie. Począwszy od imion rodziców po opis, jak zginęli i gdzie zostali pochowani. Do drugiej kartki przyklejono nawet jego niewielkie zdjęcie z dzieciństwa. Czarno-białe, z ząbkowanym brzegiem. Uśmiechnięty Giordano. Z puciołowatymi policzkami. Trzymał w ręku śniadaniówkę.

Anton czytał bite cztery godziny. Z jedną przerwą na pójście do toalety i jedną na lunch. Tym razem musiała mu wystarczyć tabliczka

czekolady z minibarku. Książki i filmy, które miały pokazywać prawdziwe życie mafii, były przy notatkach Wilsona niczym. Teraz rozumiał, co miał na myśli, kiedy nazywał Giordano potworem. Kiedy czytał o tym, jak zamordowano Tłuściocha Phila w dawnej rzeźni, czuł, że zbiera mu się na wymioty. Ktoś dopisał czerwonym atramentem: NIEPOTWIERDZONE, ALE BARDZO PRAWDOPODOBNE.

Przy większości notatek nie było takich adnotacji. W wielu przypadkach w ogóle nie wniesiono oskarżenia. W innych nie można było mu niczego udowodnić. Chociaż wszyscy wiedzieli, że był winien. Albo sam był katem, albo pociągał za sznurki.

Anton odłożył teczkę na parapet i przeciągnął się. Z trudem oderwał się od lektury. Rzucił okiem na zegarek. Do spotkania z Wilsonem zostało jeszcze kilka godzin. Haugen spojrzął na niego zza papierów.

– Tu jest napisane, że rodzina Locatellich zlikwidowała też wielu policjantów. Skorumpowanych policjantów.

– Nie ma chyba nic gorszego niż skorumpowany glina. Są gorsi od zwykłych przestępców. – Anton włożył kurtkę. – Potrzebuję trochę świeżego powietrza. Zjem coś i przewietrzę głowę, zanim przyjedzie Wilson. Pójdiesz ze mną czy zamierzasz tu leżeć i użalać się nad sobą?

– Pójdę z tobą.

BYŁ CICHY WIECZÓR. W ulubionej restauracji Calogera Locatellogo panował spokój.

Członkowie rodziny byli stałymi gośćmi. To tam odbywały się uroczystości z okazji ślubów – i pogrzebów. Kiedy życie się zaczynało i kiedy się kończyło, zbierano się tam na wystawne posiłki. Wilson bywał tam wiele razy, między innymi podczas obławy w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym roku. Obławy, która nie przyniosła żadnych rezultatów.

– Posłuchajcie – powiedział cicho, kiedy przeszli przez próg. – Nie dajcie się im sprowokować. Nieważne, co będą mówić, nie bierzcie tego do siebie. Niech to po was sphywa jak po gęsi woda. Nie dajcie się zastraszyć. Nie myślcie o tym, co o nich czytaliście.

Anton i Haugen pokiwali głowami.

Po chwili podeszła do nich młoda brunetka.

– Witamy! Stolik dla trzech osób? Czy jeszcze ktoś dołączy?

Wilson odsunął poły marynarki. Dziewczyna spojrzała na jego złotą odznakę i uśmiechnęła się nieszczerze. Wilson skinął głową w stronę stolika pod ścianą.

– Calogero Locatelli to ten z siwymi włosami.

– Rozumiem, że podejdziesz do niego razem z nami? – spytał zaniepokojony Haugen.

– Chcicie, żebym was przedstawił?

Żaden nie odpowiedział.

– Dobrze, podejźmy do niego razem. Ale pamiętajcie, że to wy macie z nim rozmawiać.

Chwilę przyglądali się ludziom siedzącym przy stoliku. Calogero był w towarzystwie czterech innych mężczyzn. Najbliższych współpracowników, zdradził im Wilson. W kilku zdaniach poinformował ich, jaką pozycję w rodzinie zajmuje każdy z nich.

Mężczyźni rozmawiali i śmiali się głośno. Nie przejmowali się tym, że mogliby komuś przeszkadzać. Kto odważyłby się poskarżyć?

Calogero Locatelli jeszcze nie zauważył swojego wroga.

Wilson, Anton i Haugen ruszyli wolnym krokiem do stolika. Kiedy byli kilka metrów od niego, jeden z mężczyzn wstał.

– Oszczędź nam dramatów, Roberto – rzucił Wilson chłodno.
– Dobry wieczór, Calogero.

Roberto. Mario Roberto. Anton widział jego teczkę. Nie należała do najcieńszych.

Calogero Locatelli wypił łyk wina i podniósł głowę.

– Percy – powitał go. Spojrzał na dwóch towarzyszących mu mężczyzn. Obaj mieli na sobie jasne dżinsy i cienkie T-shirty z długimi rękawami. Jeden z nich był chyba najwyższym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek widział. – Rany boskie, przyszedłeś tu ze swoimi psami gończymi? – Mężczyźni przy stoliku się roześmiali.
– Pracowity z ciebie człowiek. Nigdy nie odpoczywasz? – rzucił nonszalancko.

– Za bardzo mieszacie, żeby ludzie tacy jak ja mogli odpoczywać.

– A od kiedy to zjedzenie kolacji w dobrej knajpie jest przestępstwem? Nie dzieje się nic niezgodnego z prawem. Jedyne, do czego mógłbym mieć zastrzeżenia, to ceny.

– Moi koledzy chcieliby z tobą porozmawiać – powiedział Wilson, wskazując ruchem głowy na Antona i Haugena.

– Nie widzisz, że jestem zajęty? – Calogero uśmiechnął się drwiąco i włożył do ust widelec z nawiniętym makaronem. – Jestem w trakcie kolacji. Niech zadzwonią do mojej sekretarki i się umówią.

Mężczyźni znów wybuchnęli śmiechem.

Wilson spojrzął na Antona i zmarszczył czoło. Jakby chciał powiedzieć: Przykro mi.

– Jakież wieści o Vincencie? – spytał nagle.

– Pytasz, czy mamy o nim jakieś wieści? – Calogero podniósł głowę, spojrzął na Wilsona, spoważniał. – O co ci chodzi?

Wilson pochylił się nad stolikiem, położył ręce na blacie.

– Ludzie mówią, że nie masz pojęcia, gdzie jest.

– Wyjechał na jakiś czas. Sam wiesz, co się z nim dzieje o tej porze roku. – Calogero wypił kolejny łyk wina. – My też czasem potrzebujemy chwili spokoju. Stary, dobry Vincenzo również.

– Więc wiesz, gdzie jest?

– Oczywiście.

– A gdzie, jeśli wolno spytać?

– No cóż: nie wolno. – Calogero pstryknął palcami, wskazał na butelkę wina i podniósł palec. – Napijesz się? Rozumiem, że nie bardzo cię na nie stać, więc niech będzie na mój rachunek. Batman i Robin też mogą czuć się zaproszeni.

Anton milczał. Zastanawiał się, jak powinien rozmawiać z tym człowiekiem. Miał przed sobą prawdziwego mafiosa. Aroganckiego, przystojnego, zajętego wyłącznie sobą. Wilson robił, co mógł.

– Dziękuję za propozycję, ale nie – powiedział Wilson. Odwrócił się do Antona. – To nie ma sensu.

– Mam pozdrowić od ciebie Vincenza, kiedy będę z nim rozmawiać następnym razem? – spytał Calogero z ustami pełnymi jedzenia. – Tyle mogę dla ciebie zrobić – dodał. Podniósł głowę. – Dla waszej trójki – poprawił się.

Anton włożył rękę do kieszeni. Wyjął z niej pomięte zdjęcie i położył na stole przed Locatellim.

– Przepraszam, że takie pomięte – powiedział i zwrócił się do Wilsona: – Chodźmy już.

Skinęli głowami. Calogero, udał, że tego nie widzi.

– Co ci idioci znów wymyślili – burknął pod nosem. Rozprostował zdjęcie. – Kretyni. I to kiedy człowiek je kolację. Nic dla nich nie jest święte.

Nagle zamilkł. Arogancki uśmiezek zniknął, twarz zastygła. Ręka upuściła widelec. Uderzył o talerz. Po raz pierwszy w życiu potężny mafioso, który zawsze wszystko kontrolował, nie wiedział, co powiedzieć.

– Nie – szepnął w końcu. – *Áve María, grátia pléna.*

Podniósł głowę, żeby dokładniej przyjrzeć się człowiekowi, który dał mu zdjęcie. Ale zobaczył jedynie plecy Wilsona znikające

w drzwiach. Skinął głową. Roberto natychmiast zrozumiał, o co chodzi, i ruszył za gośćmi.

Calogero trzymał zdjęcie w drżącej ręce. Wpatrywał się w sterczące na wszystkie strony włosy przyjaciela i w ogolony kwadrat na czubku jego głowy. Nie pamiętał, kiedy widział go tak słabego i bezbronnego. Nigdy. Do twarzy i głowy były poprzyczepiane różne wężyki i kabelki. Jego przyjaciel żył tylko dzięki maszynom. Poczuł łzy pod powiekami. Podał zdjęcie jednemu z mężczyzn.

– Proszę, powiedz, czy masz jakieś wątpliwości.

Mężczyzna patrzył na zdjęcie z niedowierzaniem.

– To... Vincent. Co to byli za ludzie? Nie byli z FBI.

– To cudzoziemcy. Ale z daleka poznać, że to gliny. Niech podjedzie samochód. Wracam do domu.

Ani Wilson, ani żaden z dwóch Norwegów nie zauważyli ciemnego sedana, który jechał za nimi od chwili, kiedy wyszli z restauracji.

– Świetnie poszło – powiedział poirytowany Haugen z tylnego siedzenia.

– Nie spodziewałem się niczego innego – odpowiedział Wilson.

– Ale zdjęcie zrobiło na nim wrażenie. Nigdy nie widziałem go tak wzburzonego. Miałeś dobry pomysł.

Anton wymruczał coś pod nosem i odwrócił się do okna.

– Przynajmniej dałem mu do myślenia.

– To prawda. Maską opadła. I to przed najbardziej zaufanymi współpracownikami. Ciekaw jestem, jaki będzie jego następny krok. Nie zdziwię się, jeśli wieczorem do mnie zadzwoni – powiedział Wilson.

– Nie boisz się, że może się posunąć do czegoś więcej niż rozmowa telefoniczna?

– Na przykład do czego? Posłać mi kulkę?

– Na przykład.

– Miewałem takie myśli, kiedy zaczynałem. Ale teraz – nie. Do tego się nie posuną. Nawet w dawnych czasach nie śmieliby zabić agenta

federalnego. Rozpętałoby się piekło.

- Więc zabijają tylko zwykłych policjantów – zażartował Anton. Wilson nie odpowiedział.

Kiedy wrócili do pokoju w Holiday Inn, Anton opadł na fotel obok okna. Uniósł brew i spojrzał z wyrzutem na Haugena, który zaczął już pakować walizkę.

- Co ty robisz?
- A jak ci się wydaje?
- Widzę, że się pakujesz. Zamierzasz wracać?
- A nie tak się umawialiśmy?
- Co? Nie.
- Mieliśmy wyjechać po rozmowie z Locatellim. Właśnie z niej wróciliśmy.

– Do licha, Simon! – Anton upuścił na podłogę teczkę, którą trzymał w ręku. – Jesteśmy tu bardzo krótko, ale zdążyliśmy się dowiedzieć o zabójcy więcej niż w ciągu kilku tygodni w domu.

- Zabójca został zatrzymany! – powiedział Haugen poirytowany.
- Mówisz, jakby wszystko było już jasne. Nie jesteś ciekaw, kto za tym wszystkim stoi? Kto jest prawdziwym zabójcą? Jeśli chcesz, to wracaj. Ja zostanę, aż znajdę odpowiedź na nurtujące mnie pytania. Chyba że Vincent Giordano odzyska przytomność.

– Jesteś pewien, że się czegoś dowiesz? Z Don Corleone nie udało się niczego wycisnąć – dodał Haugen sarkastycznie.

- Gdyby mógł cię teraz usłyszeć, Simon. Jesteśmy zwykłymi policjantami, wiesz, co się z takimi... – Anton zawiesił głos, przeciągnął palcem po szyi i mrugnął okiem. – I byłoby po tobie.
- Podniósł teczkę z podłogi i położył Haugenowi na kolanach. – Poza tym mylisz się. Czegoś się jednak dowiedzieliśmy. Słyszałeś, co powiedział Wilson. Że jeszcze nigdy nie widział, żeby Calogero był tak poruszony. Do licha, to człowiek, który przywykł wszystko kontrolować. Ma władzę nad miastem, nad całą armią zabójców, alfonsów i innych łotrów. Kontrola to kluczowe słowo. Ma świra na

tym punkcie, a tu nagle coś idzie nie tak. Traci kontrolę nad najbliższym sojusznikiem i przyjacielem: Vincentem Giordano. Na pewno zadawał sobie różne pytania. I okazało się, że to my znamy na nie odpowiedź. Wilson powiedział, że nie zdziwiłby się, gdyby jeszcze dzisiaj zadzwonił. Na pewno wie, co mówi. On ich zna. Myślisz, że to się często zdarza?

Haugen siedział na łóżku, podpierał brodę ręką. Wzruszył ramionami. Podłożył pod plecy dwie poduszki i oparł się wygodnie.

– Nie wiem.

– Ja nie sądzę. Wytrzymaj jeszcze trochę. Nawet jeśli masz hemoroidy. Śpij na brzuchu czy jakkolwiek. Daj mi jeszcze jeden dzień. Nie więcej. A ja będę cię trzymał za rękę, kiedy pójdziesz do szpitala na zabieg usunięcia tego diabelstwa.

Haugen się uśmiechnął.

– Jeden dzień? Góra, tak?

– Obiecuję. Nie obiecywałem ci, że wyjedziemy po rozmowie z Locatellim.

– To prawda.

– Znów jesteśmy przyjaciółmi? – spytał Anton, prezentując swój szeroki biały uśmiech.

– Jasne. Ale wiesz, jak to jest.

– Na szczęście nie wiem. Masz – powiedział i rzucił mu teczkę Vincenta Giordano. – Przejrzyj ją. Zrozumiesz, dlaczego chcę dotrzeć do sedna sprawy.

– Lubisz takie rzeczy?

Anton się zamyślił.

– Nie, nie lubię, ale rzeczywiście mnie to interesuje. I jestem ciekaw, jak pewne sprawy są ze sobą powiązane.

Ledwie skończył, rozległo się pukanie do drzwi. Spojrzeli po sobie.

– Powiedz, że zamówiłeś coś do pokoju. Coś do jedzenia, do picia, striptizerkę. Cokolwiek.

Anton pokręcił głową. Położył teczkę na parapecie i spojrzał na Haugena.

Znów rozległo się pukanie. Tym razem ktoś pukał mocniej.

– A jeśli to oni? – zaniepokoił się Haugen.

– Pewnie usłyszeli twój żart o Corleone.

– To nie są żarty, Anton – powiedział Haugen cicho. – Ci faceci traktują takie sprawy poważnie.

Anton przeszedł przez pokój. Przyłożył ucho do drzwi, próbował coś usłyszeć. Nic. Jeśli ktoś rozmawiał, to robił to tak cicho, że nic nie było słychać.

Znów usłyszeli pukanie.

Anton położył ostrożnie rękę na klamce. Popatrzył na Haugena, w jego spojrzeniu był lęk. Wyraźnie dawał mu do zrozumienia, że ma tego nie robić. Nagle Anton szybkim ruchem nacisnął klamkę i szarpnął drzwi. Mężczyzna, który stał za nimi, wyglądał na przerażonego. Był o głowę wyższy od Antona, stał spokojnie, ręce trzymał za plecami. Anton rozpoznał go. To on wstał, kiedy zobaczył, że zbliżają się do stolika. Roberto. Mario Roberto.

Poniedziałek, 17 lutego 1969
New York City

VINCENT GIORDANO z hukiem odłożył słuchawkę na widełki. Szyby w dużym oknie zadrżały.

– Jakiś problem? – spytał mięśniak odpowiedzialny za bezpieczeństwo w kasynie.

– A jak myślisz, do cholery? – warknął Vincent, wkładając marynarkę. – Wskoczę na chwilę.

– Mam pójść z tobą? – Mężczyzna napiął mięśnie. – W razie czego jestem gotów, szefie.

Vincent nie odpowiedział. Wyszedł, trzaskając drzwiami. Zbiegł po metalowych schodach, minął stoły do gry i do ruletki. Odgłos jego ciężkich kroków i emanująca z niego złość sprawiły, że wszyscy na chwilę zamarli. Patrzyli na niego, kiedy zacisnął pięści i zdecydowanym krokiem szedł przez salę. Otworzył kopniakiem drzwi i wsiadł do czarnego cadillaca. Wyjechał z parkingu, kierując się w stronę Manhattanu, na Lexington Avenue.

Urządziła mu piekło.

Przez całe święta wydzwaniata do niego do kasyna. Prosił, żeby przestała, ale wtedy dzwoniła jeszcze częściej. Nie był w stanie nad nią zapanować. Kiedy pojechała do Rzymu, zrobiło się jeszcze gorzej. Jeśli nie było go w kasynie, dzwoniła do domu. Najczęściej odbierała jego żona. Cathy nigdy nie miała do powiedzenia nic konkretnego. Chciała po prostu porozmawiać ze swoim Vincentem. Ostatnią rozmowę odbyli dwa dni wcześniej. Powiedział jej wtedy wyraźnie: Skończyłem z tobą. A teraz znów zadzwoniła. Powiedziała, że odbierze sobie życie, jeśli nie przyjedzie i jej nie wysłucha.

Oto cena za zadawanie się z nieodpowiedzialną osiemnastolatką, pomyślał. Psychotyczna cipa.

Środa, 17 czerwca
New York City

ANTON chciał się odwrócić, żeby sprawdzić, czy inspektor Haugen zdążył się ukryć pod łóżkiem.

Ale nie odważył się tego zrobić.

Czyżby patrzył w oczy śmierci? To byłby szczyt ironii. W młodości był niemal zakochany w tych bezwzględnych ludziach. Marzył o luksusowym życiu, jakie wiedli. Marzył o tym, żeby – jak oni – siedzieć przy stoliku w kasynie w Las Vegas w towarzystwie najpiękniejszych kobiet świata. I nie martwić się o rachunek. Czy teraz ci ludzie pozbawią go życia? W hotelowym pokoju w Nowym Jorku? Cóż za ironia.

Nie spuszczał wzroku z brązowych oczu stojącego przed nim mężczyzny. Mario Roberto. Bezwzględny morderca, który bez skrupułów zabiłby i jego, i Haugena, i nie poniósłby za to żadnej kary. A w nocy nie dręczyłyby go złe sny.

– Jesteście z policji, prawda? – spytał Roberto.

Anton skinął głową.

Oczy Roberto zrobiły się wąskie jak szparki. Jakby patrzył pod słońce. Wyjął rękę zza pleców i podał ją Antonowi.

– Mario Roberto. Miło mi.

– Anton Brekke – przedstawił się szybko Anton. – Miło mi pana poznać.

– Calogero Locatelli chce się z tobą spotkać.

Anton nie odpowiedział.

– Chodzi o Vincenta Giordano – ciągnął Roberto. – Mam na dole samochód. Pan Locatelli czeka na nas w domu.

– Czyli gdzie?

– Na Staten Island. Potem odwiozę cię do hotelu. Nie zajmie nam

to dużo czasu.

Anton poczuł ulgę. Gdyby chcieli ich zabić, już by to zrobili. Próbował myśleć racjonalnie: dlaczego mieliby życzyć im śmierci? Calogero Locatelli mógł się poczuć urażony tym, w jaki sposób pokazał mu zdjęcie, ale żeby z tego powodu zabijać?

Nie. To byli ludzie interesu. Po prostu uznali, że pora wymienić się informacjami.

– Dobrze. Pojedziemy z panem.

Roberto pokręcił głową. – Tylko ty. Sam.

Zapadła cisza.

– Nie, do diabła – zaprotestował w końcu Haugen.

Roberto się uśmiechnął.

– Co dolega twojemu koledze?

– Różne rzeczy. Zaraz wrócę – powiedział Anton i wszedł do pokoju, zamykając za sobą drzwi.

Włożył świeży T-shirt i stanął nad łóżkiem, na którym leżał Haugen. Widać było, że się martwi.

– Nie pozwolę, żebyś z nim pojechał, Anton. Nie sam.

– Słyszałeś, co powiedział.

– Co się z tobą dzieje? Przecież wiesz, co się stanie.

– Gdyby chcieli nas zabić, dawno by to zrobili.

– Nie pozwalam ci jechać. Kropka.

– Więc dobrze, że jestem starszy rangą – powiedział Anton.

– Wszystko jest w porządku. Na to czekaliśmy.

– Ja na to nie czekałem! – Haugen znów usiadł. – A jeśli to mnie chcą załatwić? Jeśli facet usłyszał mój żart o Corleone i pod twoją nieobecność ktoś tu przyjdzie!?

– Simon. Opowiedziałeś ten dowcip po norwesku – powiedział Anton i ruszył do drzwi. – Spójrz na to od innej strony: jeśli nie wrócę, dopiero będziesz miał co opowiadać w domu.

W drodze na Staten Island cały czas rozmawiali. Mario Roberto oczarował siedem lat młodszego Antona. I nic dziwnego. Był miły,

towarzyski, wygadany. Anton postanowił przez chwilę nie myśleć o jego ciemnej stronie.

Wjechali na wyasfaltowany półokrągły podjazd przed niewielkim pałacykiem na końcu Emerson Avenue.

– Jesteśmy na miejscu – oświadczył Roberto. – Po prostu wejdź.

– Nie pójdzie pan ze mną?

– Nie, mam kilka spraw do załatwienia. Ale odwiozę cię z powrotem do hotelu.

W hotelu Anton udawał pewnego siebie, ale w głębi duszy się denerwował. Sytuacja była niezwykła. Z jakiegoś nie do końca jasnego powodu uznał, że obecność Roberto podczas spotkania uchroni go przed ewentualnym atakiem. Przez całą drogę bardzo miło im się rozmawiało. Jakby byli starymi znajomymi.

Kogo ja, do diabła, próbuję oszukać? – pomyślał Anton. Poczł, jak przyspiesza mu tętno. Może Haugen poinformował o wszystkim władze. Może za chwilę nad Staten Island pokażą się śmigłowce FBI, a do domu wpadną ludzie uzbrojeni w pistolety maszynowe?

Przypomniało mu się, co powiedział Wilson kilka godzin wcześniej. Nie pozwólcie, żeby wam zaszli za skórę.

– Okej – powiedział Anton i wysiadł.

Ruszył przed siebie, do drzwi z ciemnego drewna. Nagle zatrzymał się. Spojrzał do tyłu. Roberto dał mu znak, żeby szedł dalej.

Anton przywykł do nagłych przypiływów adrenaliny. Zwykle doświadczał ich podczas gry w pokera. Teraz jednak było inaczej. Zatrzymał się przed drzwiami. Kiedy uniósł rękę, żeby zapukać, drzwi się otworzyły.

– Uzbrojony? – spytał w niemal niezrozumiałym angielskim gładko ogolony mężczyzna w garniturze.

– Nie – odpowiedział Anton. Słyszał, jak za jego plecami Roberto odjeżdża.

– Ręce na boki.

Posłusznie wykonał polecenie, pozwolił, żeby mężczyzna go przeszukał.

– Idź za mną.

Przeszli przez imponujący salon z pięknymi zabytkowymi meblami. Pod ścianami stały regały pełne starych książek. Nagle Anton poczuł unoszący się w powietrzu zapach ziół. A głównie czosnku. Wciągnął powietrze nosem. Minęli kuchnię, w której starsza pani właśnie przygotowywała posiłek. Podniosła głowę i uśmiechnęła się do niego. On też się uśmiechnął.

Tętno zwolniło. Zrozumiał, że tak jak mówił Roberto, wezwano go na rozmowę. Po prostu. Widok kobiety uspokoił go. Już nie spodziewał się, że przed gabinetem Locatellogo zobaczy uzbrojonego ochroniarza, w każdej chwili gotowego go zastrzelić.

Odetchnął z ulgą.

Idący przed nim mężczyzna zatrzymał się i trzy razy zapukał do drzwi. Uchylił je lekko i powiedział: *Ecco lo sbirro forestiero*. Jest tu ten cudzoziemski glina. Po czym odwrócił się do Antona i pokazał mu, że ma wejść.

Gabinet był pogrążony w ciemności. Anton ledwie widział tył głowy Calogera Locatellogo. Siedział przy biurku, plecami do drzwi. Na biurku stała lampa z zielonym szklanym kloszem i mosiężną podstawką. Jedyne źródło światła. Pod lampą leżało zdjęcie, które dał mu w restauracji, a wokół niego cały wianuszek czarno-białych zdjęć. Czekał, aż Calogero Locatelli go zauważy, wyjął komórkę i napisał SMS-a do Haugena: Wszystko okej.

– Usiądź – odezwał się w końcu cicho Calogero.

Anton zajął miejsce na krześle przed biurkiem. Calogero odwrócił się, odłożył na biurko kilka starych zdjęć, które trzymał w ręku.

– Siedzę i wspominam – powiedział, wskazując głową na zdjęcia.

– Mój drogi Vincenzo pewno już nie żyje, prawda?

– Nie, jest w śpiączce.

– I wygląda tak jak na zdjęciu, które mi dałeś?

Anton skinął głową.

– A tak przy okazji, to jak się nazywasz?

– Anton Brekke.

– Szwed?

– Blisko.

– Wyglądasz na Szweda. Moja córka wyszła za Szweda. Więc skąd jesteś?

– Z Norwegii.

– A więc mój przyjaciel jest w śpiączce i leży w szpitalu gdzieś w Norwegii?

– Zgadza się.

– Wyjdzie z tego? Co mówią lekarze?

– Porządnie oberwał. Ale lekarze mają nadzieję, że się obudzi. Kiedy ostatnio z nimi rozmawiałem, jego stan był stabilny.

Calogero Locatelli, którego Anton miał przed sobą, mógł być bratem bliźniakiem tego, który rozmawiał z nimi w restauracji. Arogancja i pycha gdzieś zniknęły.

– Kto to zrobił? – spytał.

– Miałem nadzieję, że pomożesz nam to ustalić – odrzekł Anton i opowiedział o tym, jak zamordowano Wilhelma Martiniussena.

Mówił bez przerwy prawie dwadzieścia minut. Nie przejmując się obowiązkiem zachowania tajemnicy, przekazał mu wszystko, co wiedział na ten temat, w nadziei, że Locatelli mu się zrewanżuje i uchyli rąbka tajemnicy. Bjørn Danielsen i Frode Moen. Calogero Locatelli wzruszył ramionami. Nazwiska były mu obce.

Do gabinetu weszła kobieta, którą Anton widział w kuchni. Postawiła na biurku dwa talerze i wyszła.

– Pewnie rozumiesz, że kiedy zobaczyłem to zdjęcie, straciłem apetyt.

Sięgnął po jeden z talerzy, drugi przesunął w stronę Antona.

– Lubię rozmawiać przy dobrym jedzeniu.

Anton znów poczuł te same zapachy.

– Twoja żona? – spytał, próbując zmienić temat.

– Od ponad pięćdziesięciu lat – powiedział Calogero, wkładając do ust widelec. – Żonaty?

– Rozwiedziony.

– Jest jeszcze jakiś glina, który nie jest rozwiedziony?

Anton uśmiechnął się. Jadł dalej.

– Dlaczego?

– Dlaczego się rozwiodłem?

– Tak. I nie opowiadaj mi bzdur o beznadziejnych godzinach pracy.

– Calogero odłożył widelec i spojrzał na niego. – Grasz, prawda? I to o wysokie stawki, prawda?

Anton był zaskoczony.

– No cóż...

Locatelli pogroził mu palcem i się roześmiał.

– Zawsze rozpoznam gracza. Nikt inny nie zgodziłby się do mnie przyjechać. Odważny jesteś. Nawet nie chcę myśleć, co agent Wilson wam o mnie naopowiadał. Ale ty najwyraźniej uznałeś, że jest szansa, żeby się czegoś dowiedzieć, i przyjechałeś.

– A gdybym odmówił, to co?

– To ta rozmowa nie miałaby miejsca. I tyle. A myślałeś, że co?

– Sam nie wiem.

– Zwykle wygrywasz czy przegrywasz?

– Na ogół wychodzę na lekkim plusie – odpowiedział Anton. – Ale nie są to duże pieniądze.

– Nie masz pokerowej twarzy, mój drogi. Gdybyś rzeczywiście wychodził na plus, żona by od ciebie nie odeszła.

Ma rację, pomyślał Anton.

– No cóż, punkt dla ciebie – powiedział głośno.

– Smakowało ci? – Calogero jadł dalej.

– Jest wyśmienite – powiedział Anton i zamlaskał. – W życiu nie jadłem nic równie smacznego.

– Domyślam się, że w Norwegii nie ma takiej pasty. Makaron z pełnego zboża, ale ktoś, kto nie ma wyćwiczonych kubków smakowych, nie poczuje różnicy. – Poklepał się po brzuchu. – Żona uważa, że powinienem dbać o linię.

Jedli dalej w milczeniu. Anton sięgnął po kawałek chleba, żeby nie zmarnować nawet kropli sosu. Calogero odsunął talerz na bok i usiadł wygodniej.

– Jak zapewne już rozumiesz, Vincenzo jest dla mnie kimś niezwykle ważnym. Jest jak członek najbliższej rodziny. Jak brat. Co się stanie, jeśli się obudzi?

– Najprawdopodobniej zostanie oskarżony o zabójstwo Wilhelma Martiniussena.

– A jeśli ława przysięgłych uzna, że jest winny, zapewne trafi do więzienia i zostanie tam, aż go wyniosą nogami do przodu.

Anton pokręcił głową.

– W Norwegii najwyższa kara za zabójstwo wynosi dwadzieścia jeden lat. Jeśli będzie się dobrze sprawował, za czternaście będzie wolnym człowiekiem.

– Za czternaście lat... – Calogero znów spojrzął na leżące pod lampą zdjęcie. – Nie przyjmuję tego do wiadomości.

– W tej kwestii ani ty, ani ja nie mamy nic do powiedzenia.

– Założmy, że wybudzi się ze śpiączki... – Calogero urwał w środku zdania i spojrzął na Antona. – Wiem, co myślisz, Brekke. Ty jesteś ten dobry. A ja jestem ten zły.

– Nigdy nie myślę w takich kategoriach.

– To leży w twojej naturze. Ja jestem ten zły. Łobuz, przestępca. Co prawda nie podlegam ci, bo wtedy byśmy tu nie siedzieli i nie rozmawiali jak przyzwoici ludzie. Podobasz mi się, chociaż jesteś gliną. I wierz mi, że po raz pierwszy mówię komuś coś takiego. Mam wrażenie, że nadajemy na tych samych falach. Przynajmniej w jakimś stopniu.

– Tak?

– Jedna rzecz na pewno nas łączy.

– Hazard?

– Mnie też nie zawsze dopisuje szczęście. Szczęście nie jest dane raz na zawsze. Różnica między nami polega na tym, że ja mogę sobie pozwolić na to, żeby przegrać nawet dużą sumę. Ile pieniędzy potrzebowałbyś, żeby wieść stosunkowo beztroskie życie?

– Nie wiem. Może milion. Albo dwa.

– Milion dolarów? To jest nic. Nie zajdziesz daleko z milionem dolarów.

– Miałem na myśli norweskie korony.

– Jeszcze gorzej. – Calogero wstał i obszedł biurko, opierając się o nie. – Posłuchaj, jestem optymistą. Wierzę, że Vincenzo wybudzi

się ze śpiączki.

– To dobrze. Ja też mam taką nadzieję.

– Tyle że ty z innego powodu. Rozumiem, że Vincenzo leży w normalnym szpitalu? Nie w więziennym?

– Nie, w zwykłym.

– Powiedzmy, że odzyska przytomność. Wtedy go stamtąd zabierzesz, a ja zajmę się resztą.

– Słucham?

– Dwa miliony. Dolarów.

Anton się roześmiał.

– Nie chcę tego słuchać.

– Pięć milionów.

– Przykro mi.

– Dziesięć milionów. Pomyśl, co będziesz mógł kupić za takie pieniądze. No i żona do ciebie wróci. Kupicie sobie małą wysepkę na Karaibach. Na Bahamach. Tam też są kasyna. Wątpię, żebyś kiedykolwiek tego żałował.

– To nie wchodzi w grę – powiedział Anton. – Chociaż przyznaję, że propozycja jest kusząca. Ale nie.

– W porządku. Ale rozumiesz, że musiałem ci zadać to pytanie.

– Mam nadzieję, że ty rozumiesz, że musiałem odmówić. Jaką rolę pełni w twojej rodzinie Giordano?

Dobry posiłek i miła rozmowa sprawiły, że Anton poczuł się może nieco zbyt swobodnie. Calogero Locatelli posłał mu zza biurka lodowate spojrzenie: są pewne granice.

– Jest moim bliskim przyjacielem. Zawdzięczam mu życie – odpowiedział. Sięgnął po zdjęcia, które oglądał chwilę wcześniej. Przejrzał je szybko, jedno położył w świetle lampy. – To zostało zrobione trzy dni wcześniej – powiedział i zaczął mu opowiadać o incydencie w Provenzano sprzed czterdziestu lat.

Anton czytał o tym, teraz słuchał zaciekawiony.

– Mogę zobaczyć? – spytał w pewnym momencie i wyciągnął rękę. Wziął zdjęcie, nachylił się nad nim. Zdjęcie przedstawiało grupkę ludzi, mężczyzn i kobiety. Od razu rozpoznał Vincenta; trzymał

w ręku szklanę whisky i uśmiechał się szeroko. – A ty gdzie jesteś?

– Z tyłu, po prawej. Widać tylko moją głowę. Miałem wtedy ciemne włosy.

O, rzeczywiście. Teraz Anton rozpoznał go bez trudu. Spojrzał na niego i uśmiechnął się. Miał ochotę wypytać go o pozostałych. To była historyczna fotografia: najpotężniejsi ludzie amerykańskiego świata przestępczego. Przyglądał się ich twarzom. Calogero pokuśtykał do niewielkiego barku w kącie i nalał sobie drinka. Anton wykorzystał to i szybko schował zdjęcie do kieszeni. Pomyślał, że pokaże je Vicentowi Giordano, gdy się obudzi. Na pewno będzie to dobry początek.

Poczuł, że w kieszeni zaczęła mu wibrować komórka. Przeprosił i sięgnął po nią. SMS. Same duże litery i same myślniki, ale przekaz był jasny. Haugen dawał mu do zrozumienia, że ma natychmiast wracać do hotelu.

Wstał, podziękował za rozmowę i opuścił gabinet.

BOBBY PARVATI stał przed skrytką na dokumenty, z ręką w kieszeni. Pocierał palcem kluczyk, który dostał od Vincenta.

Czekał najdłużej, jak mógł. Vincent powinien wrócić ponad dobę temu. Co prawda wiedział już, że żyje, ale to nie miało znaczenia. Umowa była taka, że użyje kluczyka, jeśli nie stawi się w określonym czasie. Mimo to długo stał przed skrytką numer osiemset siedemdziesiąt dwa. Wiele razy sprawdzał, czy numer na kluczyku się zgadza, ale spojrzął jeszcze raz, żeby się upewnić, że wszystko się zgadza. Osiem, siedem, dwa, wymamrotał sam do siebie.

Rozejrzał się. Ochroniarz drzemał za grubą szybą. Chłopak będący kopią Boba Marleya przeszedł obok niego, otworzył jedną ze skrytek, wrzucił do niej teczkę z dokumentami i jakieś papiery, zamknął i wyszedł.

Bobby włożył klucz do zamka. Zaczerpnął głęboko powietrza. Odczekał chwilę. Przekręcił kluczyk i otworzył skrytkę. Odetchnął z ulgą. Żadnych części ciała. Żadnej broni. Tylko dwie koperty. Jedna stara, poźółkła. Wyglądało na to, że leży tam już wiele lat.

Tak zresztą było. Na wierzchu dużymi literami napisano: SOFIA. Sięgnął po tę drugą. Była biała, wyraźnie nowsza. BOBBY.

Zaczął się trząść. Bał się. Zastanawiał się, czy naprawdę chce wiedzieć, co jest w środku. Zamknął oczy. Czuł, że serce zaczyna mu szybciej bić. Wargi mu drżały. Cały drżał. Zamknął drzwiczki na kluczyk. Podeszedł do krzesła stojącego obok budki ochroniarza. Jeśli za chwilę zemdleje, lepiej, żeby pomoc była blisko.

Użył czerwonego kluczyka jako noża do papieru. Otworzył kopertę i wyjął złożone kartki.

Bobby,

Przede wszystkim odetchnij z ulgą. Podejrzewam, że spocifeś się jak mysz. Niepotrzebnie.

Skoro czytasz te słowa, jest duża szansa, że mnie już nie ma na tym świecie. Wybrałem się w daleką podróż, żeby zakończyć coś, co dręczyło mnie od lat. To była tylko kwestia czasu, a teraz ten czas nadszedł.

Poniżej znajdziesz numer konta w szwajcarskim Gonet & Cie. Przekazałem im wszelkie potrzebne dane. Musisz się tylko tam stawić i będziesz mógł przejąć pełną kontrolę nad pieniędzmi. Chciałbym, żebyś jakąś część zatrzymał dla siebie. Spłać dług za kawiarnię i mieszkanie. (Tak, wiem, że masz długi, chociaż twierdziłeś, że nie). Resztę pieniędzy przekaz mojej córce, Connie, i mojemu ukochanemu Angelo.

Masz przed sobą jeszcze wiele lat życia. Proszę, poświęć trochę czasu mojemu pięknemu wnukowi. Przekonaj go, że powinien się przykładać do nauki. To w dzisiejszych czasach konieczne. Pokaż mu, co jest ważne.

Bobby otarł łzy. Wyrzuty sumienia trafiły go niczym pięść między oczy. Jak mógł podejrzewać, że w skrytce znajdzie broń, a tym bardziej że będą to części czyjegoś ciała? Zrobiło mu się niedobrze. Odłożył pierwszą kartkę. Sięgnął po drugą:

To się stało 17 lutego 1969 roku...

Poniedziałek, 17 lutego 1969

New York City

VINCENT GIORDANO otworzył drzwi do mieszkania Cathy tak gwałtownie, że niemal wyleciały z zawiasów.

Cathy siedziała na łóżku. W rękę trzymała niewielki nóż. Ten, którego zwykle używała do pracy – tyle że teraz nie pracowała.

Vincent przeszedł szybko przez pokój, chwycił ją za gardło i ścisnął. Cathy jęknęła.

– No już. Potnij się tym cholernym nożem! – wykrzyczał. – No, śmiało!

Jej twarz zsiniała. Poluzował nieco chwyt.

– Przestań – zaczęła szlochać. – Po prostu chciałam, żebyś przyszedł.

Pchnął ją. Stał nad nią, gotując się z wściekłości. Zepsuła mu święta, nawet w Boże Narodzenie nie dała mu spokoju. Wydzwaniała bez przerwy. Narobiła zamieszania. Sofia się denerwowała.

– Więc po co ci ten nóż? Chcesz się na mnie rzucić? Co? To proszę. Zadźgaj mnie.

Cathy płakała tak długo, że – chociaż chciała krzyżeć – była w stanie wydać tylko żałosny jęk.

– Ja cię kocham, Vincent.

– Mówiłem ci, że nie chcę mieć z tobą nic wspólnego. A ty nagle dzwonicz i grozisz, że się zabijesz. Oszalałaś? – Wyrwał jej z ręki nóż, rzucił go na podłogę. – Jeśli jeszcze raz, jeszcze jeden cholerny raz do mnie zadzwonicz, to sam cię zabiję. Rozumiesz, co mówię? I nikt cię nie znajdzie. Wrzucę ten twój pokręcony mózg do morza, tak żeby już nigdy nie wypłynął na wierzch. Rozumiesz, co do ciebie mówię?

Cathy mimowolnie oddała mocz i zaczęła się trząść tak gwałtownie,

aż pomyślał, że dostała jakiegoś ataku. Przestała płakać, na jej twarzy malowała się panika. Nie była nawet w stanie mrugać oczami. Leżała i cała się trzęsa.

– Weź się w garść – powiedział Vincent. – Wiedziałaś, gdzie jest granica. Dzwoniąc do mnie do domu, przekroczyłaś ją. Nawet gdybyś umierała w jakimś rowie w Harlemie, nie byłoby ci wolno do mnie zadzwonić. – Usiadł w nogach łóżka i patrzył na nią.
– Potrzebujesz pomocy.

– Nie – wydukała. – Jestem w ciąży.

– Co?

Oczy Vincenta zrobiły się czarne. Cathy bała się w nie spojrzeć. Odwróciła się do ściany i pokiwała głową.

– Przecież brałaś pigułki. Więc jak to możliwe, że zaszłaś w ciążę?

– Przestałam je brać cztery miesiące temu.

Vincent wstał.

– Od kiedy wiesz o ciąży?

– Od ośmiu tygodni. To trzynasty tydzień.

– Dlaczego, do cholery, nic mi nie powiedziałaś?! – wrzasnął. Jego słowa odbiły się od ścian.

– Bo wiedziałam, jak zareagujesz. Ja...

– Wiedziałaś, co powiem. I co? Sądzisz, że zmieniłem zdanie?

– Pomyśl, jak dobrze może nam być razem. Sofia ma problemy z zajściem w ciążę...

Uderzył ją.

– Nigdy... nie... wymawiaj... jej... imienia.

Cathy odwróciła się i wrzasnęła:

– Tak czy inaczej urodzę je!

Wyszedł z pokoju, jego kroki szybko się oddalały. Usłyszała trzaśnięcie drzwiami. Podniosła głowę. Już go nie było.

Vincent zbiegł ze schodów i zaczął biec ruchliwą Lexington Avenue w kierunku najbliższej budki telefonicznej. Podniósł słuchawkę i wrzucił garść monet.

Długi dzwonek.

– Odbierz, do cholery! – wrzasnął.

- Tak? – usłyszał głos zaspanego Calogera.
- Potrzebuję pomocy.
- Vincenzo?
- Tak, to ja. Jestem przed domem Cathy. Musisz przyjechać.
- Co się stało?
- Jest w ciąży.

Cisza.

- Słyszysz? Jest w ciąży, do cholery!
- To ją zastrzel.
- Co? Przyjedź tu i pomóż mi.

Calogero milczał dłuższą chwilę.

– Dobrze – powiedział w końcu. – Czekaj na mnie na ulicy. Wsiadam do samochodu i jadę.

Dwadzieścia minut później Calogero zaparkował obok samochodu Vincenta. Wsiadł i dosiadł się do niego.

- Co mam zrobić?
 - Nie mam pojęcia. – Vincent pokręcił głową i zamknął oczy.
 - Naprawdę nie mam pojęcia.
 - Skrobanka?
 - Mówi, że chce je urodzić.
 - Pojedziemy do doktora Palermo.
 - A co on może zrobić?
 - A jak myślisz?
 - Nie, nie możemy. Tak nie można.
 - A jak myślisz, co powie ojciec, kiedy się dowie, że masz bękarta?
- Nie mówiąc już o Sofii. Nigdy ci tego nie wybaczy, Vincenzo.

Kiedy Vincent otworzył samochód, Cathy krzyczała, kopała i biła na oślep. Chwycili ją za ręce i ciągnęli po oblodzonym podwórzu, a potem po stromych schodach do piwnicy, gdzie mieściła się klinika doktora Palermo.

Virgil Palermo miał słabość do mocnych trunków. Do tego stopnia, że na początku lat sześćdziesiątych stracił z tego powodu prawo

wykonywania zawodu. Teraz zarabiał na życie, świadcząc drobne usługi dla świata przestępczego. Opatrywał drobne rany, kiedy ofiara wołała nie korzystać z pomocy szpitala. Opatrywał złamane nosy, rany postrzałowe i kłute, i inne, takie, które nie powinny zostać nigdzie odnotowane. Na jego klinikę składały się małe biurko, niewielka ilość sprzętu i stary metalowy stół pełniący funkcję stołu operacyjnego. Obok niego stała niewielka tacka, na której leżały skalpele, nożyczki, bandaże, maska tlenowa i pojemnik z gazem rozweselającym, którego używał jako narkozy.

Palermo usiadł na krześle za biurkiem. Wyciągnął szufladę i wyjął z niej do połowy pełną butelkę Johnniego Walkera. Usłyszał pukanie do drzwi, ale postanowił udawać, że go nie ma. Wypił tyk. Spojrzał na wiszący na ścianie dyplom z Harvardu. Przypomniał sobie, jaki był wówczas młody i jak dobrze się zapowiadał. Dawniej uśmiechał się na jego widok, teraz już nie. Ale nie zdjął go ze ściany. To był jedyny dowód na to, że nadal jest lekarzem, niezależnie od tego, jak uważa stan Nowy Jork. Obok, na wieszaku, wisiał fartuch z wyhaftowanym na kieszeni na piersi nazwiskiem: Dr Palermo. Zakładał go zawsze, kiedy przychodzili pacjenci.

Znów rozległo się pukanie. Nie zwykłe stukanie. Ktoś najwyraźniej bardzo się spieszył. Podskoczył na krześle. Wypił jeszcze dwa łyki, podszedł do drzwi i niezadowolony krzyknął:

– Co to za hałasy, do cholery!

Przekręcił klucz w zamku i otworzył. Zobaczył przerażoną kobietę.

– Co się stało? – warknął.

I wtedy zobaczył stojących obok niej mężczyzn.

– S-s-signor Locatelli. Nie zauważyłem pana.

– Potrzebujemy twojej pomocy – powiedział Calogero.

Palermo przyglądał się twarzy Cathy. Długie brązowe włosy sterczały na wszystkie strony. Głowa kiwała się na boki, oczy miała rozbiegane. Desperacko próbowała się uwolnić.

– O co chodzi? Narkotyki?

– Nie.

Mężczyźni odepchnęli go i przeciągnęli dziewczynę przez próg.

Nadal się nie poddawała: kopała, krzyczała, biła, próbowała ich drapać. Kiedy już została wciągnięta do środka i zobaczyła metalowe łóżko, nagle jakby zeszło z niej napięcie. Mięśnie się odprężyły, przestała stawiać opór. Wyglądała, jakby była w transie. Jakby naprawdę była pod wpływem narkotyków. Rozejrzała się po pokoju.

– Cuchnie tu, Palermo. Pięś? – spytał Vincent.

– Używam spirytusu do dezynfekowania stołu operacyjnego.

– Tu nie cuchnie spirytusem, tylko whisky. I cuchnie nie stół, tylko tobie z gęby. Kretyn.

Palermo wzruszył ramionami.

– Co jej jest? – spytał. Nachylił się nad dziewczyną i spojrzał jej w oczy.

– Jest w ciąży – powiedział Vincent.

– Świetnie! – Palermo uśmiechnął się do nich obu. Zobaczył ich poważne miny. – A może nie...

– Masz to załatwić.

– Wróćcie, kiedy nadejdzie pora. Przyjąłem setki porodów.

– Masz je usunąć – powiedział Calogero.

– Co? Nie przeprowadzam aborcji. Nie znam się na tym, nie mam odpowiednich narzędzi.

A b o r c j a. Dziewczyna nagle oprzytomniała. Zaczęła machać rękami, podbiegła do drzwi. Vincent ruszył za nią. Objął ją, niemal zakleszczył w ramionach, odciągnął od drzwi. Jej drobne ciało okazało się nadszpedzowanie silne.

– Puść mnie! – krzyczała. – Nie ważcie się mnie tknąć! – W jej głosie słychać było panikę.

Walczyła. Calogero chwycił ją za nogi i razem z Vincentem rzucili ją na metalowy stół. Nadal krzyczała, wszystkie jej mięśnie były napięte. Udało jej się uwolnić jedną nogę, mocno kopnęła Calogera w twarz. Jego nie w pełni sprawne kolano ugięło się i upadł z hukiem.

– To nasze dziecko, Vincent! – krzyczała Cathy. Łzy płynęły jej po policzkach. – Jak możesz robić coś takiego? To niewinne dziecko!

– Teraz w jej głosie słychać było błaganie.

– Zamknij się – powiedział Vincent spokojnie. – Sama możesz sobie za to wszystko podziękować. Nie zamierzam być ojcem twojego bachora, dziwko. Jeśli to dziewczynka, to pewnie pójdzie w ślady mamusi. Pomiot szatana!

– Proszę, nie róbcie krzywdy dziecku! Obiecuję, że już nigdy się z tobą nie skontaktuję. Wróć do domu. Pierwszym samolotem! Już nigdy o mnie nie usłyszysz!

– Uspokójcie ją, na litość boską! – krzyknął Palermo.

– Podaj jej coś – powiedział Vincent.

Stał teraz za nią. Przycisnął jej ramiona do twardego stołu, ale nogi miała wolne i nadal kopała.

– Daj jej coś na uspokojenie – powtórzył Vincent nieco głośniej.

Poluzował nieco chwyt. Cathy wyciągnęła rękę i zaczęła uderzać w stojącą obok łóżka tackę z instrumentami. Chwyciła coś długiego, wąskiego, metalowego.

Vincent spojrział w bok. Calogero wstał z podłogi. Z nosa leciała mu krew. W jego wzroku było szaleństwo. Vincent wiedział, że jeśli natychmiast nie uspokoi Cathy, Calogero ją zabije. Spojrział na Cathy. Twarz miała całą we krwi.

Po chwili przyszedł ból. Coś parzyło go w twarz. Znowu spojrział na Calogera: stał nieruchomo i patrzył na niego. Wściekłość, która jeszcze przed chwilą malowała się w jego oczach, zniknęła. Powiedział coś, ale Vincent nie rozumiał. Błyszczący skalpel, który Cathy nadal trzymała w dłoni, był cały we krwi. Palermo podbiegł i podbił jej rękę. Puściła skalpel. Palermo przyłożył jej do twarzy maskę i odkręcił kurek z gazem rozweselającym.

Vincent nareszcie mógł ją puścić. Dotknął twarzy. Bolało coraz bardziej. Palermo podbiegł z krzesłem.

– Usiądź, zaraz się zajmę tym draśnięciem.

– Jak ona to zrobiła, do cholery? – dziwił się Vincent, trzymając się kurczowo krzesła.

– Przejechała ci po twarzy skalpelem – odpowiedział Palermo spokojnie. – Ale wszystko będzie dobrze. Kiedy skończę, znów będziesz piękny – dodał, uśmiechając się do niego.

– Odcięła ci pół twarzy. – Calogero nadal stał jak sparaliżowany. – Cholerna dziwka. Powinniśmy byli ją zabić. Mówiłem ci: zabij ją.

– Aż tak źle nie jest. Widywałem gorsze rzeczy – uspokajał go Palermo.

Podał mu coś przeciwbólowego, znieczulił miejscowo okolice rany i zaczął szyc.

Szwy ciągnęły się od lewego płatka ucha aż do połowy brody. Nie był to piękny widok, ale Palermo zapewniał go, że kiedy rana się zrośnie i szwy zostaną zdjęte, nie będzie tak źle. Przyniósł małe lustro i podał mu je.

– Nie najgorzej, prawda? Jestem mistrzem igły.

Vincent nie miał siły spojrzeć.

– Wyskrob bachora, żebyśmy mogli już iść – powiedział Calogero.

Palermo usiadł na krześle, skrzyżował ręce na piersi i spojrzał na nich.

– Przykro mi, ale nie. Naprawdę nie mogę tego zrobić. – Spojrzał na drobną brunetkę leżącą na metalowym stole. – Nie umiem. A nawet gdybym umiał, to nie mam odpowiednich narzędzi.

Calogero stanął przed nim.

– Jesteś lekarzem – powiedział.

– Tak, jestem lekarzem, ale nie robię skrobanek. – Odkręcił butelkę Johnniego Walkera. – Nigdy nie robiłem aborcji. Raz byłem przy jednej, ale...

– I dobrze, wystarczy. Rób, co ci każe.

– Albo mnie zabijesz?

– Ja nie. – Wskazał na Vincenta. – Ale on na pewno.

Palermo spojrzał na Vincenta. Na świeżą ranę, na szwy biegnące zygżakiem wzdłuż całej szczęki. Jego oczy były czarne. Ciało rozluźnione – i to go przeraziło najbardziej. Zrozumiał, że Giordano naprawdę mógłby go zabić. Wypił dwa łyki whisky i wstał.

– Dobrze. Ale nie gwarantuję, że wszystko pójdzie tak, jak powinno.

– Zadbaj o to, żeby usunąć dzieciaka – powiedział Vincent niewyraźnie.

Palermo wstał. Zdjął z wieszaka biały fartuch, zarzucił go na ramiona i ruszył po schodach na piętro. Po chwili wrócił.

– Na szczęście moja żona śpi, więc obyło się bez zbędnych pytań – powiedział, machając dwoma drutami do robótek.

*Środa, 17 czerwca
New York City*

BOBBY PARVATI przeczytał wszystko dwa razy.

Wcześniej słyszał różne inne wersje. Okazało się, że cios zadała Vincentowi kobieta. Nie jakiś zdesperowany nożownik. I nikt z rodziny Locatellich. Ani żaden właściciel sklepu, który nie chciał ulec mafii. Żaden narkoman. Ani żaden z jego dłużników.

Tylko kobieta chcąca urodzić dziecko, którego on nie chciał.

Bobby wiele razy miał ochotę go spytać, skąd się wzięła blizna na jego twarzy, ale wiedział, że nie powinien zadawać tego pytania. Nie był pewien, jak by zareagował. Aż do dzisiaj. Dopiero teraz zrozumiał, że mógł go spytać o cokolwiek. Vincent by odpowiedział.

Kiedy Angelo dorośnie, chciałbym, żebyś mu powiedział, skąd dziadek miał bliznę. Opowiedz mu to tak, jak ja ci opowiedziałem. Tak, żeby zrozumiał. Jestem pewny, że zrozumie. I nie pozwól, żeby poszedł w moje ślady, Bobby. Nigdy.

Poza tym będę ci wdzięczny, jeśli od czasu do czasu zajrzysz na grób Sofii. Connie się stara, ale nie zawsze jej wychodzi.

Byłeś dla mnie dobrym i bardzo ważnym przyjacielem, Bobby. Zawsze o tym pamiętaj.

Pozdrawiam Cię

Vincent

Bobby jeszcze długo siedział na krześle z kartkami i kopertą w rękach. Starał się wszystko przyswoić. Do pewnego stopnia rozumiał, dlaczego Vincent zdecydował się zabrać Cathy do podejrzanego konowala. Gdyby urodziła dziecko, na pewno czułby się za nie odpowiedzialny. Ale ceną byłaby Sofia. Nigdy by mu tego nie wybaczyła. Prowadzili długie rozmowy i wiedział, że jej odejście

by go zabiło.

Przeczytał wszystko jeszcze raz: list i opowieść o bliźnie, a potem wrócił do samochodu i pojechał do kawiarni. Chciał uściskać żonę, mocniej niż kiedykolwiek, i powiedzieć jej, że ją kocha.

MINĘŁA GODZINA od wyjścia norweskiego śledczego. Dobrze im się rozmawiało, ale nagle jego gość zaczął się spieszyć. Calogero nalał sobie whisky i usiadł za ciemnym biurkiem. Pod lampą z zielonym kloszem leżały stare zdjęcia. Wszystkie czarno-białe, z wyjątkiem tego, które dostał od zwariowanego Norwega. Jakim trzeba być idiotą, żeby zrezygnować z dziesięciu milionów dolarów? Pokręcił głową. Zebrał zdjęcia i zaczął je przeglądać jeszcze raz. I wtedy zadzwonił telefon.

– Kto mówi? – warknął.

– Wujek Calo? – usłyszał zrozpaczony kobiecy głos.

– Connie – odezwał się łagodnie. – Kochanie, właśnie miałem do ciebie dzwonić.

– Co? Już wiesz?

– Tak. Przed chwilą był u mnie norweski policjant. Zadał mi kilka pytań.

– I co teraz?

– Właśnie się zastanawiam, Connie. Najważniejsze w tej chwili jest to, żeby się wybudził ze śpiączki. Potem...

– Ale on już się wybudził! – krzyknęła Connie. – Zadzwonili do mnie ze szpitala jakąś godzinę temu i powiedzieli, że miał wypadek i jest w śpiączce. A teraz, przed chwilą, zadzwonili znowu i powiedzieli, że właśnie się wybudził.

Plącząc, opowiedziała mu to samo, co już mu opowiedział Anton.

– Przykro mi, Connie. Oczywiście zrobię, co w mojej mocy, ale...

– Wiedziałam, że to się źle skończy, wujku – przerwała mu.

– Widziałam to w jego oczach, kiedy mi powiedział, że wyjeżdża. Zachowywał się inaczej niż zwykle. Ostatnio w ogóle nie był sobą.

– Tak mi przykro – powtórzył Calogero, próbując ją pocieszyć.

– Muszę tam jechać.

– Nie rób nic, zanim się z tobą nie skontaktuję. Dobrze? Zadzwoń do ciebie jutro.

– Ale...

– Proszę. Posłuchaj mnie.

– Dobrze.

Rozłączyła się.

Odłożył ostrożnie słuchawkę, schował zdjęcia do szuflady. Wziął laskę i zaczął krążyć po gabinecie. Wiedział, co powinien zrobić. Pokuśtykał z powrotem do biurka, wypił whisky i wyszedł na korytarz.

– Giuseppe – powiedział na tyle głośno, żeby jego głos dotarł do kuchni.

– *Si? Uno momento.*

Po chwili na korytarz wyszedł Giuseppe. Szedł powoli, spokojnie.

– Potrzebna mi komórka z opłaconymi minutami – powiedział Calogero.

Giuseppe włożył rękę do kieszeni i wyjął swoją komórkę.

– Możesz użyć mojej.

– Jest bezpieczna?

– Tak, nie do wyśledzenia.

– Najważniejsze, żeby nikt nie mógł podsłuchać.

– *È sicuro.* Jest bezpieczna – zapewnił go Giuseppe.

AGENT FBI PERCIVALL WILSON prowadził swojego czarnego forda crown victoria przez tunel pod rzeką Hudson. Z włączonym kogutem i syreną. Czas naglił. Zadzwoił na międzynarodowe lotnisko Newark i poprosił, żeby samolot zaczekał, aż na pokład wejdzie dwóch Norwegów.

Anton poczuł, że komórka wibruje mu w kieszeni. Odebrał i usłyszał znajomy głos.

– Mów szybko – rzucił.

– Anton?

– Tak, o co chodzi? Nie możesz znaleźć smoczka?

Torp się roześmiał.

– Chciałem tylko powiedzieć, że Vincent Giordano wybudził się ze śpiączki.

– Co ty powiesz? – rzucił Anton z przekąsem. – Ale skoro już rozmawiamy, to mam dla ciebie zadanie. Włóż kask i pojedź rowerem do szpitala. Nikomu, mówię poważnie, naprawdę nikomu nie wolno z nim rozmawiać, zanim ja z nim nie porozmawiam. Rozumiemy się?

– Szef uprzedził mnie, żebym nie podejmował żadnych kroków na własną rękę.

– Guzik mnie obchodzi twój szef! – krzyknął Anton. – Gonilem przestępców, kiedy on sikał po nogach, oglądając katalogi z damską bielizną. Natychmiast jedź do szpitala.

– Tak. Teraz?

– Natychmiast. I czekaj tam na nas.

– A gdzie jesteście?

– W Nowym Jorku.

– Więc będziecie tu za jakieś...

Anton rozłączył się i schował komórkę do kieszeni.

CALOGERO LOCATELLI siedział na bujanej kanapie w ogrodzie. Laskę położył na kolanach. Odchylił się do tyłu, spojrzał na rozgwieżdżone nocne niebo, sięgnął po komórkę, którą dał mu Giuseppe, i wybrał numer starego przyjaciela.

– Zastępca dyrektora McGordon – odezwał się Steve McGordon władczym tonem.

– Panie zastępczo dyrektora – zaczął Calogero nieco uszczypliwie. – Mam nadzieję, że o tej porze nie siedzi pan za tym swoim ogromnym biurkiem.

– A z kim mam przyjemność?

– Nie udawaj, wiesz, z kim rozmawiasz.

– Tak wiem... wiem – westchnął McGordon.

– Więc przynajmniej udawaj, że się ucieszyłeś, że dzwonię.

– Zawsze miło cię słyszeć, Calo.

– Nadal jesteś najgorszym kłamcą na Wschodnim Wybrzeżu. Może dlatego nigdy ci się nie udało dotrzeć na szczyt. Kiepsko kłamiesz, a prawdę trzeba czasem trochę upiększyć. Zgadza się pan ze mną, panie zastępczo dyrektora?

– Nie do końca.

– No cóż. Co u ciebie? Dobrze ci tam za tym twoim biurkiem w Langley?

– Bardzo dobrze.

– Świetnie. Więc nie ma powodu tego zmieniać, prawda?

– Słucham?

– Pora się odwdzińczyć za dawną przysługę, Steve. Spłacić stary dług.

– Nie podoba mi się ani twój ton, ani to, co mówisz.

– Mój ton? Daj spokój. Przecież jesteśmy starymi przyjaciółmi, prawda?

Na chwilę zapadła cisza.

– Jasne. Ale nie jestem już lokalnym politykiem, którego możesz sobie owinąć wokół małego palca. Jestem zastępcą dyrektora CIA. Nie będę twoim chłopcem na posyłki.

– Steve?

– Tak?

– Nawet gdybyś był prezydentem naszego pięknego kraju, nadal miałbyś wobec mnie dług wdzięczności. Żeby było jasne.

Steve McGordon nie odpowiedział.

– Gdybym cię nie znał, pomyślałbym, że zapomniałeś, dzięki komu trafiłeś tam, gdzie jesteś. Wiem, że świetnie się czujesz wśród grubych ryb w Waszyngtonie. Sam jesteś teraz jedną z nich. Byłoby mi przykro, gdyby to się musiało zmienić. Mówię poważnie. Lubię oglądać cię na zdjęciach z Waszyngtonu. Szczególnie na tych z balów w Białym Domu. Nie mówiąc już o tym, jak świetnie wypadasz w telewizji. Szkoda, żeby to miało się skończyć. Więc nie upieraj się, Steve. Wiele mi zawdzięczasz i dobrze o tym wiesz.

Kolejna przerwa.

– Co mogę dla ciebie zrobić? – Głos po drugiej stronie nagle zaczął brzmieć uprzejmie.

– Mój dobry przyjaciel Vincenzo stoi w gównie po kolana, a stoi na głowie.

– Giordano?

– Tak. Leży w szpitalu w Norwegii, jakby nie mógł wybrać innego miejsca. Właśnie wybudził się ze śpiączki. Muszę go zabrać z tej Norwegii, Steve.

– Więc kup mu bilet na samolot – rzucił McGordon kwaśno.

– To za mało. Jest podejrzany o morderstwo i zostanie przeniesiony do celi. Jak tylko będzie mógł opuścić szpital.

– Boże drogi. Co, na litość boską, ja mógłbym zrobić?

– Już ci powiedziałem: wydostań go stamtąd. Jesteś numerem dwa w CIA, więc nie mów, że czegoś nie możesz – powiedział Locatelli i rozłączył się.

Nie mów, że czegoś nie możesz. Steve McGordon siedział dłuższą

chwilę ze słuchawką w ręku. Chodziło o Norwegię, nie o jakąś republikę bananową. Nie mógł wysłać kilku agentów i po prostu załatwić sprawy. Z drugiej strony wiedział, co go czeka, jeśli nie spełni tej prośby. Będzie musiał odejść z CIA, bynajmniej nie z honorem. Bo rzeczywiście karierę zawdzięczał rodzinie Locatellich. Z drugiej strony dobrze będzie spłacić dług wdzięczności. Zalogował się do tajnej bazy zawierającej dane współpracowników agencji na całej kuli ziemskiej. W Anglii było ich dwunastu, w Danii dwóch. W Finlandii czterech. W Szwecji żadnego. Zero kontaktu, z wyjątkiem ludzi z amerykańskiej ambasady. Kiepsko. Ale tym zajmie się później. Zanotował coś i kliknął w Norwegię. Wyświetliło się jedno nazwisko:

Imię i nazwisko: Peter Jäckel

Urodzony: 13 września 1944

Alias: Porucznik

Status: operacyjny

*Czwartek, 18 czerwca
Fredrikstad*

STUDENT WYŻSZEJ SZKOŁY POLICYJNEJ MAGNUS TORP na widok Antona Brekke stanął niemal na baczność.

– Spocznij, chłopcze. Mam nadzieję, że nie opuścisz stanowiska.

Torp pokręcił głową i usiadł.

– Dobrze. Masz – powiedział Anton i podał mu jeszcze prawie ciepłą bagietkę. – Zasłużyłeś. Gdzie reszta stada? Haugen twierdził, że będzie tu dużo ludzi.

– Poszli do stołówki coś zjeść. Mam zadzwonić, gdyby coś się działo.

– Ktoś był u Vincenta?

– Tak. Lange. Ale szybko wyszedł.

Anton otworzył ostrożnie drzwi i wszedł. Z łóżka patrzyła na niego para obojętnych oczu. Po chwili oczy się zamknęły. Spokojnie podszedł bliżej. Wziął stojące pod ścianą krzesło i usiadł obok łóżka.

– Nazywam się Anton Brekke i jestem z policji.

Ostatnio jego angielski nieco się poprawił. Długie rozmowy z Wilsonem zrobiły swoje. Znowu poczuł na sobie obojętne spojrzenie. Tym razem zawisło na nim chwilę dłużej.

– Wiesz, dlaczego tu jesteś?

Vincent Giordano nie odpowiedział.

– Mrugnij raz, jeśli słyszysz, co do ciebie mówię.

Żadnej reakcji.

– Mrugnij dwa razy, jeśli masz to wszystko gdzieś.

Na twarzy Vincenta pojawił się cień uśmiechu. I dwa szybkie mrugnięcia.

– Tak myślałem. Ale chciałbym z tobą porozmawiać o zabójstwie Wilhelma Martiniussena – powiedział Anton, siadając wygodniej na

starym aluminiowym krześle z siedzeniem obitym zniszczonym zielonym materiałem. – Jesteś aresztowany i w ciągu kilku godzin zostaniesz oskarżony o zabójstwo. Twój adwokat jest już w drodze.

Vincent uniósł obojętnie brwi.

– Nadal masz to wszystko gdzieś? Nie chcesz poczekać na adwokata?

Dwa mrugnięcia.

– Okej...

Od czego miał zacząć? Tyle pytań chciał mu zadać. Interesowało go samo zabójstwo. Wiedział, że mają właściwego człowieka. Ale interesowało go też d l a c z e g o.

– To ja prowadzę dochodzenie w tej sprawie – powiedział. – Nie jesteś ciekaw, jak do ciebie dotarliśmy?

Vincent Giordano po raz pierwszy otworzył usta.

– Jestem za stary na wasze gierki.

– Gierki?

– Dobry policjant, zły policjant.

– A ja jaki jestem? – spytał Anton.

– Przed chwilą był tu taki bezczelny typ. Też wypytywał o tego Wilhelma. Kim, do cholery, jest Wilhelm?

Anton nie był zdziwiony. Człowiek, który leżał w szpitalnym łóżku, należał do tych, co to będą zaprzeczać, że się zesrali, nawet jeśli będą mieli portki pełne gówna.

– No dobrze – powiedział w końcu. – Na takie gierki ja też jestem za stary – dodał i uśmiechnął się.

Vincent wskazał palcem na stojący na stoliku przy łóżku kubek z wodą. Anton podał mu go. Vincent wypił tyk.

– Za ciepła. Dasz mi zimnej?

Anton podszedł do umywalki.

– Mówiąc między nami, Giordano...

– Boże, teraz się zacznie. Mówiąc między nami. *Off the record*. Graj ze mną w jednej drużynie. Od pięćdziesięciu lat słyszę to na okrągło. Oszczędź sobie.

Anton nalał do kubka zimnej wody i wrócił na krzesło.

– Chcesz posłuchać? – I nie czekając na odpowiedź, zaczął opowiadać: – Początkowo myśleliśmy, że zabójca Martiniussena miał motyw osobisty. Potem uznaliśmy, że było to zabójstwo na zlecenie. Że zostałeś wynajęty do wykonania zadania.

– Tak?

– Ale potem poleciliśmy do Nowego Jorku. Mieliśmy nadzieję, że znajdziemy tam coś, co wyjaśni twoje związki z Norwegią. Bo zakładam, że kogoś takiego jak ty raczej nie łączą z Norwegią szczególnie silne więzy.

– To prawda. Jestem tu na wakacjach i zostałem napadnięty.

Anton się roześmiał.

– To nieprawda. Spotkaliśmy tam twojego znajomego. A właściwie to wielu twoich znajomych. Twój odwieczny wróg, Wilson, agent FBI, powiedział: Vincent Giordano nie zabija dla pieniędzy. A ja mu wierzę.

– To dobrze.

– Dla mnie, ale nie dla ciebie. Bo Wilson opowiedział nam też o morderstwie, za które zostałeś skazany w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym. Powiedział, że było wtedy dwóch świadków: mały chłopiec i dorosły mężczyzna. Jakiś cudzoziemiec.

Vincent spojrzał na niego.

– A tak się składa, że Martiniussen był wtedy w Stanach. Podróżował. Znam tę waszą organizację, Cosa Nostra, i wiem, że ludzie, którzy świadczą przeciwko wam... cóż, powiedzmy, że rzadko dożywają sędziwego wieku.

Żadnej odpowiedzi.

– Wtedy nie miało większego znaczenia, czy zostaniesz skazany, czy nie, prawda? Nikomu nie wolno wystąpić przeciwko wam. Więc musiał umrzeć. Ale on zniknął. Program ochrony świadków utrudnia wam życie. Polowałeś na tego człowieka od pierwszego dnia procesu. Mam rację?

Vincent wypił wodę.

– Czytałem też o innej zbrodni. Może coś o niej wiesz... Phil Piletti. Któryś z was uznał, że jest kapusiem, że donosi FBI. Został

powieszony na rzeźnickim haku w starej rzeźni. Potem go biliście, strzelaliście do niego, raziliście prądem, w odbyt. Ale on nie umarł od razu. Patolog ocenił, że wisiał tak dobre dwanaście godzin, zanim się poddał. Możesz sobie wyobrazić coś gorszego? Wisieć na haku jak zaslachtowana świnia i wiedzieć, że się umrze? A najlepsze w tym wszystkim jest to, że on wcale nie donosił.

Vincent zamknął oczy. Nienawidził wracać do tej historii. Zabronił wszystkim o niej mówić. Nikt w jego obecności nigdy nie odważył się o niej wspomnieć.

– Nie chcę tego słuchać – powiedział cicho.

– Drażliwy temat. Bo był niewinny? FBI jest przekonane, że brałeś w tym udział. – Krótka przerwa. – Ale nie o Philu Pilettim mamy mówić. Chciałem tylko wspomnieć o tej historii, bo kiedy o niej czytałem, zrobiło mi się niedobrze. No i zrozumiałem, jak traktujecie donosicieli.

– To była tragedia.

– Dlatego pomyśleliśmy, że Wilhelm Martiniussen mógł być tym świadkiem, który cię rozpoznał w latach siedemdziesiątych.

– I?

– Myliliśmy się?

– Może. A może nie. To wszystko, do czego doszliście?

– Nie. Za dużo było zbiegów okoliczności. Dlaczego nagle zapragnąłeś go znaleźć? Po czterdziestu latach, w chwili kiedy zaczął wprowadzać zmiany w swojej firmie? Zmiany, które dla niektórych mogły się okazać katastrofalne. Chciałbym, żeby to, co teraz powiem, zostało między nami. Możemy się tak umówić?

Vincent spojrział na niego zdziwiony, ale nie odpowiedział.

– Zakładam, że to znaczy tak. Z jakiegoś powodu wierzę, że potrafisz dochować tajemnicy. – Anton uśmiechnął się kwaśno.

– Zacząłem szukać informacji o programie ochrony świadków. Kiedy rano wylądowałem na Gardermoen, natychmiast zadzwonił do mnie nasz wspólny przyjaciel Wilson. Wiesz, czego się dla mnie dowiedział?

– Chętnie się dowiem...

– Osobiście uznałem, że to smutne, ale ty pewnie się ucieszysz.
– Anton zamilkł. Patrzył na Vincenta. Przypominał mu Calogera. Początkowo arogancki, niewzruszony. Po chwili, kiedy zrozumiał, że stracił przewagę, pokorny i łagodny. – Świadek, który świadczył przeciwko tobie, zginął w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym czwartym. Został zastrzelony przez naćpanego złodzieja. Cóż za ironia losu. Udało mu się ująć mafii, a dopadł go ćpun.

Anton spodziewał się, że Vincent się uśmiechnie. Ale nie. Mięśnie jego twarzy się napięły. Zamknął oczy.

– Przede mną nie musisz udawać poruszonego. Rozumiem, że go nienawidziłeś. Przez niego straciłeś najlepsze lata dzieciństwa swojej córeczki. – Anton założył nogę na nogę i splótł ręce na karku. – A więc kolejna teoria okazała się błędna. To nie była zemsta.

– Kim był ten Wilhelm Martiniussen? – spytał Vincent, wyraźnie zaintrygowany.

– Praworządnym przedsiębiorcą, który co roku przeznaczał miliony koron na różne organizacje pomocowe. – Anton miał wrażenie, że w jego oczach zobaczył łzy. – W każdym razie takim go znaleźliśmy. Ale może ty powiesz nam prawdę? Kim naprawdę był Wilhelm Martiniussen? I dlaczego darowałaś życie kobiecie?

– Pytasz mnie, jakbym to ja go zabił.

– Cóż...

– Zakładam, że kobieta nie miała z tą sprawą nic wspólnego. – Vincent próbował poprawić się na łóżku. – Do niczego się nie przyznam. Cokolwiek uda wam się wygrzebać.

– Wiem, wiem. – Anton włożył rękę do kieszeni i wyjął zdjęcie, które ukradł Locatellemu. Położył je Vincentowi na piersi. – To z czasów świetności. Kiedy wszyscy byliście najpotężniejsi. Nie do ruszenia. *The golden days*, prawda?

Vincent zerknął szybko na zdjęcie i zrzucił je na podłogę.

– Nie chcę go oglądać.

– Pomyślałem, że zechcesz je zatrzymać.

– Nie chcę.

Anton schował zdjęcie do kieszeni. Cekał, aż Vincent zacznie

mówić. Czekał długo.

– Więc Wilhelm Martiniussen był dobrym człowiekiem? – spytał nagle.

– Tak. Jak najbardziej.

– Szkoda.

– Nic mi nie powiesz?

– Nie muszę – Vincent pociągnął nosem. – Odpowiedź masz w kieszeni. *The golden days*.

Anton znów wyjął zdjęcie. Przyglądał się uważnie mężczyznom w garniturach. Wszyscy uśmiechali się do fotografa, unosząc wysoko kieliszki. Spojrzał na Vincenta.

– Przypatrz się dokładnie – powiedział Vincent schrypniętym głosem. – Wyjaśnienie twojej zagadki jest na tym zdjęciu. Nic więcej nie mogę ci niestety powiedzieć.

PORUCZNIK odsunął na bok telefon satelitarny.

– Musisz kupić nowy – powiedział. – Ten trzeszczy.

– Przyjrzę mu się – powiedział Adam, kładąc telefon na kolanach.

– Czego chciał?

– McGordon?

– Tak.

– Z jakiegoś powodu zależy mi, żebyś pomógł temu mafiosowi, o którym rozpisują się gazety, wydostać się z Norwegii. Coś mi mówi, że tym razem zleceniodawcą nie jest CIA, ale nie zamierzam w to wnikać.

– Podejmiemy się tego?

– McGordon i media twierdzą, że Giordano właśnie wybudził się ze śpiączki. Mamy mało czasu. Pewnie wkrótce będą chcieli go przenieść do celi, do więzienia. To gruba ryba, dobrze go przypilnują. Przypuszczam, że wszystko będzie się odbywać w tajemnicy. Nawet w szeregach policji.

– A jeśli zgarniemy go ze szpitala?

Porucznik zmarszczył nos i pokręcił głową.

– Nie. Prawdę mówiąc, nie zgodziłbym się na to, gdyby w sprawę nie był zamieszany nasz drogi inspektor Lange. Ten fakt musimy wykorzystać. Zamiast szukać najślabszego ogniwa użyjemy jego.

– Nigdy się na to nie zgodzi.

Policzki Porucznika się zaokrągliły. Uśmiechnął się.

– Dobrowolnie na pewno nie. I na pewno nie od razu. Ale z czasem okaże się chętny do współpracy. Ściągnij go tu. I przejedź się do Sarpsborga. Potrzebuję nagrania z monitoringu.

ANTON BREKKE siedział rozparty w fotelu Haugena niczym stary szeryf, z nogami na biurku. Studiował wnikliwie powiększenie zdjęcia, które zabrał z domu Calogera Locatello. Przyjrzyj się dokładnie. Wyjaśnienie zagadki jest na tym zdjęciu. Nic więcej nie mogę ci niestety powiedzieć.

Anton spojrział na zegarek. Piętnaście po dwunastej. Za godzinę i trzy kwadransy na komendzie miała się odbyć kolejna odprawa, a potem konferencja prasowa. W „VG” na pierwszej stronie wybito dużymi literami: PŁATNY ZABÓJCA MAFII WYBUDZIŁ SIĘ ZE ŚPIĄCZKI.

Martine Rieck uśmiechnęła się do niego od progu.

– Cześć – powiedziała. Weszła i elegancko usiadła na krześle. – Oskarżenie Vincenta Giordano jest gotowe. Chcesz na nie spojrzeć?

– Może później – rzucił Anton, nie odrywając wzroku od zdjęcia.

– Masz coś ciekawego?

– Podobno. – Podniósł głowę i spojrział na nią: – Kolacja?

– Nie poddajesz się – powiedziała i roześmiała się.

– Tym razem żartowałem. Niestety nie mam czasu cieszyć się życiem, jak wiesz, teraz... – Urwał i spuścił wzrok.

– Nie masz czasu? Szkoda. Bo na dzisiaj nie mam żadnych planów – powiedziała, kierując się do drzwi.

– No to żałuj, bo wiesz, że facet taki jak ja...

– Że facet taki jak ty prosi tylko raz? – powiedziała i uśmiechnęła się do niego.

– Zgadza się – przytaknął. Strzepnął z ramion niewidoczne pyłki kurzu i uśmiechnął się, pewny siebie. – Zobaczymy się na naradzie.

Zmienił pozycję. Zdjął nogi z biurka. Powiększone zdjęcie wciąż leżało na blacie. Nachylił się nad nim i znów zaczął się przyglądać. Wyjaśnienie zagadki masz na tym zdjęciu. *The golden days*. Pomasażował skronie. Próbował się skupić, ale nie na Vincencie

Giordano ani na Locatellim, tylko na pozostałych. Nie rozpoznawał żadnego z nich, z wyjątkiem tego po prawej. To mógł być Salvatore Conti – jeden z gangsterów, którzy zabili Tłustego Phila. Widział jego zdjęcie w teczkach Wilsona. Dlatego go rozpoznał. Ale to nie miało żadnego znaczenia. Wiedział, że Conti został zamordowany w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym dziewiątym. Próbował znaleźć jakąś niezadowoloną twarz, ale wszyscy się uśmiechali.

Usłyszał odgłos ciężkich butów i dzwonienie całego pęku kluczy. Ktoś szybko się zbliżał. Wszedł i zatrzymał się w progu.

– Dlaczego nie jesteś w domu i nie spisz? – spytał Anton, nie podnosząc głowy.

– Padam ze zmęczenia, ale chcę być tu z tobą – odrzekł Torp.

– Jesteś bardzo pracowity, Magnusie – powiedział Anton teatralnym tonem. – Zakładam, że mama jest z ciebie dumna.

– Tak. Jest. Co robisz?

Anton nie odpowiedział.

– Mogę spojrzeć?

– Oryginał jest tutaj. – Anton wskazał na koniec biurka.

Torp wziął do ręki zdjęcie i usiadł na krześle. Spojrzał na Antona i usiadł tak samo jak on.

– Nie wygląda na nowe.

– Nie, jest z sześćdziesiątego ósmego roku. Zrobiono je w restauracji w Nowym Jorku.

– Bjørn Danielsen twierdził, że nigdy nie był w Nowym Jorku.

– To prawda, tak mówił. Ale dlaczego teraz ci się to przypomniało?

Torp nachylił się nad biurkiem i wskazał palcem na Calogera Locatellogo.

– To chyba on?

– Nie – westchnął Anton. – To Calogero Locatelli. Przyjaciel naszego mafiosa ze szpitala.

– Więc gdzie on jest?

– Bjørn Danielsen?

Torp skinął głową.

– Dlaczego miałby być na tym zdjęciu? – zdziwił się Anton.

– Jego żona jest. – Torp przesunął palec na twarz kobiety stojącej obok Locatello, tuż za Vincentem Giordano. – Cholera, ładna była z niej laska w młodości. Pewnie poleciała na jego pieniądze.

Anton odsunął jego palec. Dotąd skupiał się jedynie na mężczyznach. Ledwie spojrzał na radośnie uśmiechnięte kobiety w pięknych sukniach. Żona Danielsena stała najbliżej aparatu. Długie brązowe włosy opadały jej na nagie ramiona. Prawą rękę trzymała na lewym ramieniu Vincenta. Miała na sobie czarną obcisłą sukienkę na wąskich ramiączkach.

– To na pewno ona. Jest podobna, prawda? Nie patrz na włosy, tylko na oczy i na pieprzyk przy ustach.

Anton zagryzł dolną wargę.

– Rzeczywiście, jest wyraźne podobieństwo. Załatw samochód. Po drodze zadzwonię do Haugena.

– ZDEJMIJ BUTY, młody człowieku – powiedział Adam. – Mery właśnie umyła podłogę.

Jego głos brzmiał stanowczo. Jak zawsze. Zachowywał się jak czterogwiazdkowy generał. Wysoki, postawny, o ostrych rysach. Głowa ogolona na łyso. Długo czekał na tę chwilę. Nie pamiętał, kiedy ostatnio był tak podniecony. Chyba kiedy jeszcze był dzieckiem.

Inspektor Lange spojrzał na niego.

– Nie każ mi się powtarzać – powiedział Adam.

– Wolałbym nie zdejmować butów – zaczął Lange.

– Rozumiem, ale czy chcesz, czy nie, i tak musisz je zdjąć.

– A jak nie zdejmę?

– To obetnę ci stopy.

Lange się roześmiał.

– Żartuj sobie, żartuj. Wiesz, że za coś takiego możesz trafić za kratki?

Baw się, dopóki możesz, pomyślał Adam. Uśmiechnął się do niego.

– Jestem tego świadom, ale nie utrudniamy sobie pracy. – Zerknął na zegarek. – Czas ucieka. Ani Porucznik, ani ja nie mamy go za dużo.

Lange niechętnie zdjął buty i poszedł za nim. Rozglądał się w nadziei, że może zobaczy gdzieś Mery. Już od jakiegoś czasu bawił się myślą, żeby pojechać do Azji i znaleźć sobie żonę. Miał dosyć norweskich kobiet myślących tylko o własnej karierze. Martine Rieck. Owszem, była ładna, ale wątpił, żeby była w stanie zrobić coś więcej niż włożyć mrożoną pizzę do piekarnika. W każdym razie jej siostra okazała się całkowicie bezużyteczna.

– Gdzie jest ta śliczna Azjatka? – spytał.

– Wyszła – rzucił krótko Adam.

Wiszący na ścianie pięćdziesięciocalowy monitor rzucał niebieskie

światło. Drugi był wyłączony. Tym razem gabinet był dobrze oświetlony. Reflektorki na suficie oświetlały ciemne ściany. Lampa stojąca na podłodze rzucała snop światła na szklaną kulę, w której gigantyczne mityczne drzewo Odyna, Yggdrasil, rozpościerało gałęzie nad trzema światami nordyckiej mitologii. Na szczycie kuli rozciągał się błękitny nieboskłon. Porucznik podjechał na wózku do biurka. Kołnierzyk jego białej koszuli był rozpięty. Gdyby nie zniszczona, poorana bliznami twarz, wyglądałby jak każdy inny dyrektor.

– Niech pan usiądzie – rozkazał.

– Aż tyle czasu nam to zajmie? – Lange uśmiechnął się drwiąco.

– Nie, ale wiem, że ma pan psychikę dwunastolatka, a to, co panu zaraz powiem, na pewno się panu nie spodoba.

Adam zamknął drzwi i usiadł na krześle obok Langego.

– O co chodzi? – spytał Lange podejrzliwie. Spojrzał na Adama:
– Mówiłeś, że powinien przyjść, że to w moim interesie.

– To prawda – potwierdził Porucznik. – Vincent Giordano.

Lange się uśmiechnął.

– A więc jednak. Masz dla mnie jakieś wieści? Przyznaję, że jestem zaskoczony, Peter. Słucham.

– Do którego aresztu trafi?

– Nie mam pojęcia. A o co chodzi?

– Kiedy zostanie przeniesiony?

– Nie wiem. Zakładam, że jak tylko jego stan się poprawi. Do czego zmierzasz?

– Ma pan być obecny podczas transportu.

– Nie wiem, czy będę.

– To nie było pytanie, inspektorze.

– Co, do diabła...

Porucznik spojrzał na niego.

– Niech pan się zamknie i słucha mnie uważnie. Rozumiemy się?

Lange spojrzał najpierw na Adama, potem na niego. Miał wrażenie, że serce za chwilę wyskoczy mu z piersi. Czuł, że ma mokre plamy pod pachami i na plecach.

– Niech pan się tak nie denerwuje, inspektorze. Jest pan policjantem. Taki inwalida jak ja nie jest chyba w stanie pana wystraszyć?

Lange wiedział, że Adam cały czas na niego patrzy. Uśmiechał się pod nosem.

– Opowiem szybko, na czym będzie polegać pańskie zadanie.

– Moje zadanie?!

– Vincent Giordano nigdy nie dotrze do celi. Wyjedzie z kraju. Wiem, że niejednym raz zastanawiał się pan, z czego żyję. Teraz już pan wie. Rozwiążuję problemy. – Porucznik położył prawą rękę na biurku. – Pańskie zadanie nie jest trudne. Przekáže mi pan po prostu wszystko, czego się pan dowie na temat transportu Vincenta Giordano ze szpitala do więzienia. Ilu policjantów będzie uczestniczyć w akcji, kiedy dokładnie to się stanie, jaką trasą pojedzie i tak dalej. Rozumiem, że będzie chroniony bardziej niż każdy inny podejrzany, dlatego muszę sięgnąć po pomoc kogoś tak żalotnego jak pan. Skoro to właśnie pan w tym uczestniczy.

Lange otworzył usta, chciał coś powiedzieć. Porucznik powstrzymał go gestem.

– Jeszcze nie skończyłem. Kiedy przekáže mi pan te informacje, dopilnuję, żeby dalej wszystko potoczyło się bez problemów. Adam – skinął głową w stronę kolegi z wojska – z kilkoma innymi ludźmi uwolni go podczas transportu. A najlepsze w tym wszystkim jest to, że właśnie Adam przystawi panu pistolet do głowy i każe pójść ze sobą.

Lange wstał, był w szoku.

– Chyba nie mówisz tego serio? Mogę was obu aresztować. W tym momencie.

– Owszem, może pan, inspektorze. Ale czy naprawdę sądzi pan, że wybrałem pana przypadkowo?

Adam wstał. Był o głowę wyższy od Langego.

– Nie ruszać się! – krzyknął Lange i zaczął szukać kajdanek.

Adam spojrzał na Langego i ledwie zauważalnie skinął głową. Błyskawicznym ruchem położył mu dłoń na karku. Ucisnął trzy

wrażliwe punkty i Lange padł na podłogę, bezwładny jak worek. Adam złapał go pod pachy i posadził na krześle.

– Wy... wy chyba nie wiecie, co robicie – powiedział blady jak ściana Lange.

– Pierwszy raz, kiedy pan tu był. Pamięta pan?

Lange nie odpowiedział. Na jego twarzy malował się strach.

– Nieważne. Pańskie zachowanie było nie do przyjęcia. Zachowywał się pan odrażająco. Do tego stopnia, że chciałem nawet zakończyć pańską karierę. Bardzo szanuję policję i to, co robi, więc to, że nosi pan mundur, to ujma na honorze całej formacji. Zaraz zobaczy pan coś, czego zdobycie kosztowało mnie dużo pracy i pieniędzy. Prawdę mówiąc, to Adam zasugerował, że powinienem to zachować. Był przekonany, że pewnego dnia może się okazać przydatne. Adam?

Adam przeszedł przez gabinet, podszedł do odtwarzacza i wcisnął *play*.

– Niech się pan odwróci, inspektorze. – Porucznik wskazał na wiszący na ścianie plazmowy monitor. – I proszę uważnie patrzeć.

Niebieskie tło zniknęło, Lange zobaczył pokój. Niewielka dziupla. Jedynym meblem było wąskie łóżko z kutego żelaza. Na łóżku leżał nagi – o kilka lat młodszy – inspektor Erik Lange. Na nim leżała młoda dziewczyna, właściwie jeszcze dziecko, z krótkimi jasnymi włosami. Też była naga. Ręce Langego leżały na jej jeszcze dziecięcych biodrach. Odwrócił na chwilę twarz do kamery. Po chwili pokazała się twarz dziewczynki. Widać było jej przekrwione, przerażone oczy.

– Wystarczy – rzucił Porucznik.

Adam, który cały czas stał plecami do ekranu, schylił się i wyjął płytę z odtwarzacza.

– Najbardziej na świecie miałbym ochotę pana wykastrować. A potem nabić pana głowę na pał.

Lange milczał. Stał twarzą do Porucznika. Oczy miał zamknięte.

– Jeśli jednak zrobi pan to, o co prosiłem, obiecuję, że nikt nigdy nie zobaczy tego obrzydliwego nagrania.

– Co się ze mną stanie? – spytał Lange łamiącym się głosem. Ukrył twarz w dłoniach.

– Wyjedzie pan z kraju. I nigdy nie wróci. Będę cały czas śledził pańskie poczynania. Jeśli się dowiem, że nadal napastuje pan dzieci, dopilnuję, żeby Adam osobiście odciął panu jaja. Rozumiemy się?

– Tak – powiedział Lange cicho. – Dokąd mnie zabierzecie?

– Jeszcze nie zdecydowałem. Ale jedno jest pewne: Pattaya nie wchodzi w grę.

EVA DANIELSEN ostatnio spała tak długo, kiedy była nastolatką.

Popołudnie i wieczór spędzili w kancelarii adwokata Kurta Skjolda. Jeszcze raz przeczytali razem testament Wilhelma i w końcu procedura została uruchomiona.

Wstała z łóżka. Wzięła szybki prysznic, włożyła obciste białe spodnie od dresu i biały T-shirt, umalowała się i polakierowała paznokcie. Cicho zeszła na dół i zatrzymała się na progu gabinetu męża. Ledwie było go widać zza sterty papierów. Tęskniła za tym widokiem. Znów wszystko było jak dawniej. Miał na sobie koszulę i krawat. Był świeżo ogolony. Uczesany. Wyglądał jak szef. Nie wierny piesek Wilhelma Martiniussena. Szef. Który podejmuje decyzje. Człowiek, który osiągnął szczyt.

Weszła do gabinetu. Przeciągnęła palcem po półce z książkami, żeby sprawdzić, czy litewska sprzątaczką wszystko dokładnie odkurzyła.

Wszystko błyszczało.

Zatrzymała się przy dużym oknie wychodzącym na ogród. Fontanna. Prezent od Wilhelma tryskał wodą, jakby nic się nie stało. Cholerna fontanna, pomyślała. Powinien był dać im coś naprawdę wartościowego. Ile taka fontanna mogła kosztować? Sto pięćdziesiąt tysięcy? Góra dwieście. Sknera. Przeszła przez nagrzaną marmurową podłogę i weszła do kuchni. Wzięła dwa banany, małą filiżankę jagód i trochę jogurtu i włożyła wszystko do blendera. Nastawiła na najwyższe obroty. Wlała gotowy napój do wąskiej szklanki i usiadła na krześle przy kuchennej wyspie. Bjørn przyniósł już pocztę. Obok patery na owoce leżało kilka białych kopert. I jedna beżowa. Spojrzała na nią: Eva Cathrin Danielsen, Øvre Allé 3, 1613 Fredrikstad, Norway.

Powąchała kopertę. Jej stara ciotka zawsze używała

perfumowanych kopert. Uśmiechnęła się. Podziwiała starszą panią. Była dla niej bardziej matką niż ciotką. To ona się nią zajęła po śmierci jej rodziców. To ona po zażartej dyskusji zgodziła się w końcu, żeby pojechała na studia artystyczne do Nowego Jorku. To w jej ramionach szukała pocieszenia, kiedy pewnego zimnego lutowego wieczoru wróciła do domu z Nowego Jorku – na dobre.

Ciotka pisała, że coś jest nie tak z ich telefonem. Kiedy w zeszłym tygodniu próbowała się do nich dodzwonić, jakiś nagrany na taśmę głos powiedział, że numer nie jest już w użyciu. A na Internecie starsza pani się nie знаła. Zakończyła swój krótki list tak: Cathy, proszę, skontaktuj się ze mną, bo się na ciebie pogniewam. Pozdrawiam cię, ciotka Maud.

Eva usiłowała jej kiedyś wytłumaczyć, że ich nowy szerokopasmowy telefon nie zawsze działa, ale zawsze może zadzwonić do niej na komórkę, lecz ciotka, która skończyła już dziewięćdziesiąt lat, nie chciała o tym słyszeć.

Wypiła napój i wróciła do gabinetu męża.

Nawet jej nie zauważył. Poprawił okulary. Mrużąc oczy, wpatrywał się w ekran i popijał kawę.

- Witaj, kochany – powiedziała i uśmiechnęła się do niego.
- Dzień dobry... – odpowiedział, nie odrywając wzroku od ekranu.
- Dobrze spałaś?
- Tak. Dawno cię nie widziałam w tak dobrej formie.
- Nie odpowiedział.
- Dostałam list od ciotki Maud. Pewnie widziałeś...
- Tak.
- Starzeje się. Próbowaliśmy się do nas dodzwonić w zeszłym tygodniu, ale telefon padł, więc napisała list.
- Wspaniała starsza pani – wymruczał pod nosem.
- To prawda. Co robisz?
- Przeglądam projekt kanadyjski.
- To jeszcze konieczne? – spytała, kładąc ręce na biodrach.
- Rozumiem, że wszystko wkrótce ruszy. Czy się mylę?
- Zarząd się zgadza, ale ja mam wątpliwości. – Podniósł głowę

i spojrzął na nią. – Wilhelm by tego nie chciał.

– Kochanie, teraz ty tu jesteś szefem. Wilhelm obarczył cię całą odpowiedzialnością, bo wiedział, że zawsze będziesz działał na korzyść firmy. Pamiętaj, że chciał się z tego wycofać, ale tylko on, osobiście. Nie jako firma.

Bjørn się uśmiechnął.

– Dziękuję, że mi przypomniałaś. Jakie masz plany na dzisiaj?

– Pomyślałam, że pojedę obejrzeć nowy samochód.

– Co? – Bjørn zdjął okulary. – Twój lexus nie ma jeszcze roku.

– Ale coś w nim skrzypi. No i znudził mi się czarny kolor.

– Znudził ci się kolor? Daj spokój. Zadzwoń do warsztatu.

– Chciałabym mieć nowy samochód – powiedziała Eva i posłała mu uwodzicielskie spojrzenie. – Proszę...

Twarz Bjørna złagodniała.

– Wiesz, że nie potrafię ci odmówić, kiedy tak na mnie patrzysz. Ale nie chciałbym, żebyś nagle zaczęła szastać pieniędzmi bez opamiętania. Chciałbym, żeby pieniądze Wilhelma poszły na cele, które były mu bliskie.

– Jak na przykład ochrona środowiska – powiedziała Eva i uśmiechnęła się. – Może zapiszesz się do Greenpeace?

– Mówię poważnie, Eva. To nie jest temat do żartów.

– Po prostu trochę się z tobą droczę.

– Ale wiesz, o co mi chodzi. Nie zamierzam wydawać pieniędzy Wilhelma na zaspokojenie naszych, głównie twoich, luksusowych potrzeb.

– Oczywiście, kochanie. Więc co z tym samochodem?

– Dobrze, kup sobie nowy. Ale przy okazji podjedź do kwiaciarni i zamów wieniec na pogrzeb.

Eva posłała mu całusa.

– Nie ma lepszego męża od ciebie.

Bjørn też posłał jej całusa, włożył okulary i znów spojrzął na ekran.

– A właśnie, byłbym zapomniat. Obudził się – powiedział.

– Kto?

– Ten mafioso. Ten, którego policja podejrzewa o zabicie

Wilhelma.

– Skąd wiesz? – spytała Eva. Nagle spoważniała.

– Z gazety. Leży na stoliku w salonie. Z jednej strony się cieszę, z drugiej wolałbym, żeby smażył się w piekle. Mam nadzieję, że w końcu coś się wyjaśni. – Schylił się i zaczął czegoś szukać w teczce.
– Eva, możesz pójść na górę i przynieść mi zieloną teczkę z dokumentami? Leży na moim nocnym stoliku.

Żadnej odpowiedzi.

– Eva? – powtórzył i podniósł głowę.

Evy nie było.

STUDENT WYŻSZEJ SZKOŁY POLICYJNEJ MAGNUS TORP zaparkował tuż przed bentleyem Bjørna Danielsena przed budynkiem przy Øvre Allé 3.

– Zdejmuj tę pelerynę, Torp. Serio – powiedział Anton.
– Wyglądasz w niej jak nastolatek.

– Według regulaminu to część munduru, więc...

– Znam regulamin, co nie zmienia faktu, że wyglądasz w niej jak nieśmiały chłopczyk. – Anton uszczypnął go w policzek. – No, już dobrze. A teraz dowiedzmy się, co ta kobieta przed nami ukrywa.

Torp zostawił pelerynę w samochodzie i ruszył – dwa kroki za Antonem – przez wybrukowany dziedziniec.

Drzwi były szeroko otwarte.

– Halo?! – zawołał Anton. – Policja.

Bjørn Danielsen zszedł po schodach ze swojego gabinetu na piętrze.

– Przepraszam, nie usłyszałem pukania – powiedział. – Proszę, niech panowie wejdą. Jakieś nowe wieści? Poza tym, że szalenciec wybudził się ze śpiączki.

Poszli za nim do kuchni. Szklanka po smoothie nadal stała na blacie obok najnowszego wydania gazety. I małej kamiennej figurki mężczyzny. Zwykle używano jej jako stojaka na noże. Noże wystawały z rąk i nóg – w sumie cztery. Piąty powinien tkwić w piersi kamiennego mężczyzny.

Bjørn Danielsen zaproponował kawę lub coś innego do picia. Obaj odmówili. Bjørn wziął szklankę, wypłukał ją i wstawił do zmywarki.

– Co teraz? Powiedział, dlaczego to zrobił? – spytał.

– Na razie jeszcze nie – odpowiedział Anton i wyjął z kieszeni zdjęcie, które, jak zakładał, przedstawiało między innymi młodą Evę Danielsen. – Rozpoznaje pan tu kogoś?

Danielsen oczywiście natychmiast rozpoznał żonę.

– Była wtedy bardzo młoda. I piękna, prawda?

– Bardzo – przytaknął Torp.

Anton się odwrócił. Chciał mu dać do zrozumienia, że ma się zamknąć.

– Rozpoznaje pan kogoś z mężczyzn? – spytał.

Danielsen przyjrzał się twarzom mężczyzn. Uważnie wpatrywał się w każdą po kolei.

– Nie, raczej nie. A dlaczego pan pyta?

– Mężczyzna stojący przed pańską żoną?

Chwila milczenia.

– Tak, co z nim? – spytał Danielsen, zerkając na niego. – To stare zdjęcie. Wtedy jej jeszcze nie znałem. Miała chyba niespełna dwadzieścia lat.

– Zrobiono je w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym ósmym. W Nowym Jorku.

– To niemożliwe. Eva nigdy nie była w Nowym Jorku.

– Jest teraz w domu?

Danielsen pokręcił głową.

– Nie, miała kilka spraw do załatwienia. Ale za godzinę powinna być z powrotem. Możecie poczekać.

– Wie pan, gdzie jest?

– Miała... – Danielsen urwał. Nie chciał mówić o tym, że w takiej chwili pojechała obejrzeć nowy samochód. – No właśnie, co ona miała zrobić? Kwiaty. Tak, miała zamówić wieniec na pogrzeb Wilhelma.

– Rozumiem. A wracając do zdjęcia... twierdzi pan, że pańska żona nigdy nie była w Nowym Jorku?

– Ja w każdym razie nic o tym nie wiem. Mogę spojrzeć jeszcze raz?

– Wziął od Antona zdjęcie. – Na pewno zostało zrobione w Nowym Jorku?

– Tak.

– Dziwne.

– Ile lat miała w sześćdziesiątym ósmym?

– Urodziła się w ... – Danielsen uniósł brwi, potem jeszcze raz. Liczył w myślach. – Miała wtedy osiemnaście lat.

– I nie wie pan, co wtedy robiła?

– Może to dziwne, szczególnie w tej sytuacji, ale nigdy mi nie mówiła, co robiła we wczesnej młodości. Oczywiście pytałem ją o to, ale zawsze mnie zbywała. Jakby unikała tematu. – Dotknął swoich włosów. – Wiem, że studiowała sztukę, kocha sztukę, ale w młodości... Chociaż zaraz, wiem. Mieszkała u ciotki w Londynie. Bardzo wczesnie straciła rodziców. Biedaczka. Zginęli w wypadku samochodowym, więc ciotka wzięła ją do siebie. O ile dobrze pamiętam, mieszkała u niej do dwudziestego roku życia. Potem wróciła do Norwegii.

– Czy jest możliwe, że w czasie kiedy mieszkała w Londynie, wyjechała na jakiś czas do Nowego Jorku?

– Byłoby to bardzo dziwne, bo nigdy mi o tym nie wspominała.

– Rozumiem – powiedział Anton i pokiwał głową. – Ale proszę, niech pan spojrzy na tego mężczyznę. Położyła mu rękę na ramieniu. To Vincent Giordano.

– Tak?

– Człowiek, którego podejrzewamy o zamordowanie Wilhelma Martiniussena.

Danielsen zeszywniał. Jakby go ktoś trafił pięścią w żołądek. Patrzył to na Antona, to na Torpa, to na zdjęcie sprzed lat. Czy dlatego nigdy mu nie opowiadała o tym okresie swojego życia? Bo zadawała się wtedy z tym szaleńcem? Nie. Przecież ją znał. To nie mogła być jego Eva.

– Nic z tego nie rozumiem – wydukał.

Sięgnął po stojący na blacie telefon i wybrał numer jej komórki.

– Nie odbiera – powiedział po chwili. – Twierdzą, że zna zabójcę?
– W jego głosie pobrzmiwała panika.

– Na to wygląda. Dlatego chcieliśmy z nią porozmawiać
– powiedział Anton i poklepał go po ramieniu.

– Nie, to niemożliwe. Skąd miałyby znać takich ludzi?

– Może to wszystko to nieporozumienie – skłamał Anton.

– Zaczekamy, aż wróci, i wtedy wszystko się wyjaśni.

Przeszli do sąsiedniego pokoju. Danielsen siadł zrezygnowany na kanapie. Torp na krześle naprzeciwko niego. Anton stał pośrodku pokoju. Zrozumiał, że Danielsen raczej nie wiedział, że jego żona знаła Vincenta Giordano.

– Nie mogę w to uwierzyć. Muszę jeszcze raz spojrzeć na to zdjęcie.

Anton podał zdjęcie Torpowi, a on położył je na stole. Na podłodze obok stolika leżała otwarta gazeta. Nawet z daleka widział, na jakich stronach jest otwarta: na dwóch środkowych, z artykułem o tym, że morderca wybudził się ze śpiączki. I z dużym zdjęciem szpitala we Fredrikstad. Ktoś najwyraźniej czytał gazetę i nagle ją rzucił. Gdyby leżała na stole, prawdopodobnie w ogóle nie zwróciliby na nią uwagi, ale leżała na podłodze, w pokoju, w którym panował idealny porządek. Ktoś, kto ją czytał, po prostu nagle puścił wszystko, co miał w rękach. Przypomniał sobie, że kiedy przyjechali, drzwi były otwarte na oścież.

– Torp! – zawołał, wracając do kuchni. – Podejdź tu.

– Co się dzieje? – spytał Danielsen zrozpaczony. – Nie zaczekacie na nią?

Anton zatrzymał się i spojrzał na niego.

– Niech pan jedzie z nami – rzucił.

Ruszyli biegiem przez korytarz, a potem przez dziedziniec.

– Do szpitala – powiedział Anton, wsiadając do mondeo. – Szybko.

– Do szpitala? Co się stało? – spytał Torp, przekręcając kluczyk w stacyjce.

– Jedź, do cholery! – warknął Anton.

– Boże drogi, dobrze. – Torp dodał gazu. – Dlaczego do szpitala? Co się dzieje?

– Podejrzewam, że Eva Danielsen może tam być – wyszeptał Anton. – I raczej nie poszła tam z kwiatami. – Spojrzał na Torpa, który znów zarzucił na ramiona pelerynę. – Jedziesz jak ksiądz. Dodaj gazu. I włącz koguta.

SPRAWDZAŁA JUŻ DWA RAZY, ale czuła, że musi sprawdzić jeszcze raz. Przecież mógł jej wypaść. Szybko zajrzała do torebki. Był. Szła dalej. Minęła taksówki, weszła głównym wejściem. Przeszła obok informacji i weszła do holu. Mijały ją ubrane na biało i zielono pielęgniarki. Zatrzymała się. Odwróciła się i spojrzała na drzwi. Jeszcze nie było za późno. Jeszcze mogła zawrócić. I żyć dalej, wiecznie oglądając się za siebie. Brać tabletki na uspokojenie. I umrzeć w samotności. Wiedziała, do czego ci ludzie są zdolni. Nie raz była tego świadkiem. Ten szalenciec pociągał za spust równie łatwo, jak ona włączała blender. Żałowała, że nie zadała mu więcej ciosów. Albo nie przejechała go samochodem. Mogła zrobić cokolwiek. Teraz już nie mogła zawrócić. Nie mogła zniknąć. Co by powiedział Bjørn, gdyby nie wróciła? Albo gdyby Vincent powiedział policji, co się stało? Bo dlaczego teraz miałyby ją chronić? Bjørn by sobie z tym nie poradził. Nie teraz, nie w tych okolicznościach. Może gdyby Wilhelm żył... Tak, musi to zrobić dla niego.

Tak jak załatwiła sprawę z Wilhelmem. Dla niego.

– Weź się w garść – powiedziała głośno sama do siebie. Ruszyła przed siebie, przeszła kilka metrów i znów się zatrzymała. Gdzie on jest? Gdzie, do cholery, jest oddział śpiączki czy gdzie on tam leży?

Wróciła do głównego wejścia i podeszła do informacji. Siedząca za szybą kobieta w niechlujnym makijażu i z kwaśną miną podniosła głowę i spojrzała na nią.

– Tak?

– Chciałabym odwiedzić Vincenta Giordano – powiedziała Eva i przeliterowała nazwisko.

Grube palce recepcjonistki poruszały się wolno po klawiaturze. Przez zsunięte na czubek nosa okulary wpatrywała się w monitor.

– Przykro mi, ale nie mamy pacjenta o tym imieniu i nazwisku.

– Na pewno? Może pani sprawdzić jeszcze raz?

Kobieta westchnęła. Sprawdziła jeszcze raz.

– Przykro mi.

– Na pewno tu jest. Gdzie leżą pacjenci w śpiączce?

– Musi pani podać imię i nazwisko pacjenta.

Jej wąskie fioletowe usta wykrzywiły się w fałszywym uśmiechu.

– Wybudził się wczoraj ze śpiączki! – krzyknęła Eva z wściekłością.

– Naprawdę tak trudno go znaleźć?

– Proszę sprawdzić na oddziale intensywnej terapii. Może źle nam podano jego nazwisko. Proszę iść holem do końca, a potem pojechać windą na trzecie piętro. Do widzenia.

– Dziękuję – powiedziała Eva i również się uśmiechnęła, fałszywie.

Znow zająrzała do torebki. Nadal tam był.

Minęła stojące w holu krzesła. Dwie młode matki siedziały i mówiły coś do swoich nowo narodzonych dzieci. Jedna miała niemowlę na rękach, drugie leżało w maleńkiej kołysce obwiązanej niebieską kokardą. Westchnęła. Oddałaby wszystko, żeby jej też było to dane.

Szybkim krokiem weszła do niewielkiego kiosku. Sięgnęła na najwyższą półkę po pudełko czekoladek. Zapłaciła gotówką, włożyła pudełko pod pachę i podeszła do windy.

Dał się słyszeć cichy szum i niebieskie drzwi się rozsunęły. Coś zatrzeszczało. Najwyraźniej wymagały smarowania. Weszła i zobaczyła potężny tors. Zachwiała się lekko. Niebieska koszula. Czarny krawat. Mosiężne guziki. I zwinięty w spiralę kabel od walkietalki ciągnący się od pasa do ramienia. Spojrzała w dół. W kaburze mężczyzna miał pistolet. Jego potężne uda opinał czarny materiał. Nogawki kończyły się na dole paskiem w szachownicę. Ciężkie buty. Powoli podniosła głowę i zobaczyła gładko ogoloną twarz. Mężczyzna skinął jej uprzejmie głową i wyszedł. Odetchnęła z ulgą i wystawiła głowę na zewnątrz. Potężnie zbudowany policjant kierował się w stronę stołówki.

Wróciły wspomnienia z zimnej grudniowej nocy w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym ósmym. Nerwy. I policjant, który zjawił się nagle, znikąd. Menico Bagarello leżał martwy na śniegu.

Pomyślała o Vincencie. Teraz miała nad nim przewagę. A co najważniejsze: tym razem nie był uzbrojony.

Tylko on o niej wiedział. Musiał umrzeć. Zasłużył na śmierć.

Wcisnęła przycisk. Trzecie piętro. Jak tylko winda ruszyła, otworzyła torebkę. Rozsunęła zamek tak, żeby móc bez przeszkód sięgnąć po nóż, żeby nie musieć otwierać torebki do końca.

Winda się zatrzymała. Znowu usłyszała cichy szum i drzwi się rozsunęły. Uderzyło ją wilgotne, duszne powietrze.

Na korytarzu oddziału intensywnej terapii panowała cisza. Zaczerpnęła powietrza. Nie słyszała żadnych głosów, żadnych dźwięków. Żadnego odgłosu kroków, nikt nie szedł w jej kierunku. Spojrzała na szerokie szklane drzwi dzielące ją od oddziału. Nikogo nie widziała. Chwyliła mocniej za klamkę i otworzyła drzwi. Nasłuchiwała. Wszędzie panowała cisza. Nic nie słyszała. Żadnych głosów, kroków.

Wyglądało na to, że nikt jej nie przeszkodzi. Spojrzała na pudełko. Po co kupiła te cholerne czekoladki? Kto przychodzi odwiedzić pacjenta na OIOM-ie z czymś takim? Zostawiła pudełko pod ścianą i pewnym krokiem ruszyła korytarzem. Nie wolno jej się wahać. Gdyby ktoś się zjawił, mógłby ją zatrzymać i spytać, co tam robi. Nie może się wahać. Przyspieszyła. Uniosła wysoko głowę. Po chwili ją opuściła. Jakby szła zamyślona. Z jednej z sal wybiegł pielęgniarz, kierował się prosto na nią. Odwróciła głowę. Nie chciała, żeby ich spojrzenia się spotkały. Powinna unikać wzroku innych. Nie zwracaj na siebie uwagi, pomyślała. Nie zwracaj na siebie uwagi. Pielęgniarz przebiegł obok niej i wbiegł do sali. Zniknął za drzwiami i na korytarzu znowu zapanowała cisza. Eva obejrzała się za siebie, przyspieszyła.

Zatrzymała się przed dyżurką. Jakiś pielęgniarz siedział plecami do niej, wypełniał kartę pacjenta. Gdzie tablica? Zwykle wiszą na ścianie w dyżurce. Tak przynajmniej było w czasach jej młodości. Na ścianie powinna wisieć tablica, na której byłoby wypisane, kto się zajmuje którym pacjentem. Ale tablicy nie było. Zagryzła nerwowo policzek i szybkim krokiem ruszyła dalej.

Na końcu korytarza, przed ostatnim pokojem, na krześle wisiła czarna skórzana kurtka. Na plecach dużymi literami napisano: POLICJA. Przypomniał jej się policjant w windzie. Miał na sobie tylko niebieską koszulę. To musiała być jego kurtka.

Uchyliła drzwi. Człowiek leżący na łóżku spał. Wślizgnęła się do środka i ostrożnie zamknęła za sobą drzwi.

Klatka piersiowa mężczyzny unosiła się powoli i opadała. Słyszała jego ciężki oddech. Jak żałośnie teraz wyglądasz, pomyślała.

– Czekałem na ciebie, Cathy – odezwał się, nie otwierając oczu.
– Jestem pod wrażeniem. Ten Martiniussen chyba jednak nie był kapusiem, prawda?

Eva milczała. Stała i patrzyła na niego. Lekkim krokiem podeszła bliżej. Odsunęła stojące obok łóżka krzesło, usiadła i położyła torebkę na kolanach.

Mężczyzna otworzył oczy i spojrzał na nią.

– Prawdę mówiąc, zdziwiłem się. Ale...

– Dlaczego się zdziwiłeś, Vincent? – Głos miała spokojny. Nagle poczuła się odprężona.

– Zdziwiłem się, kiedy nagle, po tylu latach, skontaktowałaś się ze mną, żeby mi powiedzieć, że wiesz, gdzie ukrywa się człowiek, który na mnie doniósł. Miałem wątpliwości. Potężne wątpliwości, ale kiedy powtórzyłaś słowo w słowo, o czym rozmawialiśmy, ja i ten bydlak, Menico Bagarello... Jakaś część mnie łudziła się, że to jednak prawda. Kiedy zaatakowałem Martiniussena... Pamiętam jego twarz... Myślę, że gdybym wtedy dał mu szansę, żeby się wytłumaczył, tobym mu uwierzył. I zrozumiałbym, że zostałem wmanewrowany. A dzisiaj w nocy zrozumiałem, jak to się stało.

– Tak?

– Tak. – Vincent pociągnął nosem. – Tamtej nocy poszłaś za mną. Dlatego mogłaś mi opowiedzieć o rzeczach, o których nie wspomniano podczas rozprawy, o których nie pisała żadna gazeta. Ty tam byłaś, wszystko widziałaś i wszystko słyszałaś. I wykorzystałaś to przeciwko mnie. Do własnych celów. Chciałaś się pozbyć niewinnego człowieka. Dlatego mi powiedziałaś, że Martiniussen się

przed tobą otworzył. Że powiedział ci, że to on był kapusiem. Śledziłaś tę sprawę, prawda? Czytałaś gazety. Oglądałaś telewizję. Chciałaś się zemścić. Nie jesteś lepsza ode mnie, Cathy.

– Wiedziałam, że mi uwierzysz, Vincent. Jesteś mściwy.

– I ty to mówisz? – Vincent się roześmiał. – Chcesz mnie zabić...

Teraz. Ile lat już minęło?

– Czterdzieści.

– Czterdzieści cholernych lat.

– Jestem bezpłodna, Vincent. Wiesz, co to znaczy dla kobiety? Nie móc urodzić dziecka? Nie móc dać mężowi syna albo córki?

Vincent uniósł brwi.

– Dlaczego? – spytał.

Gdzieś z korytarza dobiegły głosy. Eva sięgnęła do torebki i spojrzała na drzwi. Czekala, aż wejdzie policjant. Patrzyła na dawnego kochanka. Posłał jej najdziwniejszy uśmiech, jaki kiedykolwiek widziała. Jakby chciał jej powiedzieć: niedługo będzie po wszystkim.

Głosy ucichły.

– Dlaczego? – powtórzył Vincent.

– Co dlaczego?

– Dlaczego akurat on. Co on ci zrobił?

– Stanął na drodze moim marzeniom. Jak ci wszyscy, których się pozbywałeś jednym pociągnięciem za spust.

Nie mógł się z nią nie zgodzić.

Wstała, wyjęła z torebki nóż z błyszczącej stali.

– Nie pierwszy raz podchodzisz do mnie z nożem, Cathy – powiedział Vincent. – Jesteś pewna, że to udźwigniesz? Uderzyć kogoś w głowę jest łatwiej. Zapewniam cię.

Nie odpowiedziała. Podeszła bliżej, cicho, niemal bezgłośnie.

– To początek końca, Cathy – ciągnął Vincent. – Rodzina Locatellich nie kiwnie dla ciebie palcem. A wiesz dlaczego? – spytał.

– Nic mnie to nie obchodzi.

Vincent bacznie ją obserwował. Wiedział, że w każdej chwili może użyć noża.

– Myślisz, że on długo pożyje, jeśli to zrobisz? – Zwilżył wargi, ale był spokojny. Bywał już w gorszych opatach. – Pomyśl o mężu. O jego rodzinie. O waszych przyjaciółach. I ich przyjaciółach. Wszyscy znikną, ot tak, po prostu. – Pstryknął palcem. – Ale ty będziesz żyć. Z wiecznym poczuciem winy. – Uśmiechnął się do niej wyzywająco. – Przekonajmy się, czy jesteś w stanie to zrobić. Zabij mnie, przeklęta dziwko.

Przyłożyła ostrze do jego szyi. Patrzyli na siebie. W jej oczach zobaczył siebie. Własny brak strachu. Do tej pory w nią wątpił. Teraz zrozumiał, że się mylił. Ostatnie myśli poświęcił małemu Angelo, który go uwielbiał. W jego oczach był najlepszym człowiekiem na świecie.

I nagle ostrze noża nie wydawało mu się już tak zimne.

Głosy umilkły.

Anton Brekke odsunął się od drzwi i dał sygnał uzbrojonemu policjantowi odpowiedzialnemu za bezpieczeństwo Vincenta Giordano.

– Policja z bronią! – krzyknął, otwierając szarpnięciem. – Nie ruszać się!

Eva się wzdrygnęła. Nagle zobaczyła, że ktoś celuje do niej z pistoletu. Anton zrobił krok w bok. Za nim stał Bjørn Danielsen. Obok dwóch lekarzy i pielęgniarka.

– Co ty robisz, kochanie? – powiedział Danielsen. Z oczu leciały mu łzy. – Nie pogarszaj sprawy. Proszę. Przejdziemy przez to.

– Zrobiłam to dla nas, Bjørn. Dla ciebie.

– Dla mnie?

– Zawsze tylko mu przytakiwałeś. Nigdy mu się nie sprzeciwiłeś. Nigdy. Pozwalałeś mu robić wszystko, co chciał. Wiem, jak musiałeś się czuć. Nawet nie wiesz, jak się ucieszyłam, kiedy rano zobaczyłam cię za biurkiem w gabinecie.

– On był szefem, Eva... – Danielsen wszedł do pokoju. Zrobił kilka kroków w jej kierunku. – Wilhelm był mądry. Pomyśl o wszystkim, co

dla nas zrobił. Wszystko, co mamy, zawdzięczamy jemu.

– Czy ty słyszysz, co mówisz? Zadowolaleś się okruchami z pańskiego stołu.

– Nigdy ci niczego nie brakowało.

– Nic nie rozumiesz.

Policjant zerknął kątem oka na Antona. Czekał na wyraźny sygnał.

– Eva – zaczął Anton ostrożnie. – Obok mnie stoi policjant gotowy do strzału. Ale jeszcze masz czas zmienić zdanie.

– Wiecie, co ten bydlak mi zrobił? – Eva podniosła głowę, spojrzała na Antona. – Zaszłam z nim w ciążę. Miałam osiemnaście lat. Osiemnaście! Chciałam urodzić to dziecko, ale on się nie zgodził. Wiecie, co mi zrobił? – Siedziała i płakała. – On i ten jego kumpel psychopata zawlekli mnie do jakiejś piwnicy, gdzie pijany konował wyskrobał mi dziecko. Wbrew mojej woli. To dlatego nie mogę mieć dzieci, Bjørn. Przez tego potwora.

Przycisnęła ostrze do szyi Vincenta, przecięła wierzchnią warstwę skóry. Vincent nawet nie mrugnął. Policjant chwycił mocniej rękęjęc pistoletu i znów spojrzał na Antona.

Anton skinął głową.

Policjant pociągnął za spust. Rozległ się huk. Kula trafiła Evę w ramię. Wzdrygnęła się. Upadła na podłogę. Do pokoju wbiegli lekarze i pielęgniarka. Eva była przytomna. Spojrzała na męża. Oczekiwała, że ją obejmie i powie, że wszystko będzie dobrze. Ale Danielsen stał bez ruchu, milczał. Odwrócił się i ze spuszczoną głową opuścił pokój.

– Odczytaj jej prawa, Torp – powiedział Anton.

– Ja?

– Pospiesz się, zanim zmienię zdanie. – Poklepał młodego stażystę po ramieniu. I uśmiechnął się. – Wykonałeś dzisiaj kawał dobrej roboty. Jeśli dalej będziesz się tak starał, to jest szansa, że skończysz studia.

*Czwartek, 25 czerwca
Park St. Hanshaugen, Oslo*

MINĄŁ TYDZIEŃ od wniesienia oskarżenia przeciwko Evie Danielsen. Zarzucono jej współudział w zabójstwie Wilhelma Martiniussena i usiłowanie zabójstwa Vincenta Giordano.

Cienka ścianka oddzielająca mieszkanie Antona od sąsiedniego cała aż się trzęsła. Było dobrze po północy, a impreza u sąsiadów trwała już od dobrych trzech godzin.

I'm starting with the man in the mirror, I'm asking him to change his ways – dochodziło zza ściany. Od czasu do czasu muzykę przerywały głośne krzyki i nawoływania. Anton uderzył pięścią w ścianę, rzucił jakieś przekleństwo.

I nic, żadnej reakcji.

Wyjął z mikrofalówki gulasz wołowy firmy Fjordland i usiadł na kanapie. Zerknął na ekran laptopa, który stał obok na stoliku. Zakończyłeś grę na siódmym miejscu – przeczytał. Cholera. Siódme miejsce. Przez cały turniej grał bezbłędnie. Pokonał tysiąc stu czterdziestu trzech graczy. Siedemset dolarów, które dostał za swoje siódme miejsce, było nędznym pocieszeniem. Za pierwsze dostałby sześć tysięcy. Dwa asy, które dostał w ostatnim rozdaniu, przebił dwoma królami jakiś kretyn z Finlandii. A przecież prowadził niemal do samego końca. Siódme miejsce. Przez chwilę zastanawiał się, czy po prostu nie usunąć aplikacji. Ale szybko porzucił ten pomysł. Kiedyś już próbował zrezygnować, ale po dwóch dniach zwykle wracał.

Skończył jeść i wyrzucił papierowy talerz do kosza na śmieci. Stał pod zlewem. Spojrzał na komórkę: cztery nieodebrane połączenia od Torpa. Wszystkie między dwudziestą trzecią a północą. Zerknął na zegarek, było już późno. A Torp lubił sobie pogadać, nawet jeśli

nie miał do przekazania nic ważnego. Zwykle opowiadał o tym, co się działo w pracy. No i zawsze pytał, czy Anton nie wybiera się do nich z wizytą.

Za ścianą leciało intro do *Billie Jean*. Z trudem przebił się przez nie dzwonek komórki. Anton spojrzął na wyświetlacz: Torp. Przeciągnął palcem wskazującym przez ekran. Położył komórkę na kanapie, wyświetlaczem do dołu. Włożył buty do biegania i wyszedł na korytarz.

Zaczął walić pięścią w drzwi sąsiadów. W końcu ktoś ściszył muzykę i otworzył drzwi.

W progu stał mężczyzna. Miał całkiem białą twarz. Długie, czarne kręcone włosy opadały mu na czoło. Na prawej dłoni miał białą rękawiczkę z cekinami. Anton słyszał, jak starsze panie na klatce rozmawiały o ekscentrycznym mężczyźnie w białej rękawicze. Były przekonane, że nosi ją, żeby nie pokazywać kurzajek. Jedna podobno nawet je widziała. Były wielkie jak moneta jednokoronowa.

– Tak? – spytał, patrząc na niego czerwonymi oczami.

– Tak? Wiesz, która jest godzina?

– Sorka, ale Król umarł.

Anton spojrzął na niego z niezbyt mądrą miną.

Sąsiad przeprosił jeszcze raz.

– Zaraz ściszę. W nocy leczę do Los Angeles.

– Tak?

– Lecimy całą grupą, jesteśmy w żałobie.

– Tak czy inaczej, albo coś zrobisz z tym hałasem, albo zadzwonię po samochód.

– Dzięki, ale zaraz podjedzie taksówka.

– Nie mówię o taksówce, tylko o karetce psychiatrycznej. O tej porze normalni ludzie śpią.

I wrócił do siebie.

Król umarł. Przypomniał sobie, co usłyszał. To chyba niemożliwe, pomyślał. Chociaż niby dlaczego? W ciągu dnia nie sprawdzał serwisów internetowych, wieczorem nie oglądał wiadomości. Był całkowicie pochłonięty turniejem pokerowym. Włączył telewizor,

nastawił na kanał informacyjny TV2. Potem przerzucił się na BBC, CNN, na szwedzkie TV4, potem wrócił do TV2. Na wszystkich kanałach pokazywano te same zdjęcia, zrobione ze śmigłowca krążącego nad szpitalem w Los Angeles. W dole, przed budynkiem, panował chaos.

Zdziwiony położył nogi na kanapie, podłożył sobie pod głowę poduszkę. Zaczął śledzić to, co się działo na ekranie. Lepsze to niż żeby miał od razu przegrać całą wygraną. Kiedy reporter po raz trzeci powtórzył to samo, ściszył dźwięk.

Z jednym okiem lekko przymkniętym wpatrywał się w obrazki. Ciągłe te same.

I nagle obraz się zmienił. Zobaczył radiowozy z włączonymi kogutami zaparkowane chaotycznie gdzieś w polu. I furgonetkę, i trzy mniejsze samochody, z których zostały tylko zmiażdżone karoserie. W prawym górnym rogu pokazało się zdjęcie Vincenta Giordano.

Otworzył szeroko oczy. Sięgnął po pilota i włączył dźwięk. Reporter mówiący dialektem z okolic Bergen mówił o „dużych siłach policyjnych uczestniczących w pogoni za zbiegłym więźniem i o ludziach, którzy pomogli mu w ucieczce”. Kamera pokazała dziennikarkę w studiu.

Dziennikarka w studiu: Czy potwierdzono, że wzięto zakładników?

Ekran podzielił się na dwie części. Po prawej pokazano zdjęcie spalonych samochodów.

Reporter: Podobno napastnicy wzięli zakładnika, jednego z policjantów, ale policja tego nie potwierdza. Według naszych źródeł chodzi o inspektora policji.

Dziennikarka w studiu: Czy podczas akcji ktoś został ranny?

Reporter: Nie. Zniszczono samochody wchodzące w skład konwoju, ale żaden z policjantów nie został ranny. Akcja była profesjonalnie zaplanowana. Jak przed chwilą powiedział komisarz, prawdopodobnie przez osoby z wojskową przeszłością. Użyto pistoletów maszynowych. Wszystko przeprowadzono z wojskową precyzją. Jeden ze świadków twierdzi, że kwadrans przed atakiem

widział śmigłowiec lecący nisko nad drzewami, nad granicą ze Szwecją.

Dziennikarka w studiu: Jakie kroki podejmie teraz policja?

Reporter: Przede wszystkim będzie próbować namierzyć Vincenta Giordano i tych, którzy pomogli mu w ucieczce. Potem będzie musiała ustalić, jak to się stało, że coś takiego w ogóle było możliwe.

Dziennikarka w studiu: Dziękuję za rozmowę.

Reporter zniknął z ekranu, zastąpiła go poważna twarz dziennikarki.

– Na drodze krajowej sto jedenaście doszło do akcji zbrojnej, podczas której uwolniono więźnia z chronionego konwoju. Co najmniej ośmiu mężczyzn uzbrojonych w pistolety maszynowe zaskoczyło policjantów i uprowadziło Vincenta Giordano, podejrzanego o zamordowanie przedsiębiorcy Wilhelma Martiniussena. Wozy policji zostały podpalone. Podobno jeden z policjantów został uprowadzony jako zakładnik.

W prawym górnym rogu ekranu pokazało się zdjęcie szpitala w Los Angeles.

– A teraz wracamy do wiadomości, która dzisiaj zszokowała świat: Michael Jackson nie żyje. Oddaję głos naszemu reporterowi w Los Angeles.

Od autora

Pytano mnie, czy któryś z bohaterów mojej książki ma odpowiednik w rzeczywistości. Odpowiedź brzmi: nie. Wszystkie postacie, od antypatycznego Erika Langego po poważnego Simona Haugena, zostały przeze mnie wymyślone. Jestem natomiast pewien, że w rzeczywistym świecie znalazłbym wielu młodych ludzi podobnych do studenta Wyższej Szkoły Policyjnej Magnusa Torpa. Co mnie cieszy, bo dobrych policjantów nigdy nie za dużo.

Chciałbym podziękować przede wszystkim Anicie Ødegård i mojej wyroczni, Mortenowi Raasomfaa Linstadowi, który sokolim wzrokiem sprawdził maszynopis i podrzucił mi wiele ciekawych pomysłów.

Do osób, którym winien jestem podziękowania, należą: Bjørn Edvard Fast Nagell, Thomas Martinsen, Didrik Dahl, Lars Formoe, Marius Engebretsen, Henning Kristiansen, Marius Borsheim, Elin Kolstad, Hans Steinkjer, Marius Mathisen, Sergio Sabbatini i Geir Strøm.

Szczególne podziękowania składam moim nieocenionym i cierpliwym redaktorkom i redaktorom: Anne-Kristin Strøm, Arvemu Juritzenowi, Tigerowi Gartému, Anette Syrdahl i całemu zespołowi wydawnictwa juritzen forlag.

Jan-Erik Fjell